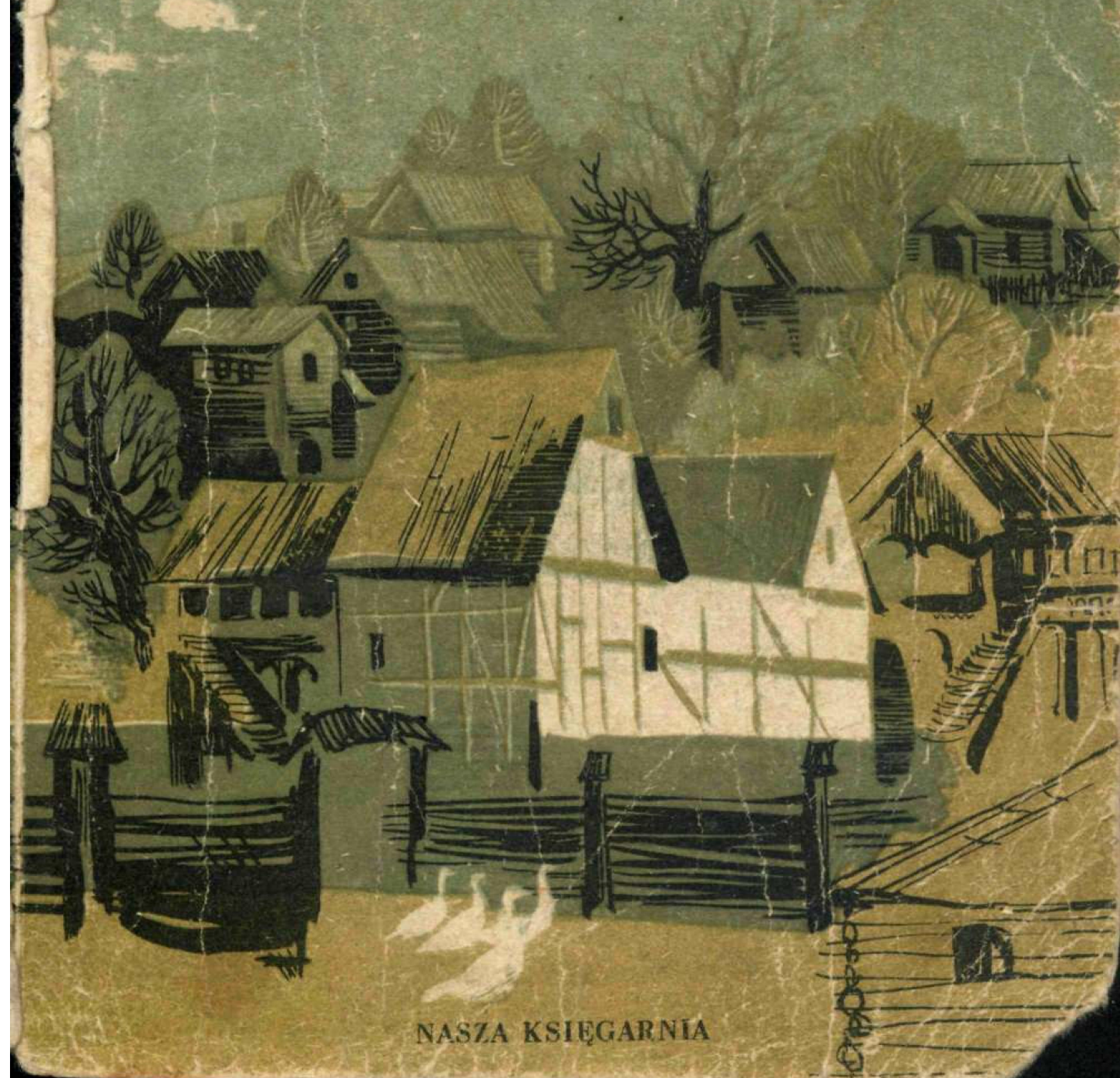


Selma Lagerlöf
CUDOWNNA PODRÓŻ



NASZA KSIĘGARNIA

Selma Lagerlöf

CUDOWNA PODRÓŻ

TOM I

OD TŁUMACZKI

W 1859 roku w małym dworku Marbacka, w rodzinie porucznika Lagerlöf, urodziła się córeczka, którą nazwano imieniem Selma.

Ta mała szwedzka dziewczynka, urodzona prawie sto lat temu, zostaje potem wielką pisarką, słynną na cały świat.

Słabowita, wątła, długo choruje, często marzy i wiele czyta. Wcześniej powędrowała do miasta ze wsi, straciwszy swój dom rodzinny, który, sprzedany przez zubożałych rodziców, poszedł w cudze ręce. Potem skończyła seminarium nauczycielskie i ciężko pracowała na życie, ucząc dzieci.

Ale pamięć dzieciństwa przetrwała, wspomnienie starego dworku w Marbacka nie odstępowało młodej dziewczyny. Już jako sławna pisarka, Selma Lagerlöf dwukrotnie opisywała w swych książkach odwiedzin w dawnym domu rodziców. Raz pojechała tam wtedy, gdy rozmyślała o napisaniu swej pierwszej książki i nie wiedziała, jak ją rozpocząć. Dopiero wśród starych ścian i szumiących drzew otoczyły ją wspomnienia i przyszedł pomysł niezwyklej powieści, która ją wślawiła. Powieść tę pt „Gösta Berling” przeczytacie, gdy dorośniecie.

Po latach, kiedy Selma Lagerlof postanowiła napisać dla szwedzkich dzieci książkę o Szwecji — znów pojechała po natchnienie do Marbacka, do domu swego dzieciństwa. Wierzyła, że tam znajdzie rozwiązanie trapiących ją trudności i wątpliwości. I znalazła je w postaci małego krasnoludka, w którego zamieniony został za karę wiejski chłopiec Nils Holgerson. W jednym z rozdziałów „Cudownej podróży”, zatytułowanym „Mały dworek”, Selma Lagerlöf opisuje, jak ten zaczarowany Nils Holgerson opowiedział jej o swych przygodach i o swej podróży nad Szwecją, na grzbiecie gąsiora wraz ze siadem dzikich gęsi. Z tej opowieści powstała jedna z najpiękniejszych książek, którą czytają nie tylko szwedzkie dzieci, ale która trafiła w tłumaczeniach do rąk dzieci całego świata. To, że Selma Lagerlöf spotkała w ogrodzie posiadłości Marbacka małego krasnoludka napadniętego przez sowę — nie jest prawdą, tylko fantazją. Krasnoludki, a także olbrzymy i karły, czarownice i mówiące zwierzęta zaludniające tę Szwecję, nad którą leci Nils Holgerson, zostały zapożyczone z baśni ludowych, pieśni i wyobraźni wielkiej pisarki. Selma Lagerlöf pisze o nich tak pięknie, zajmująco i barwnie, że z zachwytem patrzymy na ten obraz Szwecji, wysnuty z dawnych wspomnień i obyczajów, z awanturniczej i rycerskiej przeszłości, z nieprawdopodobnych opowiadań bazarzy i starców.

Ale w „Cudownej podróży” z baśnią i legendą spotyka się rzeczywistość. W tej czarodziejskiej opowieści o zwierzętach i krasnoludkach jest wiele obrazów prawdziwego życia. Autorka obok tajemnic i uroków przyrody i barwnych poetycznych krajobrazów pokazuje nam nędzę i wyzysk, radości i smutki, pracę i uczucia szwedzkich ludzi i szwedzkich dzieci.

Tak więc „Cudowna podróż” Selmy Lagerlof jest przede wszystkim książką o narodzie szwedzkim, o ludzie żyjącym na polach Skanii i na wyżynach Smålandii czy Laponii, wśród jezior, gór i lasów ojczystych. Urodziła się ta książka z ogromnej miłości do człowieka. Jest wielką pochwałą dobroci, która powinna panować w stosunkach między ludźmi. Jest także wyrazem nadziei, że dobry, szlachetny człowiek zbuduje swoją pracę i stuą miłością lepszy, przyszły, sprawiedliwy świat.

I chociaż Selma Lagerlof pokazuje nam na kartach swej książki wiele zdarzeń smutnych, wiele okrucieństwa i niesprawiedliwości, to jednak każde słowo tej książki przepełnione jest miłością do człowieka, miłością ojczyzny i wolności.

W pięknym przemówieniu, wygłoszonym w Akademii Szwedzkiej na uroczystości wręczenia jej

nagrody Nobla, Selma Lagerlöf dziękowała tym wszystkim, którzy ją tej miłości nauczyli.

Mówiła o długach wdzięczności, jakie zaciągnęła w swym życiu i które musi teraz spłacać. Wyliczyła, ile jest winna poetom i pisarzom skandynawskim, których książki czytała w dzieciństwie i w młodości, odwiecznym baśniom, legendom, opowiadaniom, których nasłuchiwała się w starym, wiejskim dworcu rodziców, Wspominała swe długi wobec ludzi, których znała od dziecka i których nauczyła się cenić i kochać. Byli to nauczyciele wiejscy, górnicy i drwale, chłopci z prowincji szwedzkich, Skanii i Dalekarii, wędrowni grajkwie, starzy żołnierze i wesołe dziewczęta. Mówiła także o przyrodzie ziemi rodzinnej, o górach i dolinach, lasach i polach, roślinach i zwierzętach swej ojczyzny. Mówiła o swych czytelnikach, starszych i młodszych, nawet o dzieciach z najniższych klas szkolnych, które dziękowały jej za napisanie dla nich cudownej podróży Nilsa Holgersona.

Bez tych wszystkich pomocników, którzy kształcili jej umysł i serce — Selma Lagerlöf nie wyrosłaby nigdy na wielką pisarkę.

„Będzie z niej dobry i porządny człowiek. Będzie dobra i uczciwa“. — Tak zaraz po urodzeniu zabobonnym zwyczajem tamtych czasów wróżyła jej z kart jedna ze starych ciotek.

Stara przepowiednia sprawdziła się. Selma Lagerlöf z małej, słabowitej dziewczynki wyrosła nie tylko na wielką pisarkę, ale na dobrego, szlachetnego człowieka. I w jej książce spotykamy nie tylko zalety wielkiego talentu, ale gorące, tętniące uczuciem i nadzieją serce.

JANINA MORTKOWICZOWA

KRASNOLUDEK



Niedziela, 20 marca

Był sobie pewien chłopiec. Miał lat około czternastu, wzrostu był słusznego, dobrze zbudowany, o lnianych włosach. Słyszał jako wielki ładaco, najchętniej spał albo jadł, a największą przyjemność sprawiało mu płatanie psot i figli.

Pewnej niedzieli rodzice chłopca od rana wybierali się do kościoła. On zaś siedział nie ubrany na ławie i rozmyślał, jak to dobrze, że ojciec z matką wychodzą, a on będzie mógł przez kilka godzin robić wszystko, co mu się podoba.

— Zdejmę dubeltówkę ojca ze ściany i będę z niej strzelał, i nikt mi tego nie zabroni — mówił do siebie.

Tymczasem ojciec jakby odgadł myśli syna, gdyż, stojąc już na progu, gotów do wyjścia, odwrócił się nagle i rzekł:

— Za to, że nie chcesz iść z rodzicami do kościoła, masz przeczytać kilka stron z Biblii. Przrzekasz?

— Dobrze — odrzekł chłopiec — przeczytam. — Ale jednocześnie dodał w myśli, że przeczyta, jeśli będzie miał ochotę.

Chłopcu zdawało się, że matka nigdy jeszcze nie uwijała się tak prędko po izbie jak w tej chwili. Z półki z książkami zdjęła Biblię, otworzyła ją w odpowiednim miejscu i położyła na stole. Po czym przysunęła do stołu wielki fotel, który kupiono w zeszłym roku na licytacji w probostwie i otaczano takim szacunkiem, że dotychczas nikomu prócz ojca nie wolno było na nim siadać. Chłopiec mówił sobie w duchu, że matka zbytecznie się tak trzyma, nie miał bowiem zamiaru odczytania więcej nad jedną lub dwie stronic. Ojciec, jak gdyby po raz wtóry odgadł jego myśli, odezwał się surowym głosem:

— A pamiętaj, czytaj uważnie! Po powrocie pytać cię będę o każdą stronicę po kolei; jeżeli choć jedną opuścisz — nie daruję ci!

— Czternaście i pół stronicy — przypomniła matka. — Musisz się natychmiast zabrać do czytania, jeśli chcesz zdążyć na czas.

I z tymi słowami rodzice nareszcie wyszli.

Chłopiec stał na progu i patrzył za nimi z uczuciem schwytanego w pułapkę zwierzątka.

— Teraz cieszą się pewnie z tego, że mnie tak mądrze podeszli i zmusili do siedzenia przez cały czas nad nudną Biblią — mówił do siebie.

Tymczasem rodzice nie mieli się bynajmniej z czego radować. Raczej przeciwnie, zmartwieni byli i smutni. Należeli do najmniej zamożnych gospodarzy we wsi — grunt ich zajmował tyle przestrzeni, co ogród. Cały inwentarz składał się zrazu tylko ze świni i kilku kur, ale w końcu dorobili się krów i gęsi. I byliby zapewne owego ranka niedzielного poszli zadowoleni i radzi do kościoła, gdyby nie ciągnęła troska o syna. Ojciec narzekał, że chłopiec jest leniwy i niedbały, w szkole nie chciał się uczyć, a teraz potrafi co najwyżej pasać gęsi.

Matka nie mogła temu zaprzeczyć, bardziej jednak martwiło ją to, że syn jest dziki i niedobry, okrutny dla zwierząt i złośliwy względem ludzi.

— Ach, gdyby mu Bóg chciał odmienić serce! — wzdychała biedna matka. — Inaczej w końcu siebie i nas unieszczęśliwi.

Chłopiec tymczasem zastanawiał się, czy ma się zabrać do czytania, Wreszcie zdecydował się okazać tym razem posłuszeństwo. Zasiadł więc uroczyście na paradnym fotelu i zaczął czytać. Ale, kiedy tak przez pewien czas bezmyślnie odczytywał wyrazy, ogarnęła go senność i poczuł, że zasypia.

Na dworze jaśniała najpiękniejsza pogoda wiosenna. Był to wprawdzie dopiero dwudziesty marca, ale chłopiec mieszkał na samym południu Skanii, we wsi Vestvemmenhög i wiosna była już tam w rozkwicie. Drzewa nie pokryły się jeszcze wprawdzie zielenią, ale wszędzie nabrzmiewały Świeże pąki, wszystkie rowy i strumienie napełniły się wodą, na brzegach ich kwitły złote kaczeńce, a na krzewach lśniły brunatne młode gałązki. Las bukowy w dali ciągnął się gęsty i bujny, a nad ziemią jaśniało czyste, błękitne sklepienie nieba. Drzwi do izby były odemknięte i przenikał przez nie do wnętrza srebrny głos skowronków. Kury i gęsi chodziły po dworze, a krowy, czując w oborze powiew wiosny, ryczały przeciągle: „Muu! Muu!”

Chłopiec siedział nad książką, kiwał się i walczył ze snem.

„Nie, nie chcę zasnąć — myślał — nie zdążyłbym nic przeczytać”.

Ale nie zdołał się oprzeć senności i zasnął mimo wszystko.

Nie wiedział potem, czy spał długo, czy krótko, zbudził zaś go cichy szmer. W tej samej chwili, kiedy otworzył oczy, wzrok jego padł na lustro, w którym ujrzał dokładnie, że wieko od matczynej skrzyni stoi otworem.

Matka miała starą, ciężką dębową skrzynię z żelaznym okuciem, której nie wolno było prócz niej nikomu otwierać. Chowała tam wszystko to, co odziedziczyła po swojej matce, i to, co jej było szczególnie miłe. Leżały więc w skrzyni staroświeckie stroje chłopskie z czerwonego sukna, krótkie gorseciki, namarszczone spódnice i napierśniki wyhaftowane perłami. Były tam także białe, krochmalone chustki na głowę i ciężkie, srebrne klamry i łańcuchy. Ludzie nie noszą już dziś podobnych rzeczy i matka niejednokrotnie zbierała się, żeby całą zawartość skrzyni sprzedać. Nigdy jednak nie potrafiła się ostatecznie zdecydować.

Teraz chłopiec widział w lustrze zupełnie wyraźnie, że wieko skrzyni stoi otworem. Nie mógł zrozumieć, jak to się stać mogło, gdyż matka, zanim odeszła, zamknęła starannie skrzynię. Miałaby ją zostawić otwartą, wiedząc, że chłopiec zostaje sam w domu?

Przyszło mu na myśl, że może to sprawka złodzieja, i tak się przestraszył, że nie miał odwagi poruszyć się; siedział cicho i patrzył w lustro.

Nagle ujrzał jakiś czarny cień, poruszający się na krawędzi skrzyni. Patrzył — i oczom własnym nie wierzył!

Cień bowiem stał się rzeczywistością, a rzeczywistość ta była ni mniej, ni więcej tylko

krasnołudkiem, prawdziwym, najprawdziwszym krasnołudkiem.

Chłopiec słyszał dużo opowiadań o krasnołudkach, ale nie wyobrażał sobie nigdy, żeby krasnołudek mógł być taki mały. Ten, który siedział na skraju skrzyni, był wysokości zaledwie na pięć. Miał starą, pomarszczoną twarz bez zarostu, ubrany był w czarny surdut z długimi połami i czarny kapelusz z szerokim rondem. Białe koronki przy szyi i mankietach, klamry przy trzewikach i podwiązki z kokardami — nadawały mu wygląd bardzo delikatny i wytworny. W ręku trzymał wyjęty ze skrzyni stary haft i przyglądał mu się z taką uwagą, że nie spostrzegł przebudzenia się chłopca.

Ten zaś tak był zdumiony tym niezwykłym widokiem, że zapomniał o strachu. Czemż zresztą miał się obawiać takiego małego stworzenia? Wkrótce też zachciało mu się spłatać figla krasnołudkowi: wepchnąć go do skrzyni i zatrzaskać wieko lub zrobić coś podobnego. Nie miał jednak odwagi dotknąć krasnołudka gołymi rękami i dlatego zaczął się rozglądać po pokoju za jakimś odpowiednim przedmiotem. Wodził wzrokiem od kanapy do stołu i od stołu do komina. Przypatrywał się garnkom i naczyniom kuchennym. Spoglądał na dubeltówkę ojca, zawieszoną na ścianie, i na doniczki fuksji i pelargonii kwitnące na oknie. W końcu wzrok jego padł na starą siatkę na muchy, wiszącą na gwoździu.

Nie namyślając się długo, schwycił siatkę i zarzucił na krasnołudka. Udało się! Tak szybko i niespodziewanie, że chłopiec aż osłupiał z wrażenia. Leżał już oto biedny krasnołudek oplątany siecią i skrepowany.

W pierwszej chwili chłopiec nie wiedział, co począć ze swą zdobyczą.

Machał tylko siecią, aby się krasnołudek nie mógł z niej wydobyć.

Tymczasem krasnołudek zaczął mówić — prosił i błagał o uwolnienie. Opowiadał, że przez długie lata wyświadczał rodzinie chłopca dużo dobrego i że zasłużył na lepsze potraktowanie. Jeśli chłopiec go puści, podaruje mu stary dukat, srebrny łańcuszek i złotą monetę, tak dużą jak wieko srebrnego zegarka ojca.

Chłopcu okup ten nie wydał się zbyt hojnym, od chwili jednak kiedy uwięził krasnołudka, zaczął się go obawiać. Przeczuwał, że wdał się w jakąś nieczystą sprawę, i rad był się z niej wypłatać. Zgodził się więc od razu na propozycję krasnołudka i przestał wymachiwać siatką. Ale w tej samej chwili pożałował, że nie skorzystał ze sposobności i nie postawił krasnołudkowi swoich warunków, nie zażądał od niego sowitszego okupu. Gdybyż przynajmniej rozkazał mu za pomocą czarów wyrycić sobie w głowie ów nieszczęsny ustęp z Biblii!

„Jakiż ze mnie głupiec!” — pomyślał i zaczął na nowo wywijać siatką, chcąc po raz wtóry pochwycić krasnołudka.

Tym razem jednak nie udało się, gdyż nagle poczuł tak silne uderzenie, wymierzone w twarz, że potoczył się na przeciwległą ścianę, odskoczył od niej i padł na podłogę bez przytomności.

Kiedy się ocknął, krasnołudek znikł bez śladu. Wieko skrzyni było zamknięte, a siatka wisiała na zwykłym miejscu. Gdyby rozpalony policzek nie przypominał chłopcu zbyt wyraźnie uderzenia, mógłby pomyśleć, że to był sen.

„W każdym razie ojciec i matka powiedzą, że mi się tylko śniło — pomyślał. — I nic mi to nie pomoże, kara mnie nie minie, jeśli się nie zabiorę do czytania”.

Chciał wziąć się na nowo do książki. Lecz — o dziwo! Cóż to się stało? Czyżby się pokój nagle powiększył? Dlaczego tak długo trzeba iść do stołu? I cóż to się zrobiło z krzesłem? Nie wydawało się przecież większe niż poprzednio, a jednak chłopiec wdrapywał się na nie z takim trudem. Nie mógł także dojrzeć, co się dzieje na stole,

— A to co takiego?! — zawołał. — Chyba krasnołudek zaczarował krzesło i stół, i całą izbę!

Książka leżała na swoim miejscu i wydawała się niezmienną. A jednak i z nią coś się stało, bo chłopiec, aby móc czytać, musiał się cały na niej położyć. Przeczytał dwa wiersze, kiedy wzrok jego padł

na lustro.

— A to co?! — zawołał znowu na cały głos. — Czyżby znajdował się tu drugi krasnoludek? — W lustrze bowiem zobaczył wyraźnie maleńkiego karzełka w ubraniu wiejskiego chłopaka. — A ubrany zupełnie tak jak ja! — Chłopiec klasnął w ręce ze zdziwienia.

Lecz — o dziwo! Karzełek w lustrze uczynił to samo.

Wtedy chłopiec zaczął wrywać sobie włosy, szczypać się w rękę i kręcić w kółko.

Krasnoludek w lustrze powtarzał natychmiast te same ruchy.

Chłopiec pobiegł za lustro, żeby zobaczyć, czy za nim nie ukryło się to małe stworzenie. Ale nie było tam nikogo, i wtedy zadrżał z przerażenia — zrozumiał nagle, że krasnoludek przemienił go za karę w takiego krasnoludka, jakim był sam, i że to on, Nils Holgerson, był tym małym karzełkiem, którego obraz odbijał się w lustrze.

DZIKIE GĘSI

Na razie chłopiec w żaden sposób nie mógł uwierzyć, że został zamieniony w krasnoludka.

„To tylko sen albo przywidzenie — myślał, — Poczekam kilka minut, a na pewno odzyskam postać ludzką”.

Stał przed lustrem i zamknął oczy. Kiedy po kilku minutach otworzył je, przekonał się, że wciąż jeszcze jest jednak tylko maleńkim krasnoludkiem. Jego były te lniane włosy, jego piegi na nosie, jego łaty na spodniach i dziura w pończosze — wszystko jak dawniej, tylko o wiele mniejsze.

Teraz zrozumiał, że to nie sen, nie przywidzenie. Trzeba szukać jakiejś rady, środka, pomocy... O, gdyby tak odszukać krasnoludka i pogodzić się z nim! Tak, to będzie najlepiej.

Zeskoczył ze stołu i rozpoczął poszukiwania. Zaglądał pod stoły i pod szafy, pod kanapy i za komin. Właził nawet w dziury mysie. Ale karzełka nie było ani śladu. Szukając płakał i przyrzekał święcie poprawę. Nigdy, nigdy już nie złamie danego słowa, nigdy, nigdy nie będzie złośliwy, nigdy nie zaśnie nadadaną lekcją. Jeśli odzyska postać ludzką, stanie się na pewno dobrym, posłusznym, rozumnym chłopcem.

Ale te obietnice i zaklęcia nic nie pomogły.

Nagle przypomniało się chłopcu, jak to matka niegdyś opowiadała, że krasnoludki przebywają najchętniej w oborze wśród bydła. Postanowił też zaraz poszukać tam swego karzełka. Szczęściem drzwi obory były otwarte, gdyż teraz nie poradziłby sobie z pewnością z ciężkim zamkiem.

Przestąpiwszy próg chaty, poszukał oczyma swych drewnianych sandałów, bo miejscowym zwyczajem wchodził do izby w pończochach, żeby nie zadeptać podłogi. I natychmiast spostrzegł na progu przygotowaną już parę maleńkich sandałów. Widząc, że krasnoludek nie zapomniał zaczarować nawet jego obuwia, przestraszył się jeszcze bardziej.

„Moje nieszczęście nie skończy się tak prędko” — pomyślał z boleścią.

Przed drzwiami chaty skakał wesoło wróbel. Spostrzegłszy chłopca, zaczął wesoło:

— Widzicie Nilsa gęsiarkę! Widzicie małego karzełka! Widzicie Nilsa Holgersona, karzełka?!

Natychmiast zbiegły się ze wszystkich stron gęsi i kury i dokoła chłopca powstał straszliwy wrzask.

— Kikeriki! — piał kogut. — Dobrze mu tak! Ciągnął mnie za ogon. Kikeriki!

— Dobrze mu tak! Ga-ga-ga-gak! Dobrze mu tak! — gdakały kury.

Gęsi skupiły się razem, zetknęły głowami i pytały jedna przez drugą:

— A to kto zrobił? A to kto zrobił?

A najdziwniejsze było to, że chłopiec rozumiał doskonale ich mowę. Był tak zdziwiony tym

odkryciem, że stał nieruchomo na progu i słuchał.

— Aha, to dlatego, że stałem się krasnoludkiem — powiedział — tylko krasnoludki rozumieją mowę zwierząt.

Nie mógł jednak tego znieść, że kury gdakały mu bezustannie nad głową: „Dobrze ci tak! Dobrze ci tak!“ Rzucił więc w nie kamieniem i zawołał:

— Milczeć, hołoto!

Zapomniał tylko o jednej rzeczy — o tym, że jest za mały, aby go się kury mogły lękać. Toteż całe stado kur rzuciło się na niego i wrzeszczało:

— Ga-ga-ga-gak! Dobrze ci tak! Ga-ga-ga-gak! Dobrze ci tak!

Chłopiec próbował się wymknąć, ale kury otoczyły go ze wszystkich stron i darły się tak przeraźliwie, że piekielny ten hałas omal go nie ogłuszył i nie oślepił. Nie udałooby mu się też zapewne ująć cało, gdyby się nie nawinęła kotka domowa. Na widok kotki kury rozbiegły się i zajęty gorliwie wygrzebywaniem robactwa z ziemi.

Chłopiec przysunął się do kotki,

— Kochana Kiziu! — rzekł. — Ty, która znasz wszystkie kąty i zakątki podwórka, bądź tak dobra i powiedz mi, gdzie mogę znaleźć krasnoludka.

Kotka nie odpowiedziała zrazu nic. Przysiadła, owinęła pierścieniem ogona przednie łapki i przyglądała się chłopcu. Była duża, czarna, z białą łatą na piersiach. Sierść miała gładką i lśniąca. Pazurki schowała, a oczy jej świeciły przez wąskie szparki. Wyglądała bardzo dobroduszenie.

— Wiem, co prawda, gdzie mieszka krasnoludek — rzekła uprzejmie — ale dlaczegożbym miała ci powiedzieć?

— Kochana, kochana Kiziu, musisz mi dopomóc — błagał chłopiec. — Czyż nie widzisz, co on ze mną zrobił?

Kotka otworzyła oczy nieco szerzej, zielonym blaskiem błysnęła z nich złośliwość. Mruczała, przeginała się i dopiero po chwili odpowiedziała:

— Czy może dlatego mam ci dopomóc, żeś mnie tak często ciągał za ogon?

Chłopiec rozgniewał się i w gniewie zapomniał, że jest taki mały i bezsilny.

— Potrafię cię jeszcze I teraz pociągnąć za ogon! — zawołał i przyskoczył do kotki.

Lecz kotka nagle zmieniła się zupełnie. Wygięła grzbiet, oparła się mocno na nogach, wyprężyła ogon, nastawiła uszy, a z oczu szeroko otwartych sypnęła iskrami wściekłego gniewu.

Malec nie dał się jednak nastraszyć kotce domowej i postąpił krok naprzód. Ale kotka porwała się i rzuciła na niego. Poczuł pazury, wpijające się przez kurtę i koszulę w ciało, i ostre kły, szarpiące mu kark. Wówczas zaczął wołać na cały głos o ratunek. Nikt się jednak nie ukazał. Czyżby miała nadejść ostatnia jego godzina? Lecz po chwili kotka puściła go.

— No — rzekła — dość na ten raz. Przez wzgląd na dobroć twojej matki daruję ci. Chciałam ci tylko napędzić strachu i pokazać, kto z nas dwojga silniejszy jest teraz.

I poszła swoją drogą, łagodna i potulna, jak gdyby nie zaszło nic. Chłopiec nie mógł ze wstydu przemówić ani słowa, I pobiegł czym prędzej do obory na poszukiwanie krasnoludka.

W oborze stały tylko trzy krowy. Ale na widok malca zaczęły tak ryczeć i narobiły takiego wrzasku, jak gdyby było ich co najmniej ze trzydzieści.

— Mu-mu-mu! — ryczała Krasula. — Dobrze przynajmniej, że jest jakaś sprawiedliwość na świecie.

— Mu-mu-mu! — ryczały wszystkie trzy na raz.

Chłopiec nie rozumiał nic — tak się darły jedna przez drugą.

Chciał się zapytać o krasnoludka, ale nie mógł dojść do słowa. Krowy zachowywały się zupełnie tak, jak gdyby napadł na nie brytan: kopały, brzęczały łańcuchami, kręciły głowami i bodły rogami.

— Chodź tylko bliżej — ryczała Krasula — a tak cię kopnę, że mnie długo popamiętasz!

— Chodź, chodź — wołała Łaciata — wezmę cię na rogi!

— Chodź, chodź — przyzywała Czarnula — a przypomnę ci, jak mi smakowało, gdyś mnie walił polanem po grzbiecie!

— Chodź, to ci zapłacę za te wszystkie osy, któreś mi wsadzał w ucho! — dogadywała Siwula.

Krasula była najstarsza i najmądrzejsza z całej trójki i gniew jej był najgroźniejszy.

— Chodź bliżej — wołała — żebym ci mogła zapłacić za to, żeś tyle razy wyciągał spod matki stołek przy dojeniu, za to, żeś tyle razy podstawiał jej nogę, gdy wracała z napełnionym skopkiem, i za wszystkie te łzy, które tutaj przelała przez ciebie!

Chłopak chciał im powiedzieć, jak bardzo żałuje teraz swego złego postępowania i jak bardzo starać się odtąd będzie, żeby już zawsze być dobrym i grzecznym, niech mu tylko powiedzą, gdzie się ukrywa krasnoludek. Ale krowy nie chciały go wcale słuchać i ryczały tak głośno, że zaczął się obawiać, iż w końcu któraś z nich urwie się z łańcucha, i przerażony uciekł z obory.

Gdy się znowu znalazł na podwórku, poczuł się zupełnie bezradny. Zrozumiał, że nikt w całej zagrodzie nie dopomoże mu w poszukiwaniach krasnoludka. A gdyby go nawet i odszukał — czyż to się na coś przyda?

Wdrapał się na mur pokryty pnącymi się gałęziami jeżyn i tarniny. Usiadł na nim i zaczął rozmyślać nad tym, co się z nim stanie, jeśli nie odzyska postaci ludzkiej. Co to będzie, kiedy rodzice wrócą z kościoła i ujrzą go tak odmienionego? Co będzie, gdy go ludzie z wioski zobaczą? Zbiegnie się pewnie cała okolica, żeby obejrzyć takiego dziwoląga! A kto wie — może i rodzice zechcą go pokazywać na jarmarkach!

Ach, sama myśl o tym wszystkim przejmowała go takim strachem! Najlepiej byłoby, gdyby się już nikomu na oczy więcej nie pokazał! Ach, jakże był nieszczęśliwy! Na całym świecie nie było chyba istoty równie nieszczęśliwej! Nie był już przecież człowiekiem, tylko zaczarowanym karzełkiem.

Zaczynał powoli rozumieć, co to znaczy przestać być człowiekiem. Oto odsunięty był od wszystkiego: nie będzie mógł już nigdy bawić się z innymi chłopcami, nie będzie mógł nigdy gospodarzyć w zagrodzie rodziców, i o tym, żeby się mógł kiedykolwiek ożenić, także nie mogło być mowy.

Rozglądał się po zagrodzie: biało pomalowana chata, pokryta strzechą, ubogie zabudowania gospodarskie, a zagony tak małe, że załedwie jeden koń mógł się na nich wykręcić. Ale jakkolwiek małe i ubogie — wszystko to teraz wydawało mu się jeszcze zbyt wspaniałe dla niego. Gdzież miał zamieszkać? Chyba tylko w dziurze pod podłogą stodoły.

Pogoda była prześliczna, wokoło niego kwitło, brzęczało, świegotało wszystko. On jeden tylko pogrążony był w ciężkiej zadumie i smutku. Nigdy już nic cieszyć go nie będzie. Zdawało mu się, że nigdy jeszcze niebo nie było tak szafirowe jak tego dnia. Nad nim przeciągały ptaki przelotne. Wracały zza mórza i dążyły na północ. Były między nimi ptaki najrozmaitszego gatunku, ale on znał tylko dzikie gęsi, które ciągnęły dwoma długimi sznurami. Już kilka stąd przeleciało ponad nim. Leciały wysoko, słyszał jednakże, jak wołały:

— W górę! W górę!

Skoro tylko dzikie gęsi ujrzały gąski domowe, biegające po podwórku, spuszczały się niżej i wołały:

— Prosimy do nas! Prosimy do nas! W górę!

Domowe gęsi wyciągały szyje i nasłuchiwały, a potem odpowiadały zupełnie zrozumiale:

— Nam tutaj dobrze! Nam tutaj dobrze!

Był, jak mówiliśmy, piękny dzień, powietrze było tak czyste i świeże, że rozpostrzeć skrzydła i lecieć w górę musiało być najwyższą rozkoszą. Toteż, po każdym ukazaniu się nowej gromady dzikich gęsi, ogarniał gęsi domowe coraz większy niepokój. Kilka razy uderzały skrzydłami, jak gdyby miały wielką

ochotę pofrunąć. Ale za każdym razem stara gęś matka mówiła:

— Tylko bez szaleństw, tylko bez szaleństw, czy chcecie umrzeć z głodu i z chłodu?

Młody gąsior zarazi! się gorączką podróży,

— Polecę z nimi! Polecę z nimi! — wołał.

I kiedy nadleciała jakaś gromada z głośnymi zapraszającymi okrzykami, rozpostarł skrzydła i z okrzykiem:

— Czekajcie, czekajcie, i ja z wami lecę, i ja z wami lecę! — wzniósł się w górę. Że jednak nie był przyzwyczajony do fruwania, spadł natychmiast ciężko na ziemię.

Dzikie gęsi usłyszały jego nawoływania. Obejrzały się i zwolniły lotu.

— Czekajcie, czekajcie! — zawołał gąsior i uczynił nową próbę.

Wszystko to chłopak słyszał ze swej kryjówki.

„Byłaby wielka szkoda, gdyby nam duży gąsior uciekł — pomyślał. — Ojciec i matka martwiliby się bardzo, gdyby go po powrocie nie zastali”.

I chłopiec zapomniawszy znowu zupełnie o tym, że jest taki mały i bezsilny. Zeskoczył z murka, rzucił się między gęsi i objął gąsiora rękami.

— Wybierz sobie z głowy ucieczkę! — wołał. — Słyszysz?

Ale w tej samej chwili gąsior pojął, jakim sposobem wzbic się ma w górę. W zapale nie zwrócił uwagi na chłopca i uniósł go z sobą.

Stało się to tak szybko, że malec stracił przytomność umysłu. Zanim się opamiętał, że powinien puścić szyję gąsiora, był już za wysoko; gdyby ją teraz puścił, zabiłby się na pewno.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko umieścić się wygodnie na grzbiecie gąsiora. Ale wcale nie łatwo było utrzymać się na gładkim grzbiecie między poruszającymi się skrzydłami. Musiał obiema rękami trzymać się mocno piór, żeby nie spaść na ziemię.

SZACHOWNICA

Chłopcu zakręciło się tak bardzo w głowie, że długo nie wiedział, co się z nim dzieje. Wiatr świszczając wokoło i hucząc w piórach ptaków, których skrzydła rozcinały z szumem powietrze. Trzynaście gęsi otaczało go ze wszystkich stron, wszystkie trzepotały skrzydłami i gęgały głośno. Szumiało mu w uszach i mieniło się w oczach; nie wiedział, czy leci nisko, czy wysoko nad ziemią, ani też, dokąd leci.

Wreszcie o tyle oprzytomniał, że zaczął myśleć o tym, dokąd to gęsi niosą go z sobą. Ale nie śmiał jeszcze spojrzeć w dół. Był pewny, że przy pierwszej próbie dostanie zawrotu głowy.

Gdy się wreszcie przewyciężył i spojrział na ziemię, zdawało mu się, że widzi pod sobą wielką szachownicę, podzieloną na niesłychaną ilość dużych i małych kwadratów.

— Dokądże zaleciałem? — zapytał siebie.

Widział tylko same czworokąty. Jedne były podłużne, inne szerokie, ale wszystkie miały proste kąty i nigdzie nie było zaokrągleń ani skrzywień.

— Cóż to tam w dole za wielka, pokratkowana szachownica? — zapytał chłopiec.

A gęsi odpowiedziały mu natychmiast chórem:

— Pola i łąki! Pola łąki!

Chłopiec pojął, że wielka, kratkowana szachownica, nad którą przelatywał, to płaszczyna Skanii. Zaczynał teraz rozumieć, dlaczego jest taka pokratkowana i kolorowa. Przede wszystkim rozpoznawał jasnozielone prostokąty — to były łąny oziminy. Prostokąty żółtoszare musiały być rżyskami, prostokąty brunatne — koniczyną, a czarne — ugorami. Prostokąty brunatne o żółtym rąbku to na pewno lasy

bukowe, w których wielkie drzewa, rosnące w głębi, tracą w zimie liście, a młode na skraju zachowują żółtkłe liście aż do wiosny.

Rozpoznawał w ciemnych prostokątach, szarzejących pośrodku, duże dworki o poczerniałych strzechach i brukowanych podwórkach. Były tam również prostokąty pośrodku zielone, odgraniczone brunatną linią, w których można było rozpoznać zieleniejące trawniki, otoczone nagimi jeszcze drzewami.

Chłopiec roześmiał się mimo woli na ten osobliwy widok.

Ale dzikie gęsi, usłyszawszy jego śmiech, skarciły go natychmiast:

— Urodzajna, dobra ziemia! Urodzajna, dobra ziemia!

Chłopiec zaraz spowaźniał.

„Ty możesz się śmiać — pomyślał — ty, którego spotkało tak straszne, nieszczęście?!”

I pogрузzył się w smutku, ale już po chwili roześmiał się na nowo.

Kiedy się już przyzwyczaił do takiego podróżowania i mógł myśleć nie tylko o tym, jak utrzymać się na grzbiecie gąsiora, zauważył, ile stad ptasich przelatywało dążąc na północ.

Wszędzie rozlegały się krzyki, wrzask i nawoływania.

— I wy także, i wy także? — wołały jedne.

— I my także, i my także! — odpowiadały gęsi.

— A cóż słyszać z wiosną? A cóż słyszać z wiosną?

— Drzewa bez listka, drzewa bez listka i wody chłodne, i wody chłodne! — brzmiała odpowiedź.

Przelatując nad jakąś zagrodą gęsi zapytały ptactwo domowe:

— Jak się nazywa ten dwór?

Kogut wyciągnął szyję do góry i zapiał:

— Małopole. Dziś tak samo jak łońskiego roku, dziś tak samo jak łońskiego roku!

Większość zagród nosiła imiona swych właścicieli, według obyczaju miejscowego, ale koguty nadawały im takie nazwy, jakie im wydawały się najodpowiedniejsze. Gdy zagroda była uboga, wołały:

— Ten dwór nosi nazwę „Bezziamie”!

Najuboższy nazywały „Pomorkiem”. Wielkie i bogate dwory nazywały się u kogutów: „Sytość”, „Radość”, „Rozkosz”.

Tylko koguty z pańskich dworów były zbyt dumne, aby pozwalać sobie na żarty, i piałły tak głośno, jak gdyby chciały, by je słońce usłyszało.

— To pański dwór! Ten sam, co łońskiego roku! Ten sam, co łońskiego roku!

A jeden zapiał gniewnie:

— To przecież „Łabędzia Wyspa”, każdy sam wiedzieć powinien!

Chłopiec spostrzegł, że gęsi nie lecą w prostej linii. Krążyły nad całą południową Skanią, jak gdyby chciały się nacieszyć każdym jej zakątkiem i powitać oddzielnie każdą chatę.

Wreszcie ujrzały dwór, gdzie stało kilka wielkich, rozległych zabudowań z wysokimi kominami. Wokoło rozrzucone było mnóstwo małych domków.

— To cukrownia Jordeberga! — wołały koguty. — To cukrownia Jordeberga!

Wiadomość ta wywarła wielkie wrażenie na chłopcu. Znał tę miejscowość. Położona była w pobliżu chatki jego rodziców i w zeszłym roku służył tam za gęsiarka. Tylko że teraz, z góry, wszystko wyglądało tu zupełnie inaczej.

Och, och! Czy też zeszłorocznii jego towarzysze: gęsiareczka Aza i mały Mats, są tam jeszcze? I co by też powiedzieli, gdyby przeczuli, że on, Nils, przelatuje teraz tak wysoko nad ich głowami?

Wkrótce stracili z oczu Jordebergę i pofrunęli dalej nad Svedalą i jeziorem Skaber, a potem z powrotem ponad klasztorem w Börringe i Hackeberg.

W ciągu tego dnia chłopiec lepiej poznał Skanię niż przez całe dotychczasowe swe życie.

Dzikie gęsi radowały się najbardziej, spotykając gęsi domowe. Zwalniały wtedy lotu i wołały:

— W górę! Chodźcie do nas! Chodźcie do nas!

Ale domowe gęsi odpowiadały:

— Jeszcze zima po wsiach! Za wcześnie! Wracajcie, wracajcie!

Dzikie gęsi spuszczały się niżej, żeby je domowe mogły lepiej usłyszeć, i nawoływały:

— Chodźcie z nami, nauczymy was fruwać, nauczymy was i pływać!

Ale gęsi domowe obrażały się i nie odpowiadały już ani jednym gęgnięciem.

A dzikie gęsi spuszczały się jeszcze niżej, tak że dotykały prawie ziemi, potem unosiły się błyskawicznie w górę, jak gdyby czymś przerażone, i wołały:

— Oj, oj, oj! To przecież nie gęsi — to tylko barany, to tylko barany!

Wtedy gęsi na ziemi złościły się okropnie i krzyczały:

— Bodaj was wystrzelano! Wszystkie co do jednej!

Chłopiec śmiał się do rozpuku z tych kłótni. Nagle przypominało mu się jego nieszczęście i śmiech przechodził w płacz. Lecz już po chwili śmiał się na nowo.

Nigdy jeszcze nie odbywał tak szybkiej podróży, a zawsze przecież uważał tego rodzaju przyjemności za największe. I nigdy także nie przypuszczał, że tam w górze powietrze może być tak orzeźwiające i że zapach ziemi i lasu, wznoszący się w górę, może być tak rozkoszny.

I nigdy również nie wyobrażał sobie, co się czuje, gdy się leci tak wysoko w powietrzu. Zdawało mu się, że odbiega od wszystkich trosk i cierpień, od wszystkich kłopotów, jakie tylko na ziemi dokuczać mogą.

AKKA Z KEBNEKAJSE



WIECZÓR

Duży, oswojony gąsior, który poleciał ze stadem, był bardzo dumny, że przelatuje ponad równiną w towarzystwie dzikich gęsi i może się przekomarzać z ptactwem domowym. Tylko że to zadowolenie nie uchroniło go od znużenia, które około południa zaczęło stawać się coraz dokuczliwsze. Usiłował oddychać głębiej i częściej poruszać skrzydłami, mimo to pozostawał w tyle za innymi.

Spostrzegłszy, że gąsior domowy nie może nadążyć, dzikie gęsi zawołały do przewodniczki całego stada;

— Akko! Akko!

— Czego chcecie ode mnie? — zapytała.

— Białý zostaje w tyle! Białý zostaje w tyle!

— Powiedzcie mu, że łatwiej jest latać prędko niż powoli — odpowiedziała przewodniczka i wyprężyła się po swojemu.

Gąsior próbował wprawdzie posłuchać rady i przyspieszyć lotu, ale tak osłabł, że spuścił się aż nad wierzby przydrożne, które otaczały pola i łąki.

— Akko! Akko! Akko z Kebnekajse! — zawołały znów gęsi.

— Cóż znowu? — zapytała gniewnie przewodniczka.

— Białý spada! Białý spada!

— Powiedzcie mu, że łatwiej jest latać wysoko niż nisko! — zawołała Akka.

Gąsior chciał posłuchać nowej rady, ale wzniósłszy się w górę stracił oddech.

— Akko! Akko! — zawołały gęsi.

— Czyż nie możecie zostawić mnie w spokoju? — zapytała stara gęś niecierpliwiąc się coraz bardziej.

— Białý spada! Białý spada!

— Kto nie może lecieć z gromadą, ten musi zawrócić. Powiedzcie mu to! — zawołała przewodniczka. I ani myślała zwalniać lotu.

„Aha, więc to tak?” — pomyślał gąsior. Zrozumiał teraz, że dzikie gęsi wcale nie miały zamiaru zabierać go z sobą do Laponii. Zwabiły go tylko dla żartu.

Gniewało go to tym bardziej, że właśnie teraz stracił siły i nie mógł pokazać tym włóczęgom, na co się zdobyć może domowy gąsior. A najbardziej gniewało go spotkanie z Akką z Kebnekajse. Jakkolwiek był tylko domowym gąsiorem, słyszał o przewodniczce, która nazywa się Akka i ma przeszło sto lat. Uważana była za tak mądrą, że tylko najdzielniejsze dzikie gęsi przyłączały się do jej stada. Nikt bardziej od Akki nie pogardzał domowymi gęsiami. I dlatego to gąsior popisałby się przed nią tak chętnie.

Leciał zwolna za stadem i rozważał, czy ma zawrócić, czy lecieć dalej. Wtem odezwał się malec siedzący na jego grzbiecie:

— Kochany gąsiorze Marcinku! Musisz przecież przyznać, że to niemożliwe, aby ktoś, kto nigdy jeszcze nie fruwał, dotarł z dzikimi gęsiami aż do Laponii. Czy nie byłoby lepiej, abyś zawrócił, póki czas?

Gąsiora drażnił najbardziej uwieszony na nim malec, toteż gdy usłyszał, że chłopiec nie dowierza jego siłom, postanowił na złość lecieć dalej.

— Jeżeli powiesz jeszcze słówko, zrzucę cię do pierwszej rzeki, którą napotkamy po drodze! — zawołał. I siły jego, wzmożone gniewem, tak wzrosły, że zrównał się prawie ze stadem.

Na szczęście gęsi spuszczały się coraz niżej i właśnie, o zachodzie słońca, siadły na ziemi. Zanim się gąsior i chłopiec spostrzegli, siedzieli już na brzegu jeziora,

„Pewnie tutaj przenocujemy” — pomyślał chłopiec i zeskoczył z grzbietu gąsiora.

Stał na wąskim, piaszczystym brzegu, a przed nim roztaczało się dość duże jezioro. Jezioro wywierało przykre wrażenie. Było prawie całkowicie pokryte lodem, szerniałym i nierównym, pełnym przerębli i szczelin, jak to zazwyczaj bywa na wiosnę. Łód miał zapewne wkrótce stopnieć, gdyż wszędzie przy brzegach przeświecała woda. Dalej jednak jezioro było jeszcze zamrożone i szerzyło wokoło chłód i nastrój zimowy.

Wydawało się, że ziemia z tamtej strony jeziora jest uprawna i zamieszкана, tu jednak, gdzie się gęsi umieściły, ciągnął się wielki las sosnowy.

I wyglądało tak, jak gdyby las iglasty miał moc przykuwania zimy do siebie. Wszędzie już ziemia uwolniła się od śniegu, ale pod olbrzymimi choinami leżał on jeszcze grubą warstwą, tajał i zamarzał, na nowo tajał i znowu zamarzał, toteż stwardniał wreszcie jak lód.

Chłopiec miał wrażenie, że dostał się do jakiejś lodowej pustelni. Ogarnęła go szalona rozpacz.

Był bardzo głodny, bo przez cały dzień nic nie jadł. Ale skądże miał wziąć jakiekolwiek pożywienie? W marcu nie rośnie przecież ani na drzewach, ani w polu nic jadalnego.

Tak, skąd weźmie coś do jedzenia? Gdzie znajdzie schronienie?

Kto mu przygotuje poślanie? Kto go przywoła do swego ogniska? Kto go weźmie w obronę?

Słońce już zaszło i od jeziora wiało chłodem. Ciemności spływały z nieba, niepokój wkradał się wraz ze zmrokiem i w lesie rozlegały się tajemnicze odgłosy. Wesołość chłopca znikła.

Przejęty lękiem, oglądać się zaczął za swoim towarzyszem podróży, Przecież nie miał nikogo prócz niego,

I wtedy przekonał się, że z gąsiorem było jeszcze gorzej: leżał ciągle na tym samym miejscu, gdzie się opuścił, i wyglądał tak, jak gdyby wydawał ostatnie tchnienie. Szyję miał wyciągniętą, oczy zamknięte i ledwo oddychał.

— Kochany gąsiorze Marcinku — odezwał się chłopiec — spróbuj napić się wody. Stąd tylko dwa kroki do jeziora.

Ale gąsior się nie ruszał.

Chłopiec był dotychczas okrutny dla wszystkich zwierząt. Lecz gąsior był obecnie jedyną bliską mu istotą, ogarnął go przeto strach na myśl, że mógłby go stracić. Zaczął więc popychać i posuwać gąsiora,

aby go zbliżyć do wody. Nie poszło to łatwo, gdyż gąsior był wielki i ciężki, ale w końcu chłopcu udało się.

Gąsior wpadł zrazu głową do wody. Przez chwilę leżał spokojnie, potem wyciągnął głowę, otrząsnął wodę z oczu i popłynął dumnie między trzciny i sitowia.

Dzikie gęsi odpoczywały wszystkie na jeziorze. Zaledwie spuściły się na ziemię, rzuciły się do wody, nie oglądając się na gąsiora i na jego jeźdźcę. Wykapały się skwapliwie i wypłuskały, a teraz połykały na pół zgniłe wodorosty i trawy.

Biały gąsior dostrzegł małego okonia, schwytał go prędko, podpłynął do brzegu i położył rybkę przed chłopcem.

— To dla ciebie jako podziękowanie, żeś mnie przyciągnął do wody — powiedział.

Było to pierwsze życzliwe słowo, jakie chłopiec usłyszał tego dnia. Ucieszył się więc bardzo i byłby najchętniej uściskał gąsiora, ale nie śmiał. I z daru także ogromnie był rad. Zrazu pomyślał wprawdzie, że nie będzie mógł jeść surowej ryby, potem jednak wzięła go chętka skosztować jej przynajmniej.

Poszukał noża przy sobie i istotnie nóż wisiał przy pasku, chociaż tak zmniejszony, że nie był teraz większy od zapałki. Ale rybka dała się nim oskrobać i oczyścić i już po chwili okon znikł w zgłodniałym żołądku chłopca.

Nasyciwszy głód chłopiec zaczął sobie robić wymówki, że zjadł surową rybę.

„Nie jestem już widocznie człowiekiem, lecz prawdziwym krasnoludkiem” — pomyślał.

Podczas kiedy chłopiec zajadał rybę, gąsior stał przy nim spokojnie, ale gdy ten połknął ostatni kęs, powiedział cichym głosem:

— Dostaliśmy się między niezwykle zarozumiałą dzicz, która pogardza wszystkimi oswojonymi gęsiami,

— Właśnie i ja to samo spostrzegłem — odrzekł chłopiec.

— Byłoby to wprawdzie bardzo zaszczytne dla mnie, gdybym powędrował z nimi aż do Laponii i mógł im pokazać, że i oswojona gęś potrafi fruwać...

— O, taaak — odparł chłopiec przeciągle, gdyż nie dowierzał siłom gąsiora, ale nie chciał mu się sprzeciwiać.

— ...Zdaje mi się jednak, że nie dam sobie rady w takiej podróży — mówił dalej gąsior — i dlatego chciałem zapytać ciebie, czybyś nie wybrał się ze mną dla towarzystwa?

Chłopiec, rozumie się, myślał tylko o tym, żeby się jak najprędzej dostać z powrotem do domu. Toteż propozycja ta zaskoczyła go nad wyraz i nie wiedział, co ma odpowiedzieć,

— Zdawało mi się, że nie jesteśmy wcale w przyjaźni ze sobą — powiedział wreszcie.

Ale gąsior zupełnie o tym zapomniał, pamiętał tylko, że chłopiec dopiero co ocalił mu życie.

— Powinien bym właściwie wrócić do ojca i matki — dodał chłopiec.

— O, ja cię do nich na pewno we właściwym czasie odprowadzę! — zawołał gąsior. — Nie opuszczę cię, zanim cię nie postawię przed progiem domu.

Chłopiec pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby się rodzicom przez jakiś czas nie pokazywał na oczy. Nie był więc tak bardzo przeciwny tej propozycji i chciał się na nią właśnie zgodzić, kiedy wtem usłyszał głośny hałas za plecami. Dzikie gęsi wyskoczyły wszystkie na raz z jeziora i otrząsały teraz wodę z siebie. Potem uszykowały się w długi szereg z przewodniczką na czele.

Biały gąsior, ujrawszy całą gromadę z bliska, zaniepokoił się trochę. Spodziewał się, że dzikie gęsi bardziej podobne są do oswojonych, i czuł się im pokrewny. Tymczasem były one daleko mniejsze od niego, ani jedna nie miała białych piór, lecz wszystkie były szare, niektóre z brązowym odcieniem. A oczy ich wzbudzały strach — żółte i błyszczące, jak gdyby palił się w nich ogień. Gąsiora uczono dotychczas, że powolny i kołyszący się chód należy do przyzwoitych manier, a dzikie gęsi wcale nie umiały chodzić — raczej skakały. Najbardziej przestraszył go widok ich nóg, były bowiem duże, a podeszwy miały

poszarpane i zdeptane. Widocznie dzikie gęsi nigdy nie zwracały uwagi na to, gdzie stąpnąć, i nigdy nie zbaczały z drogi. Poza tym wygląd miały porządnym i przyzwoitym, tylko ich nogi zdradzały ciągłą włóczęgę.

Gąsior zdążył zaledwie szepnąć chłopcu: „Mów śmiało i odważnie, ale nie zdradź się z tym, że jesteś człowiekiem”, gdy już gęsi stanęły przed nimi. Stanęły i kiwnęły kilka razy głowami. Gąsior uczynił to samo. Kiedy powitanie skończyło się, przewodniczka przemówiła:

— Teraz dowiemy się może, coście wy za jedni?

— Niewiele mam do powiedzenia — zaczął gąsior. — Urodziłem się zeszłego roku w Skanör. W jesieni sprzedano mnie panu Holgerowi Nilsonowi w Vestvemmenhög i dotychczas u niego przebywałem.

— Widać stąd, że nie masz rodziny, którą mógłbyś się poszczycić — rzekła Akka, — Dlaczego więc byłeś tak zuchwały, żeby się wciskać pomiędzy dzikie gęsi?

— Może dlatego, żeby pokazać, że i my, oswojone gęsi, potrafimy się na coś przydać — odpowiedział gąsior.

— A, jeżeli tak — rzekła przewodniczka — to byłoby bardzo dobrze, gdybyś nam tego dowiódł. Widziałyśmy już wprawdzie, jak umiesz fruwać, ale zapewne masz zdolności w innym kierunku. Może celujesz w sztuce pływania?

— O, nie, tym się pochwalić nie *mogą* — odpowiedział gąsior. Zaczął podejrzewać, że Akka chce go wyprowadzić z powrotem do domu, i dlatego było mu już wszystko jedno, co odpowiadał. — Jeszcze nigdy nie pływałem dalej, jak przez rów przydrożny — mówił.

— No, to może jesteś mistrzem w skokach?

— Nie widziałem nigdy skaczącej gęsi — odparł gąsior.

Duży, biały gąsior był teraz zupełnie pewny, że Akka nie zabierze go pod żadnym warunkiem. Dlatego też ogromnie się zdziwił, gdy ta rzekła:

— Odpowiadasz bardzo odważnie na zadawane ci pytania, a ten, kto posiada odwagę, może być dobrym towarzyszem podróży, chociażby z początku był nie wyćwiczony. Czy nie miałbyś ochoty pozostać z nami przez kilka dni, żebyśmy mogły ocenić, do czego możesz się przydać?

— Będzie mi bardzo przyjemnie — odpowiedział gąsior z zadowoleniem.

Przewodniczka wyciągnęła dziób i zapytała:

— Ale kogóż to masz ze sobą? Nigdy jeszcze nic podobnego nie widziałam.

— To mój towarzysz — rzekł gąsior. — Był dotychczas gęsiarkiem i może nam się w podróży bardzo przydać.

— Tak, dla domowej gęsi może to i dobre towarzystwo — odrzekła Akka. — Jakże on się zowie?

— Ma różne imiona — powiedział gąsior z wahaniem. Nie wiedział, jak się ma z tej pułapki wydostać, nie chciał się bowiem zdradzić z tym, że chłopiec ma ludzkie imię. — Właściwie nazywa się Paluszek — przypomniał sobie nagle.

— Czy on pochodzi z rodu krasnoludków? — zapytała przewodniczka.

— O jakiej porze kładziecie się do snu? — przerwał gorączkowo gąsior, aby uniknąć odpowiedzi. — Mnie o tej porze kleją się już oczy.

Widoczne było, że gęś, która rozmawiała z gąsiorem, musiała już być bardzo stara. Pióra jej były stalowoszare, bez ciemnych prążków. Głowę miała większą niż inne gęsi, nogi grube i stopy bardziej łął zdeptane. Pióra były sztywne, grzbiet kościsty, szyja chuda. Wszystko to świadczyło o starości. Tylko oczy jej błyszczały jaśniej i wyglądały młodziej od oczu wszystkich innych gęsi.

Zwróciła się teraz uroczyście do gąsiora:

— Dowiedz się, gąsiorze, że imię moje jest Akka. Gęś, która leci z prawej strony, nazywa się Yksi, z lewej — Kaksi. Wiedź także, że druga na prawo — to Kołme, druga na lewo — to Nelie, te za nimi — Isi i Kusi. Wiedź również, że te sześć młodszych gęsi, które lecą na końcu, pochodzą także z najlepszych

rodzin. Nie możesz nas więc uważać za włóczęgi, które zadają się z każdym, kto się im nawinie. I nie myśl także, że mogłybyśmy spać pod jednym dachem z kimkolwiek, kto by nam nie mógł powiedzieć, z jakiego jest rodu.

Gdy Akka skończyła, chłopiec — zasmucony tym; że gąsior, który tak otwarcie mówił o sobie, dawał co do niego tak wymijające odpowiedzi — odezwał się nagle:

— Nie chcę zatajać, kim jestem. Nazywam się Nils Holgerson, Jestem synem gospodarza i byłem do dzisiejszego ranka człowiekiem, dziś rano dopiero...

Dalej jednak nie mógł mówić, gdyż nikt go nie słuchał. Zaledwie powiedział, że jest człowiekiem, Akka cofnęła się o trzy kroki, a inne gęsi jeszcze dalej w tył. I wszystkie wyciągnęły szyje i syczały gniewnie.

— Wydałeś mi się od razu podejrzany, gdy cię tylko ujrzałam na wybrzeżu, a teraz musisz się natychmiast oddalić. Nie zniesiemy człowieka w naszym gronie — oświadczyła Akka.

— Przecież to niemożliwe — próbował pośredniczyć gąsior — żebyście wy, dzikie gęsi, bały się tak małego stworzenia. Jutro wróci z pewnością do domu, ale przez noc musi tu pozostać. Nikt z nas nie chciałby chyba brać na siebie odpowiedzialności za porzucenie takiego malca samego w nocy na pastwę dzikiego zwierza.

Stara gęś podeszła nieco bliżej, ale widać było wyraźnie, z jakim trudem powściągała obawę.

— Uczono mnie lękać się wszystkiego, co się nazywa człowiekiem, wszystko jedno, czy będzie to coś dużego, czy małego — powiedziała. — Jeśli jednak ty, gąsiorze, ręczysz, że ten tutaj nie robi nam nic złego, to niech zostanie przez noc. Lękam się jednak, że nasz nocleg nie będzie przyjemny ani dla ciebie, ani dla niego, przepawiamy się bowiem na pływającą krę i tam ułożymy się do snu.

Myślała zapewne, że podobna wiadomość zniechęci gąsiora. Ale ten nie zdradził się niczym i powiedział:

— Jesteście bardzo mądre i potraficie obrać sobie bezpieczne miejsce na nocleg.

— Ręczysz mi więc za to, że on nas jutro opuści? — odezwała się dzika gęś.

— W takim razie i ja was będę musiał opuścić — powiedział gąsior — gdyż przyrzekłem mu, że się z nim nie rozstanę.

— Pozostawiamy ci zupełną swobodę — rzekła przewodniczka, rozpostarła skrzydła i pofrunęła na lód, a dzikie gęsi, jedna za drugą, frunęły za nią.

Chłopiec zmartwił się, że jego podróż do Laponii przepadła, przy tym lękał się zimnego noclegu.

— Coraz gorzej, gąsiorze — powiedział — zobaczysz, zamarzniemy na lodzie.

Ale gąsior był dobrej myśli.

— Damy sobie radę — pocieszał chłopca — zbierz no prędko tyle słomy i trawy, ile możesz unieść.

I gdy chłopiec miał pełne ręce zeschniętej trawy, gąsior chwycił go dziobem za kołnierz, podniósł i pofrunął z nim na drugą stronę jeziora, tam gdzie stały już dzikie gęsi na krze, pochowawszy dzioby pod skrzydła.

— Rozrzuć teraz trawę po lodzie, abym mógł na niej stanąć, to nie przymarznę. Pomóż ty mnie, a potem ja tobie pomogę — rzekł gąsior.

Chłopiec zrobił to, co mu gąsior kazał, i gdy wszystko było gotowe, gąsior schwycił go na nowo za kołnierz i wsadził sobie pod skrzydło.

— Tutaj będzie ci ciepło i miękko — powiedział i przycisnął malca skrzydłem, aby nie wypadł.

Chłopiec utonął w puchu i nie chciało mu się nic już mówić. Miłe ciepło i zmęczenie tak podziały, że po chwili już spał mocno.

Znana to rzecz, że lód bywa zdradziecki i nie zawsze można mu zaufać. Tak się też stało i tej nocy. Tafle lodu, pokrywające jezioro, przesunęły się aż do wybrzeża. Lis Mykita, który mieszkał wówczas w parku po wschodniej stronie jeziora, spostrzegł to. Śledził on dzikie gęsi już z wieczora, nie spodziewał się jednak chwycić ani jednej. Teraz pobiegł czym prędzej na lód; lecz gdy dzieliło go już tylko parę kroków od gęsi, pośliznął się i pazury jego zazgrzytały po lodzie. Zbudziło to dzikie gęsi, które natychmiast rozpostarły skrzydła, aby się wznieść w górę. Ale Mykita uprzedził je, skoczył jednym susem, pochwycił najbliższą z gęsi za skrzydło i w nogi!

Na szczęście dzikie gęsi nie były tej nocy same na lodzie — miały przy sobie człowieka, jakkolwiek małego. Kiedy gąsior zatrzepotał skrzydłami, chłopiec się obudził, spadł na lód i siedział przez chwilę oszołomiony snem; nie rozumiał też wzburzenia wśród gęsi, dopóki nie spostrzegł uciekającego małego, krótkonogiego psa z gęsią w pysku.

Wtedy zerwał się szybko, aby go dogonić i odebrać mu gęś. Słyszał jeszcze, jak gąsior wołał za nim: — Paluszk, miej się na baczości! Miej się na baczości!

„Przecież tak małego psa nie mam potrzeby się obawiać” — myślał chłopiec i pędził naprzód.

Dzika gęś, którą Mykita porwał, słyszała za sobą odgłos kroków chłopca na lodzie i ledwie dowierzała własnym uszom.

„Czyż ten malec wyobraża sobie, że może mnie odbić lisowi?” — pomyślała,

I choć położenie jej było bardzo smutne, tak ją ubawił ten pomysł, że zagęgała ze śmiechem:

— Przede wszystkim fiknie kozła w przeręblę.

Ale chociaż noc była bardzo ciemna, chłopiec widział wszystkie szpary i szczeliny w lodzie i przeskakiwał je wielkimi susami. Dawał sobie z tym radę doskonale, bo miał bystry wzrok krasnoludków, które widzą w ciemnościach.

Wszystko wokoło było ciemne i szare, ale chłopiec widział jezioro i wybrzeże tak wyraźnie jak za dnia. W tym miejscu gdzie lód dotykał ziemi, Mykita skoczył i właśnie, kiedy piał się w górę po zbocza wybrzeża, osłyszał za sobą głos chłopca:

— Puść gęś, ty łotrze!

Mykita nie wiedział, kto to woła, nie chciał jednak tracić czasu na oglądanie się i biegł szybko naprzód. Teraz wpadł w wielki, wspaniały las bukowy, a chłopiec biegł za nim, nie myśląc o grożącym niebezpieczeństwie. Pamiętał tylko wciąż o tej pogardzie, jaką mu poprzedniego wieczoru okazały dzikie gęsi, i dlatego pragnął gorąco dowieść im, że człowiek, chociażby najmniejszy, przewyższa wszystkie inne stworzenia.

Raz po raz rozkazywał lisowi puścić zdobycz.

— Coś ty za pies, żeby się nie wstydzić porywać całą gęś! — wołał. — Rzuć ją natychmiast, inaczej zobaczysz, co cię czeka! Puść, mówię, bo powiem twemu panu, jak się zachowujesz!

Gdy Mykita zrozumiał, że go biorą za psa lękającego się razów, wydało mu się to tak zabawne, że o mało co nie wypuścił gęsi. Mykita był wielkim rabusiem, który nie zadowalał się polowaniem na szczury i nietoperze, lecz ważył się zachodzić na podwórka i porywać kury i gęsi. I nagle taka pomyłka! W tak zabawnym położeniu nie znalazł się jeszcze nigdy.

A chłopiec tymczasem biegł, ile mu sił starczyło. Wydawało mu się, że grube pnie buków uciekają przed nim, a odległość między nim a Mykitą zmniejsza się coraz bardziej. Wreszcie był już lak blisko lisa, że mógł go dosięgnąć.

— Zaraz wyrwę ci gęś, poczekaj! — zawołał i chwycił Mykitę za ogon. Ale nie miał dość siły, aby zatrzymać lisa.

Mykita porwał go za sobą tak gwałtownie, że suche liście bukowe zatrzeszczały pod jego stopami.

Teraz dopiero lis przekonał się, jak niegroźnego ma przeciwnika. Zatrzymał się, położył głę na ziemi, stanął przednimi łapami na niej, aby nie mogła uciec, i zamyślał odgryźć jej szyję. Ale przedtem zachciało mu się jeszcze zakpić ze śmiesznego malca.

— Tak, tak — mówił — prędzej, zaskarż mnie przed panem, bo właśnie zabieram się do tego, aby pożreć gąskę.

Chłopiec zdziwił się bardzo ujrawszy spiczasty nos mniemanego psa, którego gonił, i usłyszawszy jego ochryply, złośliwy głos. Był jednak tak wściekły na rabusia, który się z niego naśmiewał, że wcale nie czuł strachu. Jeszcze mocniej uczeplił się jego ogona, oparł się o korzeń drzewa i właśnie kiedy lis zbliżył otwarty pysk do szyi gęsi, malec pociągnął go z całych sił, Mykita był tak zdumiony, że puścił dziką gęś. Ta uczyniła kilka niezręcznych ruchów, bo przeszkadzało jej zranione skrzydło, a przy tym nie widziała nic w ciemnościach lasu i czuła się bezsilna jak ślepiec.

Nie mogąc sobie poradzić, próbowała tylko posuwać się w kierunku jeziora.

Mykita zaś rzucił się tymczasem na chłopca.

— Jeden kąsek mi się wymknął, może mi się uda dostać drugi! — zawył, a po głosie znać było, że był bardzo rozgniewany.

— O, niech ci się nie zdaje, że to tak łatwo! — zawołał chłopiec.

Zachęcony uratowaniem gęsi, ciągle jeszcze trzymając się ogona lisiego, wywinął się zręcznie na drugą stronę. I oto rozpoczął się taniec w lesie, aż Uście bukowe zawirowały w powietrzu! Mykita obracał się w kółko, ciągle w kółko, ale ogon obracał się wraz z nim także w kółko, ciągle w kółko, a chłopiec trzymał się go tak mocno!

Był taki zadowolony z podstępu, że zrazu śmiał się tylko i kpił z lisa; ale pan Mykita był wytrwały, jak to wytrawni myśliwi bywają, i wreszcie chłopca ogarnął niepokój na myśl o groźącym mu bądź co bądź niebezpieczeństwie.

Wtem wzrok jego padł na młody buk, wysmukły jak słup. Drzewo wyrosło wysoko ponad inne młode buki, bo pilno mu było do promieni słonecznych, które nie przebijały gęstego, zielonego stropu gałęzi starych buków.

Chłopiec puścił pośpiesznie ogon lisa i wdrapał się na drzewo. Mykita tak zajęty był pogonią, że nie zauważył tego, i w dalszym ciągu kręcił się w kółko, goniąc własny ogon.

— Nie trudź się! — zawołał chłopiec z wierzchołka drzewa.

Lis był wściekły. Co za wstyd dać się wywieść w pole takiemu smykowi! Nie dał za wygraną i położył się pod drzewem, pilnując chłopca.

Malcowi nie było zbyt wygodnie, siedział bowiem na cienkiej gałęzi, a ponieważ młody buk nie dorósł jeszcze do liściastego dachu innych buków, chłopiec nie mógł się przenieść na inne drzewa. A nie miał przecież zamiaru spuścić się na ziemię. Marzył bardzo i o mało co nie wypuścił gałęzi ze sztywnych palców. Chciało mu się także bardzo spać, ale opierał się senności ze strachu, że mógłby spać we śnie na ziemię.

O, jakież to było okropne tak siedzieć samemu wśród nocy, w głębi lasu! Nie miał dotychczas pojęcia o tym, co to jest noc. Zdawało mu się, że wszystko skamieniało i nigdy już do życia nie powróci.

Nareszcie zaczęło dzień. Chłopiec ucieszył się, że wszystko odzyskuje zwykły wygląd, jakkolwiek chłód stawał się nad ranem jeszcze dokuczliwszy niż w nocy.

Wreszcie gdy słońce wzeszło, zaświeciło nie żółtym, lecz czerwonym blaskiem. Chłopcu wydało się, że wygląda ono na zagniewane, i zadawał sobie pytanie, za cóż by się słońce miało gniewać? Może za to, że noc w czasie nieobecności słońca takim chłodem ziemię objęła?

Promienie słoneczne rzuciły snopy światła na ziemię i ukazały wszystkie zmiany, jakie noc

sprawadziła.

I wszystko wokoło spłonęło rumieńcem, jak gdyby miało nieczyste sumienie. Zaróżowiły się obłoki na niebie, gładkie pnie buków, małe poplątane gałązki zarośli, szron pokrywający liście bukowe na ziemi.

I coraz więcej promieni słonecznych rozświetlało niebo, a mrok i groza nocy znikwały bez śladu. Nie było już odrętwienia i uśpienia, życie i ruch wróciły. Dzieciół rozpoczął swą codzienną pracę, kując zawzięcie w korę. Wiewiórka skoczyła na wierzchołek drzewa, ogryzając orzech ostrymi zębami. Szpak frunął do gniazda, niosąc zdobyty korzonek. Czyżyk śpiewał w gąszczu drzew.

Wtedy chłopiec zrozumiał, że słońce mówiło do wszystkich tych małych istot:

„Zbudźcie się i wyjdźcie z waszych kryjówek — oto jestem! Nie bójcie się niczego”.

Od jeziora dochodziły nawoływania dzikich gęsi szykujących się do dalszej podróży. Wkrótce chłopiec ujrzał wszystkie czternaście gęsi przelatujące nad lasem. Próbował wołać, ale były już tak wysoko, że głos jego nie mógł do nich dolecieć. Myślały pewnie, że go już lis dawno pożarł. Ach, nie zadały sobie nawet trudu, żeby się za nim obejrzeć!

Chłopcu zbierało się na płacz — ale słońce stało złociste i uśmiechnięte na niebie i dodawało otuchy. Zdawało się mówić:

„Nie obawiaj się, niczego się nie lękaj, mały Nilsie, póki ja jestem”.

ZABAWA DZIKICH GĘSI

Poniedziałek, 21 marca

Zbliżało się już południe, gdy naraz w gąszcz leśny zabłąkała się jedna z dzikich gęsi. Szukała niepewnie drogi między pniami i gałęziami i latała bardzo powoli. Zaledwie ją lis zobaczył, opuścił swoją placówkę pod młodym bukiem i zaczął się skradać w jej stronę. Dzika gęś nie uciekała przed nim, lecz, przeciwnie, zbliżała się raczej. Mykita podskoczył, ale nadaremnie — gęś odleciała w stronę jeziora.

Po chwili przyleciała druga. Obrała tę samą drogę i leciała jeszcze wolniej i jeszcze bliżej ziemi. I ona otarła się prawie o Mykitę i zachęciła go do tak wysokiego skoku, żeomal jej nie dotknął. Ale i ona w ostatniej chwili uszła nietknięta i odleciała ku jezioru.

Przeszła krótka chwila i ukazała się jeszcze jedna gaska, która leciała jeszcze wolniej i jeszcze bliżej ziemi. Mykita podskoczył z pośpiechem i o mały włos jej nie schwycił. Ale i ta gęś wymknęła mu się z ręcznie.

Zaledwie znikła, gdy zjawiała się czwarta. Jakkolwiek leciała tak wolno, że Mykicie zdawało się, iż mógłby ją łatwo pochwycić, jednak obawiał się nowego zawodu i postanowił pozostawić ją w spokoju. Ale kiedy gęś skierowała się z powrotem w stronę jeziora i przelatując nad Mykitą opuściła się niziutko, dał się skusić.

Podskoczył tak wysoko, że dotykał jej już łapą, ale gęś cofnęła się i uratowała swe życie.

Zanim Mykita odsapnął, ukazały się trzy gęsi w jednym szeregu. Leciały zupełnie tak samo jak poprzednie i Mykita wysilał się na najwyższe skoki, ale nie udało mu się pochwycić ani jednej.

Teraz zjawilo się pięć gęsi, ale te leciały prędezej, i Mykita oparł się tym razem pokusie i nie próbował nowych skoków,

Po dość dużej pauzie ukazała się znowu gęś trzynasta. Była już taka stara, że pióra miała zupełnie szare, bez ciemniejszych prążków. Zdawało się, że porusza tylko jednym skrzydłem, i lot jej był tak nierówny i powolny, że prawie dotykała ziemi. Mykita biegł za nią w podskokach, aż do samego jeziora.

Ale i tym razem trudził się na próżno.

Czternasta gęś wyglądała pięknie; była zupełnie biała, a gdy poruszała wielkimi skrzydłami, zdawała się roztaczać jasne światło w ciemnym lesie. Ujrawszy ją Mykita natężył wszystkie swe siły i podskoczył aż pod liściasty strop, ale biała gęś odleciała cała jak i wszystkie inne.

Pod bukami zapanowała cisza, cały sznur dzikich gęsi odleciał.

Nagle Mykicie przypomniał się uwięziony malec. Od chwili kiedy spostrzegł pierwszą gęś, zapomniał o nim zupełnie. Teraz poszukał go oczami, ale malec znikł bez śladu. Mykita nie zdążył jeszcze ochłonąć z wrażenia, gdy już pojawiła się na nowo pierwsza gęś i leciała wolniutko nad ziemią. Mykita zapomniał o poprzednim niepowodzeniu i, uradowany powrotem gęsi, rzucił się w pogoń. Ale pośpieszył się zanadto — nie obliczył swego skoku i minął ją.

Po pierwszej gęsi nadleciała druga, potem trzecia, a potem czwarta, piąta... Szereg kończył się starą Akką i białym gąsiorem. Cały sznur jak poprzednio przesunął się znowu przed oczyma lisa. Wszystkie leciały wolniutko i nisko nad ziemią, a zbliżając się do Mykity spuszczały się jeszcze niżej, kusząc go do skoku, I Mykita rzucał się na nie, skakał coraz wyżej, a jednak żadnej nie mógł schwycić.

Był to najstraszniejszy dzień w życiu Mykity. Dzikie gęsi fruwały bezustannie nad jego głową — tam i z powrotem. Duże, wspaniałe gęsi, wypasione na południowych łąkach i pastwiskach, przelatywały przez cały dzień tak blisko, że się o nie ciągle ocierał, a mimo to ani jedna nie stała się jego zdobyczą.

Zima dopiero co minęła i Mykita pamiętał dobrze dni i noce, które przewędrował o głodzie i chłodzie, gdyż ani jednej sztuki zwierzyny nie było widać — ptaki odleciały, szczury schowały się pod zamarznąłą ziemią, a kury zamknęto w kurnikach. Ale głód całej zimy łatwiej dał się znieść niż niepowodzenie takiego jednego dnia.

Mykita nie był już młody. Ileż razy szczuto go psami, a kule świstały mu nad głową! Leżał nieraz w swojej kryjówce, a wyżyły były tuż-tuż na tropie. A jednak lęk, który wówczas odczuwał, nie dał się porównać z tym uczuciem, jakie go ogarniało po każdym chybionym skoku w pogoni za dziką gęsią.

Rano, gdy zabawa się zaczęła, Mykita wyglądał tak okazale, że gęsi stropiły się na jego widok. Mykita lubił paradę: sierść miał połyskującą czerwono, piersi białe, łapy czarne, ogon puszysty. Najpiękniejsza zaś była w nim sprężystość ruchów i blask oczu. Lecz gdy owego dnia nastał wieczór, sierść Mykity była skudłana i oblana potem, oczy mętne, z pyska toczyła się piana.

Już od południa Mykita był tak znużony, że mąciło mu się w głowie, Widział przed sobą ciągle unoszące się w powietrzu gęsi. Gonił plamy słoneczne po ziemi i biedne motyle, które za wcześniej wyszły z poczwarek.

Dzikie gęsi latały niezmordowanie tam i z powrotem, przez cały dzień nie przestawały męczyć Mykity, nie miały litości nad jego znużeniem, podnieceniem, rozdrażnieniem.

Nieubłagane, nie przestawały fruwać, jakkolwiek wiedziały, że lis ich już nie widzi i goni tylko ich cienie.

Dopiero kiedy Mykita padł na stos zeschniętych liści, wyczerpany i bezsilny, tak że zdawał się konać, dzikie gęsi przestały znęcać się nad nim.

— Teraz będziesz wiedział, lisie, co spotyka tego, kto się waży zaczepić Akkę z Kebnekajse! — wołały mu nad głową. Aż wreszcie dały mu spokój.

ŻYCIE DZIKICH PTAKÓW



W CHŁOPSKIEJ ZAGRODZIE

Czwartek, 25 marca

W owych dniach zaszło w Skanii zdarzenie, o którym nie tylko dużo mówiono, ale nawet i pisano w gazetach; ponieważ jednak nikt nie potrafił sobie wytłumaczyć tego wypadku, całe zdarzenie uznano za wymysł.

W Öved w parku obok klasztoru pewien chłopiec schwytał wiewiórkę i przyniósł ją do chałupy. Wszyscy mieszkańcy zagrody, starzy i młodzi, radowali się małym, ładnym zwierzątkiem i podziwiali jego puszysty ogon, mądre, ciekawe oczki i małe, zwinne nóżki. Obiecywali sobie, że przez całe lato cieszyć się będą zwinnymi ruchami wiewiórki, jej zabawnym sposobem obłupywania orzeszków i wesołymi igraszkami. Pośpiesznie uporządkowali starą klatkę, którą stanowił mały, na zielono pomalowany domek z kółkiem z drutu. Domek, który posiadał drzwi i okno, miał służyć wiewiórcze za jadalnię i sypialnię; przygotowano więc w nim posłanie z liści, postawiono miseczkę z mlekiem i położono kilka orzechów laskowych. Kółko miało służyć do zabawy — wiewiórka mogła na nim huśtać się, kręcić i skakać.

Ludzie byli pewni, że dogodzili wiewiórcze we wszystkim, i dziwili się bardzo, że jej to nie zadowala. Zasmucona i posępna, siedziała w kącie swego domku, wydając tylko od czasu do czasu żalosną skargę. Nie dotykała pożywienia i nie huśtała się ani razu na kółku. „Boi się — mówili ludzie w zagrodzie. — Jutro, gdy się przyzwyczai do swego otoczenia, będzie już jadła i bawiła się wesoło”.

W chałupie odbywały się w tym czasie wielkie przygotowania do jakiejś uroczystości i tego dnia, w którym schwytano wiewiórkę, pieczono właśnie ciasto. Na nieszczęście, czy to ciasto nie chciało rosnąć, czy też ludzie bałamucili przy robocie — dość że musieli jeszcze długo po zachodzie słońca pracować w kuchni. Wszyscy zajęci byli tak bardzo, że nikomu nie przyszło do głowy zajrzeć do wiewiórki. Tylko stara babka, której wiek nie pozwalał pomagać przy pieczeniu ciasta, nie krzątała się w kuchni. Bolało ją to, że nie może brać udziału we wspólnej pracy; nie położyła się więc spać, tylko usiadła przy oknie świetlicy, patrząc na podwórze. Drzwi kuchenne otwarte były z powodu gorąca na oścież i na podwórze

padał przez nie jasny promień. Otoczone zabudowaniami było teraz tak wyraźnie oświetlone, że kobieta mogła widzieć każdą dziurę i szparę w otynkowaniu przeciwległej ściany. Widziała także klatkę wiewiórki wiszącą właśnie tam, gdzie najjaśniej padał blask. I nagle zobaczyła, że wiewiórka biega nieustannie: na kółko i z powrotem. Kobieta osądziła, że na to osobliwe poruszenie zwierzątka wpływa widocznie światło.

Między stajnią a oborą znajdowała się szeroka brama wjazdowa, która teraz także była jasno oświetlona. Po pewnym czasie babka zobaczyła, że przez bramę wsuwa się cicho i ostrożnie mała postać: wysoka zaledwie na pięć, w drewnianych sandałach na nogach i skórzanych spodniach jak miejscowi wieśniacy. Staruszka domyśliła się natychmiast, że jest to krasnoludek, i nie obawiała się go ani trochę, gdyż opowiadano zawsze, że krasnoludki kryją się gdzieś w zagrodzie, chociaż ich nikt nigdy nie widział, i że krasnoludki przynoszą szczęście, tam gdzie się ukazują.

Dostawszy się na wybrukowane podwórkę, mały pobiegł czym prędzej do klatki, a ponieważ nie mógł jej dotrzeć, gdyż wisiała za wysoko, wpadł do szopy, wyciągnął drąg, oparł go o klatkę i wdrapał się po nim jak majtek po linie. Potem zaczął wstrząsać drzwiczkami małego, zielonego domku, żeby go otworzyć.

Ale stara matka była spokojna, gdyż wiedziała, że dzieci zamknęły domek na kłódkę z obawy, aby chłopcy z sąsiedztwa nie ukradli wiewiórki. Kobieta widziała, że wiewiórka, gdy krasnoludek nie mógł otworzyć drzwi, usadowiła się znowu na kółku. Oboje z krasnoludkiem naradzali się długo. Po czym, gdy krasnoludek dowiedział się już wszystkiego, co mu było potrzebne, zsunął się z drąga i wybiegł spieszenie przez bramę na drogę.

Kobieta nie spodziewała się już zobaczyć go więcej tej nocy, pozostała jednak przy oknie. Ze zdziwieniem ujrzała, że mały powraca. Tak się śpieszył, że zaledwie dotykał stopami ziemi, biegnąc prosto do klatki. Dalekowidzącym swym wzrokiem kobieta spostrzegła także, że trzymał coś w rękach, nie mogła wszakże rozpoznać, co by to mogło być. Po chwili położył na ziemi na kamieniach to, co trzymał w lewej ręce, to zaś, co trzymał w prawej, wziął z sobą.

Drewnianym swym sandałem uderzył tak mocno w okno, że się szyba rozprysła, i przez otwór podał coś wiewiórcę. Potem zsunął się z drabinki, wziął drugi przedmiot z ziemi i znów wdrapał się na górę.

Następnie szybko jak błyskawica spuścił się w dół i uciekł tak prędko, że staruszka wkrótce straciła go z oczu.

Teraz już kobieta nie mogła wytrzymać w pokoju. Cichutko wstała z krzesła, poszła na dwór i stanęła w cieniu studni, oczekując powrotu krasnoludka. A z nią oczekiwał z ciekawością tego powrotu i kot domowy, który zakradł się cicho i stał przy murze, tylko o kilka kroków oddalony od jasnej smugi światła padającej z kuchni.

Oboje musieli długo stać i marznąć w chłodzie nocnym, i kobieta zaczęła się już zastanawiać, czy nie lepiej byłoby wrócić do izby, kiedy nagle usłyszała stukot drewnianych pantofli poza sobą i zobaczyła krasnoludka, który istotnie jeszcze raz powrócił, I teraz trzymał coś w ręku, coś, co poruszało się i piszczało.

Kobieta wreszcie zrozumiała, że krasnoludek biegał do lasu leszczynowego i przynosił stamtąd wiewiórcę jej młode, aby nie pozdychały z głodu bez matki.

Babka zachowywała się zupełnie cicho, aby nie spłoszyć krasnoludka, który jej dotąd nie spostrzegł. Położył właśnie małą wiewióreczkę na ziemi i miał wdrapać się na drabinę, gdy wtem ujrzał przed sobą iskrzące się, zielone oczy kota. Stanął bezradnie, trzymając w każdej ręce młodą wiewióreczkę. Odwrócił się i rozejrzał po podwórku, I wtedy spostrzegł staruszkę. Nie namyślając się długo, podbiegł do niej i podał jej jedno ze zwierzątek do potrzymania.

Babka, nie chcąc zawieść zaufania krasnoludka, wzięła od niego wiewiórkę i trzymała ją dotąd,

dopóki krasnoludek nie wpuścił swojej wiewiórki do klatki i nie wrócił po tę, którą zostawił.

Następnego ranka kiedy ludzie zebrali się w izbie przy śniadaniu, staruszka opowiedziała o tym cudownym zdarzeniu. Wyśmiano ją jednak i powiedziano, że przyśniło jej się widocznie. O tej porze nie ma jeszcze zresztą młodych wiewiórek.

Babka upierała się jednak przy swoim i żądała, aby zajrzano do klatki. Uczyniono to — i patrzcie: w małym domku na posłaniu z liści leżały cztery półnagie, półślepe, dwa dni życia najwyżej liczące, młode wiewiórki.

Kiedy je gospodarz zobaczył, rzekł:

— Niech się tam dzieje, co chce, ale ja wiem teraz jedno: takeśmy się tutaj wszyscy spisali, że wstyd nam będzie spojrzeć w oczy ludziom i zwierzętom.

I wyjął z klatki wiewiórkę wraz z jej czwórką młodych i włożył je wszystkie matce do fartucha.

— Idź z tym do leszczyny i wróć im wolność — powiedział,

W PARKU

Dzień, w którym dzikie gęsi przekomarzały się z lisem, chłopiec spędził w opustoszałym gnieździe wiewiórczym, pogrążony w głębokim śnie. Gdy się wieczorem obudził, ogarnął go wielki smutek.

„Teraz mnie z pewnością odeślą z powrotem do domu — pomyślał — a wtedy nie będzie już dla mnie wyjścia. Będę się musiał pokazać ojcu i matce takim, jakim jestem” .

Ale kiedy nazajutrz wrócił do dzikich gęsi, które pływały po jeziorze Vomb i zażywały kąpieli, o powrocie jego nie było mowy,

„Myślą pewnie, że biały gąsior jest zbyt zmęczony, aby udać się wieczorem w drogę” — tłumaczył to sobie.

Następnego ranka zbudziły się dzikie gęsi wcześniej przed wschodem słońca i chłopiec był święcie przekonany, że teraz jego powrotna podróż z gąsiorem nastąpi nieodwołalnie. Tymczasem gęsi zaprosiły i gąsiora, i malca na poranną wyprawę.

Chłopiec dziwił się tej zwłoce i w końcu wyrozumował sobie, że gęsi nie chcą wyprawiać gąsiora w tak daleką drogę, zanim się porządnie, do syta nie naje. W każdym razie cieszył się każdą godziną, która odwlekała jego zobaczenie się z rodzicami.

Dzikie gęsi poleciały nad dwór położony na wschód od jeziora, obok klasztoru w Öved. Była to wspaniała posiadłość z pięknie wybrukowanym dziedzińcem, otoczonym niskimi murami i altanami. W staroświeckim, wytwornym ogrodzie były strzyżone szpalery, cieniste aleje, stawy, wodorosty, rozłożyste drzewa i murawy, na których klomby mieniły się cudnymi barwami wiosennych kwiatów.

Kiedy dzikie gęsi wczesnym rankiem przelatywały nad tą posiadłością, nie widać tam było jeszcze nikogo. Upewniwszy się o tym dokładnie, spuściły się nisko, aż ku psiej budzie, i zawołały:

— Co to za chatka?! Co to za chatka?!

Natychmiast wypadł ze swej budy rozzłoszczony pies i zaszczekał zajadle:

— To nazywacie chatką, włóczęgi jedne? Czy nie widzicie, że jest to wielki, murowany zamek? Nie widzicie, jakie ma piękne muły, ile okien, jakie potężne bramy i wspaniałe tarasy? Wau, wau, wau!

To nazywacie chatką? Czy nie widzicie dziedzińca, ogrodu, cieplarni, marmurowych posągów? Nazywacie to chatką? Wau! Czy chaty mają takie parki wokoło, takie lasy bukowe i gaje leszczynowe? Takie łąki i dąbrowy, takie zarośla iglaste i zwierzyńce pełne sam i jeleni? Wau, wau, wau!

To nazywacie chatką? Widziałyście kiedy chatkę z takimi zabudowaniami wokoło? Znacie dużo takich chatek, które posiadają własny kościół i własne probostwo, co rządzą chłopskimi gospodarstwami,

dzierżawami i urzędami? Wau, wau, wau!

To nazywacie chatką! Do tej chatki należą największe dobra w całej Skanii — słyszycie? Każdy kawałek ziemi, który dostrzegacie tam z wysokości, należy do tej chatki — słyszycie? Wau, wau, wau!

Pies wyrzucał to wszystko jednym tchem. Gęsi unosiły się nad dziedzińcem tam i z powrotem i słuchały go uważnie. Dopiero kiedy umilkł, aby nabrać tchu, zawołały:

— Czego się tak złościysz?! Nie pytałyśmy o dwór, ale o twoją psią budę!

Chłopiec słuchając tych przekomarzań śmiał się zrazu, ale potem zamyślił się poważnie.

— Ach, ileż takich żartów nasłuchałbyś się, gdybyś mógł z dzikimi gęśmi lecieć przez całą Szwecję, do Laponii! — westchnął po cichu. — Skoro już tak zmarnowałeś sobie życie, to taka podróż byłaby jeszcze najlepszym ze wszystkiego, co by cię mogło spotkać.

Dzikie gęsi poleciały na wielkie pole ciągnące się za dworem i pały się tam przez kilka godzin, skubiąc oziminę. Chłopiec tymczasem poszedł do wielkiego parku przylegającego do pola i pilnie wypatrywał, czy na gałęziach krzaków leszczynowych nie znajdzie się jakiś orzech pozostały od jesieni. Ale gdy tak błądził po parku, myśl o powrocie do domu nie dawała mu spokoju. Przedstawiał sobie w coraz piękniejszych barwach, jakby to było, gdyby mógł zostać z dzikimi gęśmi. Musiałby wprowadzić nieraz marznąć i głodować, ale za to ominęłaby go wszelka praca i nauka.

Gdy tak oddawał się tym rozmyśleniom, naraz usiadła przy nim stara, szara gęś i zapytała, czy nie znalazł czegoś do jedzenia.

— Nie, nic nie znalazłem — odpowiedział chłopiec.

Wówczas Akka zaofiarowała mu swoją pomoc. Ale i ona nie znalazła orzechów, natomiast zauważyła kilka jagód głogu, które zwieszały się z krzaka dzikiej róży. Chłopiec zjadł je ze smakiem, pytając się jednak w duchu, co powiedziałaaby jego matka, gdyby widziała, że jej syn żywi się surowymi rybami i zmarzniętym głogiem.

Gdy się dzikie gęsi nasyciły, przeniosły się znowu na wybrzeże i tam bawiły się aż do południa. Zachęcały białego gąsiora do współzawodniczenia z nimi w skakaniu, lataniu i pływaniu. Gąsior wysiłał się, jak mógł, ale zwinne dzikie gęsi wyprzedzały go we wszystkim.

Przez cały ten czas chłopiec siedział na grzbiecie gąsiora, zachęcał go i bawił się tym tak jak wszyscy. Było przy tym tyle śmiechu i krzyku, i gęgania — aż dziw, że mieszkańcy dworu nie zwrócili na to uwagi.

Dzikie gęsi, nabawiwszy się do syta, poleciały na wodę i odpoczywały przez kilka godzin. Czas poobiedni spędziły w ten sam sposób, co rano. Najpierw pały się, potem kąpały i bawiły na wybrzeżu aż do zachodu słońca. Wreszcie ułożyły się na lodzie i natychmiast zasnęły.

„Tak, z takiego życia byłbym zadowolony — myślał sobie chłopiec układając się wieczorem pod skrzydłem gąsiora — ale jutro z pewnością wyprawia mnie z powrotem”.

Zanim zasnął, rozpamiętywał jeszcze raz wszystkie korzyści, jakie dałaby mu podróż z dzikimi gęśmi. Nikt by go nie łajał za lenistwo, mógłby przez cały długi dzień nic nie robić i jedyną troską byłoby znalezienie czegoś do jedzenia. Miał jednak teraz tak małe potrzeby, że z pewnością dałby sobie radę. A potem zaczął rozmyślać, ile by zobaczył ciekawych rzeczy i ile przygód by przeżył.

O, to byłoby zupełnie co innego niż praca i kłopoty domowe!

„Ach, gdybym mógł towarzyszyć dzikim gęsiom w ich podróży do Laponii, nie martwiłbym się już wcale moją przemianą!”

Bał się teraz tylko jednego — żeby go nie odesłano z powrotem do domu. Ale i następnego dnia żaden z ptaków nie wspominał nic o tym. Dzień upłynął jak poprzedni i swobodne życie wśród dzikich gęsi podobało się chłopcu coraz bardziej.

Zdawało mu się, że ten cały samotny park, tak wielki jak las, ma dla siebie, i nie odczuwał żadnej tęsknoty za ciasną izbą i ubogą zagrodą rodzinną.

W środę wierzył, że dzikie gęsi pozwolą mu zostać z sobą, ale w czwartek nie miał już tej nadziei.

Czwartek zaczął się tak samo jak poprzedni dzień. Dzikie gęsi pasły się w polu, a chłopiec chodził po parku, szukając pożywienia. Po pewnym czasie Akka podeszła do niego pytając znowu, czy znalazł coś do jedzenia. Nie, nie znalazł! Wówczas Akka wydostała suchą gałąź kminku, na której wisiały nie uszkodzone małe ziarnka. Gdy się chłopiec pożywił, stara gęś oświadczyła mu, że według niej krąży on po parku nieostrożnie. Czy nie wie, ilu wrogów takie małe stworzenie jak on musi się wystrzegać? Nie, tego nie wiedział. Wówczas Akka zaczęła mu wyliczać wszystkich wrogów. Idąc do lasu musi unikać lisa i kuny, na wybrzeżu musi się strzec wydry, gdy siedzi na kamieniu, musi się mieć na baczności przed łasicą, która potrafi się prześliznąć przez najmniejszą szczelinę.

Dowiedziawszy się o tylu wrogach, czyhających na jego życie, chłopiec zwątpił, aby mógł ująć cało. Nie czuł wprawdzie lęku przed śmiercią, ale nie miał ochoty dać się pożreć. Zapytał więc Akki, co ma zrobić, żeby ująć przed tymi drapieżnikami, Akka powiedziała, że musi się starać żyć w zgodzie z drobną zwierzyną w lesie i w polu: z wiewiórką i z zajęcem, z ziębami i z sikorami, ze szpakami i ze skowronkami. Jeśli zdobędzie ich przyjaźń, będą go przestrzegały przed niebezpieczeństwem, będą mu wskazywały kryjówki, a w ostatecznej biedzie będą go wspólnie broniły.

Gdy jednak następnego dnia chłopiec chciał skorzystać z tej rady i zwrócił się do Sirle, wiewiórki, prosząc ją o życzliwą pomoc, okazało się, że wiewiórka nie chce mu pomóc.

— Od drobnej zwierzyny nie spodziewaj się pomocy — rzekła. — Czy ci się zdaje, że my nie wiemy, iż to ty jesteś Nils, gęsiarek, który w zeszłym roku wybierał gniazda jaskółkom, tłukł jaja szpakom, młode wrony wrzucał do glinianek, drozdy chwycił w sidła, a wiewiórki zamykał w klatkach? Powinieneś być zadowolony, że zostawiamy cię w spokoju i nie wyprawiamy do swoich.

Takiej odpowiedzi dawniej chłopiec nie przepuściłby bezkarnie. Teraz jednak zląkł się tylko, że dzikie gęsi mogą się dowiedzieć, jaki był niedobry. Odtąd żył w nieustannej obawie, że dzikie gęsi odpędzą go od siebie. I dlatego nie pozwalał sobie na najmniejszy wybryk.

Będąc tak małym, nie mógłby wyrządzić wiele złego, ale miał dość sposobności do wybierania gniazd ptakom i niszczenia im jaj. Starał się jednak sprawować jak najlepiej, nie wrywał żadnej gęsi piór ze skrzydeł, nie odpowiadał opryskliwie i mówiąc Akce dzień dobry zdejmował czapkę i kłaniał się grzecznie.

Przez cały czwartek myślał, że dzikie gęsi nie zabiorą go do Laponii, bo dowiedziały się, jaki był niedobry i niegrzeczny. Toteż kiedy wieczorem usłyszał, że wiewiórka Sirle została porwana, a jej nowonarodzone małe umrą z głodu, postanowił im pomóc.

Kiedy w piątek chłopiec znowu przyszedł do parku, usłyszał że zięby w krzakach śpiewają o tym, jak to wiewiórka została porwana przez niecných rabusiów od swych nowonarodzonych młodych i jak to Paluszek odważył się pójść między ludzi i zanieść matce jej dzieci.

— Kto teraz w parku jest tak wielbiony jak Paluszek, którego się wszyscy bali, dopóki był gęsiarkiem Nilsem? Wiewiórka oddaje mu orzechy, zajęce wyprawiają przed nim ucieszne harce, sami noszą go na grzbiecie i uciekają z nim, gdy tylko lis Mykita ukaże się w pobliżu, sikory ostrzegają go przed krogulcem, a zięby i skowronki śpiewają o jego czynach bohaterskich.

Chłopiec spodziewał się, że Akka i inne dzikie gęsi wszystko to słyszały. Mimo to upłynął piątek, a o pozostaniu Paluszka wśród dzikich gęsi nadal nic się nie mówiło.

Aż do soboty popasały dzikie gęsi spokojnie na polach, nie obawiając się lisa Mykity. Ale kiedy w sobotę rano opuściły się na pola, zastały go już tam czatującego na nie i musiały bezustannie zmieniać miejsce, żeby ująć przed jego pogonią. Gdy Akka przekonała się, że lis nie zostawi ich w spokoju, powzięła nagle postanowienie. Uniosła się wysoko w powietrze i odleciała ze swym stadem o kilka mil dalej nad równiną Färs i grzbietami górskimi. Tam gęsi osiadły w okolicy Vittskövle.

Nastała znów niedziela. Przeszedł już oto cały tydzień, odkąd chłopiec został zaczarowany, a on wciąż jeszcze był tak samo mały jak pierwszego dnia. Trudno jednak powiedzieć, żeby się tym tak bardzo martwił. A w niedzielne południe siedział na wielkim, gęstym krzaku wierzbiny i grał na fujarce wierzbowej. Wokoło usadowiło się tyle zięb, szpaków i wilg, ile tylko pomieścić się mogło w krzakach. Świergotały swoje melodie, chłopiec zaś usiłował wygrywać je na fujarce. Ale nie znał się dość dobrze na tej sztuce grał tak fałszywie, że małym mistrzom powstawały ze zgrozy piórka na grzbietach. Krzyczały i biły skrzydłami z przerażenia, a chłopiec śmiał się z nich tak serdecznie, że mu fujarka z rąk wypadała.

Rozpoczął na nowo, ale grał coraz gorzej i cały chór ptasi rozpacział:

— Paluszk, grasz jeszcze gorzej! Ani jednego czystego tonu nie wydobywasz! Ty wcale nie myślisz o tym, co robisz!

— Myślę o czym innym — odpowiadał chłopak. Istotnie myślał wciąż tylko o tym, jak długo jeszcze wolno mu będzie zostać z dzikimi gęśmi i czy dzisiaj odeślą go do domu.

Ale nagle odrzucił fujarkę i zerwał się z krzaka, gdyż ujrzał Akkę zbliżającą się do niego z całym stadem w długim szeregu. Gęsi kroczyły niezwykle uroczyście i powoli. Chłopiec pojął natychmiast, że teraz dowie się, co z nim zamierzają uczynić.

Gdy gęsi stanęły, Akka rzekła;

— Nie rozumiesz zapewne, Paluszk, dlaczego ci dotychczas nie podziękowałam za to, że mnie wyratowałeś z pazurów Mykity? Ale należę do tych, którzy dziękują raczej czynami niż słowami. I myślę, Paluszk, że udało mi się wyświadczyć ci wielką przysługę, a mianowicie do krasnoludka, który cię zaczarował, wysłałam od nas poselstwo. Zrazu nie chciał słyszeć o tym, żeby ci przywrócić dawną ludzką postać. Ale wysyłałam jedno poselstwo za drugim, donosząc mu o tym, jak dobrze się tu u nas sprawujesz. Teraz krasnoludek każe cię pozdrowić i powiedzieć ci, że kiedy wrócisz do domu, staniesz się znowu człowiekiem.

Ale o dziwo! Chłopiec, który z takim zadowoleniem słuchał pierwszych słów Akki, teraz, gdy skończyła, wydawał się zasmucony. Nie powiedział ani słowa, odwrócił się i rozpłakał.

— Co to ma znaczyć? — zapytała Akka. — Czy oczekiwałeś ode mnie więcej niż to, co zrobiłam dla ciebie?

Ale chłopiec myślał o dniach beztroski i wesołych igraszkach, o przygodach i swobodzie, o podróżowaniu wysoko nad ziemią — wszystko to teraz skończy się dla niego. I płakał głośno ze zmartwienia.

— Nie zależy mi wcale na tym, żeby stać się znowu człowiekiem — łkał. — Chcę lecieć z wami do Laponii!

— Powiem ci coś — rzekła Akka. — Krasnoludka łatwo rozgniewać i obawiam się, że jeśli teraz pogardzisz jego dobrą wolą, trudno będzie jeszcze raz usposobić go dla ciebie tak przychylnie.

Nils Holgerson właściwie nigdy dotąd do nikogo nie był przywiązany — ani do rodziców, ani do nauczycieli, ani do kolegów, ani do towarzyszy zabaw z sąsiedztwa. Wszystko, do czego go nakłaniano, czy to była zabawa, czy praca, wydawało mu się jednakowo nudne. Dlatego nie było ani jednego człowieka, do którego by tęsknił albo którego byłoby mu teraz brak. Jedynymi istotami, z którymi lubił przestawać, byli gęsiarka Aza i jej braciszek, mały Mats, dzieci, które tak jak on pały gęsi. Ale i z nimi nie łączyła go prawdziwa przyjaźń. O nie, wcale nie!

— Nie chcę stać się znowu człowiekiem — szlochał chłopiec. — Chcę wam towarzyszyć do Laponii! Dlatego byłem taki grzeczny przez cały tydzień.

— Nikt ci nie zabroni towarzyszyć nam, dopóki masz na to ochotę — powiedziała Akka. — Ale zastanów się najpierw, czy nie byłoby lepiej, abyś wrócił do domu. Może przyjdzie dzień, że będziesz tego żałował.

— Nie — odrzekł chłopiec — nie ma czego żałować. Jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze jak tutaj z wami!

— A więc niech będzie tak, jak chcesz — powiedziała Akka.

— Dziękuję, dziękuję! — zawołał chłopiec. I poczuł się tak szczęśliwy, że mógłby teraz płakać z radości jak poprzednio ze smutku.

ZAMEK GLIMMINGE



CZARNE I SZARE SZCZURY

W południowo-zachodniej Skanii w pobliżu morza stoi stary zamek, zwany Glimminge. Jest to wielki i mocny, kamienny budynek, widoczny w całej okolicy na znaczną odległość.

Zamek ma tylko cztery piętra, ale tak jest ogromny, że zwykły dom chłopski, stojący w pobliżu, wydaje się przy nim domem lalek.

Zewnętrzne mury tego kamiennego domu są tak grube, że we wnętrzu niewiele pozostaje miejsca. Schody są ciasne, korytarze wąskie, a liczba komnat ograniczona.

Aby zaś murów nie osłabiać, na górnych piętrach umieszczono tylko po kilka okien, a na dolnych zostawiono jedynie wąskie otwory. W dawnych wojennych czasach ludzie radzi byli kryć się w mocnych, wielkich zamkach, tak jak teraz ktoś podczas mroźnej zimy rad otula się ciepłym futrem.

Lecz kiedy nastały dobre czasy pokoju, ludzie nie chcieli już mieszkać w ciemnych, zimnych kamiennych murach warowni, opuścili więc od dawna Glimminge i przenieśli się do mieszkań, do których powietrze i światło większy ma dostęp.

W tym czasie gdy Nils Holgerson wędrował z dzikimi gęśmi, w Glimminge nie było już ludzi, nie brakowało tam jednak innych mieszkańców. Na dachu w wielkim gnieździe mieszkała co lato para bocianów, pod dachem usadowiły się dwie sowy, w korytarzach gnieździły się nietoperze, na kominie w kuchni wylegiwał się stary kot, a w piwnicy uwijały się setki czarnych szczurów.

Szczury nie cieszą się wielkim uznaniem wśród innych zwierząt; czarne szczury w zamku Glimminge stanowiły jednak wyjątek i mówiono o nich zwykle z szacunkiem, gdyż okazały wielkie męstwo w walkach z nieprzyjaciółmi oraz wielką wytrwałość w czasach klęsk, które spadały na ich ród. Należały do takiego rodu szczurów, który, niegdyś liczny i możny, teraz bliski był wymarcia.

Przez długie lata czarne szczury, zwane lądowymi, panowały nad całą tą okolicą. Znaleźć je było można prawie w każdej piwnicy, prawie na każdym strychu, w stodołach i szopach, w spiżarniach, piekarniach, w stajniach i oborach, w kościołach i pałacach, w gorzelniach i młynach, jak też i we wszystkich innych przez ludzi zamieszkiwanych budynkach. Teraz jednak usunięto je zewsząd niemal

zupełnie wytępiono. Tylko gdzieś na ustroniu można je było jeszcze spotkać, ale nigdzie nie było ich tak wiele jak w Glimminge.

Bardzo często, gdy jakiś gatunek zwierząt wymiera, winić należy o to ludzi; tutaj inną była tego przyczyna. Ludzie prowadzili wprawdzie walkę z czarnymi szczurami, nie mogli jednak dokonać większego spustoszenia w ich szeregach. Wytrzebiły je dopiero zwierzątka tej samej rasy, zwane szczurami szarymi. Szare albo tak zwane szczury wędrowne nie zamieszkiwały, tak jak czarne, od wieków tej okolicy. Pochodziły od kilku ubogich wychodźców, którzy przed stu laty przybyli do Malmö okrętem z Niemiec. Były to nędzne, na pół żywe biedoty, które zamieszkały w porcie, krążyły wokół filarów pod mostami i żywiły się odpadkami rzucanymi do wody. Nie miały jednak nigdy odwagi wkroczyć do miasta, którym władały niepodzielnie czarne szczury. Z czasem dopiero, kiedy się rozmnożyły, ośmieliły się i wtargnęły do miasta.

Zrazu wprowadziły się tylko do kilku starych, opuszczonych domów, z których się szczury czarne wyniosły. Żywiły się odpadkami z rynsztoków i śmietników i zadowalały tym, czego czarne szczury tknąć nie chciały. Były to zahartowane, niewymagające i nieustraszone zwierzęta, a przez kilka lat tak się rozmnożyły i nabrały takiej siły, że postanowiły wypędzić czarne szczury z Malmö. Odebrały im poddasza, piwnice i strychy, morzyły je głodem albo zagryzały na śmierć, gdyż nie odstraszały ich żadne sposoby walki.

A zdobywszy Malmö wyruszały w większych i mniejszych gromadkach na podbicie całego kraju.

Wydaje się to poniekąd niezrozumiale, dlaczego czarne szczury nie skupiły się w jedną wielką gromadę i nie pobiły szarych szczurów wtedy, kiedy te nie były jeszcze tak liczne.

Lecz czarne były prawdopodobnie dlatego tak pewne swej potęgi, że nie wyobrażały sobie nawet, aby mogły być zmuszone kiedykolwiek do opuszczenia kraju. Siedziały spokojnie w swych posiadłościach, a tymczasem szare szczury odbierały im dom za domem, wieś za wsią, miasto za miastem. Wypierane, głodzone, nigdzie w Skanii nie mogły już znaleźć miejsca dla siebie — z wyjątkiem jednego Glimminge.

Stary, kamienny zamek miał tak grube mury, że czarne szczury mogły się opierać najściu szarych. Kok za rokiem, noc w noc ciągnęła się walka między napastnikami a obrońcami, lecz czarne dotrzymywały mężnie placu i walczyły z taką odwagą, że na starej tej placówce zwyciężały dotychczas stale.

Trzeba przyznać, że czarne szczury, dopóki miały władzę, tak były znieawidzone przez wszystkie inne stworzenia, jak to następnie stało się z szarymi, I słusznie, rzucały się bowiem na nieszczęśliwych, skępowanych więźniów i dręczyły ich, pożerały trupy, wykrađały ostatnią marchew z piwnicy nędzarzy, odgryzały śpiącym gęsiom nogi, porywały kurom jajka i małe, delikatnym puchem pokryte, żółte pisklęta i popełniały tysiące innych niegodziwych czynów.

A jednak kiedy nawiedziło je nieszczęście, ich brzydka przeszłość poszła w niepamięć, a bohaterski opór wzbudził ogólny podziw.

Szare szczury, które mieszkwały w Glimminge i jego okolicach, nie ustawały w walce i nie omijały żadnej sposobności, aby zdobyć zamek. Zdawałoby się, że mogły przecież zostawić małej gromadce czarnych zamek, skoro same były panami całej okolicy.

Gdzież tam!

Twierdziły, że pokonanie czarnych szczurów uważają sobie za punkt honoru. Ci wszakże, którzy znali szare szczury, wiedzieli, że mają one w tym pewne wyrachowanie: ludzie używali mianowicie Glimminge za spichlerz i dlatego to szare postanowiły zdobyć wyłącznie dla siebie obficie nagromadzone w nim zapasy,

Pewnego ranka gęsi, które spały na jeziorze, obudzone zostały bardzo wcześnie głośnymi okrzykami rozlegającymi się w powietrzu:

— Trirop! Trirop! Trianut, żuraw, pozdrawia dziką gęś Akkę jej stado! I zawiadamia, że jutro odbędzie się wielki taniec żurawi na górze Kulla!

Akka podniosła z pośpiechem głowę i odpowiedziała:

— Piękne dzięki i wzajemne pozdrowienia! Piękne dzięki i wzajemne pozdrowienia!

Po czym żurawie poleciały dalej, ale dzikie gęsi słyszały jeszcze długo ich głosy wołające ponad każdym polem i każdym pagórkiem leśnym: „Trianut pozdrawia! Jutro odbędzie się wielki taniec żurawi na górze Kulla!”

Dzikie gęsi ucieszyły się tą nowiną,

— Masz szczęście — rzekły do białego gąsiora, — Zobaczysz wielki taniec żurawi.

— Czy to coś tak osobliwego zobaczyć tańczące żurawie? — zapytał gąsior.

— Jest to coś takiego, o czym nie marzyłeś — odpowiedziały dzikie gęsi,

— A teraz musimy się naradzić, co zrobić z Paluszkim na czas naszej nieobecności, żeby mu się nic złego nie przytrafiło — oświadczyła Akka.

— Paluszek nie może zostać sam! — zawołał gąsior. — Jeżeli żurawie się nie zgodzą na jego obecność, ja zostanę z nim,

— Nigdy dotychczas nie dopuszczono człowieka na zebrania zwierząt na górze Kulla — rzekła Akka — toteż nie ośmielę się zabrać Paluszka z sobą. Pomówimy jednak jeszcze o tym. Tymczasem zaś pomyślmy o posiłku.

Akka dała znak do odlotu. Tego dnia ze względu na lisa Myldtę poszukała pastwiska w znacznej odległości i osiadła dopiero na bagnistych łąkach, leżących na południe od Glimminge.

Przez cały ten dzień siedział chłopiec na brzegu jeziora i grał na fujarce. Nie odzywał się ani do gąsiora, ani do żadnej z dzikich gęsi. Był niezadowolony z tego, że nie będzie mógł zobaczyć tańca żurawi, i zastanawiał się nad tym, jak skłonić Akkę do zabrania go z sobą.

Wiedział dobrze, że ani Akka, ani inne dzikie gęsi go nie lubią, chociaż zgodziły się na jego towarzystwo w podróży. I one zapewne słyszały o złośliwości gęsiarka Nilsa i myślały może, że mogłoby mu przyjść do głowy zdradzić przed ludźmi miejsce zebrania zwierząt.

Jakie to przykre, że Akka wciąż jeszcze nie ma do niego zaufania! Jeśli pogodził się z tym, że nie odzyska już ludzkiej postaci i chce wędrować z dzikimi gęśmi, to przecież ich nie zdradzi. Akka powinna także zrozumieć, że obowiązkiem jej jest pokazać mu wszystko, co warto zobaczyć. Poświęcił przecież tak wiele wędrując z dzikimi gęśmi,

„Muszę powiedzieć Akce i innym, że ja ich nigdy nie zdradzę” — pomyślał.

Ale godzina za godziną mijały, a on nie wiedział, jak do Akki przemówić. Czuł szacunek dla starej gęsi i nie umiał przeciwstawić się jej woli.

Po jednej stronie bagnistej łąki, na której pały się gęsi, wznosił się szeroki mur. I właśnie kiedy chłopiec nad wieczorem podniósł głowę, aby przemówić do Akki, wzrok jego padł na ten mur. I nagle krzyknął ze zdziwienia tak głośno, że wszystkie gęsi obejrzały się wszystkie osłupiały ze zdumienia i z przerażenia. W pierwszej chwili i gęsiom, i chłopcu wydało się, że szarym, okrągławym kamieniom, z których się składał mur, urosły nagle nogi. Wkrótce wszakże stało się jasne, że była to gromada szczurów biegnących po murze. Poruszały się bardzo szybko i biegły tuż przy sobie w szeregach, a było ich tak wiele, że przez długą chwilę pokrywały cały mur.

Chłopiec bał się szczurów nawet wtedy, kiedy był jeszcze dużym, silnym człowiekiem. Cóż zaś

dopiero teraz, kiedy dwa albo trzy szczury mogły go z łatwością pokonać? Dreszcze przerażenia wstrząsały jego ciałem na widok pochodu szczurów.

Dziwnym wypadkiem gęsi zdawały się odczuwać tę samą odrazę do szczurów. Nie odzywały się do nich, a potem otrząsnęły się, jak gdyby je coś przykrego dotknęło.

— Tyle szarych szczurów w drodze — rzekła Yksi — to niedobry znak.

Teraz chłopiec chciał skorzystać ze sposobności i powiedzieć Akce, jak bardzo chciałby wybrać się z nimi na górę Kulla, ale przeszkodził mu wielki ptak, który nagle spuścił się z szumem z góry stanął wśród stada gęsi.

Na pierwszy rzut oka mogło się zdawać, że ptak ten pożyczył tułowia i głowy od małej, białej gęsi. Tylko skrzydła przypisał sobie wielkie i czarne, nogi długie i czerwone i dziób długi, gruby, o wiele za duży w stosunku do jego małej głowy, którą tak spuszcza! na dół, że nabierał przez to stroskanego, zakłopotanego wyglądu,

Akka stuliła z pośpiechem skrzydła i skłoniła się kilka razy, podchodząc do bociana. Nie dziwiło jej zbytnio, że go tak wcześniej widzi w tej okolicy, gdyż wiedziała, że bociany nadciągają dla sprawdzenia, czy gniazdo bocianie nie zostało uszkodzone podczas zimy, zanim jeszcze bocianica zdobędzie się na przeprowadzenie przez Bałtyk.

Zadziwiły ją jednak bardzo odwiedziny bociana u niej, gdyż bociany zwykły najchętniej przestawać tylko w towarzystwie ptaków własnego rodzaju.

— Mieszkanie zastał pan chyba w porządku, panie Klekot? — odezwała się Akka.

I okazało się, że słusznie mówią, iż bocian otwiera najczęściej dziób tylko po to, aby się poskarżyć. A że przy tym z trudem wydobywał słowa z siebie, więc to, co mówił, brzmiało jeszcze smutniej. Zrazu klekotał tylko przez długą chwilę, a potem przemówił słabym, ochrypłym głosem. Skarżył się na wszelkie możliwe rzeczy: gniazdo wysoko w górze na dachu zamku Glimminge zepsuły zawieruchy zimowe, a pożywienia nie można znaleźć; ludzie przywłaszczają sobie stopniowo wszystkie jego posiadłości, użyźniają jego błotniste łąki i zabudowują jego bagna; ma zamiar wyprowadzić się ze Skanii i nigdy tu już nie powrócić.

Podczas kiedy bocian wywodził tak swoje skargi, Akka, dzika gęś, dla której nigdzie nie było ochrony ani obrony, mówiła sobie w duchu:

„Gdybyż to mnie tak dobrze było jak panu, panie Klekot, zdobyłabym się z pewnością na tyle dumy i godności, aby się nie zniżać do skargi. Możesz przecież być sobie wolnym i dzikim ptakiem, a mimo to człowiek tak cię szanuje i ochrania, że nikt nie śmie drasnąć cię kulą, nikt nie wykrada ci jaj z gniazda”.

Ale myśli te zachowała Akka dla siebie, a do bociana powiedziała tylko, że nie wierzy, aby mógł opuścić dom, który od wieków służy stale bocianom za schronienie.

Na to bocian zapytał pośpiesznie, czy dzikie gęsi widziały pochód szarych szczurów kroczący w stronę zamku, A kiedy Akka odpowiedziała, że przyglądały się temu szatańskiemu pochodowi, opowiedział im o dzielnych czarnych, które przez tyle lat broniły twierdzy,

— Tej nocy jednak zamek Glimminge przejdzie w posiadanie szarych — orzekł bocian wzdychając.

— Dlaczegoż tej nocy właśnie, panie Klekot? — zapytała Akka.

— Dlatego że prawie wszystkie czarne szczury pośpieszyły wczoraj wieczorem na górę Kulla w dobrej wierze, że zbiorą się tam wszystkie zwierzęta — odpowiedział bocian, — Tymczasem widzicie, że szare zostały i zbierają się teraz, aby w nocy wdrzeć się do twierdzy, co im się uda z pewnością, bo tylko kilku starych niedołęgów spośród czarnych zostało dla obrony zamku. Ja zaś żyłem przez tyle lat w najlepszej zgodzie w sąsiedztwie czarnych i wcale nie będę zadowolony ze zwycięstwa ich wrogów.

Teraz zrozumiała Akka, dlaczego ją bocian odwiedził: tak był oburzony postępowaniem szarych, że chciał się na nie poskarżyć. Zgodnie jednak z naturą bocianów byłby z pewnością nie uczynił nic, aby

odwrócić nieszczęście.

— Czyś pan zawiadomił czarne o tym, co im grozi, panie Klekot? — zapytała Akka.

— Nie — odpowiedział bocian. — To by się zresztą na nic nie zdało. Zanim wrócą, zamek zostanie zdobyty.

— Niechże pan nie będzie tego tak bardzo pewny, panie Klekot — rzekła Akka. — Zdaje mi się, że znam pewną starą dziką gęś, która by chętnie zapobiegła podobnej krzywdzie.

Na te słowa bocian podniósł głowę i spojrzał na nią ze zdumieniem. Nic dziwnego — stara Akka nie miała ani kłów, ani dzioba, koniecznych do walki. I zresztą była tylko dziennym ptakiem; z nadejściem nocy zasypiała nieodwołalnie, a szczury walczyły właśnie tylko nocą.

Akka jednak postanowiła na serio pomóc czarnym. Zawezwiała Yksi i rozkazała, jej wysłać gęsi na jezioro, a gdy gęsi próbowały się opierać, rozkazała:

— Zdaje mi się, że będzie dla was najlepiej, gdy okażecie mi posłuszeństwo. Muszę się udać do wielkiego zamku, a gdybyście mi towarzyszyły, spostrzegliby nas z pewnością ludzie i wystrzelali. Zabiorę z sobą tylko Paluszkę. On może mi się bardzo przydać, bo ma dobry wzrok i potrafi czuwać w nocy.

Usłyszawszy to chłopiec ucieszył się wprawdzie z zaszczytu okazanego mu przez Akkę, z drugiej jednak strony przestraszyła go walka ze szczurami i już chciał wystąpić i powiedzieć Akce, że nie pójdzie z nią. Ale w tejże chwili poruszył się bocian. Stał on dotychczas zwyczajem bocianów z pochyloną głową i dziobem wtulonym w szyję. Teraz zaś wydawać zaczął odgłos podobny do śmiechu. Opuścił dziób z błyskawiczną szybkością, porwał chłopca i podrzucił go kilka metrów w górę. Sztukę tę powtórzył siedem razy z rzędu, nie bacząc na krzyki chłopca i wołanie gęsi.

— Co też pan robi, panie Klekot! Przecież to nie żaba! To człowiek, panie Klekot!

Wreszcie bocian postawił chłopca całego i zdrowego na ziemi i powiedział do Akki:

— Wracam teraz na zamek, matko Akko. Wszyscy mieszkańcy, byli bardzo zaniepokojeni, kiedy odlatywałem. Prawdopodobnie bardzo się ucieszą, gdy im doniosę, że dzika gęś Akka i Paluszek, maleńki człowieczek, przybędą im na ratunek.

I bocian wyciągnął szyję, rozpostarł skrzydła i pomknął jak strzała wypuszczona z naciągniętego łuku.

Akka zrozumiała, że bocian naśmiewał się z niej, ale nie zraziło jej to bynajmniej. Czekwała, dopóki chłopiec nie odszuka swych sandałów, które mu bocian zrzucił z nóg. Potem posadziła go sobie na grzbiecie i poleciała za bocianem. A chłopiec nie opierał się już i nie zdradzał ze swym strachem, gdyż gniewało go lekceważenie bociana. Roześmiał się szydlerczo. Ten zarozumialec o długich, czerwonych nogach myśli zapewne, że on nic nie potrafi, ale on mu pokaże, kim jest Nils Holgerson z Vestvemmenhög.

Po kilku chwilach Akka stała już w gnieździe bocianim na zamku. Było to duże, wspaniałe gniazdo. Za podstawę służyło mu kolo, na którym leżało kilka pokładów gałęzi i murawy. Gniazdo było takie stare, że rozmaite krzewy i zioła zapuściły w nim korzenie, i gdy bocianica siedziała na jajach, mogła się nie tylko napawać wspaniałym widokiem na rozległą okolicę, ale i cieszyć oczy kwitnącymi różami polnymi.

Chłopiec z Akką spostrzegli od razu, że dzieje się tu coś niezwykłego. Na brzegu bocianiego gniazda siedziały dwie sowy nocne, kot prądkowany i z tuzin starych jak świat szczurów z wyrośniętymi zębami i zaropiałymi oczyma. Były to wszystko stworzenia, których się zazwyczaj nie widuje w zgodzie z sobą.

Żadne z nich nie odwróciło się nawet, żeby spojrzeć na Akkę albo ją przywitać. Zdawały się nie widzieć nic innego prócz długich, szarych linii, które ukazywały się to tu, to tam na nagich polach zimowych.

Wszystkie czarne szczury siedziały cicho. Widać było, że ogarnia je rozpacz, gdyż wiedziały z góry, że nie są w stanie obronić ani własnego życia, ani zamku. Dwie duże sowy kręciły okrągłymi oczami i

stroszyły pióra, przy czym opowiadały przeraźliwie skrzypiącymi głosami o okrucieństwie szarych szczurów. Mówiły, że z ich powodu będą musiały opuścić mieszkanie, gdyż słyszały, że te stworzenia nie szcędzą ani jajek, ani nie opierzonych, młodych piskląt. Stary, prążkowany kot był zupełnie pewny, że szare szczury zagryzą go, kiedy wtargną w tak wielkiej ilości do zamku. Wyrzucał więc ciągle czarnym szczurom:

— Jakże mogłyście być takie głupie i pozwolić oddalić się najlepszym waszym żołnierzom? Jakże mogłyście tak zaufać szarym? Co za karygodna lekkomyślność!

Dwanaście czarnych zgębionych szczurów nie odezwało się ani słowem, ale bocian nie mógł się powstrzymać, aby mimo swego zmartwienia nie zadrwić z kota.

— Nie bój się, myszołowie — powiedział. — Czyż nie widzisz, że matka Akka przybyła z Paluszkciem na ratunek zamku? Ufajmy, że im się to powiedzie. Ja muszę się teraz udać na spoczynek, a będę spał zupełnie spokojnie. Jutro, gdy się obudzę, nie będzie już ani jednego szarego szczura w zamku.

Chłopiec miał wielką ochotę palnąć bociana w kark. Akka wszakże nie wydawała się wcale obrażona. Odpowiedziała spokojnym głosem:

— Byłoby bardzo źle, gdybym w moim wieku nie potrafiła poradzić sobie nawet z większymi trudnościami. Jeśli wy, sowy, która potraficie czuwać przez całą noc, zechciałybyście podjąć się wypełnienia kilku moich poleceń, wtedy, zdaje mi się, wszystko jeszcze skończyłoby się dobrze.

Obie sowy gotowe były wykonać polecenia i Akka kazała samcowi zawiadomić nieobecne czarne szczury o tym, co zaszło, i doradzić im jak najszybszy powrót; samice zaś posiała do sowy Płomiennookiej, mieszkającej na wieży kościelnej, z tak tajemniczym poleceniem, że Akka odważyła się powierzyć je sowie tylko szeptem.

POSKRAMIACZ SZCZURÓW

Około północy szarym udało się po długich poszukiwaniach znaleźć w murze otwór wiodący do piwnicy. Umieszczony był dość wysoko, ale szczury poradziły sobie w ten sposób, że wchodziły jeden na grzbiet drugiego, tak że niebawem ostatni skoczył do piwnicy. Nie śmiał jednak wkroczyć do zamku, pod którego murami padło tylu jego poprzedników, i siedział cicho. Wiedział wprawdzie, że główna armia czarnych była nieobecna, lecz sądził, że te, które pozostały dla obrony zamku, nie poddadzą się bez oporu. Czekał więc z drżeniem i biciem serca. Kiedy jednak żaden szmer nie zamącił tej ciszy oczekiwania, przywódca szarych nabrał odwagi i ruszył dalej. Za nim skoczyły jeden po drugim następne szczury. Zrazu zachowywały się lękliwie, dopiero kiedy się ich tyle zebrało w piwnicy, że więcej nie mogło się pomieścić, ośmieliły się ruszyć naprzód.

Jakkolwiek nigdy nie były w tym budynku, znalazły drogę bez żadnych trudności, odkryły też wkrótce przejście w murach, którym czarne przedostawały się na wyższe piętra. Zanim się jednak odważyły wejść na ciasne i wąskie schody, nadśluchiwały znów uważnie na wszystkie strony. To, że się czarne tak zupełnie usunęły, niepokoiło je bardziej, niż gdyby stanęły otwarcie do walki. Nie dowierzały własnemu szczęściu dotarłszy na pierwsze piętro bez przeszkody.

Zaraz przy wejściu do wnętrza domu poczuły zapach zboża leżącego na podłodze. Nie była to jednak jeszcze pora na korzystanie ze zdobyczy, Z największą sumiennością przeszukały najpierw ponury, pusty gmach. W starej kuchni pałacowej wskoczyły na komin stojący pośrodku, a w przyległym pokoju o mało co nie wpadły do zbiornika z wodą. Nie zapomniały ani o jednym z wąskich otworów okiennych. Nigdzie nie napotkały czarnych.

Zdobywszy pierwsze piętro zaczęły z tymi samymi ostrożnościami zagarniać drugie. Znowu musiały

odbyć mozolne, niebezpieczne drapanie się po murach w górę, ze strachem oczekując w każdej chwili napaści nieprzyjaciół. I mimo że wabił je najprzepyszniejszy zapach, zalatujący od zboża, usiłowały w największym porządku zbadać dawną czeładnię z jej potężnymi kolumnami, kamiennym stołem i kominem, z głębokimi framugami i otworem w podłodze, przez który w dawnych czasach lano gorącą smołę na nacierającego nieprzyjaciela.

A czarne pozostawały dalej w ukryciu.

Szare więc poszukały drogi na trzecie piętro, gdzie była wielka sala przyjęć, obecnie tak samo pusta i naga jak inne komnaty starego pałacu. I dotarły aż na ostatnie piętro, które składało się z jednej tylko wielkiej, pustej sali. Jedyne miejsce, o którym nie pomyślały i którego nie zbadały, było to wielkie gniazdo bocianie na dachu, w którym właśnie w tej chwili sowa zbudziła Akkę i zawiadomiła ją, że sowa Płomiennooka spełniła jej życzenie i przesyła jej to, czego żądała.

Kiedy już szare przeszukały sumiennie cały zamek, uspokoiły się. Przypuszczały, że czarne wyprowadziły się zwątpiwszy, aby mogły stawić opór. I zadowolone rzuciły się na zboże.

Ale zaledwie zakosztowały pierwszych ziaren pszenicy, gdy na podwórzu zamkowym rozległ się pieściwy, wabiący dźwięk małego, donośnego fletu. Szczury wychyliły głowy spod zboża, nasłuchując nieruchomo, potem skoczyły parę kroków naprzód, jak gdyby chciały zostawić zboże, wróciły jednak i zaczęły na nowo zjadać.

Znów zabrzmiał flet, dźwięcznie i donośnie. I teraz stało się coś niezwykłego. Z początku jeden szczur, potem drugi, a w końcu cała ich gromada porzuciła zboże i pobiegła najkrótszą drogą jak najprędzej na dół, żeby się wydostać z zamku. Pozostało w nim jednak jeszcze dużo szarych szczurów. Te pamiętały zbyt dobrze o trudzie, z jakim zdobyły zamek, i nie chciały go opuścić. Ale dźwięki fletu zmusiły je w końcu do podążenia za tamtymi. W gwałtownym pośpiechu pędziły poprzez ciasne otwory w murach i przewracały się popychając wzajemnie.

W pośrodku podwórza zamkowego stał mały człowieczek i grał na flecie. Wokoło niego zebrała się już cała gromada szczurów słuchających z zachwytem i uniesieniem dźwięków pieśni. A z każdą chwilą przybywało ich więcej. Kiedy flet milknął, zdawało się, że szczury mają ochotę rzucić się na malca i zagryźć go, ale gdy zaczynał grać, poddawały się znów czarowi.

Skoro malec wywabił już swą grą wszystkie szare szczury z zamku, zaczął powoli wysuwać się z podwórza na ulicę — i patrzcie: wszystkie szczury podążyły za nim — nie mogły się oprzeć słodkim, wabiącym tonom fletu.

Malec szedł naprzód i wabił je za sobą coraz dalej. Bezustannie grał na flecie, który zdawał się być zrobiony z rogu, jakkolwiek róg ten był tak mały, że nie istnieje dziś takie zwierzę, z którego głowy mógłby wyrosnąć. Nikt też nie wiedział, kto go sporządził.

Tajemnica zaś rogu czarodziejskiego była następująca: sowa Płomiennooka, zamieszkująca szczyt wieży kościelnej, znalazła ten róg we framudze katedry w Lund, pokazała go krukowi Bataki i oboje doszli do przekonania, że musi to być jeden z tych rogów, które w dawnych czasach wyrabiali ludzie po to, aby ujarzmić szczury i myszy. Kruk Bataki zaś był przyjacielem Akki i od niego to dowiedziała się ona, że Płomiennooka posiada taki skarb.

I róg istotnie okazał się rogiem czarodziejskim; szczury nie zdołały się oprzeć jego muzyce. Chłopiec szedł przed nimi i gwizdał, dopóki gwiazdy jaśniały na niebie, a przez cały ten czas szczury biegły za nim. Grał jeszcze i o świcie, i wciąż jeszcze biegły za nim chmary szczurów. I coraz dalej i dalej odciągał je od wielkich spichrzów zbożowych w zamku Glimminge.

TANIEC ŻURAWI NA GÓRZE KULLA



Wtorek, 29 marca

Trzeba przyznać, że w całej Skanii, gdzie tak wiele jest wspaniałych zamków, nie ma nic równie pięknego jak góra Kulla.

Składająca się jak gdyby z szeregu połączonych wzgórz, niska i szeroka nie bywa bynajmniej zaliczana do wysokich, potężnych pasm górskich. Lasy i pola pokrywają porośnię gdzieniegdzie wrzosem szerokie jej zbocza. Nie ma tam nic bardzo ładnego ani osobliwego i na pozór nie różni się ona niczym od innych gór Skanii.

Wędrowiec, przebywający drogę wiodącą wzdłuż grzbietu górskiego, myśli też sobie najczęściej: „Ta góra nie usprawiedliwia bynajmniej swojej sławy. Nie ma tu nic godnego widzenia”.

Lecz zdarzyć się może, że wędrowiec zboczy z drogi i spojrzy w dół ze stromego stoku góry. I nagle stanie przed nim piękno i osobliwość rozpościerającego się widoku. Góra Kulla bowiem nie stoi, jak inne góry, pośród stałego lądu, otoczona równinami i dolinami, lecz przylega tuż do morza. Ani jeden skrawek ziemi nie ciągnie się u jej stóp i nie ochrania jej przed falami morskimi; mogą więc bić o ściany skalne, mogą je obmywać i do woli rzeźbić. Stąd pochodzi dziwaczność kształtów i urozmaicenie układu góry.

Są tam ostre, głęboko wrzynające się w zbocza przepaści i czarne, gładkie skały smagane biczami wichrów nadmorskich. Są samotnie stojące słupy skalne wynurzające się pionowo z wody i ciemne groty z tajemniczymi otworami.

Widać strome, nagie urwiska i łagodne, zielone zbocza; małe wzgórza i zatoki, kamienie toczące się w dół z głuchym łoskotem za każdym naporem fal morskich.

I potężne sklepienia skał, wznoszące się nad wodą, i ostro w górę sterczące rafy, bezustannie opryskiwane białą pianą, i znowu inne, odbijające się w czarnozielonej, nieruchomej, cichej wodzie. Są tutaj olbrzymie, w skałach wydrążone kotliska i tajemnicze szczeliny, które kuszą wędrowca do zapuszczenia się w głąb.

A na wszystkich tych skałach i we wszystkich przepaściach, ze wszystkich szczelin wyrastają i wiją się krzewy, zioła i pnącza. Rosną tam też i drzewa, ale siła wiatru jest tak wielka, że nawet drzewa muszą się zamienić w pnące rośliny, aby się utrzymać na stokach góry. Pnie dębów położyły się i pełzają prawie

po ziemi, a liście wznoszą się nad nimi niby gęste sklepienie, krótkopienne zaś buki stoją w szczelinach skał niby wielkie, liściaste namioty.

Osobliwa ta góra, z dalekim błękitem morza u stóp i przezroczystym niebem ponad sobą; tak bardzo pociąga ludzi, że podczas całego lata zjeżdżają się tutaj tłumnie. Trudniej byłoby powiedzieć, czym pociąga ona tak bardzo i zwierzęta, które co rok gromadzą się tu na wielkich wspólnych igrzyskach. Jest to obyczaj zachowywany od prawieków i chyba tylko ktoś obecny przy tym, jak pierwsza fala morska rozprysła się w pianę u stóp góry Kulla, potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego właśnie ta góra została przez wszystkie zwierzęta obrana za miejsce zebrania.

Już w noc przed naznaczonym dniem udają się jelenie, sarny, zające, lisy i inne czworonożne zwierzęta w podróż na górę Kulla. Przed samym wschodem słońca spotykają się na placu zabaw, na płaszczyźnie pokrytej wrzosem, niezbyt oddalonej od najwyższego szczytu góry.

Plac zabaw otoczony jest ze wszystkich stron okrągłymi skałami, zasłaniającymi zwierzęta przed oczyma tych, którzy by się tu przypadkiem dostali. Wydaje się jednak nieprawdopodobne, aby ktokolwiek mógł się tu zabłąkać w marcu. Wszystkich wędrowców, którzy zwykle błędzą po skałach i pną się po zboczach góry, wystraszyły już przed wielu miesiącami wichry jesienne; starszek latarnik zaś, pilnujący latarni morskiej, stara kobieta z sąsiedniego dworu i wieśniak z pobliskiej wsi wraz z rodziną chodzą tylko utartymi drogami i nie biegają po samotnych ścieżkach.

Czworonożne zwierzęta, przybywszy na plac zabaw, zasiadają wokoło na skałach. Każdy gatunek zwierząt gromadzi się razem, chociaż nikt nie ma powodu obawiać się jakiegokolwiek napaści, gdyż tego dnia panuje ogólna zgoda i pokój. Tego dnia mógłby młody zajączek przejść spokojnie przez wzgórze, na którym umieściły się lisy, i unieść w całości swe słuchy. A jednak trzymają się zwierzęta odosobnionymi gromadami, taki bowiem panuje odwieczny obyczaj.

Skoro już wszystkie zwierzęta zajęły swe miejsca, nadchodzi chwila oczekiwania na przylot ptaków. Tego dnia bywa zwykle piękna pogoda. Żurawie umieją przepowiadać pogodę i nie zwoływałyby zwierząt, gdyby się było można spodziewać deszczu. Tym razem jednak, chociaż powietrze było przejrzyste i nic nie zasłaniało widoku, nie widać było jakoś ptaków. To dziwne! Słońce stało już wysoko na niebie i ptaki powinny były już być w drodze.

Tymczasem uwagę zwierząt zajmują małe, ciemne chmurki, nadciągające z równiny. I nagle jedna z tych chmur zbliża się coraz bardziej do góry Kulla. Gdy chmurka zbliżyła się już zupełnie do placu zabaw, zatrzymała się i jednocześnie zaczęła świergotać i szczebiotać, jak gdyby składała się z samych dźwięków. Wznosiła się i opadała, a bezustannie przy tym śpiewało coś w niej i dźwięczało. Nagle chmura spadła na jeden z pagórków i po chwili cały pagórek zajęły całkowicie szare skowronki, piękne czerwono-szare i białe zięby, nakrapiane szpaki i zielono-szare sikory.

Natychmiast potem nadciąga jeszcze jedna chmura. Zatrzymuje się nad każdym dworem, nad każdą chatą i nad każdym pałacem, nad wioskami i miastami, nad dworcami kolejowymi i fabrykami, nad osadami rybackimi i cukrowniami. Ilekroć się zatrzyma, wchłania z ziemi mały, unoszący się w górę słup pyłków kurzu. I chmura rośnie i rośnie coraz bardziej. Wreszcie kiedy zawisnie nad górą, jest tak olbrzymia, że rzuca cień na wielką przestrzeń wokoło. Spuszczając się nad placem igrzysk zasłania słońce. Po długiej chwili dopiero, kiedy na jednym z pagórków osiada gromada wróbli, słońce ukazuje się znów w swym blasku.

A oto nadlatuje największa z chmur ptasich. Utworzyły ją gromady, które zleciały się ze wszystkich stron i połączyły z sobą. Barwy jest ciemnopopielatej i ani jeden promień słońca jej nie przenika. Ponura i straszna, jak chmury niosące burzę, pędzi naprzód. Niesie z sobą strach i niepokój, jakieś potworne, wrzaskliwe, pogardliwe śmiechy i krakanie, przepowiadające nieszczęście.

Zwierzęta na placu igrzysk rade są, gdy chmura ta zamienia się w końcu w deszcz ptaków: wron,

kruków i kawek kraczących i trzepoczących skrzydłami.

Teraz pojawiają się na niebie już nie chmury, lecz mnóstwo jakichś znaków i kresek. Potem ukazują się od wschodu i północo- wschodu proste, kropkowane linie. Są to ptaki leśne — cietrzewie i głuszce, które lecą w długich szeregach, w odstępach kilku metrów między jednym ptakiem a drugim. A ptaki błotne, które zamieszkują bagniska w okolicy Falsterbo, nadlatują w najrozmaitszym porządku: trójkątami, krzywymi liniami albo półkolami.

Na wielkie zebranie, odbywające się w tym właśnie roku, kiedy Nils Holgerson wędrował z dzikimi gęśmi, Akka ze swoją gromadką przybyła później niż wszystkie inne ptaki. Przede wszystkim bowiem Akka, aby dotrzeć do góry Kulla, musiała przebyć całą

Skanię. Przy tym zaraz po obudzeniu udała się na poszukiwanie Paluszka, który przecież szedł przez całą noc, grając na flecie i wiodąc za sobą chmary szarych szczurów coraz dalej i dalej od Glimminge,

Sowa, wysłana do czarnych szczurów, wróciła z wieścią, że stawia się one w domu po zachodzie słońca. Można więc było już bez obawy zaprzestać gry na flecie i zostawić szare ich losowi.

Nie Akka jednak znalazła chłopca krocącego ze swym długim orszakiem i nie ona pochwyciła go dziobem i uniosła w powietrze. Uczynił to bocian, pan Klekot.

Wczesnym rankiem udał się on na poszukiwanie malca, a kiedy go znalazł i przyniósł do gniazda, przeproszał za lekceważenie, jakie mu poprzedniego wieczoru okazał.

Chłopiec cieszył się bardzo i wkrótce zawarł wielką przyjaźń z bocianem.

Akka okazywała mu także dużo życzliwości i ocierała kilkakrotnie starą swą głowę o jego ramię. Najbardziej jednak ucieszył się chłopiec, gdy Akka zapytała bociana, czy uważa za odpowiednie zabrać Paluszka na górę Kulla, a bocian rzekł:

— Zdaje mi się, że możemy mieć do niego najzupełniejsze zaufanie, on nas z pewnością nie zdradzi przed ludźmi. — I bocian nalegał, żeby zabrać Paluszka. — Rozumie się, matko Akko, że musimy go zabrać. Uważam, że to nawet składa się dla nas bardzo szczęśliwie, mamy bowiem sposobność odwdziżyć mu się za to wszystko, co uczynił dzisiejszej nocy. A ja sam na dowód tego, jak bardzo żałuję mego wczorajszego niewłaściwego zachowania się, poniosę go na swym grzbiecie na miejsce zebrania.

Wielka to przyjemność zasłużyć na pochwałę mądrych i dzielnych istot, toteż chłopiec nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwy jak teraz, gdy dzika gęś i bocian chwaliły go.

Odbył więc podróż na górę Kulla na grzbiecie bociana, lecz jakkolwiek uważał to sobie za wielki zaszczyt, nie mógł jednak oprzeć się lękowi, gdyż pan Klekot był mistrzem w sztuce fruwania i szybkość jego lotu nie dawała się mierzyć z lotem dzikich gęsi. Akka leciała zwykle prosto przed siebie, prując powietrze jednostajnym szumem skrzydeł, bocian zaś wyprawia! harce: wznosił się do niebosiężnej wysokości i leżał tam w górze nieruchomo albo też płynął w powietrzu, nie poruszając skrzydłami; opuszcza! się w dół z taką szybkością, że wyglądało to, jak gdyby spadał na ziemię bezwładnie niby kamień, albo też fruwał wirując jak wiatr i zataczając dla przyjemności duże i małe koła wokoło Akki.

Chłopiec jeszcze nigdy nie doświadczył nic podobnego i chociaż przejęty był ciągłym strachem, musiał przyznać po cichu, że dotychczas nie wiedział, co to znaczy porządnie latać.

W ciągu ostatniej podróży tylko raz jeden pozwolono sobie na odpoczynek. Było to przy jeziorze, nad którym Akka połączyła się ze swoją gromadką i zawiadomiła ją o zwycięstwie nad szarymi szczurami. Po czym udali się wszyscy na górę Kulla.

Tutaj spuścili się na wzgórze przeznaczone dla dzikich gęsi. I kiedy chłopiec powiódł wzrokiem od wzgórza do wzgórza, ujrzał, że na jednym sterczały rozłożyste rogi jelenie, na innym unosiły się pióropusze szarych jastrzębi.

Jedno wzgórze miało barwę rudą od lisów, które je zajęły, na drugim czerniły i bieliły się ptaki

nadmorskie, inne znów szare było od szczurów.

Jedno obsadzone było czarnymi krukami, które bezustannie krakały, inne — skowronkami, które nie były w stanie zachować spokoju i raz po raz wznosiły się w powietrze i wyśpiewywały radośnie. Odwiecznym zwyczajem wrony rozpoczęły uroczystość tańcem powitalnym.

Podzieliły się na dwie gromady, które, umieściwszy się naprzeciw siebie, spotykały się, rozbiegały i znów łączyły. Taniec ten miał rozliczne figury, lecz widzom, nie znającym prawideł sztuki tanecznej, wydawał się nieco jednostajny. Wrony były bardzo dumne ze swego tańca, wszystkie inne zwierzęta jednak odetchnęły z ulgą, gdy się wreszcie skończył. Wydawał im się tak samo ponury i bezmyślny, jak zabawa wichru zimowego z płatkami śniegu. Samo przyglądanie się temu przygnębiało, toteż wszystkie czekały skwapliwie na coś weselszego.

Nie czekały jednak długo. Zaledwie bowiem wrony skończyły, nadbiegły w podskokach zające. Zjawiły się w nieładzie — pojedynczo, po trzy albo po cztery rzędem. Wszystkie stanęły na tylnych skokach i popędziły tak szybko naprzód, że długie ich słuchy chwiały się na wszystkie strony.

Skacząc obracały się w kółko i uderzały przednimi łapami po bokach, aż trzeszczało. Niektóre wywijały kozły, inne toczyły się po ziemi; jeden stanął na nodze i obracał się w kółko, inny kroczył na przednich łapach. Nie było w tym wszystkim żadnego porządku, ale ta zabawa zajęcy poruszała inne zwierzęta, przyspieszała oddech. Była wiosna. Radość i podniecenie unosiły się w powietrzu. Zima przeszła, nadchodziło lato. I samo życie stawało się zabawą.

Gdy się zające zmęczyły, nadeszła kolej na wielkie ptaki leśne. Setki głuszców w lśniącym czarnym upierzeniu, z jasnoczerwonymi brwiami rzuciło się na wielki dąb stojący pośród placu igrzysk.

Głuszc, który siedział na najwyższej gałęzi, nastroszył pióra, opuścił skrzydła i uniósł ogon do góry, tak że ukazał białe, sterczące w nim pióra. Potem wyciągnął szyję i wydał ze ściśniętego gardła kilka głębokich tonów:

— Tiek, tiek, tiek! — Więcej nie mógł wydobyć z siebie. Potem przymknął oczy i zakwilił: — Sis, sis, sis! Czy słyszysz? Sis, sis, sis! — i wpadł sam w taki zachwyt, że zapomniał, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Tymczasem trzy następne głuszce rozpoczęły swoją śpiewkę i zanim ją skończyły, odezwało się już dziesięć innych, siedzących poza nimi, i tak rozlegały się coraz nowe głosy, z gałęzi do gałęzi, dopóki wszystkie głuszce nie naśpiewały się, nie nagdakały, nie nakwiliły. Wszystkie wpadały podczas swego śpiewu w ten sam zachwyt i to właśnie działało na inne zwierzęta jak zaraźliwy szal. Krew, która przedtem płynęła w ich żyłach lekko i swobodnie, teraz zaczęła się burzyć i płonać.

„Tak, z pewnością jest wiosna — myślały zwierzęta. — Znikły; już chłody zimowe, ciepło wiosenne rozgrzewa ziemię”.

Zauważywszy, jakim powodzeniem cieszą się głuszce, cietrzewie nie mogły wytrzymać na swych miejscach. Ponieważ nie było drzewa, na którym by mogły zasiąść, rzuciły się na środek placu i tak utonęły w gęstej jego zieleni, że widać było tylko piękną linię ich ogonów i grube dzioby. I od razu rozpoczęły swój śpiew:

— Orr, orr, orr!

Właśnie kiedy cietrzewie stanęły do współzawodnictwa z głuszcami, stało się coś niesłychanego. Podczas gdy wszystkie zwierzęta zajęte były tylko zabawą głuszców, jeden lis podkraść się cichaczem pod wzgórze gęsi. Stąpał bardzo ostrożnie i dostał się na miejsce, nie zwróciwszy niczyjej uwagi. Nagle zauważyła go jedna z gęsi, a nie wierząc, aby lis zakradł się do gęsi w dobrych zamiarach, zawołała:

— Baczość, dzikie gęsi! Baczość! Baczość!

Lis schwycił ją za gardło i zmusił do milczenia, ale dzikie gęsi usłyszały jej głos i uniosły się w powietrze.

I wtedy ujrzeli wszyscy lisa Mykitę stojącego z martwą gęsią W pysku.

Za zakłócenie pokoju w dniu igrzysk nałożono na niego ciężką karę. Całe życie swoje miał pokutować za to, iż nie mógł powstrzymać swej żądz zemsty na widok Akki i jej stada. Szybko otoczyła go gromada lisów i według starego zwyczaju sprawiła sąd. Wyrok zaś głosił: „Ten, kto łamie pokój wielkiego dnia zabawy, wydalony zostaje z kraju”. Żaden lis nie odważył się złagodzić wyroku, wiedziały bowiem wszystkie, że gdyby uczyniły coś podobnego, wypędzono by je natychmiast z placu zabaw i zabroniono wstępu na zawsze.

Oznajmiono lisowi My kicie wyrok wygnania bez prawa apelacji. Zabrania mu się pozostać w okolicy. Rozstać się ma z żoną i z krewnymi, z mieszkaniem i z terenem łowów, z wszystkimi kryjówkami, które dotychczas uważał za swoją własność, i musi szukać szczęścia swego na obczyźnie. Aby zaś wszystkie lisy w okolicy wiedziały, iż lisowi Mykicie wzbronione jest przebywanie w granicach kraju, najstarszy z lisów odgryzł mu koniuszek prawego ucha.

Zaledwie to się stało, młode lisy zaczęły wyć krwiożerczo i rzucać się na Mykitę. Nie pozostało więc mu nic innego, tylko uciekać. Goniony przez wszystkie lisy, lis Mykita umknął z góry Kulla.

Działo się to wszystko wówczas, kiedy głuszce współzawodniczyły z cietrzewiami. Ale ptaki te tak się oddają swemu śpiewowi, że na nic innego nie zwracają uwagi.

Po popisie ptaków leśnych wystąpiły do walki jelenie. Kilka par jeleni walczyło jednocześnie. Rzuciły się gwałtownie na siebie, nacierały rogami wydając głośny łoskot i jeden próbował odepchnąć drugiego. Para unosiła się z ich nozdrzy, z krtani wydobywał się chrapliwy ryk, a piana toczyła się aż na ziemię.

Wokoło na wzgórzach panowała najgłębsza cisza, a we wszystkich zwierzętach powstawały nowe uczucia. Wszystkie razem i każde z osobna poczuły się odważne i mocne, pełne powracających sił, odrodzone przez wiosnę, gotowe na wszelkie przygody. Nie miały do siebie urazy, a jednak wszędzie skrzydła wznosiły się, stroszyły, się czuby i ostrzyły pazury. Gdyby jelenie walczyły jeszcze dłużej, wybuchłaby na pewno na wszystkich wzgórzach dzika walka, gdyż we wszystkich zwierzętach zrodziła się paląca chęć pokazania, że i one są pełne życia, że omdlenie zimy przeszło, że mięśnie nabrzmiewają siłą,

Lecz jelenie zakończyły swą walkę właśnie w samą porę i natychmiast rozległ się szept idący od wzgórza do wzgórza:

— Teraz przyjdą żurawie!

I przyszły szare, niby w mrok odziane ptaki z długimi, czerwonymi pióropuszcami. Wielkie, o długich nogach, wysmukłych szyjach i małych głowach ukazały, się nagle, wywołując dziwne podniecenie. Posuwając się naprzód obracały się w koło, na poły fruwając, na poły tańcząc. Podnosząc z wdziękiem skrzydła, poruszały się z niesłychaną szybkością. Była to niby gra szarych cieni, którą oko zaledwie śledzić zdołało. Jakiś osobliwy czar tkwił w ich ruchach i wszyscy, którzy dotychczas nigdy na górze Kulla nie byli, zrozumieli teraz, dlaczego całe to zebranie nosiło nazwę tańca żurawi.

Taniec ten miał w sobie pewną dzikość, tylko że uczuciem, która dzikość ta wzbudzała, była czarowna tęsknota. Nikt już nie myślał o walce, natomiast wszystkie te istoty skrzydlate i bezskrzydłe czuły teraz chęć uniesienia się wysoko, jak najwyżej, ponad obłoki, aby zobaczyć, co one kryją.

Taką tęsknotę do tego, czego się nie da osiągnąć, zwierzęta odczuwają tylko raz do roku, a mianowicie tego dnia, kiedy widzą wielki taniec żurawi,

Oto nadszedł pierwszy deszczowy dzień w ciągu podróży. Dopóki dzikie gęsi przebywały w pobliżu jeziora Vomb, pogoda była piękna; tego samego jednak dnia, kiedy udały się w dalszą podróż na północ, zaczął padać deszcz i chłopiec siedział godzinami na grzbiecie gąsiora, przemoczony do suchej nitki i drżący z zimna.

Ranek odlotu był ciepły i jasny. Dzikie gęsi wzniosły się wysoko, w górę, leciały równo i bez pośpiechu, przestrzegając ściśle ustalonego porządku, z Akką na czele. Nie traciły czasu na przekomarzanie się ze zwierzętami na ziemi; że jednak nie były w stanie zachowywać się zupełnie cicho, odzywały się raz po raz do taktu, z trzepotem skrzydeł, zwykłym swym wabiącym głosem:

— Gdzie jesteś? Tu jestem! Gdzie jesteś? Tu jestem!

Wszystkie gęsi uczestniczyły w tym monotonnym nawoływaniu, przerywając je tylko niekiedy, aby zwrócić uwagę gąsiora na drogowskazy, którymi powinien się być kierować. Znakami w tej podróży były wyniosłości grzbietów górskich, dwór Ovesholm, wieża kościelna w mieście Kristian, dobra Bäckawald, wąski przesmyk między jeziorem Oppmannasjön a jeziorem Ivösjön oraz ostrym spadkiem góry Ryssa.

Podróż była jednostajna. Kiedy więc ukazały się chmury deszczowe, stanowiły dla chłopca urozmaicenie. Dawniej chmury deszczowe, widziane z dołu, wydawały mu się zawsze szare i nudne, ale wysoko w górze wyglądały zupełnie inaczej. Chłopiec widział wyraźnie, że chmury są to olbrzymie wozy: jedne napakowane ogromnymi szarymi workami, inne beczkami tak dużymi, że mogło się w nich pomieścić całe jezioro, inne znów były strasznie wysokie, z wielkimi kotłami i butlami. A gdy zjechało się ich już tyle, że zapełniły całą przestrzeń nieba, zaczęły na raz ze wszystkich kotłów, beczek, butli i worków wylewać wodę na ziemię, jak gdyby ktoś dał im nagle znak.

I w chwili kiedy pierwsza ulewa wiosenna spadła na ziemię, wszystkie ptaszki w zaroślach i na łąkach wydały okrzyk radości, którym rozbrzmiało powietrze, a chłopiec na grzbiecie gąsiora zerwał się przestraszony.

— Teraz mamy deszcz, deszcz sprowadzi nam wiosnę, wiosna da nam kwiaty i zielone liście, kwiaty przywabia gąsienice i owady, a z gąsienic i owadów będzie pożywienie! Dużo dobrego pokarmu — to najlepsza rzecz na świecie! — śpiewały ptaszki,

I dzikie gęsi cieszył deszcz wiosenny, który budzi rośliny ze snu zimowego i rozpuszcza powłokę lodową na wodach. Nie mogły już zachować swej dotychczasowej powagi i zaczęły znów zaczepiać wesołymi okrzykami ziemię.

Przelatując nad wielkimi polami kartofli, z których słyną okolice miasta Kristian, a które teraz leżały jeszcze odłogiem, czarne i nagie, wołały:

— Zbudźcie się i stańcie do pracy! Wiosna was budzi! Już dość próżnowania.

Widząc ludzi, uciekających przed deszczem do domów, wołały za nimi:

— Czego się tak śpieszycie? Czy nie widzicie, że z nieba pada chleb dla wszystkich? Chleb dla wszystkich!

Wielka chmura płynęła szybko na północ, goniąc dzikie gęsi. A im zdawało się zapewne, że ciągną chmurę za sobą, bo kiedy przelatywały nad wielkimi ogrodami, zawołały z dumą:

— Oto przychodzimy z pierwiosnkami! Przychodzimy z różami, z kwieciem jabłoni i wiśni!

Przychodzimy z grochem i fasolą, z żytem i pszenicą! Kto chce, niech bierze! Niech bierze, kto chce!

Takie głosy brzmiały w powietrzu, kiedy padały pierwsze strumienie deszczu, który wszystkich tak bardzo ucieszył. Ale gdy deszcz nie przestawał padać przez całe poobiedzie, gęsi znecierpliwiły się i zawołały do spragnionych lasów, otaczających jezioro Izöfsee:

— Czyż nie dość wam jeszcze? Czy jeszcze wam nie dość?

Niebo zaciągało się coraz bardziej jednostajną szarą i słońce schowało się za nią tak, że nikt nie wiedział, gdzie się kryje. Deszcz padał coraz obficie, uderzał ciężkimi kroplami w skrzydła gęsi i przeciskał się przez pióra i puch do skóry. Ziemia parowała, jeziora, góry i lasy zlewały się w jedną niewyraźną masę i drogowskazy trudno było rozpoznać.

Lot stawał się coraz powolniejszy, wesołe okrzyki milkły i chłopiec coraz bardziej odczuwał zimno. Trzymał się jednak dzielnie, dopóki szybował w powietrzu. I wieczorem nie stracił jeszcze otuchy, kiedy gęsi spuściły się koło sosny, pośrodku wielkiego bagna, gdzie wszystko było mokre i zimne: jedne pagórki pokryte były śniegiem, inne sterczały nagie wśród na wpół roztopionego lodu; biegał wesoło i szukał zmarzniętych jagód głogu i borówek. Ale potem nadszedł wieczór i ciemności stały się tak gęste, że nawet takie oczy, jakie chłopiec teraz miał, nie mogły ich przeniknąć. Cała okolica wzbudzała strach i grozę. Otulony skrzydłem gąsiora, leżał wprawdzie wygodnie, ale nie mógł zasnąć, bo był bardzo głodny i zziębnięty. Słyszał wokoło siebie tyle szmerów, odgłosów i strasznych pomruków, że ogarnęło go przerażenie i zapragnął uciec od łych ciemności i tej grozy tam, gdzie jest światło i ciepło. Myślał o tym, jak to wygodnie żyją ludzie, i pragnął gorąco wrócić do nich.

Było ciemno, ale mogła być najwyżej siódma godzina, ludzie ukończyli zapewne swoją pracę dzienną, siedzieli przy ogniu i grzali się. To przecież zupełnie co innego niż siedzieć skulonym pod skrzydłem gęsim w mokrym bagnisku!

W tej chwili chłopiec nie rozumiał sam siebie, dlaczego tak się lękał widoku ludzi.

„Nie zrobiliby mi z pewnością nic złego” — myślał.

„Gdyby tak ośmielić się zbliżyć do nich tej nocy? — myślał dalej. — Choćby tylko osuszyć się przy ogniu i zjeść cośkolwiek.

O wschodzie słońca mógłbym wrócić do gęsi”.

Wydostał się cichutko spod skrzydła i zsunął się na ziemię. Ani gąsior, ani żadna gęś nie obudziły się, cicho więc i niepostrzeżenie wymknął się chłopiec z terenu bagna.

Nie wiedział dobrze, w jakiej części kraju przebywa. W Skanii, w Smälandii czy w Blekinge.

Ale kiedy gęsi leciały w stronę bagna, widział w przelocie światła wielkiego miasta; tam skierował teraz swe kroki. Wkrótce znalazł drogę i po chwili szedł już po długiej, otoczonej drzewami szosie, na której końcu stały dwory jeden przy drugim. Dostał się do jednego z tych wielkich majątków kościelnych, których jest tyle na północy kraju, a których nie spotyka się na równinach.

Niektóre domy mieszkalne były zbudowane bardzo ładnie, z drzewa. Większość ozdobiona była rzeźbami, a oszklone werandy świeciły kolorowymi szybami. Ściany pomalowane były jasną farbą olejną, drzwi i ramy u okien jaśniały niebieskimi, czerwonymi lub zielonymi barwami. Chłopiec szedł, oglądał domy i słyszał, jak ludzie w ciepłych izbach śmieli się i gawędzili. Słów nie mógł zrozumieć, ale cieszyło go już to samo, że słyszy głosy ludzkie.

„Ciekaw jestem, co by powiedzieli, gdybym zastukał i poprosił o nocleg?” — pomyślał. Ale nagle poczuł tę samą obawę, która go ogarniała, ile razy znalazł się w pobliżu ludzi. „Rozejrzę się nieco po wsi — postanowi! — zanim poproszę kogoś o nocleg i posiłek”.

W chwili gdy chłopiec przechodził, otwarto w jednym z domów drzwi balkonu. Przez jasne, delikatne firanki przenikało światło lamp. Z pokoju wyszła piękna, młoda kobieta, przechyliła się przez poręcz i rzekła:

— Deszcz pada, teraz już prędko będzie wiosna!

Gdy chłopiec ją ujrzał, ogarnął go po raz pierwszy dziwny niepokój. Poczuł, że zbiera mu się na płacz. Po raz pierwszy uświadomił sobie ze strachem, że sam wyłączył się spośród ludzi.

Szedł dalej, aż zatrzymał się przed sklepem, przed którym wystawiono czerwony pług. Stanął i przyglądał mu się. W końcu usiadł na nim, cmoknął językiem i wydało mu się, że prowadzi ten piękny

plug po roli. Co by to było za szczęście! Na chwilę zapomniał o tym, jak teraz wygląda, ale niebawem przyszło mu to na myśl i pośpiesznie zeskoczył na ziemię. Ogarniał go coraz większy niepokój.

Teraz chłopiec tęsknił już nie tylko za ciepłem i za posiłkiem, tęsknił za tym wszystkim, czym się ludzie zajmują i za ludźmi samymi — za ich dzielnością i mądrością.

Przechodził obok poczty — i myślał o gazetach, które co dzień przynoszą wiadomości ze wszystkich czterech stron świata. Widział aptekę i mieszkanie doktora — i myślał o wielkiej mocy ludzi, którzy potrafią zwalczać choroby i śmierć. Przechodził obok szkoły i myślał o ludziach, którzy ją założyli po to, aby wszystkim nieść oświatę i wiedzę. I im dalej szedł, tym bardziej podobali mu się ludzie.

Lecz im bardziej tęsknił, tym bardziej niemożliwe wydawało mu się zastukać gdziekolwiek i poprosić o przyjęcie. Nie, na to nie mógł się zdobyć! Nie mógł się pokazać nikomu z ludzi, dopóki nie stanie się na nowo człowiekiem.

Nils Holgerson nie rozumiał, co traci, gdy postanowił zostać krasnoludkiem. Dopiero teraz ogarnął go przeraźliwy strach, że nie odzyska już nigdy postaci ludzkiej,

Ale cóż ma uczynić, aby stać się człowiekiem?

Dziwne! Nie zadawał sobie jeszcze nigdy tego pytania, odkąd opuścił wioskę rodzinną. Skoro wszakże raz się zjawilo, zrozumiał, że odpowiedź na nie jest teraz dla niego rzeczą najważniejszą. Jakże miał się znowu stać człowiekiem? To tylko chciał teraz wiedzieć.

Wszedł na jakieś schody i nie zważając na ulewny deszcz siadł, aby zastanowić się nad tym pytaniem. Siedział godzinę, dwie i jego mózg pracował tak jak nigdy dotąd.

Chłopiec rozmyślał i zastanawiał się, ale myśli krążyły ciągle w kółko. I im dłużej siedział, tym trudniej mu było znaleźć rozwiązanie.

„Za mało się nauczyłem — pomyślał w końcu. — W każdym razie będę musiał zwrócić się do ludzi. Spytam nauczyciela i doktora, i jeszcze innych uczonych ludzi, a może oni znajdą jaką radę”.

Postanowił uczynić to natychmiast. Wstał, otrząsnął się, był bowiem mokry jak pies po kąpieli.

I nagle ujrzał wielką błotną sowę, siadającą na jednym z drzew przy szosie. Na jej widok odezwała się sowa leśna, siedząca pod dachem:

— Kiwitt, kiwitt, powróciłaś, błotna sowo? Jakże tam było za granicą?

— Dziękuję, leśna sowo, powodziło mi się bardzo dobrze — powiedziała błotna sowa. — Czy w czasie mojej nieobecności zdarzyło się tu u was coś ważnego?

— Tutaj w Blekinge nic, błotna sowo, ale w Skanii zamienił się chłopiec w krasnoludka i powędrował z domowym gąsiorem do Laponii,

— To dziwna nowina, dziwna nowina! I nigdy już nie stanie się z powrotem człowiekiem, leśna sowo? Powiedz, nigdy już nie może wrócić do ludzkiej postaci?

— To tajemnica, błotna sowo. Ale powierzę ci ją. Krasnoludek powiedział: „Jeżeli chłopiec będzie pilnował gąsiora, aby wrócił do domu, i...”

— I co jeszcze, leśna sowo, co jeszcze?

— Poleć ze mną na wieżę kościelną, to dowiesz się wszystkiego. Boję się, że tutaj na drodze może nas ktoś podsłuchać.

I obie sowy odleciały. Ale chłopiec rzucił czapkę wysoko w górę i krzyknął z radością:

— Jeżeli będę czuwał nad gąsiorem, żeby wrócił cały do domu, : wtedy stanę się na nowo człowiekiem. Wiwat! Wiwat! Wtedy stanę się człowiekiem!

Krzyknął: „Wiwat”, a dziwnym sposobem nikt w domu tego nie słyszał, i pobiegł, ile mu sił starczyło, z powrotem do dzikich gęsi na moczary.

SCHODY O TRZECH STOPNIACH

Czwartek, 31 marca

Następnego dnia dzikie gęsi postanowiły lecieć na północ nad okręgiem Allbo w Smålandii i wysłały dwie gęsi — Kaksi i Yksi na zwiady. Gęsi powróciły i oznajmiły, że wszystkie wody tam zamarzły, a wszystkie pola pokryte są śniegiem.

— Pozostańmy więc tu — powiedziały gęsi. — Nie możemy przecież podróżować po kraju, gdzie nie ma ani wody, ani paszy.

— Gdybyśmy tu zostały, musiałybyśmy czekać może przez cały miesiąc — powiedziała Akka, — Lepiej będzie, gdy polecimy na wschód przez Blekinge i spróbujemy, czy nie uda się nam przelecieć nad Smålandią przez okręg Möre, który leży na wybrzeżu i gdzie wiosna przychodzi wcześniej.

Tak się też stało i przez kilka następnych dni chłopiec leciał wraz ze stadem nad Blekinge. Było już jasno, uspokoił się więc i nie mógł pojąć, co go wczoraj wieczorem tak rozdrażniło. Teraz nie myślał już o wyrzeczeniu się podróży do Laponii i związanego z nią swobodnego życia.

Blekinge otoczone było gęstą mgłą i chłopiec nie mógł zapoznać się z krajobrazem tego okręgu, „Chciałbym wiedzieć, czy lecimy teraz nad urodzajną, czy nieurodzajną ziemią” — myślał. I głowił się nad przypominaniem sobie tego, czego się o Blekinge dowiedział w szkole. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie pomoże mu to wcale, bo nie uczył się nigdy niczego porządnie.

I nagle ujrzał przed sobą wyraźnie całą szkołę. Dzieci siedziały w wąskich ławkach i podnosiły palce do góry. Nauczyciel siedział na katedrze i wyglądał na niezadowolonego, a on sam stał przed mapą i miał odpowiadać na pytania o okręgu Blekinge. Nie umiał jednak powiedzieć ani słowa. Z każdą chwilą oblicze nauczyciela pochmurniało coraz bardziej i chłopiec myślał sobie, że nauczyciel traktuje geografie daleko poważniej od innych przedmiotów. Potem zszedł z katedry, odebrał chłopcu pałeczkę i kazał mu wrócić na swoje miejsce.

„To się dobrze nie skończy” — pomyślał chłopiec.

Tymczasem nauczyciel podszedł do okna, wyglądał przez chwilę, a potem zaczął gwizdać, jak to miał zwyczaj czynić, gdy był w dobrym humorze. Wreszcie wrócił na katedrę i powiedział, że opowie chłopcom o okręgu Blekinge.

To zaś, co nauczyciel opowiadał, było tak zajmujące, że chłopiec słuchał uważnie, i teraz przypominał sobie każde słowo.

— Smålandia jest to wysoki dom z jodłami na dachu — zaczął nauczyciel. — Przed domem znajdują się szerokie schody o trzech stopniach. Te schody nazywają się Blekinge.

Z czasem rozszerzyły się one znacznie. Obecnie ciągną się przed domem smålandzkim na szerokości ośmiu mil, a każdy, kto chce przejść tymi schodami do Morza Bałtyckiego, musi wędrować cztery mile.

Zostały one zbudowane bardzo dawno temu. Przeszły dnie i lata, zanim pierwsze schody z kamieni polnych stały się równo ułożoną, wygodną drogą komunikacyjną między Smaiąndią a Morzem Bałtyckim.

Ponieważ schody są już bardzo stare, więc łatwo zrozumieć, że obecnie nie wyglądają tak jak wówczas, gdy były nowe. Nie wiem, jak w tamtych czasach dbano o nie, ale oczywiste jest, że przy takich rozmiarach niesposób było utrzymać je w czystości.

Po kilku latach wyrosły na nich mchy i widłaki. Jesienią spadały na nie zwiędłe liście i plewy, a na wiosnę zasypywały je spadające kamienie i żwir. A że to wszystko leżało nieuprzątnięte, więc w końcu zebrało się na schodach tyle ziemi, że nie tylko trawa i zioła, ale i krzaki, i drzewa zapuściły w nią swe korzenie.

Jednocześnie zaś powstały wielkie różnice między trzema stopniami tych schodów. Najwyższy stopień

położony najbliżej Smålandii tylko w części pokryty jest jałową ziemią i małymi kamykami rosną na nim najwyżej brzezina, czeremcha i jedlina, które są wytrzymalsze na zimno i mają małe wymagania. Przekonać się o tym można najłatwiej, gdy się zobaczy, jak tam w górze wszystko jest ubogie i nędzne, gdy się widzi tę nieurodzajną rolę, małe domostwa i rzadkie kościoły.

Na środkowym stopniu schodów ziemia jest urodzajniejsza i tam zimno nie daje się tak we znaki. Widać to od razu po wyższych drzewach i lepszych ich gatunkach. Rosną tam jesiony i dęby, lipy, leszczyna i brzozy, nie ma zaś wcale drzew iglastych. Jeszcze wyraźniej uwydatniają tę różnicę liczne szosy, piękne domy i wiele kościołów. Jednym słowem, środkowy stopień przewyższa swym wyglądem znacznie stopień najwyższy.

Najlepiej jednak przedstawia się stopień najniższy. Jest on całkowicie pokryty urodzajną ziemią, a w miejscu gdzie styka się z morzem, nie jest wystawiony na zimno. Drzewa kasztanowe, bukowe i orzechowe rosną tu obficie i tak się rozrastają, że sterczą wysoko ponad dachami kościołów. Pola są żyzne, ale ludzie nie żyją wyłącznie z uprawy roli i z wyrębu lasów, lecz zajmują się również rybołówstwem, handlem i żeglugą. Stąd też znajdują się tam najbardziej zbytkowne domy i najpiękniejsze kościoły, a parafie kościelne zamieniły się z czasem w place targowe i miasta.

Wszystko to nie wyczerpuje bynajmniej tego, co można powiedzieć o trzech stopniach schodów. Trzeba bowiem uprzytomnić sobie, że woda, która leje się na dach wysokiego domu, gdy pada deszcz albo topnieje śnieg, musi się gdzieś podziwiać i że przeważnie spływa ona po wielkich schodach w dół. Z początku spływała całą szerokością schodów, ale potem, gdy powstały w nich szczeliny, przyzwyczaiła się do spływania głęboko wyżłobionymi korytami. A że woda jest zawsze wodą, nie zachowywała się więc spokojnie: w jednym miejscu wsiąkała w ziemię i znikła w niej, w drugim zaś obficie wypływała. Koryta rozszerzyła w doliny, brzegi potoków pokryła ziemią, na której wyrosły potem zarośla, krzewy i drzewa w takiej różnorodności i tak gęsto, że zasłaniają niemal zupełnie przepływającą w głębi wodę. Kiedy jednak potoki dostają się na krawędzie stopni schodów, muszą runąć gwałtownie naprzód i wtedy woda tak się burzy, że nabiera sił zdolnych do obracania kamieni młyńskich i maszyn. Toteż z czasem wokoło każdego z tych wodospadów powstały liczne młyny i fabryki.

Ale i teraz nie zostało jeszcze powiedziane wszystko o krainie z trzema stopniami schodów. Trzeba jeszcze wspomnieć o olbrzymie, który mieszkał przed laty w wielkim domu, w Smålandii. Był już stary i gniewało go to, że musi w tak późnym wieku schodzić z wysokich stopni, aby łowić łososie w morzu. Myślał sobie, że byłoby o wiele wygodniej, gdyby łososie przychodziły w górę do niego.

Wszedł więc na dach swego wysokiego domu i zrzucił z niego w morze olbrzymie kamienie. Rzucił je zaś z taką siłą, że kamienie przeleciały ponad całym Blekinge i istotnie wpadły w morze. Tam przestraszyły tak bardzo łososie, że te uciekły z morza, przepłynęły przez potoki w Blekinge, potem przez strumienie i w potężnym skoku uniosły się w górę aż do domu starego olbrzyma.

Jak dalece opowieść ta jest prawdziwa, świadczą liczne wyspy i szkiery¹, które ciągną się wzdłuż wybrzeży Blekinge, a nie są niczym innym, tylko kamieniami rzuconymi niegdyś przez ololbrzyma,

O prawdziwości opowieści świadczy także i to, że łososie wciąż jeszcze przeprawiają się poprzez potoki w Blekinge i wodospady aż do spokojnie płynących wód, aż do Smålandii.

Zaś olbrzym zasłużył sobie na wielką wdzięczność i szacunek ze strony mieszkańców Blekinge, gdyż połowem łososi w potokach i wyłamywaniem kamieni w szkiarach do dnia dzisiejszego wielu ludzi zarabia tam na swoje utrzymanie.

Ani lisowi Mykicie, ani dzikim gęsiom nie śniło się zapewne, że się jeszcze kiedykolwiek mogą spotkać. Tymczasem dzikie gęsi obrały drogę przez Blekinge, a tam właśnie mieszkał lis Mykita. Spędzał on dotąd czas w północnej części tego kraju i był nad wyraz niezadowolony z miejsca swego pobytu. Pewnego popołudnia, kiedy błąkał się w samotnym zakątku lasu, niezbyt oddalonym od rzeki Ronneby, ujrzał nad sobą stado dzikich gęsi. Spostrzegł, że jedna z gęsi była biała, wiedział więc od razu, z kim ma do czynienia.

I natychmiast udał się lis Mykita w pogoń za dzikimi gęśmi, najpierw dlatego, że nęcił go smaczny kąsek, a po drugie, że pragnął zemsty za wszystko, czego doznał od gęsi. Widział, że lecą na wschód w kierunku rzeki, potem zmieniły jednak kierunek i dalej poleciały na południe. Odgadł, że szukają noclegu na brzegu rzeki, i spodziewał się jedną z nich pochwycić.

Ujrawszy, jakie miejsce obrały sobie dzikie gęsi na spoczynek, Mykita zrozumiał, jakie trudności go czekają — schronienie było wyjątkowo bezpieczne.

Rzeka Ronneby nie jest wprawdzie duża i szeroka, słynie jednak z pięknych swych brzegów. Toczy się wśród stromych ścian skalistych, które wystają pionowo z głębi wody i porośnięte są całkowite bluszczem, tarniną, wierzbą, czeremchą, olchą i jarzębiną. W piękny dzień letni trudno sobie wymarzyć coś przyjemniejszego nad jazdę łódką po tej małej rzece i wpatrywanie się w zieleń czepiającą się ostrych skał nadbrzeżnych.

Teraz jednak, kiedy lis Mykita i dzikie gęsi znalazły się nad rzeką, panowało tu jeszcze zimne, ostre przedwiośnie, wszystkie drzewa stały nagie i nikomu by nawet na myśl nie przyszło zastanawiać się, czy brzegi te są piękne, czy brzydkie.

Dzikie gęsi zadowolone były, że spostrzegły pod stromą ścianą wąski pas piasku, dostatecznie duży, aby mogło się na nim pomieścić całe stado. Przed nimi szumiała rzeka, która teraz w czasie topnienia śniegów wezbrała gwałtownie, za sobą miały niedostępne ściany skalne, całkowicie pokryte zwieszającymi się gałęziami. Lepszego miejsca nie mogły sobie obrać.

Mykita stał nad nimi na wzgórzu i patrzył.

— Możesz od razu wyrzec się tych łowów — powiedział sam do siebie. — Z tak stromej góry nie będziesz mógł zejść, przez tak rwącą rzekę nie przepłyniesz, a u podnóża góry nie ma najmniejszego skrawka lądu, po którym byś mógł się przedostać do miejsca noclegu gęsi. Te gęsi są dla ciebie za mądre, Mykito. Nie zadawaj sobie trudu.

Jak zazwyczaj lisom, trudno jednak było Mykicie zrezygnować z przedsięwzięcia. Położył się więc na krawędzi góry i nie spuszcza! oka z dzikich gęsi. Myślał przy tym o wszystkich krzywdach, jakich doznał z ich przyczyny. Tak, ich to była wina, że został wygnany ze Skanii i musiał się chronić w Blekinge, gdzie dotychczas nie widział ani lasu pełnego sarn i apetycznych sarniątek, ani gęsi domowych, ani kurników. Leżał i myśląc o tym rozpalał w sobie taki gniew przeciwko dzikim gęsiom, że życzył im śmierci i zagłady, nawet gdyby się jemu dostać nie miały.

Wtem usłyszał na wielkiej sośnie tuż obok siebie szmer i ujrzał zbiegającą wiewiórkę, gonioną zapalczywie przez kunę. Żadna z nich nie zauważyła Mykity, który zachowywał się zupełnie spokojnie i przypatrywał się tej gonitwie z drzewa na drzewo. Podziwiał wiewiórkę skaczącą tak lekko po drzewach, jak gdyby fruwała. Przyglądał się także kunie, która nie była tak wyćwiczoną gimnastyczką jak wiewiórka, a jednak biegała tak szybko w dół i w górę po gałęziach, jak gdyby były to równe ścieżki leśne.

„Żebyśmy mogli choć w połowie tak zręcznie wdrapywać się na drzewa jak te dwie — myślał lis — to tamte w dole nie spałyby tak spokojnie”.

Gdy polowanie skończyło się i wiewiórka została schwytana, Mykita podszedł do kuny. Na znak, że nie ma zamiaru pozbawiać ją zdobyczy, zatrzymał się o dwa kroki. Pozdrowił kunę bardzo uprzejmie i powinszował jej rezultatu polowania. Mykita wyrażał się bardzo układowie, jak zwykle lisy. Kuna natomiast, która z długim swym, wąskim ciałem, wytworną głową, miękką sierścią i jasnobrunatną plamką na szyi wyglądała na mały cud piękności, była w gruncie rzeczy bardzo nieokrzesanym mieszkańcem lasu. Toteż zaledwie bąknęła coś w odpowiedzi lisowi.

— Jedno mnie tylko dziwi — powiedział Mykita — że taki myśliwy jak ty zadowala się polowaniem na wiewiórki, skoro znaleźć może o wiele lepszą zwierzynę w pobliżu. — Tu zatrzymał się i czekał na odpowiedź, ale gdy kuna nie mówiąc ani słowa wybałuszyła tylko oczy, ciągnął dalej: — Czy to możliwe, abyś nie spostrzegła dzikich gęsi w dole, pod skałą? Albo też może nie potrafisz się tam przedostać?

Tym razem Mykita nie czekał długo na odpowiedź. Kuna rzuciła się na niego z wygiętym grzbietem i nastroszoną sierścią.

— Widziałeś dzikie gęsi? — zasyczała. — Gdzie one są? Powiedz prędko, bo inaczej przegryzę ci gardziel.

— No, no, pamiętaj, że jestem dwa razy większy od ciebie, i bądź trochę grzeczniejsza. Pokażę ci zresztą sam jak najchętniej, gdzie się dzikie gęsi ukrywają.

Po chwili kuna była już na drodze wiodącej w dół do rzeki i Mykita przyglądając się, jak zręcznie przesuwała giętkie ciało z gałęzi na gałąź, myślał:

„Ten piękny myśliwy ma najokrutniejsze serce ze wszystkich stworzeń. Myślę, że dzikie gęsi będą miały krwawe przebudzenie”.

Ale właśnie kiedy Mykita spodziewał się usłyszeć śmiertelne jęki gęsi, zobaczył kunę wpadającą do rzeki z takim impetem, że woda rozprysnęła się wokoło. I zaraz potem rozległ się silny trzepot skrzydeł, i wszystkie gęsi uniosły się w górę.

Mykita chciał popędzić za gęsiami, ale z ciekawości stanął i czekał na powrót kuny. Biedaczka była przemoczona do kości i przystawała od czasu do czasu, żeby potrzeć głowę przednimi łapkami.

— Zaraz sobie pomyślałem, że jesteś głupia i wpadniesz do rzeki — rzekł Mykita pogardliwie,

— Nie zachowałam się wcale głupio i nie zasłużyłam na łajanie — odparła kuna. — Siedziałam już na najniższej gałęzi i układałam sobie, jakim sposobem uśmiercić od razu dużo gęsi, kiedy nagle maleństwo jakieś, niewiększe od wiewiórki, pojawiło się przede mną i z taką siłą rzuciło kamieniem w moją głowę, że wpadłam do wody, i zanim się z niej znowu wy dostać zdołałam...

Kuna mogła zamilknąć. Nie miała już słuchacza. Mykita pędził za gęsiami.

Tymczasem Akka poleciała na południe szukać nowego noclegu.

Świeciły jeszcze resztki brzasku dziennego, a półksiężyc wszedł już na niebo. Na szczęście orientowała się bardzo dobrze w okolicy, gdyż nieraz się zdarzało, że gęsi, lecące wiosną nad Bałtykiem, obierały drogę przez Blekinge.

Leciała więc nad rzeką, dopóki ta jaśniała przed nią w księżycowym świetle niby czarny, lśniący wąż. Tak dotarła aż w dół do wodospadu, gdzie rzeka znika w podziemnym korycie, a potem jasna i przezroczysta, jak gdyby szklana, wpada do wąskiej zatoki i na jej dnie rozpryskuje się w błyszczące krople i śnieżną pianę. Obok tego wodospadu leżało kilka głazów, a woda obijała się o nie z głośnym hukiem.

To miejsce obrała sobie Akka na spoczynek i trafiła dobrze, późnym bowiem wieczorem, gdy już ludzie wtedy nie przechodzili, było tu wyjątkowo bezpiecznie. Przed zachodem słońca nie mogłyby się gęsi tutaj schronić, gdyż wodospad nie leżał bynajmniej w bezludnej okolicy. Z jednej strony wznosi się tam

wielka papiernia, a po drugiej, zarośniętej drzewami, ciągnie się park, w którym ludzie bezustannie przechadzają się po ustronnych ścieżkach, zachwycając się głośnym szumem burzliwego potoku.

Dzikim gęsiom przychodziło co prawda na myśl, że niebezpiecznie jest spać na śliskich, mokrych kamieniach w samym wirze potoku, który mógłby przybrać i porwać je z sobą, wystarczyło im jednak, że czuły się zabezpieczone od drapieżnych zwierząt

Tymczasem po pewnym czasie lis Mykita zjawił się i tutaj. Ujrzawszy gęsi, stojące wśród spienionych fal potoku, pojął natychmiast, że się znów do nich nie dostanie. Poczuł się bardzo upokorzony, bo zdawało mu się, że od łowów tych zależy jego sława myśliwska.

Nagle, pogrążony w rozmyślaniach, spostrzegł wypływającą z wody wydrę z rybą w pysku. Mykita podszedł do niej, lecz zatrzymał się o dwa kroki na znak, że nie chce jej zabierać zdobyczy.

— Dziwne z ciebie stworzenie — rzekł. — Wystarczają ci ryby, a mogłabyś mieć tyle gęsi, ile zapragniesz.

Mykita był taki podniecony, że nie zadał sobie nawet trudu doblerania wyrażenia, jak to zwykle czynił. Wydra nie odwróciła wcale głowy w stronę rzeki.

— Nie pierwszy raz się spotykamy, lisie Mykito! — zawołała.

Była ona włóczęgą, jak wszystkie wydry, i wyprawiała się często nad to samo jezioro, nad którym przebywał Mykita.

— Znam twoje sposoby polowania na pstrągi.

— Ach, to ty, Pływaczko! — zawołał uradowany Mykita, wiedział bowiem, że wydra odważnie i zręcznie pływa. — Teraz się nie dziwię, że nie zwracasz uwagi na dzikie gęsi, bo wiesz z góry, że się do nich nie dostaniesz,

Ale wydra, która miała błony między palcami nóg, sztywny ogon, służący jej za wiosło, i futro, przez które woda nie przenika, nie chciała uchodzić za niedołęgę.

Zwróciła się więc w stronę potoku i spostrzegłszy dzikie gęsi rzuciła się prosto do rzeki.

Gdyby w parku nuciły już słowiki, opiewałyby zapewne przez wiele nocy walkę wydry z prądem wodnym.

Fale bowiem wielokrotnie odrzucały wydrę i porywały ją w głąb, ale ona wydobywała się raz po raz i podpływała coraz bliżej do wielkich kamieni, na których spały gęsi. Było to niebezpieczne przedsięwzięcie, zasługujące niewątpliwie na uczczenie w pieśni słowiczej,

Mykita wodził oczyma za wydrą. Widział, że zbliża się coraz bardziej do gęsi i wkrótce będzie mogła jedną z nich porwać. Ale nagle wydra krzyknęła ostrym i przenikliwym głosem. Mykita ujrzał, że tylną częścią ciała pograżyła się w wodzie, która ją porwała jak młode, ślepe kocię. W tejże samej chwili gęsi zatrzepotały skrzydłami, rozwinęły je szeroko i odleciały, szukając nowego miejsca spoczynku.

Niebawem wydra zjawiła się na brzegu. Milczała liżąc przednią łapę. Dopiero kiedy Mykita zaczął kpić z jej niepowodzenia, wybuchnęła gniewem:

— To nie wina mojej nieumiejętności pływania, Mykito! Byłam już blisko gęsi i byłabym się do nich z pewnością dostała, gdyby nie małe jakieś lichy, które wyskoczyło skądś i ukłuło mnie ostrym żelazem w nogę. Zabolało mnie tak, że utraciłam przytomność i dałam się porwać prądowi.

Wydra nie zdążyła dokończyć, gdyż Mykita rzucił się w pogoń za dzikimi gęsiami.

Akka ze swym stadem po raz trzeci tej nocy ratowała się ucieczką. Na szczęście księżyc świecił jeszcze i przy jego blasku udało się jej znaleźć odpowiedni nocleg. Poleciała znów na południe wzdłuż rzeki. Wiedziała, że tam właśnie znajduje się miejscowość kuracyjna Ronneby z zakładem kąpielowym, wielkimi hotelami i mieszkaniem letnimi dla kuracjuszy. Wszystko to stoi w zimie pustką, o czym wiedzą ptaki w okolicy, więc podczas mrozów i burz całe ich stada szukają schronienia na balkonach i werandach wielkich budynków.

Tutaj gęsi osiadły na jednym z balkonów i swoim zwyczajem zasnęły natychmiast. Chłopiec nie spał, gdyż bał się chować w nocy, pod skrzydło gąsiora. Gdy bowiem leżał wtulony w puch i pierze, nic nie widział i nie słyszał, nie mógł więc czuwać nad bezpieczeństwem białego gąsiora, co było teraz dla niego zadaniem najważniejszym. Jak to dobrze, że nie spał tej nocy, inaczej nie mógłby odpędzić ani kuny, ani wydry. Niech tam! Lepiej przecież wyrzec się snu. Nie wolno mu już teraz myśleć o sobie, lecz przede wszystkim o gąsiorze!

Chłopiec siedział na balkonie, z którego roztaczał się widok na morze. Spać nie mógł, a że miał przed sobą morze, jego zatoki i cieśniny, musiał więc mimo woli myśleć o tym, jak piękne jest to zetknięcie się morza z lądem.

Widział już, że morze graniczy z lądem w rozmaity sposób. W wielu miejscach ląd schodził w morze płaskimi pagórkami, a morze słało mu naprzeciw sypki piasek, który układał się w wały i góry, tak jak gdyby morze z ziemią nienawidziły się i chciały sobie pokazać tylko to, co posiadają najgorszego. Bywało także, że ląd wznosił wał gór przed morzem, idącym mu naprzeciw, a wówczas morze biło bałwanami o skały nadbrzeżne, smagało je, biczowało, parskalo pianą i zdawało się, że chce zniszczyć i znieść wszystkie te wzgórza.

Lecz tutaj w Blekinge morze łączyło się z lądem zupełnie inaczej. Ląd dzielił się na przylądki, wyspy i półwyspy, a morze rozlewało się w fiordy, zatoki i cieśniny i dlatego wydawało się, jakoby ląd łączył się z morzem zgodnie i spokojnie.

Teraz chłopiec myślał przede wszystkim o morzu. Roztaczało się takie samotne, potężne i nieskończone i szumiało bezustannie szarymi falami. Kiedy zbliżało się do lądu i natrafiało na pierwszą wyspę, zalewało ją, ogołacało z zieleni i zostawiało ją szarą i nagą. A potem natrafiało na drugą wyspę i pozbawiało ją również wszystkiego, co na niej rośło.

To samo działo się z następną wyspą i ze wszystkimi innymi. Wszystkie wyspy były spustoszone jak gdyby zbójceckimi rękami. Im dalej jednak, tym gęściej mnożyły się szkiery, niby małe dzieciątka, które ląd posyłał morzu, aby je ułagodziły i udobruchały. Toteż, przybliżając się, morze stawało się coraz łagodniejsze, coraz niżej toczyło swe fale, coraz bardziej ucinając bałwany, pozostawiało zielen w szczelinach i na wybrzeżach, rozbijało się na małe zatoki i cieśniny, przy samym zaś brzegu było już tak ciche, że nawet małe łodzie ośmielały się wypływać na łagodną toń. W końcu morze nie poznawało zapewne samo siebie.

A potem chłopiec myślał o ziemi. Ciągnęła się ona poważna i wszędzie jednakowa. Tworzyły ją albo płaskie pola, między którymi leżały tu i ówdzie otoczone brzoza pastwiska, albo też rozległe, lasem porośnięte grzbiety górskie. Leżała tak, jak gdyby myślała tylko o owsie, o marchwi i o kartoflach, o sosnach i o jodłach. A kiedy zatoka morska wrzynała się głęboko w ląd, ziemia nie robiła sobie nic z tego, otaczała wodę brzoza i osinami zupełnie tak, jak gdyby to było spokojne jezioro. I to samo czyniła z każdą następną zatoką. Tyle że zatoki zaczynały się rozszerzać i dzielić, przerzynały pola, lasy, i ląd musiał wreszcie liczyć się z tym.

— Zdaje mi się, że morze naprawdę idzie na moje spotkanie — rzekła ziemia i zaczęła się szybko przystrajać. Więc umiała się kwieciem, przybrała falisty kształt i wysunęła nawet małe wyspy w głąb morza. Nie chciała już znać sosny i świerka i odrzuciła je, jak znoszone suknie codzienne, przystroiła się natomiast w dęby, lipy, kasztany, w kwietne łąki i cieniste gaje. I gdy tak przystrojona zetknęła się znów z morzem, była tak zmieniona, że sama siebie nie poznawała.

Z tych myśli wyrwało nagle chłopca długie, przeciągłe wycie. Porwał się i zobaczył na trawniku pod balkonem lisa stojącego w jasnym blasku księżyca. Był to Mykita, który i tutaj przywłókł się za gęśmi. Ale gdy zobaczył miejsce, w którym się schroniły, przekonał się, że i teraz nie udała mu się wyprawa, i wskutek tego zawył głośno z wściekłości.

Wycie zbudziło starą Akkę, Chociaż prawie nic w ciemnościach nie widziała, poznała jednak po głosie lisa Mykitę.

— Czy to ty, Mykito, włóczysz się po nocy? — zapytała,

— Tak — odpowiedział Mykita. — To ja. Chciałem się was spytać, jak wam służy ta noc, którą wam przygotowałem.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że to ty poszczułeś na nas wydrę i kunę? — zapytała Akka.

— Dobrego czynu nie należy się zapierać — rzekł Mykita, — Wyście niegdyś, dzikie gąseczki, poswawoliły sobie ze mną, a dziś ja wam pokażę, jak to się lisy zabawiają. Ani myślę skończyć z wami, dopóki choć jedna z was pozostanie żywa, gdybym nawet miał gonić was po całym kraju.

— Mógłbyś się jednak zastanowić nad tym, Mykito, czy to wypada rzucać się na nas, bezbronne, tobie, uzbrojonemu w zęby i pazury — rzekła Akka.

Mykita sądząc, że Akka się zlekła, zawołał szybko:

— Jeśli ty, Akko, zrzucisz mi małego Paluszka, który mi tak dokuczył, to zawrę pokój z wami i żadnej nie uczynię nic złego.

— Paluszka ci nie oddam — oświadczyła Akka. — Każda z nas, od najmłodszej do najstarszej, oddałaby za niego z chęcią życie.

— Jeśli go tak kochacie — rzekł Mykita — to on będzie pierwszym, którym nasycę swoją zemstę — oto, co wam przyrzekam!

Akka nie odpowiedziała już na to nic. Mykita zawył jeszcze kilka razy, a potem nastała cisza. Chłopiec nie spał, patrzył przez poręcz balkonu na szkiery. Przed chwilą miał takie przyjemne i wesołe myśli! Krążyły mu po głowie niby taniec i śpiew. Zapragnął, aby wróciły. Teraz nie mógł już patrzeć na krajobraz tym samym wzrokiem, co poprzednio, piękne myśli nie chciały powrócić. Zrozumiał, że piękne myśli są płochliwe i nietrwałe i że nienawiść i niezgoda płoszą je natychmiast.

1 Szkiery — ostre skały nadmorskie ciągnące się wzdłuż wybrzeży skandynawskich.

KARLSKRONA



Sobota, 2 kwietnia

Był wieczór i nad miastem Karlskrona jasno świecił księżyc. Było ciepło i pięknie, tylko że w dzień padał deszcz i szalała wichura i dlatego mało kto śmiał wyjść na ulicę.

Nad cichym miastem przelatywała dzika gęś Akka ze swym stadem. Była ona jeszcze w drodze, gdyż gęsi chciały sobie wynaleźć na szkiełach bezpieczne miejsce na spoczynek. Na lądzie nie mogły zostać, ponieważ obawiały się lisa Mykity.

Chłopcu, spoglądającemu z góry na morze i szkiery, wydawało się wszystko dziwnie przerażające i upiorne. Niebo nie było już błękitne, lecz roztaczało się nad morzem niby sklepienie z zielonego szkła. Morze miało barwę mlecznobiałą i, jak okiem sięgnąć, toczyło się małymi, białymi falami, lśniąc srebrzystą pianą. Na tle tej bieli odbijały wyspy, czarne jak noc, o rozmaitych kształtach. Małe czy duże, pokryte łakami albo też nagimi skałami — wszystkie były teraz jednakowo czarne. Tak, nawet domy mieszkalne i kościoły, i młyny, zazwyczaj białe lub czerwone, rysowały się teraz czarno na zielonym niebie. Chłopiec miał wrażenie, że ziemia pod nim została zaczarowana i że przebywa teraz w zupełnie innym świecie. Postanowił sobie jednak, że tej nocy będzie dzielny i nie będzie się niczego bał.

Nagle zobaczył coś, co go przejęło strachem. Była to górzysta wyspa, którą pokrywały wielkie, ostre złomy skalne, a między tymi czarnymi skałami iskrzyły się plamy lśniącego złota. Wspomniał mimo woli o złocie, które czarodziej Ljungby kładł niekiedy na wysokie kamienne kolumny, i zapragnął teraz wiedzieć, czy był to podobny widok.

Z owymi kamieniami pogodziłby się jeszcze, gdyby wokoło wyspy nie roiły się wielkie potwory morskie, podobne do wielorybów lub rekinów. Chłopiec pewny był, że to duchy morza, które zebrały się tutaj z zamiarem wydostania się na ląd dla walki z duchami ziemi. A olbrzymy ziemskie bały się pewnie, gdyż chłopiec widział jednego, który stał na szczycie wyspy i łamał ręce z rozpaczy nad nieszczęściem, jakie nawiedziło jego wyspę.

Malec przestraszył się, gdy zauważył, że Akka chce spuścić się właśnie na tę wyspę.

— Ach nie, ach nie! — zawołał. — Przecież tu nie możemy nocować!

Ale gęsi opuszczały się coraz niżej i teraz chłopiec zdumiał się, że mógł ulec takiemu złudzeniu.

Wielkie złomy kamienne były domami. Cała wyspa była miastem, błyszczące złote punkty — latarniami i szeregami oświetlonych ckien. Olbrzym, stojący wysoko na górze, był to po prostu kościół z dwiema wieżami, a wszystkie te potwory morskie i wszyscy ci czarownicy — to były łodzie i wielkie statki zarzucające kotwice. Po stronie wyspy zwróconej ku lądowi stały pancerniki: niektóre z ogromnymi kominami, inne długie i wąskie, pływające po wodzie jak ryby.

Jakie to mogło być miasto? Nie trudno było chłopcu domyślić się tego na widok tych wszystkich okrętów wojennych w porcie. Obawiał się on zawsze okrętów, jakkolwiek miał do czynienia tylko z małymi żaglowcami, które sam puszczał na stawie wioskowym. Wiedział dobrze, że miastem tym, otoczonym okrętami wojennymi, mogła być tylko Karlskrona.

Dziadek chłopca był dawniej marynarzem na okręcie wojennym i do końca życia opowiadał co dzień o Karlskronie, o wielkim porcie i o tym wszystkim, co było tam godne widzenia. Chłopiec więc ucieszył się, że może teraz zobaczyć wszystko, o czym tyle słyszał.

W przelocie tylko ujrzał wieżę i fortecę, zamykające port, oraz wysokie budowle, gdyż Akka spuściła się właśnie na jedną z wież kościelnych.

Było to istotnie miejsce zabezpieczone przed pogonią lisa i chłopiec pytał sam siebie, czyby też nie spróbować drzemki pod skrzydłem gąsiora. Tak, mógł sobie na to pozwolić i dobrze mu to robi, gdy prześpi się trochę. Nazajutrz dopiero obejrzy dokładniej port i okręty.

Nie mógł jednak spać spokojnie i w ten sposób doczekać rana. Nie upłynęło pięć minut, gdy wymknął się spod skrzydła gąsiora i zsunął po piorunochronie i po rynnach na ziemię.

Wkrótce stanął na wielkim placu targowym, znajdującym się przed kościołem. Plac zabrukowany był okrągłymi, nierównymi kamieniami, po których tak trudno było chodzić naszemu malcowi jak dużym ludziom po błoni zasypanym grudami ziemi. Ludzie, mieszkający w pustej okolicy albo też na głuchej wsi, czują zazwyczaj pewien lęk, gdy przybywają do miasta, gdzie stoją wysokie kamienne domy i gdzie są same rozległe ulice i place.

Tak bywa z dużymi ludźmi. Można więc sobie wyobrazić, co się działo z Paluszkim. Gdy stanął na placu targowym Karlskrony, zobaczył ratusz i katedrę, z której dachu dopiero co zszedł. Zapragnął wrócić na górę do dzikich gęsi. Na szczęście plac był zupełnie pusty. Nie było widać ani jednego człowieka. Stał tam tylko pomnik przedstawiający wielkiego męża w trójkątnym kapeluszu i długim surducie. Chłopiec przyglądał mu się uważnie, bo chciał wiedzieć, kim mógł być ów jegomość z długim kijem w ręku i taką surową twarzą o długim, jastrzębim nosie i brzydkich ustach.

— Co ta krzywa gęba tutaj robi? — zapytał Paluszek.

Jeszcze nigdy nie czuł się takim małym i nędznym jak tego wieczoru. Próbował więc dodać sobie otuchy zuchwałymi słowami.

Potem zapomniał o pomniku i skręcił w szeroką ulicę, prowadzącą do morza. Niebawem usłyszał, że ktoś idzie za nim. Odgłos kroków dochodził od strony placu targowego. Stąpania po bruku były ciężkie, jak gdyby wielki mąż ze spiżu, który stał na placu, udał się na spacer. Chłopiec zaczął nasłuchiwać biegnąc dalej ulicą i coraz bardziej nabierał przekonania, że musi to być człowiek ze spiżu. Ziemia drżała, domy się trzęsły — nikt inny nie mógł tak stąpać... Chłopiec zląkł się, przypominając sobie poprzednie zuchwałe słowa. Nie śmiał odwrócić głowy dla przekonania się, czy to naprawdę on.

„Może udał się tylko na przechadzkę dla własnej przyjemności — pocieszał się chłopiec — a moich słów wcale nie słyszał? Zresztą nie myślałem przecież nic złego”. zamiast iść prosto przed siebie, chłopiec skręcił w ulicę na prawo. Chciał za wszelką cenę ujść przed tą pogonią.

Po chwili jednak usłyszał, że idący za nim skręcił w tę samą ulicę. Wtedy przestraszył się tak bardzo, że nie wiedział po prostu, co z sobą zrobić. Trudno przecież znaleźć kryjówkę w mieście, w którym

wszystkie drzwi są zamknięte na klucz. Wtem po prawej stronie ujrzał stary, zbudowany z drzewa, stojący nieco na ustroniu kościółek, otoczony zadrzewionym cmentarzem. Nie namyślając się ani chwili, rzucił się w stronę kościółka.

„Gdybym się tylko mógł tam dostać, umknę z pewnością przed niebezpieczeństwem”.

Pędząc, zobaczył człowieka, który stał na drodze i kiwał na niego.

„To pewnie ktoś, co mi chce pomóc” — pomyślał chłopiec. Uczyniło mu się lżej na sercu i podbiegł do owej postaci. Ale gdy stanął przed nią — osłupiał. „Ten chyba nie mógł kiwać na mnie” — pomyślał, gdyż teraz dopiero zobaczył, że człowiek ów zrobiony był z drzewa i stał wśród uliczki cmentarnej na małej podstawie.

Chłopiec stanął przed ową figurą i przyglądał się jej. Był to barczysty chłop na krótkich nogach, z szeroką, czerwoną twarzą, o czarnych włosach i kruczej brodzie. Na głowie miał czarny, drewniany kapelusz, ubrany był w brązowy, drewniany surdut, szerokie szare, drewniane spodnie i czarne, drewniane buty. Był zresztą świeżo pomalowany i polakierowany i błyszczał w świetle księżycowym. Wyglądał tak dobrodusznie, że chłopiec nabrał od razu zaufania. Obok niego przytwierdzona była drewniana tablica, na której chłopiec przeczytał:

*Pokornie błagam i proszę,
Choć mówić nie umiem wcale:
Wspomóżcie i dajcie mi grosze,
A sercem was wdzięcznym pochwałę.*

Ach, tak! Teraz chłopiec zrozumiał: człowiek ten był tylko drewnianą skarbonką dla ubogich. Przypomniał też sobie, że dziadek opowiadał mu o takim drewnianym człowieku, który stoi od najdawniejszych czasów na cmentarzu w Karlskronie i jest ulubieńcem wszystkich dzieci. Istotnie trudno było rozstać się z drewnianym człowiekiem. Miał w sobie coś tak staroświeckiego, jakby pochodził sprzed stu lat, jednocześnie wyglądał na silnego, dzielnego i pełnego życia, jak to bywali ludzie w dawnych czasach.

I tak się chłopiec zajął drewnianym człowiekiem, że zapomniał zupełnie o tym, przed którym uciekał. Ale naraz usłyszał go ponownie. Aha, więc i ten zboczył z ulicy i dąży ku cmentarzowi! Nawet tutaj trafił za nim! Gdzieby się tu schować? Właśnie w tej chwili zauważył, że drewniany jegomość skłonił się i wyciągnął szeroką swą dłoń. Wzbudzał tyle zaufania, że chłopiec stanął jednym susem na jego wyciągniętej dłoni. A „drewniany” podniósł go i schował pod kapelusz. Zaledwie chłopiec zdążył się ukryć, zaledwie „drewniany” opuścił rękę, gdy już stanął przed nim „spiżowy” i tak silnie uderzył kijem o ziemię, że „drewniany” zadrżał na swojej podstawie. Po czym „spiżowy” zapytał głośnym, metalicznym głosem:

— Kim jesteście?

„Drewniany” podniósł rękę do kapelusza, aż zatrzeszczało stare drzewo, i odpowiedział:

— Rozenbom, do usług waszej królewskiej mości. Dawniej sternik okrętu „Odwaga”, po skończonej służbie wojskowej klucznik w katedrze miejskiej, wreszcie wyrzeźbiony z drzewa i postawiony na cmentarzu jako skarbonka dla ubogich.

Paluszek zląkł się, gdy usłyszał, że drewniany człowiek mówi „wasza królewska mość”. Teraz dopiero pomyślał sobie, że posąg na placu miejskim musiał wyobrażać założyciela miasta. Nie mógł to więc być nikt inny, tylko Karol XI.

— Potraficie się wylegitymować! Możecie mi też pewnie powiedzieć, czy nie widzieliście małego chłopca włóczącego się dzisiejszej nocy po mieście? Zuchwały to smyk i niech no go tylko spotkam, a

nauczę go rozumu! — Przy tym uderzył jeszcze raz kijem w bruk i spojrzał groźnie.

— Do usług waszej królewskiej mości, widziałem go — rzekł „drewniany”.

Chłopiec siedział skurczony pod kapeluszem i przez szparę w drzewie widział „spiżowego”; zaczął więc drżeć ze strachu. Ale uspokoił się znowu, gdy „drewniany” mówił dalej:

— Wasza królewska mość jest na złej drodze. Chłopiec podążył zapewne do warsztatów okrętowych, żeby się tam ukryć.

— Tak sądzicie, Rozenbom? No to zejździe ze swego podnóżka i chodźcie ze mną pomóc mi szukać malca. Czworo oczu lepiej widzi niż dwoje, Rozenbom.

Ale „drewniany” odpowiedział lamentującym głosem:

— Prosiłbym pokornie o pozwolenie pozostania na miejscu. Wyglądam zdrowo i błyszcząco, bo mnie świeżo pomalowano, ale w środku jestem stary i nie mogę znieść żadnego poruszenia.

„Spiżowy” należał widocznie do tych, którzy nie uznają żadnego oporu.

— Cóż to za kaprysy? Niech no Rozenbom idzie tu! — wyciągnął swój długi kij i wymierzył nim „drewnianemu” mocne uderzenie w plecy. — No co, widać, że jednak możecie znieść, Rozenbom!

Nie pomógł opór, obaj ruszyli naprzód i powędrowali przez ulice Karlskrony, aż zaszli do wielkiej bramy, prowadzącej do warsztatów okrętowych. Stał przed nią marynarz na warcie, ale „spiżowy” przeszedł mimo niego i pchnął drzwi.

Ujrzeni przed sobą port z drewnianymi pomostami. Wszędzie widać było okręty wojenne, które z bliska wydawały się jeszcze większe i bardziej przerażające niż z daleka.

„Nie bardzo się omyliłem, gdy mi się wydawały »potworami morskimi« — pomyślał Paluszek.

— Jak wam się zdaje, gdzie mamy najpierw szukać chłopca, Rozenbom? — zapytał „spiżowy”.

— Taki smyk schował się z pewnością w sali modeli — odrzekł „drewniany”.

Na wąskim skrawku lądu, który leżał po prawej stronie portu, wznosiły się starożytne budowle. „Spiżowy” podszedł do domu o niskich murach, czworokątnych oknach i spadzistym dachu. Uderzył laską w drzwi tak silnie, że te odskoczyły, i wpadł na schody. Weszli potem do wielkiej sali napęłnionej mnóstwem statków z żaglami i bez żagli. Chłopiec domyślił się, że to są modele okrętów budowanych dla floty szwedzkiej.

Były tu rozmaite rodzaje statków; dawne okręty z armatami, o masztach okręconych żaglami i linami; dalej małe łodzie z ławeczkami dla wiosłarzy, szalupy i bogato złożone fregaty, którymi się królowie posługiwali w podróżach, i wreszcie, używane obecnie, ciężkie, szerokie pancerniki z kartaczownicami na pokładzie oraz smukłe, lśniące torpedowce, wyglądające jak długie ryby.

Chłopiec zdumiony był tym widokiem.

„Że też u nas w Szwecji budują takie wielkie i wspaniałe okręty!” — pomyślał.

Miał dość czasu na oglądanie tych dziwów, bo „spiżowy” na widok modeli zapomniał o bożym świecie. Oglądał wszystkie po kolei, od pierwszego do ostatniego, i kazał sobie objaśniać. A Rozenbom, sternik okrętu „Odwaga“, opowiadał wszystko, co wiedział: kto budował te okręty, kto nimi dowodził i jaki los je spotkał. Opowiadał o słynnych dowódcach: Chapmannie i Puku, o Trollu, Hoglandzie i Svensksundzie. Skończył opowiadanie na 1809 roku, od którego nie był już świadkiem dalszych wydarzeń.

Jemu i „spiżowemu” podobały się najbardziej okręty budowane z drzewa. Na nowoczesnych pancernikach nie znali się wcale.

— Widzę, że o tych nowych okrętach nic nie wiecie, Rozenbom — powiedział „spiżowy”, — Pójdziemy więc dalej i obejrzymy co innego, gdyż bardzo mi się tu podoba, Rozenbom.

Nie myślał już o tym, żeby szukać chłopca, a malec czuł się pod drewnianym kapeluszem całkowicie pewnie i bezpiecznie.

Obaj mężowie szli teraz przez wielkie warsztaty: przez szwalnię, gdzie szyto żagle, przez kuźnię, gdzie kuto kotwice, przez hale maszyn i stolarnie. Oglądali wysokie doki, wielkie składy, arsenał, duży warsztat powroźniczy i wielki, opuszczony dok, wydrążony w skale. Wyszli na pomosty, do których przymocowywano okręty, wchodzili na pokłady okrętów i oglądali je. Jak dwa wilki morskie pytali i ganili, chwalili i gniewali się.

Chłopiec siedział bezpiecznie pod drewnianym kapeluszem i słuchał opowiadania o tym, jak tu pracowano, aby zbudować wszystkie te okręty. Słuchał, jak poświęcano życie i majątki, jak ludzie, obdarzeni talentem i wiedzą, ofiarowywali wszystkie swe siły dla zbudowania tych statków, które służyły lub kiedyś służyły obronie bezpieczeństwu ojczyzny, jej chwale i rozwojowi. Chłopcu podczas tych opowiadań zakreśliły się parę razy łzy w oczach ze wzruszenia i cieszył się, że nabył tyle dokładnych wiadomości o tym wszystkim,

W końcu weszli na podwórze, gdzie ustawione były figury odtwarzające kupców, którzy odbywali ongi podróże na starych statkach kupieckich.

Nic osobliwszego nie zdarzyło się chłopcu widzieć dotychczas.

Figury te miały wielkie, przerażające oblicza, dzikie i męzne, przejęte tym samym duchem odwagi, który stworzył te wielkie okręty. Inne to były czasy i inni ludzie. Chłopcu zdawało się, że zmałał skurczył się jeszcze bardziej.

A „spiżowy” zwrócił się do „drewnianego” z takimi słowami:

— Zdejmijcie kapelusz przed tymi, którzy tu stoją, Rozenbom! Oni wszyscy służyli ojczyźnie.

A „drewniany”, który również, jak i „spiżowy”, zapomniał o celu wędrówki do warsztatów, zdjął kapelusz bez chwili namysłu i zawołał:

— Zdejmuję kapelusz przed tym, który zbudował ten port, położył kamień węgielny pod budowę warsztatów i stworzył wielką flotę — przed królem, który to wszystko powołał do życia.

— Dzięki, Rozenbom! To było dobrze powiedziane. Jesteście dzielnym człowiekiem, Rozenbom. Ale cóż to tam macie na głowie, Rozenbom?

Nils Holgerson stał na łysej czaszce Rozenboma. Ale teraz nie bał się już. Rzucił białą swą czapkę w górę i krzyknął:

— Wiwat, krzywa gęba!

Krzyknął tak głośno, że się obudził. I spostrzegł z wielkim zdziwieniem, że wszystko to śniło mu się i że wciąż jeszcze siedzi z dzikimi gęsiami na dachu katedry.

PODRÓŻ NA WYSPĘ ÖLAND



Niedziela, 3 kwietnia

Następnego ranka dzikie gęsi poleciały na szkiery szukać pożywienia. Spotkały tam kilka znajomych gęsi, które, pamiętając zwyczaj swych rodaczek obierających zwykle inną zupełnie drogę, zdziwiły się ogromnie i dopytywały, co by je tu mogło przywieść.

Opowiedziały więc im dzikie gęsi wszystkie swoje przygody z lisem Mykitą. Na to odrzekła jedna z gęsi ze spotkanego stada, która zdawała się być równie stara i równie mądra jak Akka:

— Wielkie to nieszczęście dla was, że lis został wypędzony z własnego kraju. Teraz dotrzyma z pewnością słowa i będzie was prześladował aż do Laponii. Gdybym była na waszym miejscu, nie leciałabym na północ przez Smålandię, lecz nałożyłabym drogi przez wyspę Öland, aby zmylić ślady. Jeśli chcecie ująć przed Mykitą, musicie spędzić kilka dni w południowej części wyspy. Znajdziecie tam dość pożywienia i nie zabraknie wam dobrego towarzystwa. Nie pożałujecie!

Rada podobała się gęsiom i postanowiły pójść za nią. Kiedy więc posiliły się dostatecznie, zabrały się w drogę na wyspę Öland. Żadna z nich nie była tam nigdy, ale krewniaczki wskazały im drogę. Miały więc lecieć w kierunku południowym i dogonić wielką gromadę ptaków, lecącą nad wybrzeżem Blekinge. Wszystkie ptaki, które zimują nad Morzem Północnym, a lato spędzają w Rosji

Finlandii, obierają tę drogę i zawsze odpoczywają na wyspie Öland.

Nie trudno więc będzie dzikim gęsiom dowiedzieć się, jak mają lecieć.

Tego dnia wiatr nie wiał, powietrze było ciepłe jak latem, trudno więc było wymarzyć sobie lepszą pogodę do podróży morskiej. Jedno tylko budziło wątpliwości: zachmurzone, szare niebo. Włóczyły się po nim tu i ówdzie wielkie chmurzyska, które sięgały powierzchni, morza i zasłaniały horyzont. Gdy podróżnicy wydostali się nad szkiery, ujrzeni przed sobą morze o tak zwierciadlanej toni, że chłopiec, który przypadkowo spojrział w dół, pomyślał, że woda zniknęła. Wokoło widział tylko obłoki i niebo. Prerażony, uczeplił się mocno gąsiora, jak wówczas gdy dosiadł go po raz pierwszy. Miał uczucie, że nie będzie się mógł utrzymać w górze, że się przechyli i spadnie.

Jeszcze straszniej stało się, gdy gęsi spotkały się z owymi wielkimi gromadami lecących ptaków, o

których wspomniała stara gęś. Jedna gromada leciała za drugą, a wszystkie dążyły w tym samym kierunku. Były tam dzikie kaczki i dzikie gęsi, mewy i nurzyki, cierniogłowy i łodówki, zębatki i nurki, sroki morskie i ciecioriki.

Gdy chłopiec teraz wychylił się i spojrział w dół, tam gdzie powinno było być morze, ujrzał całą tę armią ptasią odbijającą się w wodzie. Był tak zmieszany, że wcale nie rozumiał, co widzi. Zdawało mu się, że wszystkie ptaki lecą grzbietami na dół. Lecz nie dziwiło go to już, gdyż nie był w stanie odróżnić tego, co było w górze, od tego, co było w dole.

Znużone ptaki pragnęły przede wszystkim dostać się jak najprędzej na wyspę. Żaden z nich nie wołał ani nie żartował, co wydawało się chłopcu także nadzwyczaj dziwne.

— A może opuściliśmy już ziemię? — pyta! siebie. — A może lecimy teraz prosto do nieba?

Wokoło widział tylko obłoki i ptaki i w końcu uwierzył, że leci naprawdę do nieba. Pozbył się zawrotu głowy, a myśl, iż opuszcza ziemię i leci do nieba, wydawała mu się cudowna.

Nagle usłyszał huk głośniego wystrzału i ujrzał parę małych obłoczków dymu.

W tej samej chwili wśród ptaków powstał wielki niepokój.

— Strzelcy, strzelcy! Strzelcy na łodziach! — wołały. — Lećcie wyżej! Lećcie wysoko, w górę! W górę, poza zasięg strzału!

I chłopiec przekonał się, że ciągle jeszcze lecą nad morzem, a do nieba jest bardzo daleko. Wokoło na wodzie ciągnęły się długim szeregiem łodzie i z nich strzelcy ślali w górę jeden wystrzał za drugim. Gromady ptaków na przodzie nie zauważyły tej zasadzki leciały za nisko. Toteż sporo martwych ciał spadło już w morze, a każdemu spadającemu ptakowi towarzyszyły głośnie, lamentujące okrzyki żalu pozostałych.

Chłopiec, przebudzony ze snu o niebie, przeraził się niewymownie. Akka leciała dobywając wszystkich sił, a za nią ciągnęło z pośpiechem jej stado. Udało się więc dzikim gęsiom ujść cało zdrowo, chłopiec jednak długo jeszcze nie mógł ochłonąć ze zdumienia. Jakże to mogło być, aby ktoś strzelał do takich ptaków, jak Akka, Yksi i Kaksi, i gąsior, i te wszystkie inne! Naprawdę, ludzie sami nie wiedzą, co czynią!

Gęsi leciały dalej. I znów było cicho wokoło, tylko kilka znużonych ptaków wołało:

— Czy już?! Czy już?! Czy pewne jesteście, że nie błądzimy?!

A na to odpowiadały te, które leciały na czele:

— Lecimy prosto na wyspę Öland! Lecimy prosto na wyspę Öland!

Dzikie kaczki były zmęczone, więc nurki wyprzedziły je z łatwością.

— Nie śpieszcie się tak! — wołały kaczki. — Sprzątniecie nam wszystko sprzed nosa!

— Wystarczy dla was i dla nas! — odpowiadały nurki.

Zanim jednak ujrzały wyspę, owiał je lekki wiatr, który niósł ze sobą coś, co wyglądało jak wielkie, białe kłęby dymu.

Ptaki się zlekły i podwoiły szybkość lotu. Ale to, co wyglądało jak dym, kłębiło się coraz gęściej i w końcu otoczyło je całkowicie. Dym ten nie był suchy, lecz biały i wilgotny i nie miał żadnej woni. Chłopiec poznał wkrótce, że była to mgła.

Gdy mgła tak zgęstniała, że zakryła wszystko i ptaki nic nie widziały, wpadły w szal. One, które przedtem leciały w takim porządku, zaczęły się teraz drażnić wzajemnie i przeszkadzać sobie. Leciały na wspak, żeby się nawzajem w błąd wprowadzić.

— Miejcie się na baczności! — wołały jedne do drugich. — Wszak obracacie się ciągle w kółko! Nigdy nie doleciecie do wyspy.

Wszystkie wiedziały dobrze, gdzie leży wyspa, ale starały się utrudniać drogę innym.

— Widzicie, co te dzikie kaczki wyprawiają! — wołały przekornie wśród mgły. — Lecą z powrotem

nad Morze Północne!

— Uważajcie, dzikie gąseczki! — rozlegało się z innej strony. — Jeżeli tak dalej pójdzie, zaleciecie na wyspę Rugię!

Nie było żadnej obawy, aby ptaki, znające drogę, dały się wprowadzić w błąd. Tylko dzikie gęsi nie mogły sobie naprawdę dać rady. Sprytnie ptactwo spostrzegło od razu, że gęsi niepewne są drogi, i czyniło wszystko, co mogło, aby je zwieść.

— Czego tu szukacie, moje drogie? — wołał łabędź zwracając się z powagą i współczuciem do Akki.

— Lecimy na wyspę Öland, ale nigdyśmy jeszcze tam nie były — odpowiedziała Akka. Zdawało jej się, że Łabędź jest ptakiem, któremu można zaufać.

— Zabłądziłyście! — powiedział łabędź, — Pokazano wam błędną drogę. Jesteście przecież w drodze do Blekinge. Lećcie za mną, ja was poprowadzę!

I łabędź poleciał. A gdy już odciągnął gęsi od ptasiego szlaku tak daleko, że nie słyszały żadnego głosu, zniknął we mgle.

Teraz leciały dzikie gęsi przez jakiś czas na los szczęścia. Ale zaledwie odszukały z trudem swych współtowarzyszy, gdy już przyczepiła się do nich jakaś troskliwa kaczka.

— Najlepiej zrobicie, gdy osiadziecie na wodzie, dopóki mgła nie opadnie! — wołała. — Od razu poznać, że nie macie wprawy w podróżowaniu!

O mało co nie udało się figlarzom znów zwieść Akki. Chłopiec zaczynał sobie zdawać sprawę, że od jakiegoś czasu gęsi kręcą się w kółko.

— Uważajcie! Czy nie widzicie, że latacie tam i z powrotem?! Ciągle tam i z powrotem?! — wołał nurek w przelocie.

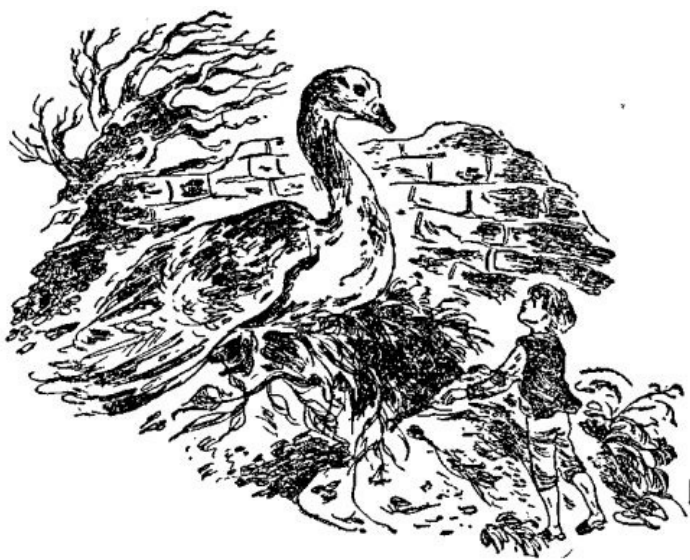
Bezwiednie objął chłopiec mocno szyję gąsiora, gdyż tego się właśnie obawiał najbardziej.

Kto wie, dokądby gęsi zaleciały, gdyby naraz nie rozległ się w dali głuchy odgłos armatniego wystrzału.

Akka wyciągnęła szyję, zatrzepotała skrzydłami i poleciała naprzód, zupełnie już pewna swego. Teraz wiedziała, czym się kierować.

Stara gęś zaleciła jej przede wszystkim unikać południowego cypla wyspy, gdyż tam umieszczona jest armata, którą ludzie rozpędzają mgłę. Teraz więc Akka poznała kierunek drogi i odtąd nikt nie mógł jej oszukać.

NA WYSPIE



Niedziela, 3, do środy, 6 kwietnia

W najbardziej południowej części wyspy Öland leżą stare dobra koronne, Ottenby. Są to bardzo wielkie dobra, ciągnące się od jednego brzegu wyspy do drugiego, a osobliwością ich jest to, że są od dawna ulubionym miejscem pobytu najrozmaitszych zwierząt. W wieku XVII, kiedy królowie jeździli polować na wyspę Öland, cała posiadłość była jednym wielkim, dzikim parkiem. W wieku XVIII znajdowała się tam wielka stadnina koni rasowych oraz owczarnia licząca setki owiec. Dziś nie ma tam już ani koni czystej krwi, ani trzód baranich. Chowa się jeszcze tylko wielkie stada młodych koni, przeznaczonych dla kawalerii.

W całym kraju nie ma miejsca, gdzieby zwierzęta wszelkiego gatunku znaleźć mogły lepsze schronienie.

Wzdłuż zachodniego brzegu wyspy ciągnie się łąka, zwana dawniej „pasterską”. Zajmuje ona ćwierć mili długości i uważana jest za największą łąkę w Szwecji. Na niej to mogą zwierzęta paść się i harcować równie swobodnie, jak w dzikiej puszczy. Znajduje się tam także słynny gaj ze stuletnimi dębami, dającymi cień przed słońcem i ochronę przed ostrymi wiatrami. Całe dobra otacza długi mur, oddzielający Ottenby od reszty wyspy. Mur ten wskazuje zwierzętom granicę starych dóbr koronnych i nie pozwala im wkraczać na cudze posiadłości, gdzie przebywać nie mają prawa.

W Ottenby przebywają jednak nie tylko oswojone zwierzęta. Również i dzikie, czując, że liczyć mogą na opiekę i ochronę, ściągają tu w licznych gromadach. Obok jeleni, zajęcy, cietrzewi czy kuropatw, które z upodobaniem gromadzą się w Ottenby, szukają tu na wiosnę i późną jesienią odpoczynku i pożywienia tysiące ptaków przelotnych, a osiadają one najchętniej na bagnistym, wschodnim wybrzeżu poniżej łąki pasterskiej.

Gdy dzikie gęsi doleciały nareszcie z Nilsem do wyspy Öland, spuściły się tak jak wszystkie inne ptaki na wschodnie wybrzeże. Mgła otuliła wyspę gęstą zasłoną, a jednak na małym skrawku wybrzeża widać było gromady ptaków.

Było to długie, piaszczyste wybrzeże, pokryte kamieniami i mnóstwem wodorostów wyrzuconych przez morze.

Gdyby chłopiec miał możliwość wyboru, nie chciałby z pewnością zatrzymać się na tym miejscu, ale ptaki uważały widać ten zakątek za prawdziwy raj dla siebie. Dzikie kaczki i gęsi pasły się na łące; bliżej brzegu skakały bekasy i inne ptaki nadmorskie; nurki goniły w wodzie ryby, ale największy ruch panował wśród długich ławic wodorostów tuż na samym brzegu. Tam ptaki stały jeden przy drugim i poszukiwały poczwarek, których musiało być mnóstwo, gdyż nie słychać było ani jednej skargi na brak pożywienia.

Większość ptaków wybierała się w dalszą podróż, a zatrzymały się na wyspie tylko dla wypoczynku. Kiedy przywódca jakiejś gromady uznawał, iż jego towarzysze podróży dostatecznie już pokrzepili się i odpoczęli, pytał:

— Czyście już gotowe? Możemy ruszać dalej?

— Nie, czekaj jeszcze, czekaj jeszcze! Jeszcześmy nie syte. Nie syte! — wołały ptaki.

— Nie znacie miary! — odpowiadał przywódca i odlatywał. Musiał jednak wracać kilkakrotnie, gdyż nikomu nie chciało się lecieć.

Nieco dalej umieściło się stado łabędzi. Nie miały one ochoty udać się na ląd, odpoczywały więc leżąc na wodzie i kołysząc się leniwie. Od czasu do czasu zanurzały długie swoje szyje pod wodą szukały pożywienia na dnie morskim. Gdy znalazły coś szczególnie dobrego, wydawały głośny okrzyk brzmiący jak odgłos trąby.

Kiedy się chłopiec dowiedział, że przybyły łabędzie, pobiegł tam natychmiast. Nigdy jeszcze nie widział z bliska dzikich łabędzi. A teraz dopisało mu szczęście, gdyż mógł się do nich zbliżyć i przyjrzeć im się dokładnie. Chłopiec nie był jedynym widzem; zarówno dzikie gęsi, jak i kaczki, i nurki popłynęły w tę stronę, otoczyły półkolem stado łabędzi i przypatrywały mu się z ciekawością. Łabędzie straszyły pióra, rozpościerały skrzydła niby żagle i podnosiły szyje wysoko w górę. Niekiedy łabędź zbliżał się do którejś z gęsi lub kaczek i przemawiał do niej kilka słów. A wówczas zagadnięta, onieśmielona, z trudem otwierała dziób, aby dać odpowiedź.

Był tam jeden mały nurek, czarny, drobny łotrzyk, któremu cały ten uroczysty nastrój wydawał się nieznośnym. Szybko zanurzył się i zniknął pod wodą. Zaraz potem jeden z łabędzi krzyknął przeraźliwie i odpłynął tak prędko, że aż się woda za nim zapieniła. Następnie zatrzymał się i próbował obejrzeć poza siebie. Ale w tejże chwili krzyknął znów inny łabędź tak samo jak pierwszy, a po chwili uczynił to samo i trzeci.

Teraz mały nurek nie mógł już dłużej utrzymać się pod wodą wypłynął znów na powierzchnię — drobny, czarny i złośliwy. Łabędzie rzuciły się na niego, ale kiedy się przekonały, co to za maleństwo, odwróciły się z pogardą — niegodny był zemsty. Nurek zanurzył się jednak na nowo i znów zaczął szczypać łabędzie w nogi. Ból, a jeszcze bardziej gniew zmusiły łabędzie do odlotu. Zaszumiały skrzydłami, rozwinęły je majestatycznie i zniknęły.

Wtedy wszystkie ptaki odczuły ich brak i nawet te, które poprzednio bawiło zuchwalstwo małego nurka, łajały go ostro.

Chłopiec ruszył w kierunku lądu. Zatrzymał się przy bekasach przyglądał się ich zabawom. Stały długim rzędem na brzegu i wyglądały jak drobniutkie żurawie. Jak tamte, miały małe tułowia, długie nogi, długie szyje i lekkie ruchy, nie były jednak szare, tylko brunatne. Stały na brzegu oplukiwanym przez fale. Kiedy fala nadbiegała, całym szeregiem uciekały w tył, gdy fala się cofała, goniły ją, I tak godzinami całym powtarzała się ta zabawa.

Najpiękniejszym ze wszystkich ptaków był pewien gatunek dzikich kaczek. Musiały one być spokrewnione ze zwykłymi kaczkami, gdyż miały, tak jak tamte, ciężki, przysadzisty tułów, szerokie dzioby i silne błony między palcami, były jednak bez porównania świetniej upierzone. Pióra białe, wokoło szyi żółta lub czarna obrączka, skrzydła połyskujące zielono, czerwono i czarno, końce skrzydeł czarne, a głowa o czamozielonym zabarwieniu, lśniąca jak jedwab — nadawały im wspaniały wygląd.

Skoro tylko któraś z nich ukazywała się na wybrzeżu, zaraz inne ptaki wołały:

— Patrzcie! Patrzcie! Jaka piękna!

— Piękna, bo piękna, ale te płaskie nogi! — szydziła jakaś dzika kaczka.

— : Co mi to za piękność z takim nosem! — mówiła szara gęś. tak było naprawdę, kaczki miały wielki guz przy nasadzie dzioba i to je szpeciło.

Na wodzie uwijały się mewy i jaskółki morskie goniąc ryby.

— Co wy tam łowicie? — zapytała jedna z dzikich gęsi.

— Cierniki. Ciemiki z wyspy Öland to najlepsze ryby na świecie — odrzekła jedna z mew. — Może poprobujesz? — I mewa z pełnym dziobem podpłynęła do gęsi, chcąc ją poczęstować małymi rybkami.

— O, pfe! — zawołała gęś. — Myślicie, że ja bym jadła takie obrzydliwości?

Nazajutrz była wciąż jeszcze taka sama mgła. Dzikie gęsi pasły się na łące, a chłopiec poszedł na brzeg szukać mięczaków. Było ich tam bardzo dużo. Pomyślał sobie, że jutro może znaleźć się w takim miejscu, gdzie dla niego nic nie będzie do jedzenia, więc dobrze byłoby zrobić woreczek i napełnić go muszlami. Na łące znalazł mocną, suchą trawę i zaczął z niej pleść kobiałkę. Zajęło mu to kilka godzin, a gdy plecionka była gotowa, cieszył się bardzo ze swej roboty. W południe przyleciały do niego z pośpiechem dzikie gęsi, pytając, czy nie ma tu białego gąsiora.

— Przed chwilą był jeszcze z nami — rzekła Akka — a teraz nie wiemy, gdzie się podział.

Chłopiec zerwał się z przestrachem. Zapytał gęsi, czy nie widziały w pobliżu lisa lub orła albo czy też w okolicy nie przechodził człowiek. Żadna z gęsi nie widziała jednak nic podobnego. Gąsior musiał zabłądzić wśród mgły.

Przerażony chłopiec pobiegł na poszukiwania. Mgła zasłaniała go przed wzrokiem innych, ale jednocześnie i jemu przeszkadzała widzieć. Pobiegł wybrzeżem aż do latami morskiej i do armaty stojącej na krańcu wyspy. Wszędzie napotykał gromady ptaków — gąsiora nie było nigdzie. Chłopiec odważył się nawet dotrzeć aż pod sam dwór i wdrapał się na stary dąb w gaju; ale i tu gąsiora nie było.

Szukał i szukał, aż zaczęło się ściemniać i musiał wracać. Szedł powłócząc ciężko nogami i czuł się bardzo nieszczęśliwy. Ach, jakże był głupi wierząc, że uda mu się przeprowadzić cało domową gęś przez tyle niebezpieczeństw! A jednak tak bardzo pragnął, żeby mu się powiodło, nie tylko już ze względu na siebie, ale i ze względu na samego gąsiora, którego bardzo pokochał.

Gdy tak wędrował przez łąkę, ujrzał wyłaniającą się z mgły białą jakąś postać. Co za radość! Przecież to gąsior! Cały i zdrow i tak szczęśliwy, że znalazł wreszcie drogę do swoich! Zabłądził wśród mgły i błąkał się przez cały dzień po łące. Uniesiony radością, chłopiec objął go za szyję i prosił serdecznie, aby się odtąd miał na bacności i nie oddalał od stada. A gąsior przyrzekł mu święcie, że nigdy więcej tego nie uczyni! Nie, nigdy więcej!

Następnego ranka jednak, gdy chłopiec szukał znów muszli na piasku, przyleciały na nowo gęsi pytając z przestrachem, czy nie widział gąsiora.

Nie, nie widział go. Znowu więc zginął? Widocznie znów zabłądził wśród mgły.

Zrozpaczony Nils udał się na poszukiwanie. Znalazł miejsce, w którym mur był nadkruszony tak, że mógł się przezeń przedostać. Pobiegł więc w głąb wyspy, gdzie ciągnie się płaszczyna o gruncie wapiennym, a prócz wiatraków nie ma żadnych innych budynków.

Nigdzie nie było gąsiora. Nadchodził wieczór i chłopiec musiał wracać. Nie miał już żadnej nadziei odnalezienia utraconego towarzysza i pogrążył się w rozpacz. Przeskoczył przez mur, gdy wtem usłyszał łoskot staczających się kamieni, a gdy się odwrócił, wydało mu się, że obok muru coś się porusza. Przysunął się i ujrzał gąsiora, który mozolnie wdrapywał się na stos głazów, niosąc kilka długich korzonków. Gąsior nie widział chłopca, a ten go nie wołał, gdyż chciał zbadać, dlaczego gąsior tak tajemniczo znika.

Wkrótce poznał przyczynę. Na stosie kamieni leżała młoda gaska, która na widok gąsiora krzyknęła z radości. Chłopiec przysunął się jeszcze bliżej, aby usłyszeć ich rozmowę. Dowiedział się, że gaska ma zranione skrzydło i dlatego nie może latać. Jej współtowarzysze już odlecieli i pozostawili ją samą. Była bliska śmierci głodowej, gdy biały gąsior usłyszał wczoraj jej wołanie o pomoc, odszukał ją i przyniósł pożywienie. Odtąd postanowił nie opuszczać jej. Oboje mieli nadzieję, że gaska wyzdrowieje, zanim gąsior opuści wyspę; tymczasem jednak gaska nie może jeszcze ani stać, ani chodzić. Gąsior bardzo się tym martwił, ale pocieszał się, że jeszcze długo będzie się mógł opiekować chorą gaską. W końcu życzył jej dobrej nocy i przyrzekł powrócić następnego dnia.

Chłopiec pozwolił gąsiorowi oddalić się, a gdy ten znikł, wszedł na stos kamieni. Kiedy ujrzał młodą gaskę, zrozumiał, dlaczego gąsior przynosił jej pożywienie przez dwa dni i dlaczego nie chciał się do tego przyznać. Gaska miała najpiękniejszą główkę, jaką sobie tylko można wymarzyć, jej piórka były miękkie jak jedwab, a oczy miały łagodny, błagalny wyraz.

Ujrawszy chłopca chciała uciekać, ale jedno jej skrzydło było uszkodzone, wlokło się po ziemi i utrudniało ruchy.

— Nie bój się mnie, gąseczko — rzekł chłopiec i przystanął, aby jej pokazać, że nie ma żadnych złych zamiarów. — Jestem Paluszek, towarzysz podróży gąsiora Marcinka. On to mnie przysłał, abym obejrzał twoje zranione skrzydło.

Zwierzęta mają nieraz w sobie coś takiego, że mimo woli stajemy wobec pytania, czym one właściwie są. Czuje się nieledwie potrzebę uważania ich za pokrewne nam istoty. I tak też było z ową gaską. Zaledwie Paluszek powiedział, kim jest, gdy gaska skłoniła z wdziękiem szyjkę i główkę i powiedziała tak pięknym głosem, jakiego chłopiec nigdy by u gęsi się nie spodziewał:

‘ — Cieszę się bardzo z twoich odwiedzin. Mam nadzieję, że mi pomożesz, gdyż biały gąsior mówił, że nie zna nikogo mądrzejszego i lepszego od ciebie.

Wszystko to wypowiedziała z taką godnością, że chłopiec poczuł się onieśmielony.

„To chyba nie może być gęś — pomyślał — to pewnie zaczarowana księżniczka’

Chciał jej pomóc z całego serca i pomacał małymi rączkami pióra, szukając kości skrzydłowej. Kość nie była złamana, ale wyszła ze stawu.

— Trzymaj się dzielnie! — powiedział, ujął mocno za skrzydło i usiłował nastawić.

Jak na początek zabieg odbył się prędko i z dobrym wynikiem. Ale ból musiał być jednakże bardzo dotkliwy, gdyż biedna gaska wydała jeden tylko przeraźliwy okrzyk i padła na kamienie nie dając znaku życia.

Chłopiec przestraszył się okropnie. Chciał jej przecież dopomóc, a oto zabił ją mimo woli! Zeskoczył z pagórka i uciekł pędem. Miał uczucie, jak gdyby zabił człowieka.

Nazajutrz powietrze było czyste i mgły ani śladu. Akka oznajmiła więc, że ruszają w dalszą podróż. Wszystkie gęsi były gotowe, ale biały gąsior opierał się i tylko chłopiec wiedział dlaczego — nie chciał opuścić młodej gaski. Akka wszakże nie zważała na to i ruszyła w drogę.

Chłopiec wskoczył na grzbiet gąsiora. Biały leciał za stadem powoli i niechętnie, lecz malec cieszył się, że opuszcza wyspę. Miał wyrzuty sumienia z powodu gaski, chciał przy tym zataić przed gąsiorom, że mu się nie powiódł jej ratunek. „Byłoby najlepiej, gdyby się Marcin niczego nie dowiedział” — pomyślał. A jednocześnie dziwił się, że gąsior tak łatwo zgodził się na opuszczenie młodej gaski.

Niebawem jednak gąsior zawrócił. Myśl o młodej gascie nie dawała mu spokoju. Mniejsza już o podróż do Laponii! Nie może przecież odlecieć ze świadomością, że młoda gaska została tam sama, chora i zginie z pewnością śmiercią głodową.

I wkrótce opuścił się gąsior na dobrze znane miejsce, ale nie zastał tam wśród kamieni gaski.

— Miluchna, Miluchna! Gdzie jesteś! — wołał.

„Z pewnością porwał ją lis” — pomyślał chłopiec. Ale w tej samej chwili usłyszał piękny głosik odpowiadający gąsiorowi:

— Tu jestem, gąsiorze, tu jestem! Wykąpałam się właśnie.

I z wody wynurzyła się młoda gaska, świeża i zdrowa. Opowiedziała, jak to Paluszek nastawił jej skrzydło i że jest już zupełnie zdrowa. Krople wody perliły się na jej lśniących jak jedwab piórach i Paluszek pomyślał sobie, że to na pewno jakaś zaczarowana mała królewna.

WIELKI MOTYL



Środa, 6 kwietnia

Gęsi leciały nad wyspą, przemierzając ją w poszukiwaniu gąsiora, Teraz wyraźnie widziały ją pod sobą: była to podłużna, naga płaszczyzna otoczona wieńcem dobrej, urodzajnej ziemi przy brzegach.

Chłopcu było lekko i wesoło na sercu. Wczoraj czuł się przygnębiony i zrozpaczony. Teraz był zadowolony i uradowany. Obecnie mógł zrozumieć znaczenie pewnej rozmowy, którą usłyszał poprzedniego wieczoru. Leżał właśnie odpoczywając pod jednym z wielu wiatraków na wyspie, gdy nadeszło dwóch pasterzy z psami i wielką trzodą owiec. Chłopiec nie zląkł się, gdyż siedział dobrze ukryty pod schodami młyna, ale pasterze usiedli na schodach i chłopiec musiał się zachowywać cichutko jak myszka.

Jeden z pasterzy był młody i miał pospolity wygląd. Drugi natomiast był to stary i dziwny człowiek. Miał duże, chude ciało, małą głowę i twarz o miękkich, łagodnych rysach. Zdawało się, że głowa i ciało nie należą do jednej osoby. Siedział przez jakiś czas cicho i patrzył niewypowiedzianie zmęczonym wzrokiem w mgłę. Potem zwrócił się do swego towarzysza i nawiązał z nim rozmowę. Ten wyjął spokojnie chleb i ser z torby i zaczął jeść; nie dawał prawie wcale odpowiedzi, słuchał jednak bardzo uważnie, zupełnie jak gdyby myślał: „Chcę ci zrobić przyjemność i pozwalam ci się wygadać do woli“.

— Opowiem ci coś, Eryku — rzekł stary pasterz. — Myślę sobie, że w dawnych czasach, kiedy ludzie i zwierzęta byli o wiele więksi niż teraz, musiały i motyle być bardzo duże. I wtedy to żył motyl długości kilku mil, ze skrzydłami tak szerokimi jak morze. Skrzydła te były cudownie błękitne i lśniły tak srebrzyście, że wszystkie inne zwierzęta stawały i patrzyły z podziwem, gdy motyl unosił się w powietrzu.'

Motyl ten miał tylko jedną wadę: był zbyt duży w stosunku do swoich skrzydeł, które zaledwie mogły unieść jego ciężar. Byłoby jeszcze dobrze, gdyby motyl miał rozum i został na lądzie. Tymczasem ośmielił się pofrunąć na pełne morze. Spotkała go burza i poszarpała mu skrzydła. Tak, tak, Eryku, nie trudno odgadnąć, co się stało, gdy wicher nadmorski poszarpał delikatne skrzydła motyla: tułów biednego motyla wpadł do morza. Zrazu kołysał się na falach, potem natrafił na rafę skalną i tam pozostał.

I oto myślę, Eryku, że gdyby motyl padł na ziemię, rozsypałby się wkrótce w proch i zniknął, że jednak wpadł na skały morskie, zwapniał z czasem i stwardniał jak kamień.

Widziałeś, jakeśmy to raz znaleźli na piasku kamienie, które były skamieniałymi liszkami? Otóż zdaje mi się, że to samo stało się z motylem. Myślę, że gdy tak leżał w Morzu Bałtyckim, zamienił się z czasem w długą, wąską skałę. Czy i tobie nie zdaje się tak samo?

Zatrzymał się czekając na odpowiedź. Pasterz skinął głową.

— Mów no dalej, abym się dowiedział, do czego właściwie zmierzasz — rzekł.

— Wiedz więc, Eryku, że cała ta wyspa Öland, na której mieszkamy, nie jest niczym innym, tylko tym właśnie tułowiem motyla.

Gdy się nad tym zastanowić, widać od razu, że wyspa ta jest motylem. Ku północy uwydatnia się wąska, przednia część tułowia i okrągła głowa, południe stanowi odwłok, rozszerzający się zrazu, a potem kończący się ostro.

Tutaj zatrzymał się znowu i spojrzał na swego towarzysza, niepewny, jak przyjęte zostaną jego przypuszczenia. Ale młody pasterz jadł z największym spokojem i kiwał tylko staremu zachęcająco głową.

— Gdy tak motyl leżał zamieniony w skałę wapienną — ciągnął dalej stary pasterz — wiatr przynosił nasiona, które chciały zapuścić w nią korzonki; było im jednak zbyt trudno utrzymać się na nagiej, śliskiej powierzchni. Przez długi czas rósł tam tylko mech, z czasem dopiero pojawiły się osty, widłaki, szarotki. Ale i dziś jeszcze nie ma tu na wyżynach tylu roślin, aby mogły pokryć całe góry, które też świecą tu i ówdzie łysymi miejscami. A o zaoraniu i zasianiu gruntu nie może być nawet i mowy, gdyż jest na to zbyt skalisty.

Skoro zatem zgodzisz się ze mną, że te ściany skalne, sterczące wokół nas, utworzone zostały z tułowia motyla, to zapytasz może, skąd wzięła się ziemia leżąca u stóp gór.

— Tak, tak — odezwał się młodszy pasterz nie przestając jeść — właśnie chciałem o to zapytać.

— Pomyśl, że wyspa Öland przez wiele lat nie wystawała nad powierzchnię morza i przez ten czas wszystko, co fale wyrzucały — wodorosty, piasek i muszle — gromadziło się wokoło i osadzało na niej. Następnie od wschodu i od zachodu staczały się kamienie i głazy. W ten sposób wyspa zyskała szersze wybrzeże, na którym mogły rosnąć zboża, kwiaty i drzewa. Tutaj w górze na twardym tułowiu motyla pasą się tylko owce, krowy i źrebięta, żyją tylko pardwy i dżdżowniki i oprócz wiatraków i kilku nędznych szałasów nie ma tu żadnych budynków, w których my, pasterze, moglibyśmy się schronić. Ale tam w dole, na wybrzeżu, ciągną się wielkie wsie rybackie i zagrody gospodarskie, kościoły i plebanie, a nawet całe miasto.

Stary pasterz skończył i spojrzał pytająco na towarzysza. Ten zaś posiliwszy się zapakował manatki i zapytał:

— Dobrze, tylko do czego właściwie zmierzasz?

— Widzisz, chciałbym wiedzieć jedno — powiedział pasterz, zniżając głos do szeptu i wpatrując się uparcie w mgłę małymi swymi oczami, mętными i znużonymi od ciągłego wypatrywania rzeczy nieznanych a przeczuwanych. — Tak, to jedno chciałbym wiedzieć, czy wieśniacy, mieszkający w tych cichych zagrodach u stóp skał, albo rybacy, żyjący z połowu ryb, albo kupcy z Borgholmu, albo corocznie powracający letnicy, albo podróżni, zwiedzający ruiny zamku borgholmskiego, albo myśliwi, przybywający tu w jesieni na polowanie, albo malarze, którzy siadają na trawie i malują owce i wiatraki — tak, chciałbym wiedzieć, czy chociażby jeden z nich domyśla się, że ta wyspa była niegdyś motylem, który trzepotał w słońcu wielkimi, lśniącymi skrzydłami.

— O tak! — zawołał nagle młody pasterz. — Kto choć raz siedział tu wieczorem na zrębie skalnym i słuchał pieśni słowiczej w krzewach i patrzył na morze, temu musiało przyjść na myśl, że ta wyspa nie

powstała tak jak wszystkie inne.

— Chciałbym wiedzieć — ciągnął dalej stary — czy choć jeden z nich pragnął dać tym wiatrakom skrzydła tak wielkie, aby dosięgły nieba, tak wielkie, aby uniosły całą tę wyspę, oderwały ją od morza i pozwoliły jej, jak motylowi, wznieść się wysoko w górę.

— Być może, że tak bywało — powiedział młody pasterz — gdyż w noc letnie, kiedy niebo czyste i jasne sypie na wyspę deszcz gwiazd świetlnych, wydaje mi się niekiedy, że cała ta wyspa chce się unieść i oderwać, i odlecieć...

Stary zdawał się nie słuchać i ciągnął dalej swoje:

— Chciałbym wiedzieć — mówił dalej, jeszcze cichszym głosem — czy mógłby mi kto wytłumaczyć, dlaczego tutaj w górze, na wyżynach skalnych, mieszka tak wielka tęsknota? Czułem ją codziennie przez całe życie i myślę, że każdemu, który tutaj przebywa, musi się ona wkradać w duszę. Ale chciałbym wiedzieć także, czy nikt z tych ludzi nie pojął, iż ta tęsknota spływa na nas dlatego, że wyspa ta jest motylem tęskniącym za skrzydłami.

MAŁA WYSPA KAROŁOWA

BURZA



Piątek, 8 kwietnia

Dzikie gęsi przenocowały na północnym brzegu wyspy i następnego dnia udały się w drogę ku stałemu lądowi. Gwałtowny wiatr południowy popędził je w kierunku północnym. Mimo to udało im się przepłynąć na ląd. Kiedy jednak dotarły do pierwszych szkieł, usłyszały grzmot, jak gdyby mnóstwo ptaków o silnych skrzydłach zatrzepotało naraz w powietrzu, woda zaś pod nimi stała się zupełnie czarna. Akka wstrzymała lot i zawisała przez chwilę nieruchomo w powietrzu; potem spuściła się szybko na powierzchnię morza. Ale nagle poderwał ją silny podmuch wiatru. Zrazu wiatr unosił przed sobą tylko wodę, pianę i małe ptaki; potem porwał także dzikie gęsi i pognął je nad otwarte morze.

Rozpętała się gwałtowna burza.

Raz po raz próbowały gęsi zawrócić, ale wichur był tak silny, że nie zdołały mu się oprzeć i pozwalały się gnać coraz dalej nad wodą. Przeleciały już mimo wyspy Öland i miały teraz przed sobą tylko wielkie, szare morze. Nie pozostawało im jednak nic innego, jak poddać się bez oporu losowi.

Akka, przekonawszy się, że odwrót jest niemożliwy, a z drugiej strony chcąc zapobiec oddalaniu się od lądu, osiadła na wodzie. Był silny przypływ morza, który wzrastał z każdą chwilą. Zielone, śnieżną pianą skłębione bałwany przelewały się z hukiem — jeden wyższy od drugiego. Współzawodniczyły ze sobą, wznosząc się coraz wyżej i pieniając się coraz gwałtowniej. Dzikie gęsi nie lękały się wzburzonych fal, przeciwnie, poddawały się im z wielką przyjemnością. Pływały z łatwością, kładły się więc na grzbietach bałwanów i dawały się im unosić, bawiąc się tym jak dzieci huśtawką. Lękały się jedynie tego, że mogą się rozproszyć.

Biedne ptaki lądowe, którymi burza miotła, wołały z zazdrością:

— Dobrze tym, co potrafią pływać!

Ale i dzikie gęsi wystawione były na niebezpieczeństwo — wsku tek kołysania się wpadały w senność. Nie mogły się oprzeć chęci opuszczenia głowy, schowania dzioba pod skrzydło i zaśnięcia. Nie

ma jednakże nic niebezpieczniejszego nad sen w takich okolicznościach, toteż Akka ostrzegała ciągle:

— Nie zasypiajcie, gęsi! Ta, która zaśnie, odłączy się od stada. Ta, która odłączy się od stada, jest zgubiona.

A jednak pomimo to, że gęsi starały się opierać senności, zasypiały jedna po drugiej. I sama Akka z trudem walczyła ze snem, gdy wtem ujrzała na wierzchołku jednej z fal coś okrągłego, ciemnego.

— Psy morskie! Psy morskie! Psy morskie! — krzyknęła ostrym, przenikliwym głosem i poderwała się.

Inne gęsi podążyły za nią, umykając jeszcze w porę przedorskimi psami, usiłującymi schwytać je za nogi.

Znowu więc dzikie gęsi zostały oddane na pastwę burzy, która szalała coraz bardziej. I znowu wiatr gnał je na otwarte morze, nie uciszając się ani na chwilę. A wokoło ani śladu ziemi — nic, prócz dzikich, wzburzonych fal.

Gdy gęsi oddaliły się już dostatecznie od niebezpiecznego miejsca, spuściły się znowu na wodę; kołysanie fal jednak pobudziło je znów do snu. A gdy usypiały, zjawiały się natychmiast psy morskie. Gdyby stara Akka nie była tak czujna i mądra, żadna z gęsi nie uszłaby z pewnością cało.

Burza szalała przez cały dzień bez przerwy i wyrządziła straszliwe spustoszenie wśród ptaków, które w tym czasie znajdowały się w drodze. Niektóre zatraciły zupełnie kierunek i dostały się do obcych krain, gdzie znalazły nędną śmierć głodową, inne omdlały — wpadły do morza i utonęły. Wiele z nich roztrzaskało się o skały morskie, wiele stało się pastwą psów morskich.

W końcu i Akkę ogarnęła obawa, czy jej i jej stada nie czeka również taki straszny los. Wszystkie gęsi były już śmiertelnie zmęczone, a tymczasem nigdzie wokoło nie było widać miejsca, gdzieby mogły wypocząć.

Ku wieczorowi też nie ośmieliły się opuścić na morze, gdyż nagle pokryło się ono krą, która piętrzyła się groźnie i mogła je przygnieść. Kilka razy próbowały stanąć na lodzie, ale to szalony wiatr zmiatał je do wody, to znów płoszyły je niemiłosierne psy morskie.

Po zachodzie słońca, przejęte śmiertelną trwogą przed zbliżającą się nocą, puściły się w dalszą drogę. Zdawało im się, że w ten groźny wieczór zbyt prędko zapada mrok. A lądu wciąż jeszcze nie było widać. Cóż dopiero, gdy zmuszone będą spędzić tak całą noc? Przywali je kra, pożrą psy morskie albo rozproszy wiatr na wszystkie strony świata!

Niebo pokryte było chmurami, księżyc niewidoczny. Ciemności zapadały szybko. I nagle cała przyroda stała się tak groźna, że najodważniejsze stworzenia zdrząły od lęku. Wołania przelotnych ptaków, Którym groziło największe niebezpieczeństwo, napępiały powietrze przez cały dzień; teraz, gdy w ciemnościach nie było widać, kto je wydawał, brzmiały ponuro i złowieszczo. Na morzu trzeszczała kra, pękając z głośnym hukiem, a psy morskie wyły przeraźliwie. Czyżby to miał już być koniec świata?

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Chłopiec patrzył z przerażeniem i osłupieniem na morze. Szum spienionych fal wzrastał się coraz bardziej. Podniósł oczy: o parę metrów przed nim sterczała stroma skała. U jej stóp rozbijały się fale, rozpryskując się w śnieżną pianę. Ta ostra, naga rafa groziła nadlatującym gęsiom niechybnym rozbiciem. Chłopcowi zajrzała śmierć w oczy. Nie miał nawet czasu zastanowić się, dlaczego Akka nie spostrzegła w porę niebezpieczeństwa, gdy już skała stanęła przed nim w całej swej grozie. W tej samej chwili jednak zauważył półokrągły otwór, wiodący do wnętrza skały. Wszystkie gęsi bez namysłu wleciały po kolei w otwór i w ten sposób uniknęły śmierci.

Zanim jednak zaczęły się cieszyć ze swego ocalenia, chciały się upewnić, czy też wszyscy towarzysze są przy życiu. I okazało się, że w grocie byli: Akka, Yksi, Kolme, Nelie, Isi, Kusi, sześć młodych gąsek, gąsior, Miluchna i Paluszek — brakowało tylko Kaksi. Pierwsza gęś z lewej strony znikła i nikt o niej nic nie wiedział. Nie wzięły sobie wszakże tego tak bardzo do serca. Kaksi była stara i mądra, znała wszystkie drogi i zwyczaje gromady, trafi więc do niej z pewnością.

Wkrótce zabrały się dzikie gęsi do zbadania groty. Przez otwór przedostawało się jeszcze trochę blasku dziennego, mogły więc rozpoznać, że grota była obszerna i głęboka. Ucieszyły się bardzo z tak dobrego miejsca na nocleg, gdy wtem jedna z nich zauważyła kilka błyszczących, zielonych punktów, świecących z ciemnego kąta.

— To oczy! — zawołała Akka. — Tutaj są jakieś wielkie zwierzęta.

Gęsi rzuciły się ku wyjściu, ale Paluszek, który widział w ciemnościach lepiej niż dzikie gęsi, zawałał;

— Nie uciekajcie, to barany!

Gdy gęsi przywykły do mroku panującego w grocie, rozpoznały barany wyraźniej. Wśród starych było i kilka jagniąt. Wielki baran z długimi, kręconymi rogami wydawał się być najpoważniejszym z małego stada, toteż dzikie gęsi zbliżyły się przede wszystkim w ukłonach do niego.

— Szczęść Boże na tym pustkowi! — przywitały go.

Ale baran milczał i ani jedno słowo powitania nie wydobyło się z jego krtani.

Nasunęło to dzikim gęsiom przypuszczenie, że barany niezadowolone są z ich wtargnięcia do groty.

— Może nie podoba się wam, żeśmy tutaj wleciały? — rzekła Akka. — Ale to nie nasza wina. Wiatr nas tu zapędził. Przez cały dzień gnała nas burza i gdybyśmy mogły tutaj przenocować, byłoby to dla nas wielkim dobrodziejstwem.

Minęła długa chwila, zanim jedna z owiec odezwała się, gęsi słyszały jednak wyraźnie, jak kilka z nich westchnęło głęboko. Akka wiedziała wprawdzie, że wszystkie owce są nieśmiałe i mają dziwaczne obyczaje, te jednak zdawały się nie mieć najmniejszego pojęcia, jak się należy zachowywać. Stara owca z długim, pomarszczonym troską obliczem przemówiła żalonym głosem:

— Nikt z nas nie wzbroni wam pobytu tutaj, lecz u nas w domu jest żałoba i nie możemy w nim tak, jak za dawnych czasów, przyjmować gości.

— Nie róbcie sobie z nami ceremonii — rzekła Akka. — Skoro się dowiecie, cośmy dzisiaj przeszły, zrozumiecie, że nam zależy jedynie na bezpiecznym miejscu, gdzie mogłybyśmy przespać noc.

Na te słowa podniósł się stary baran.

— Byłoby dla was z pewnością bezpieczniej unosić się w powietrzu w najsroższą nawet burzę niż pozostać tutaj. Nie damy się wam mimo to oddalić, zanim was nie ugościmy wszystkim, co najlepszego posiadamy w domu.

Zaprowadził je do zagłębienia napełnionego wodą. Tuż obok leżały wiązka siana i kupka sieczki. Baran zaprosił uprzejmie gęsi, aby raczyły się posilić.

— Mieliśmy bardzo surową, śnieżną zimę — powiedział. — Chłopi, do których należymy, przynoszą nam siano i słomę, abyśmy nie pomarli z głodu. A ten kopiec — to wszystko, co nam z tych zapasów zostało.

Gęsi rzuciły się chciwie na paszę. Zdawało się im, że trafiły doskonale, i były w jak najlepszym humorze. Widziały wprawdzie zaleknienie owiec, ale znając ich płochliwość nie sądziły, że może tu grozić jakieś niebezpieczeństwo. Gdy się nasyciły dostatecznie, pomyślały o pokrzepieniu się spokojnym snem. Ale wielki baran podniósł się i zbliżył do nich. Gęsi nie widziały jeszcze nigdy barana o tak długich i twardych rogach. Zresztą wyglądał on w ogóle dziwnie, miał wielki łeb, mądre oczy i szlachetną postać jak prawdziwie dumne, odważne zwierzę.

— Nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za noc, którą miałybyście tutaj spędzić. Muszę bowiem was uprzedzić, że grozi wam niebezpieczeństwo — powiedział.

Teraz dopiero zrozumiała Akka, że idzie tu o coś poważnego.

— Skoro sobie tego koniecznie życycie, to się oddalimy — rzekła. — Tylko może zechcecie nam powiedzieć, co was tak gnębi? Przecież nie wiemy nic, nie wiemy nawet, gdzie jesteśmy.

— To jest Mała Wyspa Karolowa — odpowiedział baran. — Leży ona na zachód od Gotlandii, a zamieszkują ją tylko owce i ptaki nadmorskie.

— Toście wy może dzikie owce? — zapytała Akka.

— Tak jest, można nas tak nazwać — rzekł baran, — Z ludźmi nie mamy właściwie żadnych stosunków. Istnieje odwieczna umowa między nami a wieśniakami z pewnej wsi w Gotlandii, według której oni mają nas zaopatrywać w paszę podczas ciężkich miesięcy zimowych, my zaś dostarczamy im owiec z naszego stada. Wyspa jest taka mała, że tylko niewiele nas może wyżywić. Przez cały rok żywimy się same, nie mieszkamy zaś nigdy w domach z drzwiami i zamkami, lecz przebywamy w takich jaskiniach jak ta.

— Co? Wy i w zimie tutaj mieszkacie? — zapytała Akka ze zdziwieniem.

— Rozumie się — odpowiedział baran. — Mamy tu przez cały rok dość paszy.

— W takim razie jest wam chyba lepiej niż innym owcom — powiedziała Akka. — Ale jakież to nieszczęście was spotkało?

— Zeszłej zimy panowały tu takie silne mrozy, że morze zamarzło. Wtedy na wyspę przedostały się po lodzie trzy lisy i odtąd pozostały u nas. Prócz nich nie ma tu na całej wyspie ani jednego zwierzęcia, które mogłoby zagrażać naszemu życiu.

Jakżeż mogą lisy porwać się na takie stworzenia jak wy?

— We dnie tego nie czynią, bo ja i moje owce potrafimy się obronić — rzekł baran potrząsając rogami. — Ale w nocy, kiedy śpimy, podkradają się i napadają na nas. Dokładamy wprawdzie wszelkich starań, żeby nie zasnąć, ale niekiedy zasypiamy mimo wszystko i z takich to chwil korzystają lisy. W sąsiednich miejscowościach zagryzły już wszystkie barany, a były tam stada równie duże, jak nasze.

— Niezbyt to przyjemne przyznawać się do własnej bezsilności — dodała stara owca. — I byłoby nam z pewnością lepiej, gdybyśmy byli owcami domowymi.

— Czy wam się zdaje, że lisy napadną na was tej nocy? — zapytała Akka.

— Musimy być na to przygotowane — odpowiedziała stara owca. — Wczorajszej nocy były tutaj i porwały nam jagnię, a nie wyniosą się stąd, dopóki choć jedno z nas zostanie przy życiu. Tak postąpiły z innymi stadami.

— Więc spodziewacie się zupełnej zagłady? — zapytała Akka.

— Niestety, niezadługo już nie będzie ani jednej owcy na całej Wyspie Karolowej — westchnęła owca.

Akka się zakłopotowała. Lecieć dalej wśród burzy nie należało do przyjemności, a pozostanie w domu, w którym spodziewano się takiej wizyty, również nie było zachęcające. Po długim namyśle Akka zwróciła się do Paluszka:

— Powiedz, czy nie mógłbyś nam i dzisiaj dopomóc, jakieś już tyle razy czynił — zapytała go,

— Owszem — odparł chłopiec — bardzo chętnie.

— Przykro mi wprawdzie, że cię skazuję na bezsenność — ciągnęła dalej Akka — ale mimo to chciałabym cię prosić, abyś dziś w nocy nie spał i obudził nas, gdy dostrzeżesz lisy, a umkniemy w porę.

Chłopiec przyrzekł to uczynić. Wiedział zresztą, że gęsi bardziej były zmęczone od niego, miały zatem większe prawo do snu.

By ochronić się przed burzą, wsunął się pod kamień i rozpoczął wartę. Stopniowo niebo rozjaśniało

się i księżyc wyglądał spoza chmur. Chłopiec stanął u wejścia i patrzył w dal. Jaskinia położona była dość wysoko w skale, a prowadziła do niej tylko jedna strasznie stroma ścieżka. Tą ścieżką mogły nadejść lisy.

Tymczasem jednak lisów nie było, natomiast chłopiec zauważył coś innego, co w pierwszej chwili przejęło go ogromnym strachem. U podnóża góry na wąskim skrawku łądu stało kilku olbrzymów. Może potwory te były kamienne, a może byli to ludzie? Zrazu wydawało mu się, że śni, potem jednak zorientował się, że przecież wcale jeszcze nie zasnął. Zupełnie wyraźnie widział wielkich mężczyzn, nie mogło więc tu być mowy o żadnym złudzeniu. Jedni stali na brzegu morza, inni opierali się o podnóże góry, tak jak gdyby zamierzali wspiąć się na nią. Jedni mieli wielkie, potężne głowy, inni wcale ich nie mieli. Jedni byli bez rąk, inni mieli z tyłu z przodu wielkie garby.

Chłopcu nigdy jeszcze nie zdarzyło się widzieć czegoś podobnie dziwaczного. Stał i bał się tak okropnie tych strasydeł, że niemal zapomniał o lisach.

Nagle usłyszał drapanie pazurów o kamienie i zauważył wszystkie trzy lisy pnące się w górę. Skoro chłopiec ujrzał, że ma do czynienia z rzeczywistością, uspokoił się zupełnie i nie czuł już żadnej obawy. Pomyślał tylko, że byłoby może niezbyt szlachetnie, gdyby teraz obudził tylko gęsi, owce zaś zostawił ich własnemu losowi.

Pobiegł więc pośpiesznie w głąb jaskini, zbudził wielkiego barana, potrząsając go za rogi i za grzbiet. — Wstawaj, stary, a napędzimy lisom porządnego strachu — szepnął.

Starał się zachowywać jak najciszej, ale lisy mimo to usłyszały szmer. Zatrzymały się u wejścia do jaskini i zaczęły się zastanawiać.

— To chyba poruszyła się we śnie jedna z owiec. A może też czuwają — niepokoił się jeden z lisów.

— Co tam! Wchodź prędzej! — wołał inny. — W żadnym wypadku nic nam nie grozi.

I wsunęły się do środka. We wnętrzu jaskini zatrzymały się jednak i poczęły węszyć.

— Kogo dziś wybierzemy? — szepnął lis idący na czele.

— Weźmiemy starego rogacza — szepnął lis idący z tyłu. — Potem łatwo już pójdzie z pozostałymi.

Chłopiec siedział na grzbiecie starego barana i patrzył na podkradające się lisy.

— Wał prosto przed siebie! — szepnął do barana.

Baran uderzył rogami i pierwszy lis zwałił się na łeb, na szyję i potoczył ku wyjściu.

— Uderzaj teraz na lewo! — zawołał chłopiec i wykręcił baranowi łeb w odpowiednią stronę.

Baran wymierzył porządny cios rogami na lewo i trafił drugiego lisa w bok. Ten przewrócił się i potoczył kilka razy, zanim stanął znowu na nogi i mógł uciekać. Chłopiec chciał, aby jeszcze i trzeci lis dostał pamiątkę, ale ten dał nura, nie czekając.

— No, na dziś będą miały chyba dobrą nauczkę! — zawołał chłopiec.

— I ja tak myślę — rzekł baran. — Połóż się teraz na moim grzbiecie i wtul w moją miękką wełnę. Po burzy, którą dzisiaj przeżyłeś, zasłużyłeś sobie na ciepłe pośłanie.

PIEKIELNA JAMA

Sobota, 9 kwietnia

Następnego dnia chłopiec zwiedzał wyspę siedząc wygodnie na grzbiecie barana. Całą wyspę stanowiła jedna wielka skała. Przypominała wysoki dom z prostopadłymi murami i płaskim dachem. Baran udał się najpierw na skalisty dach i pokazywał chłopcu najlepsze pastwiska, obfitujące w małe, suche korzenie i zioła, którymi owce najchętniej cię żywią. Chłopcu wyspa ta wydała się jakby

stworzona dla owiec.

Kto zaś wdrapałby się szczęśliwie po stromym zboczu góry na szczyt, zobaczyłby stamtąd coś ciekawszego jeszcze od pastwisk baranich. Więc przede wszystkim dalekie, dalekie morze, mieniące się cudnym błękitem w blasku słonecznym i szumiące rozigranymi falami. Gdzieś tam, obijając się o rafy, pieniało się ono śnieżną pianą. Wprost ku wschodowi ciągnęło się długie wybrzeże Gotlandii, a na południo-zachodzie widać było Wielką Wyspę Karolową, wykazującą tę samą formację, co Mała Wyspa.

Gdy baran podszedł do skraju skały, tak że chłopiec mógł spojrzeć w dół, ujrzał, że skała pokryta była gniazdami ptaków, a na tle błękitnej toni uwijały się w zgodzie najrozmaitsze gatunki mew, kaczek edredonowych², gęsi islandzkich i nurzyków, polujących gorliwie na śledziki.

— Istotnie błogosławiona to kraina — rzekł chłopiec. — I naprawdę macie się tu doskonale, moi państwo!

— Rzeczywiście, ładnie tu bardzo — rzekł baran. Chciał jeszcze coś dodać, ale nie powiedział nic więcej, tylko westchnął przeciągle.

— Jeżeli jednak będziesz tutaj sam chodził — rzekł po chwili — to miej się na baczności przed szczelinami na powierzchni góry.

Była to słuszna przestroga, gdyż w kilku miejscach widać było głębokie i szerokie przepaści.

— Największa z tych szczelin nazywa się Piekielną Jamą — rzekł baran. — Ma kilka metrów głębokości i więcej niż metr szerokości. Kto w nią wpadnie — przepadł.

Chłopcu wydało się, że baran powiedział to z ukrytym jakimś zamiarem.

Sprowadził teraz chłopca na dół ku wybrzeżu. Tam Nils ujrzał wreszcie z bliska olbrzymów, którzy go tak przestraszyli w nocy. Były to wszystko skały tak dziwnych kształtów, że chłopiec nie mógł im się dość napatrzeć. Pomyślał, że jeśli żywe istoty można zakląć w kamień, to chyba tak muszą wyglądać.

Jakkolwiek na wybrzeżu było także bardzo ładnie, to jednak na górze podobało się chłopcu o wiele bardziej. W dole sprawiał mu przykrość widok martwych baranów, z których lisy urządziły sobie tutaj ucztę. Leżały tam prócz nagich szkieletów także i ciała nie dojedzone, a nawet i zupełnie przez lisy nie tknięte. Przekonał się z przerażeniem, że drapieżne te zwierzęta napadały na barany również i dla przyjemności, po to, aby je dręczyć i mordować.

Baran nie zatrzymywał się przy trupach i mijał je w milczeniu, lecz chłopiec widział dokładnie wszystkie te potworności.

Idąc dalej, baran wspiał się ponownie na górę i stanąwszy na szczycie powiedział:

— Gdyby jakaś mądra i dzielna istota poznała nieszczęsne nasze położenie, lisy nie uszłyby i pewnością przed należytą karą.

— A jednak lisy także muszą żyć — rzekł chłopiec.

— Rozumie się — odrzekł baran — trudno potępiać tych, co żywiąc się mięsem szukają go dla siebie; jednak mordując dla przyjemności popełniają zbrodnię.

— Powinni wam dopomóc wieśniacy, do których należy wyspa — odezwał się chłopiec.

— Przybyli już tutaj kilka razy w tym celu — odrzekł baran — ale lisy pochowały się w jaskiniach i w szczelinach skał — tam strzały nie mogły ich dosięgnąć.

— Ach, mój pocziwy staruszk! Nie sądzisz chyba, że tak małe i nędzne stworzenie jak ja mogłoby sobie z nimi poradzić, skoro ani wy, ani wieśniacy nie mogliście ich wytępić — rzekł chłopiec.

— Mały, a sprytny, dużo potrafi — odrzekł baran.

Nie mówili już więcej o tym i chłopiec wrócił do dzikich gęsi, które pasły się na zboczu góry. Mimo że nie okazywał tego baranowi, martwił się jednak bardzo przykrym jego położeniem i serdecznie pragnął dopomóc baranom.

„W każdym razie pomówię o tym z Akką i z gąsiorem Marcinem — pomyślał — być może, że dadzą

mi jakąś dobrą radę“.

Wkrótce potem biały gąsior wziął chłopca na grzbiet i poleciał z nim ponad wierzchołkiem skał do Piekielnej Jamy. Leciał swobodnie i bez obawy, nie myśląc o tym, że jest tak duży i biały i może zwrócić na siebie uwagę. Nie próbował się ukrywać za pagórkami ani za kamieniami i ten brak ostrożności wydawał się u niego dziwnym, gdyż podczas wczorajszej burzy okulał na prawą nogę, a lewe skrzydło wlokło się po ziemi jak nadłamane.

Czuł się tak ożywiony i pewny siebie, że lekceważył wszelkie niebezpieczeństwo. Zatrzymywał się po drodze tu i ówdzie skubiąc trawę i zioła i nie oglądał się poza siebie. Chłopiec zaś leżał wyciągnięty na jego grzbiecie i patrzył w błękitne niebo. Był już teraz taki wyćwiczony w podobnym sposobie podróżowania, że mógł nawet stać albo leżeć swobodnie na grzbiecie swego towarzysza.

Ponieważ gąsior i chłopiec nie mieli się wcale na baczności, przeto nie zauważyli trzech lisów, które wysunęły się cichaczem na szczyt góry. Lisy wiedziały dobrze, że nie łatwo jest porwać gęś na otwartej przestrzeni, toteż dalekie były od zamiaru wszczynania łowów. Nie mając jednak żadnego innego zajęcia wsunęły się w końcu w długą szczelinę skalną i usiłowały podkraść się do gąsiora. Czyniły to tak ostrożnie, że gąsior również i teraz nic nie zauważył.

Zbierał się już do odlotu: rozpiął skrzydła, zatrzepotał nimi, ale nie mógł wzbić się w górę. Widząc to, lisy wywnioskowały, że gąsior nie może latać, i chciały z tego skorzystać.

Wyskoczyły z jamy na otwartą polanę. Tutaj, ukrywając się, o ile to było możliwe, za kopce ziemi i odłamki skał, zbliżały się coraz bardziej do gąsiora, nie wzbudzając w nim nadal najmniejszego podejrzenia.

W końcu były już tak blisko, że mogły się odważyć na skok, i wszystkie trzy na raz rzuciły się na gąsiora.

W ostatniej chwili gąsior musiał je jednak spostrzec, gdyż skoczył nagle w bok i uszedł na razie przed lisami. Gęsi umieją wprawdzie biegać tak szybko, że nawet lisowi trudno je dogonić, i gąsior biegł jak mógł najszybciej, ale niestety był kulawy.

Chłopiec siedział na grzbiecie gąsiora, wołając i dogadując lisom:

— Takeście się, panowie lisy, uraczyły baraniną sadłem, że już nawet gęsi złapać nie potraficie!

Drażnił je tym i gniewał tak, że wpadły we wściekłość i pędziły jak szalone naprzód.

Biały gąsior zaś skierował się wprost ku wielkiej Jamie Piekielnej. Dobiegłszy rozpostarł skrzydła i minął ją. Lisy pędziły tuż za nim. Nagle chłopiec zatrzymał gąsiora i pogłaskał go po szyi, wołając;

— Możesz się teraz zatrzymać, Marcinku!

W tej samej chwili usłyszeli poza sobą przeraźliwe wycie, drapanie pazurami i głuchy stuk spadających ciał. Lisów nie było ani śladu.

Następnego ranka latarnik Wielkiej Wyspy Karolowej znalazł na progu swego domu kawał kory, na której napisane było krzywymi, nieudolnymi literami: „Lisy na Małej Wyspie Karolowej wpadły do Piekielnej Jamy. Pośpieszaj!”

Co też latarnik i zrobił.

[2](#) Kaczki edredonowe — odmiana kaczek północnych

DWA MIASTA

MIASTO NA DNIE MORSKIM



Niedziela, 10 kwietnia

Była cicha, jasna noc. Dzikie gęsi nie szukały schronienia w jaskini, lecz spały na szczycie skały, a chłopiec wyciągał się obok nich na suchej trawie.

Księżyc świecił tej nocy jasno, tak jasno, że chłopiec długo nie mógł zasnąć. Zastanawiał się, ile czasu już upłynęło od chwili opuszczenia przez niego domu rodzinnego, i obliczył, że od początku podróży minęło już trzy tygodnie. Nagle przypomniał sobie, że to dziś właśnie przypada uroczysta Wielka Sobota.

„Dzisiejszej nocy wybierają się w drogę wszystkie czarownice z Bloksberg” — zażartował. O ile bowiem obawiał się krasnoludków i duchów, o tyle nie wierzył ani trochę w czarownice.

„Gdyby naprawdę w tę noc pokazały się czarownice, musiałbym je przecież zobaczyć. Przy tak jasnym blasku księżyca nie ukryłyby się przed moimi oczami najmniejszy pyłek w powietrzu” — przekładał sobie chłopiec dalej.

Kiedy tak spoglądał w niebo i myślał o tym wszystkim, ujrzał nagle piękny obraz. Dość wysoko na widnokręgu świecił księżyc w pełni, jasny i okrągły, a nad nim unosił się wielki ptak. Na jasnym tle odbijał się czarnymi zarysami, a skrzydła jego sięgały od jednej krawędzi księżyca do drugiej. Tułów jego był wielki, szyja długa i smukła i chłopiec poznał od razu, że to musi być bocian.

W kilka chwil potem na ziemię obok chłopca spuścił się istotnie bocian, pan Klekot. Pochylił się nad nim i trącił dziobem, aby go obudzić.

Chłopiec usiadł natychmiast.

— Ja nie śpię, panie Klekot — powiedział. — Ale dlaczegoż to pan wędrujesz wśród nocy i co tam słyszać w Glimminge? Czy pragnie pan pomówić z matką Akką?

— Noc jest tak jasna, że nie można było zasnąć — odpowiedział pan Klekot. — Przyleciałem więc na wyspę w odwiedziny do ciebie, przyjacielu Paluszku, dowiedziałem się bowiem od pewnej mewy, że tutaj przebywasz tej nocy. Nie sprowadziłem się jeszcze do Glimminge, mieszkam tymczasem na

Pomorzu.

Chłopca uradowały te odwiedziny niewymownie. Gawędzili jakiś czas o tym i owym, jak starzy przyjaciele. Naraz bocian zapytał chłopca, czy nie miałby ochoty wybrać się w tak piękną noc na wycieczkę.

Malec zgodził się bardzo chętnie, pod tym jednak warunkiem, że go bocian przed wschodem słońca przyniesie z powrotem do gęsi. Pan Klekot przyrzekł i natychmiast udali się w drogę. Znowu bocian skierował lot prosto ku księżycowi. Pędził coraz wyżej i coraz wyżej, morze znikało pod nimi, a w tym szybkim locie zdawało się chłopcu, że tkwi w miejscu.

Kiedy bocian osiadł na ziemi, chłopiec sądził, że cała wędrówka powietrzna trwała zaledwie kilka chwil. Tymczasem musiał przebyć z bocianem znaczną odległość, gdyż pan Klekot, zsuwając chłopca na ziemię, powiedział:

— Oto Pomorze.

Chłopiec zadziwił się, że jest w zupełnie obcym kraju. Nigdy sobie czegoś takiego nie wyobrażał. Szybko rozejrzał się wokoło. Stał na samotnym wybrzeżu pokrytym miękkim, drobnym piaskiem. Po stronie przylegającej do lądu ciągnął się długi szereg piaszczystych, porośłych trawą pagórków, które, mimo że nie były zbyt wysokie, zasłaniały jednak chłopcu zupełnie widok na okolicę.

Pan Klekot stanął na jednym z pagórków, podniósł nogę w górę wyciągnął szyję, wsuwając dziób pod skrzydło.

— Odpocznę trochę — rzekł do Paluszka — a ty tymczasem możesz sobie pospacerować po wybrzeżu. Tylko żebyś nie zbłądził.

Chłopiec chciał zrazu wspiąć się na jeden z pagórków, aby rozejrzeć się po okolicy; postąpiwszy jednak kilka kroków naprzód, potracił końcem drewnianego sandała o coś twardego. Spojrzał i zobaczył leżącą na piasku małą, zaśniedziałą monetę miedzianą. Była tak licha, że nie warto było schylać się po nią, odrzucił ją więc pogardliwie nogą. Kiedy zaś po chwili podniósł głowę, ujrzał z bezgranicznym zdumieniem wznoszący się zaledwie o dwa kroki przed nim ponury mur z wielką bramą, nad którą wznosiła się wieża.

Przed chwilą zaledwie, gdy spostrzegł pieniądz, leżało u jego stóp morze, iskrzące się blaskami i barwami, teraz zaś zasłaniał je zupełnie długi mur, najeżony wieżami i wieżyczkami. I właśnie tuż obok chłopca, tam gdzie poprzednio ciągnęła się ława wodorostów, otwierały się w murze wielkie wrota.

Chłopiec rozumiał, że muszą to być czary, ale nie odczuwał żadnego strachu, bo to, co widział, nie było wcale przerażające ani straszne. Mury i wieże były wspaniałe i chłopiec zapragnął zobaczyć, co się poza nimi kryje.

„Muszę zbadać, co tam jest” — pomyślał i wszedł we wrota.

Pod sklepieniem siedzieli strażnicy w kolorowych, fałdzistych ubiorach, z długimi halabardami i grali w kości. Byli tak zajęci grą, że nie zauważyli chłopca, który minął ich szybko.

Tuż przed bramą ciągnął się duży plac, wybrukowany gładkimi płytami kamiennymi. Wokoło stały wysokie, wspaniałe domy, a między nimi otwierał się widok na długie, wąskie ulice.

Na placu przed bramą roiło się od ludzi. Mężczyźni ubrani byli w długie, obramowane futrem płaszcze, zarzucone na jedwabne suknie, berety, ozdobione piórami, przechylone mieli nad uchem, a na piersiach zwieszały im się prześliczne łańcuchy. Wszyscy byli wspaniale odziani i każdy z nich uchodzić mógł za księcia.

Kobiety nosiły spiczaste czepce i długie szaty z wąskimi rękawami. I one były pięknie przystrojone, ale strój ich nie dorównywał ubiorom mężczyzn.

Wszystko to przypominało zupełnie obrazki w starej książce z opowiadaniem, którą matka niekiedy wyjmowała ze skrzyni pokazywała chłopcu. Nils nie chciał wierzyć własnym oczom.

Osobliwsze jednak od mężczyzn i kobiet było samo miasto. Każdy dom miał balkon wychodzący na ulicę, a balkony te były tak bogato ozdobione, że można by myśleć, iż współzawodniczą ze sobą o najpiękniejszy wygląd.

Kto na raz ogląda wiele nowych rzeczy, nie może sobie potem wszystkiego dokładnie przypomnieć. Mimo to chłopiec pamiętał później, że widział szczyty domów, na których stały figury Chrystusa i apostołów, framugi przyozdobione posągami, a potem znów inne, wyłożone kolorowym szkłem albo białym i czarnym marmurem.

Podziwiając te cuda chłopiec poczuł nagle niewytłumaczony niepokój.

— Tego jeszcze nigdy nie widziałem na oczy i nigdy w życiu moim tego już nie zobaczę — powiedział do siebie i zaczął biec z ulicy w ulicę bez wytchnienia.

Ulice były wąskie, ale wcale nie tak puste i ponure jak w miastach, które dotychczas widywał. Wszędzie pełno było ludzi. Stare kobiety siedziały przed drzwiami i przędły bez kołowrotek. Sklepy przypominały budy jarmarczne. Na jednym z placów gotowano tran, na drugim garbowano skóry, a na jednej z ulic urządzony był warsztat powroźniczy. Gdyby chłopiec miał czas, mógłby się tutaj nauczyć wielu rzeczy. Widział kowali wykuwających cienkie pancerze; złotników oprawiających drogie kamienie w pierścienie i naramienniki; tokarzy toczących naczynia z białego drzewa; szewców zelujących czerwone, miękkie pantofle; tkaczy przetykających jedwabiem i złotem cienkie tkaniny.

Ale chłopiec nie mógł zatrzymywać się na każdym kroku. Pędził ciągle naprzód, aby zobaczyć jak najwięcej, zanim wszystko nie zniknie mu sprzed oczu. Mur biegł wokoło całego miasta i otaczał je zupełnie tak, jak płoty ogradzają w Szwecji wszystkie pola. Na krańcu każdej ulicy wznosiły się na murze wieże i świeciły dachy cynkowe. A po wieżach przechadzali się pachołkowie w błyszczących zbrojach i świecących hełmach.

Przewędrowawszy całe miasto chłopiec zaszedł znowu do bramy miejskiej. Przed nią roztaczało się morze i port. Tutaj widział starożytne łodzie z wysokimi masztami. Tragarze i kupcy uwijali się gorliwie. Wszędzie tętniło życie i wszystkim było pilno do czegoś.

Ale i tu wewnętrzny niepokój nie pozwalał mu zatrzymać się dłużej. Pośpieszył znowu do miasta i znalazł się na wielkim placu targowym. Wznosiła się tam katedra o trzech wysokich wieżach wielkich odrzwiach, ozdobionych kamiennymi figurami. Ściany pokrywały rzeźby tak, że nie było na nich ani jednej cegielki bez ozdoby. A jakież przepych jaśniał poprzez otwarty portyk! Złote krucyfiksy złożonymi ozdobami pokryte ołtarze, księża w złotych ornatach! Naprzeciwko kościoła stał dom z cynkowym dachem i wysmukłą, niebotyczną wieżą. To był zapewne ratusz. A od kościoła do ratusza wokoło całego rynku stały najpiękniejsze domy z najrozmaitszymi ozdobami.

Chłopiec nabiegał się tyle, że upadał niemal ze znużenia. Zdawał o mu się, że teraz widział już wszystko, co miasto najosobliwszego posiadało, i szedł wolniej. Na ulicy, w którą właśnie zboczył, mieszkańcy pewnie kupowali swoje wspaniałe szaty. Ludzie tłoczyli się przed małymi sklepami, gdzie kupcy rozkładali na stołach sztywne, kwieciste materie jedwabne, grube, złociste brokaty, lśniący aksamit, lekkie, miękkie chustki jedwabne i przezroczyście, powiewne koronki.

Przedtem, kiedy chłopiec pędził tak szybko, nikt na niego nie zważał. Ludzie myśleli zapewne, że to skacze mały, szary szczur. Dopiero teraz, gdy krążył zwolna po ulicy, zauważył go jeden z kupców i natychmiast kiwnął na niego.

Malec zląkł się i chciał uciekać, ale kupiec kiwał dalej i zachęcał go uśmiechem, rozkładając na stole sztukę prześlicznego aksamitu, jak gdyby chciał go tym przywabić.

Chłopiec potrząsnął przecząco głową.

„Nigdy w życiu nie będę tak bogaty, żeby sobie choć łokieć takiego materiału kupić” — myślał.

Tymczasem we wszystkich sklepach wzdłuż całej ulicy zwrócono na niego uwagę. Gdziekolwiek

spojrzał, wszędzie stał kupiec i kiwał na niego. Pozostawiali swoich bogatych klientów i zajmowali się tylko nim. Biegli do najbardziej ukrytych zakątków sklepów, wydobywali stamtąd najlepsze swe towary i wykładali je na stół rękami trzęsącymi się z pośpiechu.

Chłopiec szedł dalej nie zatrzymując się. Wtem jeden z kupców wybiegł do niego, pochwycił go za rękaw i rozłożył przed nim srebrzysty brokat i jedwabne tapety, połyskujące wszystkimi barwami. Chłopiec nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Czyż nie można było poznać od razu, że taki nędzarz jak on nie jest w stanie kupić tak drogich towarów? Staął i wyciągnął obie swe puste ręce, aby pokazać ludziom, że nic nie ma i nic nie kupi.

Na to kupiec podniósł palec do góry, skinął nań zachęcająco i podsunął mu cały stos najpiękniejszych towarów.

Potem wyciągnął z kieszeni mały, wytarty pieniądz, najmniejszy, jaki w ogóle istnieje, i pokazał go Paluszkowi. A chcąc go jeszcze bardziej zachęcić do kupna, dołożył jeszcze dwa srebrne puchary do stosu towarów.

Wówczas chłopiec zaczął szukać po kieszeniach. Wiedział wprawdzie, że nie ma ani jednego złamanego szeląga, ale mimo woli szukał dalej.

Wszyscy kupcy przypatrywali się uważnie tym poszukiwaniom. Nie czekając końca skoczyli w głąb sklepów, schwycili tyle srebrnych i złotych klejnotów, ile tylko unieść mogli, i podawali mu wszystko, czyniąc znaki, że nie żądają większej zapłaty nad jeden grosz.

Ale chłopiec przeszukiwał na próżno kieszenie swych spodni i kurtki: nie posiadał nic, zupełnie nic. Wtedy w oczach tych wszystkich poważnych kupców, którzy byli przecież o wiele bogatsi od niego, ukazały się łzy. I chłopiec poczuł się dziwnie wzruszony, gdyż wyglądali na niezwykle zmartwionych. Zastanowił się, czy nie mógłby im pomóc w jakikolwiek sposób, i nagle przypomniał mu się zaśnieżony pieniądz miedziany, znaleziony w piasku.

Natychmiast pobiegł pośpiesznie z powrotem i szczęście mu dopisało, trafił bowiem do tej samej bramy, przez którą poprzednio wszedł. Przeszedł przez nią, popędził na wybrzeże i zaczął szukać miedzianej monety, która tam przedtem leżała.

I rzeczywiście — pieniądz leżał na swoim miejscu. Lecz skoro go podniósł i chciał z nim wrócić do miasta, ujrzał przed sobą tylko morze. Ani muru, ani bramy, ani strażników, ani ulic, ani domów! Nic, nic — prócz morza!

Oczy chłopca napełniły się łzami. Wiedział przecież, że wszystko to, co widział, było tylko złudzeniem, ale było to tak piękne! I teraz, kiedy znikło, uczył smutek i żal.

W tej samej chwili podszedł do niego pan Klekot, żeby go zbudzić. Trącił go dziobem, mówiąc:

— Zdaje mi się, że spałeś tak mocno jak i ja.

— Ach, panie Klekot — rzekł Paluszek — co to było za miasto, które tutaj widziałem?

— Widziałeś miasto? — odparł bocian. — Zdaje ci się tylko. Spałeś i śniłeś — oto wszystko.

— Nie, nie spałem — odparł Paluszek. I opowiedział bocianowi wszystko, co widział.

Na to rzekł bocian:

— Według mnie stanowczo zasnąłeś na brzegu i śniłeś. Nie chcę jednak ukrywać przed tobą, że Bataki, kruk, który najwięcej wie ze wszystkich ptaków, opowiedział mi raz, że niegdyś było tu miasto, zwane Vinetą³. Miało być bardzo piękne i bogate i żadne miasto na świecie nie mogło się z nim porównać. Niestety, mieszkańcy jego byli dumni i rozrzutni. I — ciągnął bocian dalej — Bataki mówi, iż za karę Vineta została zatopiona przez fale i pogrążona na dnie morskim. Mieszkańcy jej jednak nie mogą umrzeć, a miasto nie może rozpaść się w gruzy. Co sto lat tylko wolno miastu w całej jego wspaniałości wynurzyć się z dna morza i przez całą godzinę pozostawać na lądzie.

— Tak, to musi być prawda — zawołał Paluszek — bo ja je widziałem!

— Kiedy godzina mija, a nikomu w tym czasie nie udało się w Vinecie sprzedać czegokolwiek za pieniądze jakiejś żyjącej istocie, miasto zapada ponownie w głąb morza. Gdybyś ty, Paluszk, posiadał choć jedną mamą monetę, aby zapłacić kupcom za towar, Vineta mogłaby pozostać na lądzie i mieszkańcy jej mogliby, jak inni ludzie, żyć i umierać,

— Ach, panie Klekot — zawołał chłopiec — teraz wiem, dlaczego pan przyleciał wśród nocy i zabrał mnie z sobą! Myślał pan, że ja będę tym, który wybawi stare miasto. Ach, panie Klekot, jakżeż żałuję, że mi się to nie udało!

Ukrył twarz w dłoniach i płakał. I trudno byłoby powiedzieć, kto był bardziej zmartwiony — chłopiec czy bocian.

MIASTO ŻYWYCH

Poniedziałek, 11 kwietnia

W poniedziałek wielkanocny puściły się dzikie gęsi wraz z Paluszkiem w drogę i unosiły się teraz nad Gotlandią. Pod nimi leżała ta wielka wyspa, stanowiąca płaszczyznę o takiej samej głębie jak w Skanii i równie wielkiej ilości kościołów i domów wiejskich. Różnicę stanowiły tylko wspaniałe łąki przecinające pola i zupełny; brak wielkich dóbr pańskich z pałacami i wieżami.

Gęsi obrały drogę przez Gotlandię tylko ze względu na Paluszka, który od dwóch dni czuł się bardzo przygnębiony. Bezustannie widział przed sobą owo miasto, które mu się w taki dziwny sposób ukazało. Musiał ciągle myśleć o pięknych budynkach i niezwykłych ludziach.

„Ach gdyby mi się też udało przywrócić to wszystko do życia! — myślał. — Jakież to nieszczęście, że takie cuda spoczywać muszą na dnie morskim!”

Akka i gąsior starali się usilnie przekonać Paluszka, że to, co widział, było tylko snem albo złudzeniem wzroku, ale chłopiec nie chciał o tym słyszeć. Był zupełnie pewny, że wszystko widział naprawdę, i nikt nie mógł mu tego wyperswadować. Chodził więc tak smutny i przygnębiony, że wzbudzał niepokój w swych towarzyszach podróży.

Tymczasem właśnie w chwili największego przygnębienia malca zjawiała się stara Kaksi. Burza zapędziła ją aż na Gotlandię i przewędrowała całą wyspę, zanim się dowiedziała, gdzie ma szukać swych towarzyszy podróży. Gdy przybyła na Małą Wyspę Karolową i dowiedziała się o smutku Paluszka, rzekła natychmiast:

— Jeśli Paluszek tak się smuci miastem umarłym, to go mogę łatwo pocieszyć. Lećcie za mną, a pokażę mu miejscowość, którą wczoraj oglądałam. Ręczę, że smutek jego minie.

Pożegnały się gęsi z owcami i wybrały się w drogę do miejscowości, którą Kaksi chciała pokazać malcowi. Mimo swego smutku spoglądał on z ciekawością na krainę, ponad którą leciał,

I przyszło mu na myśl, że wyspa ta musiała być niegdyś wysoką, stromą rafą, tak jak Wyspa Karolawa, tylko naturalnie o wiele, wiele większą. Później wszakże musiała ulec spłaszczeniu. Wzięto chyba wielki wałek i ugnieciono wyspę, jak ugniata się kawał ciasta. Nie doprowadzono jednak widocznie roboty do końca, gdyż na samym wybrzeżu chłopiec zauważył w kilku miejscach wysokie, białe ściany wapienne z mnóstwem grot i szczelin. Na ogół jednak i wybrzeże było także płaskie.

Stado gęsi spędziło na lądzie piękne popołudnie niedzielne. Było tak rozkosznie ciepło jak w lecie. Drzewa nabrzmiewały pąkami, wiosenne kwiecie pokrywało łąki barwnym kobiercem, na topolach chwiały się długie, puszyste bazie, a w ogródkach, otaczających małe domki, krzaki agrestu jaśniały młodziuchną zielenią.

Ciepło, paki i kwiaty wywabiły ludzi z domów. Nawszystkich drogach i placach roilo się od przechodniów. Wszędzie bawiono się wesoło: zarówno dzieci, jak i dorośli rzucali kamieniami do celu i ciskali piłki tak wysoko w górę, że dolatywały niemal do dzikich gęsi. Chłopiec bawiłby się zapewne ogólną wesołością, gdyby nie był tak przygnębiony.

Musiał jednak przyznać, że wycieczka była bardzo ładna. Wszędzie rozlegały się wesołe dźwięki i śpiewy. Małe dzieci bawiły się w kolo i śpiewały ulubione swe piosenki. Z bocznej ulicy wychodziła gromada ludzi z wielkimi chorągwiami, śpiewając chórem. Głosy ich dochodziły do chłopca mimo znacznej odległości. Na wzgórkach w lesie siedzieli odświętnie ubrani ludzie, grali na gitarach i na trąbach.

Późniejsze wspomnienia chłopca o Gotlandii splatały mu się odtąd zawsze ze śpiewem i tańcem. Długo przyglądał się, a gdy po pewnym czasie podniósł przypadkiem oczy, ach, jakże się zadziwił! Gęsi niepostrzeżenie zmieniły kierunek lotu i leciały teraz wzdłuż wybrzeża na zachód. Przed nimi roztaczało się niezmierzone, błękitne morze.

Nie morze to jednak wydało się chłopcu tak dziwne, jeno miasto, które się wznosiło tam na wystającym wybrzeżu morskim.

Gęsi nadlatywały od wschodu i właśnie kiedy doleciały do miasta, zachodziło słońce: wszystkie mury i wieże, wysokie kamienice i krzyże kościelne rysowały się czarno na jasnym niebie. Chłopiec więc nie mógł na razie stwierdzić, jak w rzeczywistości wyglądało miasto, i przez kilka chwil sądził, że jest równie piękne jak to, które widział owej nocy wielkanocnej wyłaniające się z dna morskiego.

A jednak z bliska przekonał się, jak bardzo się różniły. Była to taka różnica, jak między wyglądem człowieka, który się jednego dnia ustroi w purpurę i bogate aksamity, następnego zaś odzieje w nędzne łachmany.

Być może, iż miasto to wyglądało niegdyś tak jak tamto, które podziwiał na wybrzeżu Pomorza. I ono otoczone było murem i wieżycami, i bramami. Ale wieże tego miasta, któremu wolno było pozostać na ziemi, nie miały dachów, puste były i odarte ze wszystkiego. Bramy bez wrót, brak stróżów i odźwiernych. Cały świetny przepych znikł — pozostały tylko szare, nagie mury.

Gęsi leciały ponad miastem i chłopiec widział, że składało się ono przeważnie z małych, niskich, drewnianych domków; tylko gdzieś tam widać było wysokie domy i kościoły pochodzące z dawnych czasów. Domy te były białe, bez żadnych ozdób. Ale chłopiec, który tak niedawno podziwiał zatopione miasto, wyobrażał sobie, jak to niegdyś zdobiły je kolumny lub czarny i biały marmur.

Tak samo patrzył na stare kościoły. Większość z nich nie miała dachów, a mury były nagie. Wszędzie widać było puste otwory okienne, podłogę z połamanymi płytami, porośłą trawą i resztki muru, na którym wiły się pnące rośliny. Nils jednak wyobrażał sobie te same ściany pokryte obrazami i malowidłami, ołtarze i złote krzyże na chórach, a tu i ówdzie kapłanów w szatach haftowanych złotem, odprawiających modły.

Przyglądał się małym bramom miejskim, przez które teraz pod wieczór niedzielny prawie nikt nie przechodził. I myślał o tym, jak to niegdyś roily się one od wspaniale ubranych ludzi, jak to na ulicach tych były niegdyś wielkie warsztaty i zakłady, w których pracowali najrozmaitsi rzemieślnicy.

I Nils Holgerson nie widział tego, że miasto to i dzisiaj było piękne i osobliwe. Nie widział ani ładnych domków w bocznych uliczkach, ich poczerniałych murów, białych okiennic i czerwono kwitnących pelargonii za błyszczącymi szybami, ani wspaniałych ogrodów i alei, ani urzekającego piękna ruin porośłych pnącymi się roślinami. Oczy jego były tak napełnione minionym przepychem, że nie mogły dojrzeć nic godnego uwagi w teraźniejszości.

Dzikie gęsi przelatywały kilkakrotnie nad miastem, żeby Paluszek mógł dokładnie wszystko obejrzeć. W końcu siadły na nocleg wśród ruin kościelnych na porośłym trawą dziedzińcu.

Kiedy gęsi już usnęły, Paluszek czekał jeszcze długo, spoglądając przez dziurawą kopułę na niebo różowe w odbłaskach zachodu. Patrzył i myślał, że nie będzie się już więcej martwił, iż nie potrafił uratować zatopionego miasta. Nie, nie będzie się już martwił! Gdyby miasta, które widział, nie zatopiło morze, stałoby się ono zapewne z biegiem czasu takie ubogie i opuszczone jak to, które oglądał. Może nie zdołałoby się ono oprzeć zmienności czasu i miałoby wkrótce, tak jak to, kościoły bez dachów, domy bez ozdób i puste, nie zaludnione ulice. Może więc lepiej, że śpi cicho pod kryształową tonią morską, nie utraciwszy nic ze swych wspaniałości,

„Niech się więc nie odstanie to, co się stało — myślał. — I kto wie, czy teraz, nawet mając moc uratowania zatopionego miasta, chciałbym przywrócić je do życia”.

I wielu młodych myślałoby z pewnością podobnie jak Nils.

Odtąd nie smucił się już. Ludzie starsi jednak, przyzwyczajeni do zadowalania się małym, cieszą się bardziej ubogim, rzeczywistym miastem Visby niż piękną Vinetą na dnie morskim.

PODANIE O SMÄLANDII

Wtorek, 12 kwietnia

Dzikie gęsi odbyły pomyślnie podróż przez morze i osiadły w północnej części Smalandii. Cała ziemia w tej okolicy podzielona była przez liczne odnogi morskie na wyspy, półwyspy, cyple i przesmyki. Morze okazało się tak zaborcze, że w końcu pozostały tu nie tknięte przez wodę same tylko pagórki i grzbiety górskie.

Kiedy dzikie gęsi nadleciały od strony morza, był już wieczór i falista, malownicza ziemia leżała uśpiona w otoczeniu lśniących fiordów. Gdzieś na wyspach widać było chaty i domy, a na wet i wielkie, białe dwory pańskie. Na wybrzeżu stały rzędami drzewa, za nimi ciągnęły się uprawne pola, a na wzgórzach, otaczających wybrzeże, rosły znów drzewa. Chłopcu, spoglądającemu na to wszystko z góry, przypominał się oglądany kiedyś w nocy kawałek wybrzeża Blekinge, i tu bowiem morze z ziemią stykało się zgodnie i spokojnie, roztaczając skarby swe i bogactwa.

Dzikie gęsi opuściły się na nagie wybrzeże nad fiordem. Natychmiast stwierdziły, że w czasie ich pobytu na wyspach wiosna uczyniła na lądzie duże postępy. Na olbrzymich drzewach nie było jeszcze wprawdzie liści, ale łąki i błonia u ich stóp jaśniały bielą, zielenią, błękitem i złotem. Gęsi zdziwił ten widok nieoczekiwany. Prędko jednak zrozumiały, że barwny kobierzec na łąkach tworzą białe sasanki, żółte i fioletowe krokusy, błękitne przylaszczki. Widok ten zachwycił je, ale jednocześnie zaniepokoiły się tym, że tak długo przebywały w południowej części kraju, i teraz muszą pośpieszać z podróżą na północ. Akka orzekła nawet, że zapewne nie starczy już czasu na odpoczynek w Smalandii.

Wiadomość ta zasmuciła chłopca. Ze wszystkich okolic kraju najbardziej pragnął poznać Smalandię, gdyż najwięcej mu o tej okolicy opowiadano. Pragnął więc zobaczyć ją na własne oczy.

Jak wiemy, spędził on poprzednie lato na wsi w pobliżu Jordebergi, służąc za gęsiarka. Tam przestawał ciągle w towarzystwie kilku ubogich pastuszków ze Smalandii. Dzieci te opowiadały mu bezustannie o swej rodzinnej ziemi, nie szczędząc przy tym docinków i złośliwych uwag.

Co prawda, rozsądna gęsiarka Aza nie brała udziału w tych przekomarzeniach się i sprzeczkach. Natomiast brat jej, mały Mats, wodził rej w podobnych rozmowach i rozmyślnie dokuczał Niłsowi.

— Słuchaj, Nils — pytał — czy wiesz, jak to było, kiedy Pan Bóg tworzył Skanię i Smalandię?

A gdy Nils mówił, że nie wie, zaczynał mu opowiadać zabawną historię:

— Było to wtedy, gdy Pan Bóg tworzył cały świat. Wśród tej roboty zjawił się święty Piotr.

Przyglądał się jakiś czas w milczeniu, a potem spytał: „Czy to trudno?”

„O tak, nawet bardzo trudno” — odpowiedział Bóg.

Święty Piotr przyglądał się jeszcze przez chwilę, a widząc, z jaką szybkością Bóg stwarza jeden kraj za drugim, nabrał odwagi i rzekł do Pana Boga:

„Odpocznij, a ja wyręcę cię chętnie w dalszej pracy”.

Ale Pan Bóg się zawahał.

„Wątpię, czy potrafisz” — powiedział.

Na to obraził się święty Piotr i oświadczył, że potrafi równie dobrze, jak sam Pan Bóg. A właśnie Bóg zajęty był tworzeniem Smälandii.

Kraina ta była wprawdzie dopiero w połowie gotowa, ale zapowiadała się niezwykle pięknie i udatnie. Pan Bóg nie umiał niczego odmówić świętemu Piotrowi, więc rzekł:

„Dobrze, dokończ tej krainy, którą oto rozpocząłem, ja zaś wezmę się do nowej. Zobaczymy, komu się uda lepiej”.

Święty Piotr zgodził się chętnie i natychmiast przystąpił do roboty.

Pan Bóg zaś posunął się nieco na południe i zabrał się do tworzenia Skanii. Wkrótce kraina była już gotowa. A wtedy Bóg zawołał świętego Piotra i kazał mu ją obejrzeć. Trudno było zaprzeczyć, że Skania udała się nad wyraz. Była to ziemia żyzna, łatwo dająca się uprawiać, z wielkimi równinami i gdzieniegdzie tylko wznoszącym się falisto gruntem. Wszystko to było tak obmyślane, aby ludziom było jak najlepiej i jak najdogodniej.

„Piękny kraj — rzekł święty Piotr — ale mój, zdaje się, wypadł jeszcze piękniej”.

Gdy wszakże Bóg zobaczył południową i zachodnią część Smälandii, której tworzenie powierzył świętemu Piotrowi, załamał ręce z rozpaczy i zawołał:

„Cóżżeś ty uczynił najlepszego!”

Stało się bowiem tak, że święty Piotr chcąc dostarczyć swojej krainie jak najwięcej ciepła, nagromadził mnóstwo głazów, gór i skał i podniósł grunt na znaczną wysokość, aby kraj przybliżyć do światła i ciepła słonecznego. Na stosach głazów rozpostarł potem cienką warstwę ziemi. I pewien był, że uczynił wszystko jak najlepiej.

Właśnie kiedy oglądali Smälandię, spadły ulewne deszcze i to wystarczyło, aby wykazać wartość jego roboty. Woda zmyła pokład ziemi i ukazała nagi, skalisty grunt. Gdzieniegdzie została tylko glina i muł, a grunt był taki jałowy, że przyjąc się na nim mógł najwyżej mech i wrzos, jałowiec i sosna. Tylko jedna woda dopisała w obfitości, wypełniła bowiem wszystkie szczeliny w górach i wszędzie widać było jeziora, strumienie i rzeki, a przede wszystkim bagna i moczary ogromnie rozległe. Wypadło zaś przy tym tak niefortunnie, że w jednych miejscach wody było za dużo, w innych natomiast było jej brak. Całe przestrzenie wyschły zupełnie i za każdym powiewem wiatru unosiły się w górę tumany piasku i kurzu.

„Cóżżeś ty sobie myślał?” — zapytał Bóg.

Święty Piotr usprawiedliwiał się tym, że chciał ziemię tę przybliżyć do słońca.

„Toć przecież nocami cierpieć za to będzie od chłódów — rzekł Bóg — bo i zimno z niebios idzie. Lękam się, że nawet to, co z trudem tutaj wyrośnie, zniszczy mróz w nocy”.

Święty Piotr zawstydził się, jemu to bowiem na myśl nie przyszło.

„Tak, będzie to jałowa, mrozami gnębiona kraina — rzekł Bóg — ale na to nie ma już rady”.

Kiedy mały Mats dochodził do tego miejsca w opowiadaniu, przerywała mu gęsiareczka Aza.

— Nie mogę znieść tego, że w ten sposób przedstawiasz nasz kraj! — wołała. — Zapominasz, że posiadamy sporo urodzajnej ziemi. Przypomnij sobie tylko okręg nad cieśniną Kalmar: nigdzie chyba nie ma żyźniejszych pól żytnich. Masz tam przecież pole przy polu, zupełnie jak tutaj w Skanii. Doskonała to ziemia i wszystko na niej rośnie.

— No tak — przyznawał mały Mats — ale ja przecież powtarzam tylko podanie.

— Słyszałam też nieraz ludzi mówiących, że nigdzie nie ma tak pięknych wybrzeży jak w Tjust. Jakież tam są wzgórza, lasy i łąki!

— Tak, tak, to prawda! — potakiwał mały Mats.

— A nie pamiętasz, jak to opowiadała nauczycielka? W całej Szwecji nie ma tak pięknej i ożywionej okolicy jak część Smålandii położona na południe od jeziora Vättern. Przypomnij sobie tylko piękne jezioro Munk i miasto Jönköping z licznymi fabrykami zapalek, i miasto Huskvarna, otoczone wspaniałymi plantacjami.

— Tak, tak, to prawda! — potakiwał mały Mats,

— Przypomnij sobie jeszcze miasto Visingsö i jego ruiny, i wszystkie historyczne pamiątki! I dolinę rzeki Em, i wszystkie jej młyny, i fabryki drzewne, i stolarnie, i tokarnie!

— Tak, tak, to wszystko prawda — powtarzał mały Mats zawstydzony. Ale nagle wykrzykiwał głośno:

— Ach, jacy my głupi! To wszystko mieści się przecież w tej części Smålandii, którą stworzył Bóg, musi więc być piękne i udatne. Ale w Smålandii stworzonej przez świętego Piotra wygląda wszystko zupełnie tak, jak jest w podaniu. I nie dziwię się wcale, że Pan Bóg przeraził się na ten widok. Ale święty Piotr nie upadł na duchu i próbował pocieszyć Pana Boga.

„Nie gniewaj się — prosił — zobaczysz, stworzę człowieka, który osuszy moczary i zamieni grzbiety gór w uprawne ziemie”.

Ale teraz wyczerpała się cierpliwość Pana Boga,

„Nie, pozwolę ci co najwyżej stworzyć mieszkańca Skanii, tej pięknej i urodzajnej ziemi, Smålandczyka zaś zostaw mnie”.

I stworzył Bóg Smålandczyka, i uczynił go mądrym i cierpliwym, wesołym i pracowitym, przedsiębiorczym i dzielnym, po to aby mógł dać sobie radę w swym ubogim kraju.

W tym miejscu opowiadania Mats milkł i gdyby Nils Holgerson również milczał, byłoby wszystko dobrze. Ten jednak nie mógł się powstrzymać od zapytania, jak się udało świętemu Piotrowi ze stworzeniem człowieka.

— Jak? No, a jakże ty, mieszkaniec Skanii, podobasz się so bie? — odpowiadał mały Mats tak pogardliwie i złośliwie, że Nils rzucał się na niego z pięściami.

A że Mats był słabym malcem, więc starsza od niego o rok Aza śpieszyła z pomocą. Zazwyczaj bardzo łagodna, tam gdzie chodziło o obronę brata, stawiała się lwicą. Nils Holgerson zaś nie chciał walczyć z dziewczyną, odwracał się więc plecami do obojga i przez cały dzień nie spoglądał ani razu w stronę, gdzie dzieci ze Smålandii pasły gęsi.

[3](#) Vineta — słowiańskie miasto na Pomorzu nad Bałtykiem zburzone w r. 1184 przez Duńczyków. Na tym miejscu powstało później miasto Wolin.

WRONY



GLINIANY GARNEK

W południowo-wschodniej części Smålandii znajduje się okręg Sunnerbo. Jest to zupełna równina i ktokolwiek widzi tę okolicę w zimie, sądzi, że pod pokrywającym ją płaszczem śniegu leżą zaorane pola, zielone błonia i skoszone łąki, jak to zazwyczaj bywa na równinach.

Kiedy jednak z początkiem kwietnia śnieg topnieje w Sunnerbo, okazuje się, że pokrywał on piaszczyste wydmy, nagie złomy skalne i wielkie moczary. Zdarzają się wprawdzie tu i ówdzie pola, ale tak ubożuchne, że się je zaledwie spostrzega, niskie zaś, szare lub czerwone chałupy wiejskie ukrywają się przed okiem ludzkim w głębi lasów bukowych.

Na granicy okręgu Sunnerbo z okręgiem Halland ciągnie się wydma piaszczysta tak długa, że stojąc na jednym jej końcu nie można dojrzeć drugiego. Na całej tej przestrzeni nie rośnie nic prócz wrzосу. I gdyby chcieć zasiać tu cokolwiek, trzeba by przede wszystkim wytrzebić wrzós, który mimo że ma tylko mały, karłowaty; pień, małe karłowate gałązki i suche, skarłowaciałe listki, wmawia sobie jednak, że jest drzewem, i zachowuje się jak prawdziwe drzewo. Rozpościera się niby las na wielkich przestrzeniach, trzyma się razem i nie znosi, aby inne małe czy duże rośliny wtargnęły do jego państwa.

Jedynym miejscem na tych piaskach, gdzie wrzós nie panuje niepodzielnie, jest niskie, kamieniste wzgórze, na którym rosną krzaki jałowca, jarzębiny i kilka wielkich, pięknych buków.

W tym czasie kiedy Nils Holgerson wędrował z dzikimi gęśmi, stała na tym wzgórzu chata otoczona niewielkim ugorem. Mieszkańcy jej wynieśli się z niewiadomego powodu i chata ta była pusta, a rola leżała odłogiem. Opuszczając chatę ludzie pomyśleli o tym, żeby zatkać przezornie otwór w kominie, zasunąć rygle u okien i zamknąć drzwi. Zapomnieli jednak o stłuczonej szybie i o otworze zatkanym gałgankiem.

Po kilku ulewnych deszczach gałgan zgnił i wypadł. Wreszcie porwała go pewna odważna wrona.

Pagórek bowiem na piaszczystej wydmie nie był tak pusty, jakby to się mogło wydawać.

Zamieszkiwało go wielkie stado wron, nie przebywających tu zresztą przez cały rok. Zimą wrony wynosiły się za granicę, jesienią przelatywały z pola na pole szukając w ziemi ziaren; w lecie

rozpraszały się po dworach, żywiły się jajami i jagodami lub porywały pisklęta; co wiosnę zaś, gdy miały budować gniazda i składać jajka, powracały na tę porośłą wrzosem wydmnę.

Wrona, która porwała gałgan, zwała się Białopiórką z powodu białego pióra w skrzydle i pochodziła ze znakomitego wroniego rodu Białopiórów.

Nazywano ją jednak Gapą albo Ciapą, gdyż zachowywała się zawsze niemądrze i niedołąźnie i wywoływała ciągle kpiny i żarty towarzyszek.

Gapa była większa i silniejsza od innych wron, ale niewiele jej to pomagało, gdyż wszystkie wyśmiewały ją niemiłosiernie i lekcewały. Z prawa należało się jej przewodnictwo w stadzie, godność tę bowiem piastowały najstarsze z szanownego rodu Białopiórów. Ale już na długo przedtem, zanim Gapa przyszła na świat, ród jej utracił ten przywilej. Obecnie przewodniczyła wronom okrutna, dzika wrona, zwana Pędziwiatrem.

Usunięcie Białopiórów od przewodnictwa miało swoją poważną przyczynę. Wrony na wzgórzu wronim postanowiły kiedyś zmienić sposób życia. Nie wszystkie wrony, choć zapewne tak sądzicie, żyją jednakowo. Jedne prowadzą skromny, pocziwy żywot: żywią się nasionami, poczwarkami owadów i padliną; inne prowadzą życie zbójckie i napadają na młode zające, pożerają małe ptaszki i podbierają jajka z napotkanych ptasich gniazd. Ród Białopiórów słynął ze skromności i surowości obyczajów, dopóki więc przewodniczył stadu, wrony prowadziły się tak przykładnie, że inne ptaki nie miały im nic do zarzucenia. Tylko że wron było ogromnie dużo, cierpiały więc często głód i nędzę i nie mogły wytrwać w tak powściągliwym trybie życia. Zbuntowały się przeto przeciwko Białopiórom i oddały przewodnictwo Pędziwiatrowi, znanemu z drapieżności i okrucieństwa. Dorównywała mu godnie małżonka jego, wrona zwana Wietrznicą. Pod przewodnictwem tej pary wrony uprawiały taki rozbój, że stały się równie groźne, jak jastrzębie i sowy.

Z Gapą nie liczono się wcale. Wszystkie wrony oświadczyły, że nie ma ona nic wspólnego ze swymi przodkami i nie może rościć żadnych praw do przewodnictwa. Traktowano by ją nawet z zupełnym lekceważeniem, gdyby nie to, że ciągle zwracała na siebie uwagę licznymi wybrykami.

Pewne mądre wrony twierdziły, że głupota i niedołąstwo Gapy wychodzą jej na dobre, kto wie bowiem, czy inaczej Pędziwiatr i Wietrznica zniosłoby w stadzie tego potomka starożytnego rodu przywódców. Obecnie zaś para ta okazywała Gapie wielką uprzejmość, zabierała ją chętnie z sobą na łowy, przy tej bowiem sposobności można było ocenić ich zręczność i odwagę w zestawieniu z niedołąstwem pocziwej Gapy.

Żadna z wron nie wiedziała o tym, że to Gapa porwała gałgan ze stłuczonego okna samotnej chaty. Zdziwiłoby je to ogromnie, gdyż nie podejrzewały Gapy o taką odwagę i zuchwałość. Gapa nie zwierzała się też nikomu ze swego czynu, a miała po temu słuszne powody. Pędziwiatr i Wietrznica były dla niej bardzo uprzejme za dnia i w obecności innych wron, ale jednej ciemnej nocy, gdy wrony usadowiły się do snu na gałęziach, na Gapę napadło niespodziewanie kilka wron i omal jej nie zamordowały. Od tej pory udawała się ona każdego wieczora na nocleg do samotnej, opuszczonej chaty na wzgórzu.

Tymczasem zaszło coś niespodziewanego. Na krańcu piaszczystej wydmy znajdowała się jaskinia. Była to raczej jama napełniona żwirem i piaskiem. Ciekawiła ona ogromnie wrony, które okręgały ją bezustannie, wietrząc w każdym ziarnku piasku jakąś tajemnicę. Istotnie, pewnego dnia podczas takich oględzin znalazły wśród kamieni i żwiru duży, gliniany garnek, zamknięty szczelnie drewnianą pokrywą. Zaciekawione, próbowały oderwać pokrywę albo zrobić dziurę w garnku, żeby dowiedzieć się, co się w nim ukrywa. Wszelkie wysiłki okazały się jednak daremne.

Stały bezradne wokoło garnka, gdy wtem usłyszały zwrócone do siebie słowa:

— Hej, wrony, czy przyjąć wam z pomocą?

I ujrzały lisa siedzącego na brzegu jamy. Lis był niezwykle urodziwy, szpecił go tylko brak kawałka

ucha.

— Jeżeliś taki łaskaw, to prosimy — rzekł grzecznie Pędziwiatr.

Jednakże usunął się przezornie na bok, a za jego przykładem uczyniły to samo inne wrony.

Lis chwycił garnek, rwał go zębami, ciągnął za pokrywę. Ale i on nic nie wskórał.

— Czy domyślasz się, co tam jest w środku? — zapytał Pędziwiatr.

Lis obracał garnek na wszystkie strony i przysłuchiwał się uważnie.

— Srebrniki — zawołał — same srebrne monety!

Wrony podskoczyły z radości.

— Naprawdę, naprawdę? Tam jest srebro? — pytały, a oczy ich błyszczały pożądliwością.

Rzecz zabawna, nie ma bowiem dla wron na całym świecie nic miłszego i bardziej upragnionego nad srebrne monety.

— Słuchajcie, jak one brzęczą! — mówił lis potrząsając garnkiem. — Nie wiem tylko, jak się do nich dostać.

— Tak, to bardzo trudno — wzdychały wrony.

Lis drapał się po łbie lewą łapą i medytował. Przyszło mu na myśl, że przy pomocy wron uda mu się schwytać malca, na którego czyhał. Rzekł więc po chwili:

— Znam kogoś, co wam na pewno otworzy ten garnek.

— Kogo? Kogo? — zawołały wrony i rzuciły się na lisa zapominając o ostrożności.

— Powiem wam pod warunkiem, że mi go potem wydacie — rzekł lis.

I opowiedział wronom o Paluszk. Wrony nie miały powodu oszczędzać Paluszka i zgodziły się od razu na ten warunek.

Wszystko się dało z łatwością ułożyć, trudniej było dowiedzieć się, gdzie przebywają obecnie dzikie gęsi z Paluszkiem. Pędziwiatr dobrał sobie piętnaście wron do towarzystwa i puścił się z nimi w drogę, obiecując wkrótce powrócić.

Tymczasem mijał dzień za dniem, a wrony na wzgórzu wronim oczekiwały na próżno jego powrotu.

PORWANY PRZEZ WRONY

O świcie wyruszyły dzikie gęsi na poszukiwanie żeru przed dalszą podróżą.

Pagórek nad fiordem, na którym spały tej nocy, był niewielki i nagi, ale w wodzie wokoło było dużo wodorostów — ulubionego pokarmu gęsi. Chłopcu powodziło się gorzej, gdyż nadaremnie szukał czegoś do zjedzenia. I właśnie gdy głodny i drżący z zimna rozglądał się na wszystkie strony, spostrzegł kilka wiewiórek biegających po małej, skalistej wysepce. Chłopcu przyszło na myśl, że wiewiórkom pozostały z pewnością resztki zimowych zapasów, poprosił więc gąsiora, aby go zaniósł na wysepkę, gdzie wiewiórki użyczą mu może trochę orzechów.

Gąsior przepłynął z nim natychmiast przez cieśniną, niestety jednak wiewiórki tak były zajęte zabawą, że nie miały czasu wysłuchać chłopca, i skacząc z drzewa na drzewo skryły się w zaroślach. Malec pobiegł za nimi i wkrótce znikł z oczu gąsiora, który siedział spokojnie na piasku nadmorskim.

Paluszek brodził właśnie po łąkach pośród sasemek sięgających mu aż po brodę, gdy nagle uczył, że go ktoś porywa z tyłu i próbuje unieść w górę. Odwrócił się szybko i ujrzał wronę chwytającą go za kark. Usiłował się wyrwać, ale natychmiast zjawiała się jeszcze jedna wrona, schwyciła go za pasek i przewróciła na ziemię. Gdyby chłopiec wołał o ratunek, gąsior zdążyłby z pomocą, ale malcowi zdawało się, że sam poradzi sobie z wronami. Rzucił się na wszystkie strony, kopał i wierzgał, ale wrony go nie puszczały i wreszcie uniosły z sobą. Głowa chłopca uderzyła o drzewo. Poczł silny ból w skroni,

uczyniło mu się ciemno przed oczyma i stracił przytomność.

Kiedy otworzył oczy, był już wysoko ponad ziemią. Powoli wracała mu świadomość, zrazu jednak nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Gdy spojrzał w dół, zdawało mu się, że widzi rozpostarty olbrzymi, puszysty dywan, utkany w nieregularne brunatne i zielone czworokąty. Dywan był piękny, a jednak, patrząc nań z góry, chłopiec myślał sobie: „Co za szkoda, że się tak podarł”. Dywan bowiem był zniszczony, szpeciły go różne dziury i łaty. Najdziwniejsze zaś było to, że dywan wydawał się być rozpostarty nad zwierciadłem, gdyż poprzez dziury i otwory przeświecało jasne, przezroczyste szkło lustrzane. Nagle uwagę Nilsa zwróciło wschodzące słońce. I oto zwierciadło u jego stóp zapłonęło różowym i złotym odbłaskiem i cudowna gra barw zachwyciła chłopca. Nie rozumiał tylko, skąd to wspaniałe widowisko pochodzi. Wkrótce jednak wrony zaczęły się opuszczać niżej i Nils stwierdził, że wielki dywan pod nim — to była ziemia pokryta zielenią lasów iglastych i brunatnymi plamami liściastych borów i gajów, dziury zaś i otwory w dywanie — to były lśniące fiordy i przezroczyste jeziora.

I przypomniał sobie, że gdy po raz pierwszy unosił się na grzbiecie gąsiora, wydawało mu się, iż ziemia w Skanii jest szachownicą. Teraz zaś ciekaw był, jak nazywać się mogła kraina wyglądająca niby dywan podarty.

Mnóstwo pytań krążyło mu po głowie. Dlaczego nie siedzi na grzbiecie białego gąsiora? Dlaczego wrony ciągną go i przerzucają na wszystkie strony tak, że co chwila spaść może z wysokości?

Nagle wyjaśniło mu się wszystko. Został porwany przez wrony. Białe gąsior siedzi jeszcze na wybrzeżu i czeka na niego, a dzikie gęsi polecą w dalszą drogę. Jego zaś wrony unoszą gdzieś daleko od nich w kierunku południowo-zachodnim. Poznawał to po położeniu tarczy słonecznej, którą miał za sobą. Tak. A ten wielki dywan w dole — to pewnie była Smålandia.

„Jakżeż tam biały gąsior poradzi sobie bez mojej opieki?” — rozmyślał chłopiec. I krzyknął do wron, aby go natychmiast odniosły z powrotem do dzikich gęsi. O siebie nie lękał się, gdyż pewien był, że wrony zabrały go tylko ze swawoli.

Tymczasem wrony ani myślały słuchać jego rozkazów i przyśpieszały lotu. Nagle jedna z nich zatrzepotała skrzydłami ruchem oznajmującym u wron ostrzeżenie: „Obejrzyjcie się! Niebezpieczeństwo!” Wszystkie wrony wpadły w sosnowy las i opuściły się na ziemię ocienioną olbrzymimi, zwieszającymi się gałęziami. Tam posadziły chłopca pod ogromną sosną i ukryły go tak dobrze, że nie dostrzegłby go nawet wzrok sępa.

Po czym rozstawiły nad nim straż: piętnaście wron stanęło zwartym kołem, z dziobami zwróconymi groźnie ku niebu.

— No i cóż, wrony, dowiem się może nareszcie, po cóście mnie porwały? — zapytał chłopiec.

Ale wielka wrona syknęła:

— Milcz! Albo ci ślepie wydziobię!

I spojrzała tak groźnie, że chłopiec zmuszony był usłuchać. Siedział więc i patrzył w milczeniu na wrony, one zaś patrzyły na niego.

Im dłużej przyglądał się chłopiec wronom, tym bardziej mu się nie podobały. Pióra miały zanieczyszczone, jak gdyby nigdy nie używały kąpieli, szpony i pazury oblepione suchą ziemią, a w kącikach dziobów tkwiły resztki jedzenia. Był to zupełnie inny gatunek ptaków niż dzikie gęsi: drapieżne, okrutne, chciwe i zuchwałe jak prawdziwi rabusie i złoczyńcy.

— Wpadłeś między zbójcecką bandę — powiedział chłopiec do siebie.

Wtem usłyszał nad sobą wabiące nawoływania dzikich gęsi:

— Gdzie jesteś? Jestem tu! Gdzie jesteś? Jestem tu!

Domyślił się, że to Akka wraz z gęsiami poszukuje go, ale zanim zdążył odpowiedzieć, wielka wrona,

która zdawała się być przywódcą całej gromady, syknęła mu do ucha:

— Pamiętaj o oczach!

Musiał milczeć.

Dzikie gęsi zaś nie przypuszczały pewnie, że Paluszek jest tak blisko, i widocznie tylko przypadkowo przelatywały nad tym lasem, gdyż chłopiec jeszcze tylko kilka razy usłyszał ich głosy, po czym nawoływania zamilkły.

— Teraz musisz sobie sam radzić, Nilsie Holgersorrie — rzekł do siebie. — Pokażesz, czegoś się nauczył przez tych kilka tygodni pobytu wśród dzikich ptaków.

Po krótkim odpoczynku wrony gotowały się do odlotu. Widoczne było, że miały zamiar unieść chłopca z sobą, i to w ten sam sposób, co poprzednio: jedna za kołnierz, druga za pasek!

— Czyż nie ma między wami ani jednej tak silnej, aby mnie mogła nieść na grzbiecie? — opierał się oburzony chłopiec. — Wymęczyłyście mnie już dostatecznie. Zresztą zapewniam was, że nie mam zamiaru skreślić sobie karku spadając z takiej wysokości.

— Ani myślimy dbać o twoją wygodę — odburknął pogardliwie przewodnik wron.

Tylko jedna z wron, największa, z białym piórem w skrzydle, odezwała się łagodnie:

— Zdaje mi się, Pędziwetrze, że mamy przynieść Paluszka całego i nienaruszonego na miejsce. Mogę go więc ponieść na grzbiecie.

— Jak sobie chcesz, Gapo — zgodził się Pędziwiatr. — Tylko go nie upuść po drodze.

Chłopiec ucieszył się z tego pierwszego ustępstwa i odzyskał humor.

„Czy mam upaść na duchu dlatego, że mnie kilka wron porwało? przekonywał sam siebie. — Dam sobie radę z tą bandą!“

Wrony leciały w kierunku południowo-zachodnim, coraz dalej ponad Smålandią. Poranek był prześliczny, ciepły i słoneczny. Wszystkie ptaki w lasach marzyły o miłości, śpiewały więc i świergotały najtkliwiej i najczulej. W wielkim, ciemnym lesie siedział wysoko w górze na wierzchołku sosny drozd z opuszczonymi skrzydłami i nadętym gardzielem i wyśpiewywał bezustannie:

— Och, jakżeś piękna, ty! Jakżeś cudownie piękna, ty! Ty najpiękniejsza z pięknych, ty!

A gdy kończył tę piosenkę, zaczynał na nowo od początku.

W tym czasie chłopiec przelatywał właśnie nad lasem i gdy wysłuchał kilka razy z rzędu tej samej pieśni i zauważył, że drozd nie limie żadnej innej, przyłożył ręce, stulone w trąbkę, do ust i zawołał:

— Tośmy już słyszeli! Tośmy już wiele razy słyszeli!

— Kto to naśmiewa się z mojej pieśni? Kto to taki? — pytał raz po raz zagniewany drozd, szukając wokoło siebie winowajcy.

— Ten, którego porwały wrony! — zawołał chłopiec.

Ale natychmiast zwrócił się do niego Pędziwiatr z pogroźką:

— Strzeż swoich oczu, Paluszu!

I lecieli dalej, ciągle ponad lasami i jeziorami. W gaju brzozowym siedziała gołąbka leśna na nagiej gałęzi, przed nią stał gołąb. Nastroszył pióra, kręcił głową, kołysał ciałem tak, że gardłem dotykał gałęzi, i gruchał:

— Ty, ty najpiękniejsza! Ty, ty jedyna moja!

A w górze, w powietrzu, przelatywał chłopiec i wołał do gołąbki:

— Nie wierz mu! Nie wierz mu! Nie wierz mu!

— Kto to mnie spotwarza? Kto to taki? — gruchał gołąb gniewnie, oglądając się za śmiałkiem.

— Ten, którego porwały wrony! — wołał chłopiec.

Znów kazał mu Pędziwiatr milczeć, ale Gapo ujęła się za chłopcem:

— Daj mu tam paplać, niech sobie ptaszki myślą, że wrony stały się miłe i towarzyskie.

— O, niegłupie one! — odpowiedział Pędziwiatr. — Ale musiało mu to pochlebić, gdyż odtąd pozwalał chłopcu wołać, ile i co chciał.

I lecieli dalej, przeważnie teraz nad lasami i łąkami leśnymi; niekiedy tylko ukazywały się kościoły i małe domki na skraju lasów.

Raz ujrzeli starą, piękną pańską posiadłość z czerwonymi murami i świecącym dachem. Za nią ciągnął się las, przed nią rozciągało się jezioro. Dom otoczony był potężnymi klonami, a w ogrodzie rosły wielkie, rozłożyste krzaki agrestu. Wysoko w górze na piorunochronie siedział szpak i gwizdał tak głośno, że każdy ton dochodził do samiczki siedzącej w gnieździe na jajach.

— Mamy cztery małe jaja! — śpiewał szpak. — Mamy cztery śliczne, okrągłe jaja! Całe gniazdo mamy pełne ślicznych jaj! — szpak wyśpiewywał tę piosenkę po raz setny.

A chłopiec przelatujący nad dworami nie mógł się powstrzymać, aby nie zadrwić z niego, i zawołał złośliwie:

— Kawka wybierze wasze jaja! Kawka je wam wybierze!

— Kto to mnie tak straszy? Kto to taki? — zapytał szpak trzepocząc z niepokojem skrzydłami.

— Jeździec na wronie! Jeździec na wronie! — zawołał chłopiec.

Tym razem Pędziwiatr nie kazał mu milczeć, sam bowiem wraz z całym stadem bawił się wybornie i krakał z uciechy.

Im głębiej w okolicę, tym częściej natrafiano na jeziora i zatoki, wyspy i przesmyki. Na brzegu jednego jeziora stał kaczor i składał głębokie ukłony przed kaczką oświadczając się jej uroczyście:

— Wierny ci będę przez życie całe! Wierny ci będę przez życie całe!

— Potrwa to ledwie jedno lato małe! Potrwa to ledwie jedno lato małe — dogadywał złośliwie chłopiec ze swojej wyżyny,

— A ty coś za jeden?! — wołał za nim rozgniewany kaczor.

— Nazywam się wroni łup! — krzyknął chłopiec w odpowiedzi.

Okolo południa opuściły się wrony na łąkę. Krążyły wokoło, szukając żeru, ale żadna z nich nie myślała o pożywieniu dla chłopca. Wtem nadleciała Gapa trzymając w dziobku gałązkę dzikiej róży usianą czerwonymi jagodami i podała ją Pędziwiatrowi.

— Patrz, przyniosłam ci coś smacznego! — zawołała.

Ale Pędziwiatr zakrakał pogardliwie:

— Obejdę się bez twego przysmaku, nie jadam zeschłego głogu!

— Myślałam, że ci sprawię przyjemność — tłumaczyła się Gapa i rzuciła odtrąconą gałązkę, która padła u stóp chłopca.

Malec pochwycił ją i zaspokoił głód jagodami.

Wrony rozpoczęły pogawędkę.

— O czym myślisz, Pędziwietrze? Taki dziś jesteś cichy! — rzekła jedna z wron do przewodnika.

— Myślę o tym, jak to w tej okolicy żyła niegdyś kura bardzo przywiązana do swojej gospodyni. Żeby więc sprawić jej przyjemność, zniosła niezwykle duże jajko, które ukryła pod podłogą stodoły. Wysiadywała jajko i cieszyła się na myśl o radości gospodyni, skoro ta zobaczy wyklute pisklę. Tymczasem gospodynię dziwiła długa nieobecność kury, szukała jej wszędzie, ale nadaremnie. Długodziobie, czy zgadujesz, kto odszukał kurę?

— Zdaje mi się, że zgadłem, Pędziwietrze. A teraz ja ci opowiem inne zdarzenie. Czy przypominasz sobie czarną kotkę ze dworu? Jak to narzekała ona wiecznie na gospodarzy, że jej zabierali nowonarodzone kocięta! Jeden raz tylko udało się kotce ukryć małe w stogu siana na łące. Cieszyła się nimi ogromnie, ale zdaje się, że ja miałem z nich większą uciechę.

Teraz wszystkie wrony nabrały ochoty do opowiadania i jedna przerywała drugiej.

— Co to za sztuka wykradać jaja i nowonarodzone pisklęta?! — wołała jedna. — Ja porwałam prawie dorosłego zająca. Trzeba było z gąszczu w gąszcz...

Nie mogła dokończyć, gdyż natychmiast przerwała jej inna:

— Może to bardzo zabawne płatać figle kurom i kotom, ale mnie o wiele więcej bawi dokuczanie ludziom. Ukradłam raz srebrną łyżkę...

Nie dokończyła — tym razem przerwał jej niecierpliwie chłopiec:

— Dość tego! Czy nie wstyd wam chełpić się podobnymi czynami? Oto spędziłem trzy tygodnie wśród dzikich gęsi i widziałem tylko przykłady dobroci i szlachetności. Macie z pewnością złego przywódcę, skoro pozwala na takie rabunki i grabieże. Powiadam wam, zmieńcie wasze postępowanie, gdyż inaczej źle będzie z wami. Sam słyszałem, jak ludzie narzekali na waszą drapieżność obiecywali wytępić was. Strzeżcie się więc!

Skutek tej przemowy chłopca był taki, że Pędziwiatr i inne wrony rzuciły się na niego i byłyby go zadziobały i rozszarpały, gdyby go Gapa nie obroniła.

Śmiejąc się zasłoniła chłopca i wołała:

— Nie, nie! Co by na to powiedziała Wietrznica, gdybyście zamordowali Paluszka?! Któż by nam wydobył srebrne pieniądze?

— Wiadomo, takie ciapy boją się zawsze bab! — burknął Pędziwiatr. Zostawił jednak malca w spokoju.

Następnie wrony udały się w dalszą drogę. Dotychczas zdawało się chłopcu, że Smälandia nie jest wcale tak ubogą krainą, jak mówiono. Okolica była wprawdzie bardzo lesista i górzysta, ale nad brzegami rzek i jezior ciągnęły się pola uprawne, a dzikich, odludnych miejsc prawie że nie napotykał. Im bardziej jednak wrony zapuszczały się w głąb kraju, tym rzadziej spotykał wsie i dwory i w końcu widział już tylko same moczary, wydmy i skaliste wzgórza.

Słońce miało się ku zachodowi, ale dzień był jeszcze jasny, gdy wrony doleciały do piaszczystego pagórka. Pędziwiatr wysłał przodem jedną z wron z wieścią oznajmającą stadu znalezienie Paluszka. Na spotkanie zwycięzców wyleciało zaraz kilkaset wron z Wietrznicą na czele. Wzajemne powitania napełniły powietrze przeraźliwym krakaniem. W tym wrzasku udało się Gapie szepnąć chłopcu kilka słów:

— Byłeś w ciągu całej podróży taki miły i wesoły, że polubiłam cię serdecznie. Chcę ci przeto dać dobrą radę: gdy przybędziemy na miejsce, dadzą ci robotę, na pozór bardzo łatwą, ale strzeż się i nie wykonaj jej za żadną cenę!

Niebawem wrony były u celu poroży i Gapa postawiła chłopca na piasku. Ale ten padł jak nieżywy. Natychmiast otoczyły go z wrzaskiem chmary wron.

— Paluszku — zawołała Wietrznica — wstawaj, musisz nam oddać przysługę, która dla ciebie będzie drobiazgiem!

Ale chłopiec nie otwierał oczu, aż zniecierpliwiony Pędziwiatr porwał go za kołnierz i zawlókł w stronę, gdzie leżał gliniany garnek starożytnego kształtu.

— Wstawaj, Paluszku — rozkazał — i otwórz ten garnek!

— Daj mi spać — rzekł chłopiec — jestem dziś taki zmęczony i śpiący! Zaczekajcie z tym do jutra!

— Otwórz garnek! — rozkazywał coraz surowiej Pędziwiatr trzęsąc chłopcem.

Paluszek usiadł i zaczął oglądać i obracać garnek na wszystkie strony.

— Jakże takie słabe maleństwo, jak ja, da sobie radę z tym garnkiem! Wszak on jest większy ode mnie — żalił się malec.

— Otwieraj! — wrzeszczał Pędziwiatr. — Inaczej będzie źle z tobą!

Chłopiec wstał, próbował podnieść garnek i opuścił ręce bezsilnie.

— Nie mam dzisiaj sił — rzekł. — Dajcie mi się wyspać, a jutro otworzę wam garnek na pewno.

Ale Pędziwiatr stracił cierpliwość i ze złością uderzył chłopca dziobem w nogę. Paluszek porwał się z oburzeniem i wyciągnął nóż z pochwy dla obrony. Wymierzając ostrze w stronę Pędziwiatra, krzyknął:

— Miej się na baczności, zbój!

Wronę jednak tak zaślepiła wściekłość, że zamiast uciekać przed niebezpieczeństwem, rzuciła się wprost na nóż, który ją przebił na wylot. Zdążyła zaledwie zatrzepotać skrzydłami i padła martwa.

— Pędziwiatr nie żyje! Nasz przywódca zabity! — zakrakaly z wrzaskiem wrony stojące w pobliżu.

I wkrótce rozniosła się ta wieść żałobna wokoło. Jedne wrony lamentowały, inne wołały o zemstę nad zabójcą, wszystkie zaś z Gapą na czele otoczyły chłopca. Gapa, jak zwykle, zachowywała się dziwnie na przekór: latała z rozpostartymi skrzydłami nad chłopcem i przeszkadzała innym wronom w zadziobaniu winowajcy.

Teraz Paluszek pojął grozę swego położenia. Nie mógł umknąć przed zemstą wron i nigdzie nie mógł się schronić. Nagle przypomniał sobie gliniany garnek. Silnym ruchem oderwał z niego pokrywę i chciał wskoczyć do środka. Ale nie mógł się w nim ukryć, bo garnek wypełniony był po brzegi małymi, cienkimi srebrnymi monetami i dla chłopca nie było w nim miejsca. Wpadł jednak na dobry pomysł: pochylił się i zaczął wyrzucać z garnka pieniądze na wszystkie strony. Wrony, które otaczały go zwartą gromadą, ostrząc dzioby, zapomniały na widok srebrników o zemście i rzuciły się chciwie na pieniądze.

Chłopiec wyrzucał monety pełnymi garściami i każda wrona, nie wyłączając Wietrznicy, starała się zdobyć ich jak najwięcej. Ta, której się udało porwać monetę, leciała z pośpiechem do gniazda, żeby w nim ukryć swoją zdobycz.

Gdy chłopiec opróżnił garnek, rozejrzał się wokoło. Na piasku pozostała tylko jedna wrona, Gapa albo Białopiórą zwana, ta sama, która go niosła na grzbiecie.

— Wyświadczyłeś mi większą przysługę, aniżeli przypuszczasz, Paluszkule — powiedziała zmienionym głosem. — I dlatego chcę ci ocalić życie. Siądź na mój grzbiet, a zaniosę cię do kryjówki, gdzie spędzisz bezpiecznie dzisiejszą noc. Jutro tak wszystko urządzę, że będziesz mógł wrócić do swoich przyjaciół.

CHATA

Czwartek, 14 kwietnia

Następnego dnia chłopiec obudził się w łóżku i ujrawszy otaczające go cztery ściany i dach nad sobą, miał złudzenie, że jest u siebie w domu.

— Pewnie matka przyniesie zaraz kawę — szepnął w półśnie. Lecz oprzytomniawszy, przypomniał sobie, że leży samotny i opuszczony w chacie na wzgórzu wronim i że to wrona Gapa przyniosła go tutaj poprzedniego wieczora.

Chłopca bolały jeszcze wszystkie kości po wczorajszej jeździe, toteż wypoczywał z przyjemnością. Czekał na wronę, która przyrzekła przylecieć po niego.

Łóżko zasłonięte było firanką z kolorowego perkalu, którą chłopiec teraz odsunął, żeby się rozejrzeć po pokoju. Nigdy dotąd nie widział podobnego mieszkania. Ściany składały się tylko z podwójnego szeregu żerdzi, na których opierał się dach; sufitu nie było, a cała chatka wydawała się być przeznaczona raczej dla istot jemu podobnych niż dla ludzi; drzwi były tak wąskie, że wyglądały jak szpara; okno niskie i szerokie składało się z małych szybek. Nie było prawie żadnych sprzętów w izbie prócz stołu i ławki, przytwierdzonych do ściany; tak samo przytwierdzone było łóżko, w którym spał chłopiec, oraz malowana szafa.

Nilsa zaciekało ogromnie, do kogo ta chata należy i dlaczego nikt w niej nie mieszka. Wszystko w izbie wskazywało na to, że nieobecni mieszkańcy mieli zamiar powrócić. Dzbanek do kawy i garnek do kartofli stały na kominie, a w kącie izby leżało drzewo przygotowane do palenia. Pogrzebacz i śmietniczka znajdowały się na swoim miejscu, kołowrotek oparty był o krzesło, na oknie leżał len, kilka motków przędzy, łojówka i paczka zapalek. Na pozór więc wydawało się, że ludzie, do których chata należała, mieli zamiar powrócić. W komodzie leżała przygotowana bielizna, a na ścianach rozwieszone były podłużne płótna przedstawiające trzech króli na koniach: Kacpra, Melchiora i Baltazara. Wtem chłopiec zobaczył na półce kilka kromek suchego chleba. Chleb był już stary i spleśniały, ale zawsze był to chleb, którego chłopiec od tak dawna nie jadł. Rzucił się też pośpiesznie w tamtą stronę i strącił kijem największą kromkę. Ach, jakże ten chleb smakował! Starczyło go przy tym na wypełnienie wszystkich kieszeni.

Następnie chłopiec rozejrzał się jeszcze raz po izbie, szukając czegoś, co by mu się mogło przydać. „Wolno mi chyba zabrać sobie to, co mi jest potrzebne, a dla innych zbyteczne” — pomyślał. Ale wszystko, co znajdowało się w izbie, było dla niego za duże i za ciężkie. Jediną rzeczą, którą mógł zabrać, było kilka zapalek.

Wdrapał się na stół i czepiając się firanek wskoczył na okno. W tej samej chwili przyleciała wrona z białym piórem.

— Oto jestem! — zawołała wlatując do izby. — Nie mogłam przybyć wcześniej, bo wrony obierały nowego przywódcę.

— Kogożeście wybrały? — zapytał chłopiec.

— Wronę, która nie dopuści do rozbojów i krzywdy — odrzekła Gapa i wyprostowała się z godnością. — Białopiórka została obrana — dodała — ta sama, którą poprzednio zwano Gapą.

— To dobry wybór — ucieszył się chłopiec i powinszował Białopiórcę serdecznie,

— Masz mi czego winszować — rzekła wrona i opowiedziała chłopcu, ile przecierpiała pod rządami Pędziwiatra i Wietrznicy.

Nagle chłopiec usłyszał za oknem głos, który mu się wydał znajomy.

— Czy on się tutaj ukrywa? — pytał lis Mykita.

— Tak, schował się w chacie — odpowiedział głos wrony,

— Miej się na baczności, Paluszk! — zawołała Białopiórka. — Wietrznica sprowadziła tu lisa, który cię chce pożreć!

Więcej nie zdążyła powiedzieć, gdyż lis wskoczył przez okno w jednej chwili stanął na stole pośrodku izby. Nowoobraną przewodniczkę Białopiórkę, która nie zdążyła uciec, zagryzł natychmiast na śmierć, potem zeskoczył na podłogę i rozglądał się szukając chłopca.

Malec usiłował ukryć się za sprzętami, ale Mykita go już dojrzał pochylił się do skoku. Ach, chata była taka mała i niska! Chłopiec nie wątpił, że lis schwyta go bez trudu. Wtem przypomniał sobie, że ma broń. Szybko zapalił zapalnik, chwycił kłak konopi i rzucił płonąca żagiew na lisa. Lis uczul ogień i natychmiast ogarnął go szalony strach. Nie myślał już o malcu i wybiegł jak opętany z chaty.

Niestety, chłopiec, uniknąwszy jednego niebezpieczeństwa, wpadł w drugie, jeszcze gorsze. Od płonących konopi, które cisnął na lisa, ogień szerzył się tak szybko, że ogarnął już firanki. Nils rzucał się coraz gwałtowniej, izba napełniała się dymem i Mykita, który stał pod oknem, domyślał się łatwo, co się tam dzieje.

— No, Paluszk — wołał — cóż teraz wybierzesz: upiec się, czy też wpaść w moje objęcia?! Najchętniej, co prawda, połknąłbym cię sam, ale będę także zadowolony, jeśli cię inna śmierć spotka.

Chłopiec był pewny, że stanie się według przepowiedni lisa, gdyż ogień buchał z coraz większą siłą. Paliło się już łóżko, izba pełna była dymu, a płomienie pełzały po ścianach od jednego rycerza do

drugiego. Chłopiec skoczył na komin i próbował otworzyć drzwiczki pieca. Wtem usłyszał, że ktoś wsadził klucz w zamek od drzwi otwiera je ostrożnie. To musieli być ludzie! I, ogarnięty radością, zapomniał o swojej obawie przed ludźmi. Ujrzał przed sobą dwoje dzieci, ale nie zdążył nawet zauważyć wyrazu ich twarzy, przerażonych widokiem płomieni w izbie, gdyż rzucił się pędem ku wyjściu.

Nie miał jednak odwagi oddalić się, gdyż pamiętał dobrze o tym, że Mykita czyha na niego, i pomyślał, że najlepiej będzie, gdy zostanie w pobliżu dzieci. Odwrócił głowę, żeby zobaczyć ich twarze, ale zaledwie rzucił na nie okiem, gdy zawołał radośnie:

— Dzień dobry, Azo! Dzień dobry, mały Matsie!

Na widok tych dzieci chłopiec zapomniał zupełnie o tym, gdzie się znajduje. Wrony, płonąca chata i mówiące zwierzęta znikły mu z pamięci. Pasł teraz gęsi na rżysku we wsi Vestvmmenhög, na przyległej łące rozsiadło się dwoje smålandzkich dzieci ze swoim stadkiem, a na ich widok gęsiarek Nils podskoczył i zawołał: „Dzień dobry, gęsiareczko Azo! Dzień dobry, mały Matsie!”

Lecz dzieci ujrawszy małego człowieka biegnącego do nich z wyciągniętymi rękami ujęły się za ręce, cofnęły o kilka kroków i spojrzały na siebie z przerażeniem.

A chłopca ten ich przestach otrzeźwił, przypomniał mu wyraźnie, kim jest obecnie.

Zrobiło mu się ogromnie przykro, że to te dzieci właśnie ujrzały go w jego zaczarowanej postaci. Wstyd i rozpacz na myśl, że nie jest już człowiekiem, opanowały go z całą siłą. Odwrócił się i biegł, gdzie go oczy poniosą.

Jakaż niespodzianka oczekiwała go w pobliskim gaju! Wśród trawy przeświecało coś białego i zdumionym oczom chłopca ukazał się upragniony biały gąsior i śliczna Miluchna. Gąsior, widząc chłopca pędzącego z takim pośpiechem, sądził, że ucieka on przed groźną pogonią. Natychmiast porwał go na grzbiet i odleciał.

STARA WIEŚNIACZKA



Pewnego późnego wieczora wędrowało troje znużonych podróżnych poszukując noclegu. Znajdowali się oni wprawdzie w ubogiej, nie zaludnionej okolicy północnej Smalandii, niemniej jednak powinni byli znaleźć sobie upragnione miejsce na spoczynek, gdyż nie byli to wybredni paniczycy, wymagający miękkiego pościęcia i zbytownie urządzonej komnat.

— Gdyby choć jeden z tych grzbietów górskich miał tak stromy i wysoki wierzchołek, aby się nań lis nie mógł wdrapać, moglibyśmy się tam spokojnie przespać! — mówił jeden.

— Gdyby choć jedno z tych wielkich bagien od tajało i stało się tak grzaskie i mokre, aby lis przez nie nie mógł przebrnąć, moglibyśmy na nim przespać się bezpiecznie! — rzekł drugi.

— Gdyby choć na jednym z tych zamarzniętych jezior lód tak stopniał przy brzegu, aby żaden lis z lądu nie mógł się nań przedostać, mielibyśmy to, czego szukamy — dorzucił trzeci.

Najgorzej zaś było, że dwoje z tych podróżnych napadła po zachodzie słońca taka ogromna senność, że nie mogli utrzymać się na nogach. Dlatego też trzeci, który mógł czuwać nocą, stawał się ze wzrastającym zmrokiem coraz bardziej niespokojny.

„Prawdziwe to nieszczęście — myślał. — Oto dostaliśmy się do kraju, gdzie jeziora i bagna są tak pokryte lodem, że lis może się po nich wszędzie przedostać. W innych miejscowościach lód stopniał już zupełnie, a my błądzimy ciągle w najzimniejszej części Smalandii, dokąd wiosna jeszcze nie wkroczyła. Nie wiem, co robić, żeby wyszukać odpowiednie miejsce na spoczynek. Jeśli nie znajdę bezpiecznej kryjówki, Mykita napadnie nas z pewnością, zanim wzejdzie świt”.

Oglądał się na wszystkie strony, ale nigdzie nie było miejsca, które by mu się wydawało odpowiednim. Ach, jakież to był chłodny i posępny wieczór, mżący deszczem i świszczący wiatrem! Ach, wokoło tak ponuro i smutno!

Rzecz dziwna, żaden z podróżnych nie miał chęci poprosić o nocleg w którymkolwiek z dworów napotykanych po drodze. Omijali nawet małe chatki i schroniska górskie, witane zazwyczaj z radością przez wędrowców. Aż nasuwało się pytanie, czy nie słuszną to karą ponoszą wędrowcy, którzy gardzą nadarzającą się pomocą.

Z nadejściem ciemności, kiedy na niebie widać było zaledwie jedną jaśniejszą smugę, podróżni ujrzeli dworek chłopski położony samotnie, w oddaleniu od innych zabudowań. Dworek ten nie tylko że stał

samotnie, ale i wyglądał tak, jak gdyby był zgoła nie zamieszkanym. Z komina nie unosił się dym, w ani jednym oknie nie świecił promyk światła, na podwórku nie było widać ani jednego mieszkańca. Jeden z podróżnych, ten, który jedyny mógł czuwać w nocy, ujrawszy dworek pomyślał sobie: „Niech się dzieje, co chce, tutaj musimy się zatrzymać. Nic lepszego już chyba nie znajdziemy”.

I wkrótce podróżni wsunęli się na podwórko. Tych dwoje, którzy po zachodzie zasypiali natychmiast, pogrążyło się we śnie, trzeci rozglądał się uważnie wokoło, szukając najodpowiedniejszego miejsca. Dworek był dość duży. Prócz domu mieszkalnego, stajni i obory był tu jeszcze szereg innych zabudowań gospodarskich: stodoła, wozownia i szopa. Wszystko to jednak wyglądało strasznie nędznie i ubogo: pochylone, szare, mchem obrosłe ściany budynków groziły zawaleniem, w dachach świeciły dziury, a zawiasy u drzwi były połamane. Widocznie od dawna już nikt nie wbił tu ani jednego gwoźdźca.

Podróżny wyszukał wśród budynków oborę. Obudził swych towarzyszy i poprowadził ich ku drzwiom. Na szczęście były one tylko zasunięte na rygiel, który łatwo dał się odsunąć kijem. W mniemaniu, że oto znalazł nareszcie schronisko, przywódca naszych podróżnych wydał przeciągłe westchnienie ulgi. Tymczasem gdy drzwi obory otworzyły się z trzaskiem, rozległ się ryk krowy.

— Idziecie nareszcie, matko! — mówiła krowa. — Myślałam już, że mi dziś wcale jeść nie dacie.

Podróżny przekonawszy się, że obora nie jest pusta, stanął przerażony na progu. Wkrótce wszakże uspokoił się, znajdowała się bowiem w niej tylko jedna krowa i trzy czy cztery kury.

— Jesteśmy ubodzy podróżni, poszukujący noclegu, gdzieby nas lis nie mógł napaść, a człowiek schwytać — rzekł. — Chcielibyśmy wiedzieć, czy tutaj znaleźliśmy takie miejsce.

— Zdaje się, że tak — odpowiedziała krowa. — Ściany są wprawdzie liche, ale dotąd nie przedostał się tu żaden lis, a we dworcu mieszka tylko jedna stara kobieta, która wam z pewnością nie zrobi nic złego. Tylko cóżeście wy za jedni? — mówiła dalej i odwróciła się od żłobu, żeby się przyjrzeć podróżnym.

— Ach, jestem Nils Holgerson z Vestvemmenhög, zamieniony w krasnoludka — odpowiedział pierwszy z podróżnych, — Mam z sobą domowego gąsiora, który mnie nosi na grzbiecie, i do towarzystwa dziką gąskę.

— Tak miłych gości nie widziały dotychczas moje progi — powiedziała krowa. — Witajcie, chociaż przyznaję, że wolałabym odwiedzić moją gospodynię z wieczerzą.

Chłopiec więc wprowadził gęsi do dość dużej obory i umieścił je w kacie, w którym natychmiast znowu zasnęły. Sam zaś zebrał sobie małą wiązkę siana, ułożył się na niej i zamierzał zasnąć.

Ale nie udało mu się, gdyż biedna krowa, której nie dano paszy, nie zachowywała się ani przez chwilę spokojnie. Szarpała łańcuchami, kręciła się bezustannie i skarżyła na głód. Chłopiec nie mógł zmrużyć oczu, leżał na swojej wiązce siana i myślał o tym wszystkim, co przez te ostatnie dni przeżył. Wierzył przede wszystkim o nieoczekiwanym spotkaniu z gęsiarką Azą i małym Matsem i o tym, czy też to ich była owa chata, którą podpalił. Przypominał sobie, że dzieci opowiadały mu często właśnie o takim domku na wielkiej, piaszczystej wydmy. Wrócili więc oboje do swego miejsca rodzinnego, za którym tak tęsknili, i ujrzeli je nareszcie — lecz niestety objęte płomieniem! Ach, cóż za boleść musiał im ten widok sprawić! I to on, on był temu winien! Jakżeż bardzo żałował i jak bardzo się tym martwił! Wreszcie przyrzekł sobie święcie, że gdy stanie się ponownie człowiekiem, wynagrodzi dzieciom tę wielką stratę i krzywdę.

Potem wrócił myślami do swoich przygód wśród wron. I gdy przypominał sobie pocziw Gape, która mu życie uratowała, i smutny jej koniec, oczy napełniły mu się łzami, a serce wezbrało wielkim smutkiem. Tak, ciężkie chwile przeżywał w ciągu tych ostatnich dni! Osłodziło mu je jedno tylko szczęście: odnalazł gąsiora i Miluchnę. Gąsior opowiedział mu dzieje tego radosnego zdarzenia.

Skoro dzikie gęsi zauważyły, że Paluszek znikł, zaczęły go szukać wśród drobnej zwierzyny w lesie i dowiedziały się wkrótce, że Paluszka porwało stado dzikich wron ze Smalandii. Wrony jednak zniknęły

już z horyzontu i nikt nie wiedział, gdzie się podziały: Rozkazała więc Akka dzikim gęsiom rozłączyć się i parami polecieć we wszystkie strony dla poszukiwania malca. Po dwóch dniach — czy go znajdą, czy nie — mają się zejść wszystkie na wysokim szczycie górskim w północno-zachodniej Smålandii, który przypomina strzaskana wieżę i nazywa się Taberg. Akka dała im dokładne wskazówki i opisała, gdzie się góra Taberg znajduje, po czym gęsi rozleciały się.

Biały gąsior obrał sobie za towarzyszkę Miluchnę. Zaniepokojeni i stroskani, lecieli nad lasem, kiedy nagle usłyszeli kosa skarżącego się i wyrzekającego, że go ktoś, zwący się „łupem wronim”, wykpił. Wypyтали więc szczegółowo kosa i ten pokazał im, w jakim kierunku poleciał ten „łup wroni”.

Następnie spotkali gołębia, szpaka oraz dzikiego kaczora i wszystkie te ptaki narzekały na żartownisia, który przerywał im śpiew, a nazywał się „jeżdźcem na wronie”, „zdobyczą wron” lub „porwanym przez wrony”. Mógł więc teraz gąsior z Miluchną lecieć za stadem wron aż do piaszczystej wydmy w okręgu Sunnerbo,

Odnalazszy Paluszka polecili we trójkę w kierunku północnym ku górze Taberg. Była to jednak bardzo daleka droga i ciemności otoczyły ich, zanim dolecieli do kresu podróży.

„Jutro znajdziemy szczyt góry i cała bieda się skończy” — pomyślał chłopiec i zagrzebał się głębiej w siano, żeby się rozgrzać.

Krowa tymczasem nie uspokoiła się wcale i rozpoczęła rozmowę z chłopcem:

— Czy ktoś z was nie mówił tutaj, że jest krasnoludkiem? Jeśli nim jest naprawdę, to potrafi obrządzić krowę.

— A cóż ci dolega? — zapytał chłopiec.

— Dużo rzeczy — odpowiedziała krowa. — Nie wydojono mnie dzisiaj, nie dano paszy ani podściółki na noc. Gospodyni przysła o zmroku do obory, ale czuła się tak niezdrowa, że zaraz musiała odejść i dotąd nie powróciła.

— Szkoda, że jestem taki mały i słaby — rzekł chłopiec — gdyż nie będę ci mógł, niestety, pomóc.

— Nie wmówisz mi, że jesteś słaby dlatego, że jesteś mały! — zawołała krowa. — Wszystkie te krasnoludki, o których kiedykolwiek słyszałam, były tak silne, że nosiły całe kopce siana, a krowę mogły zabić jednym uderzeniem pięści.

Chłopiec musiał się mimo woli roześmiać.

— To były krasnoludki innego gatunku niż ja! — zawołał. — Ale zdejmę ci łańcuch z szyi i otworzę drzwi obory, będziesz mogła wyjść i ugasić pragnienie w sadzawce. A potem spróbuję wleźć do szopy i przynieść siana do żłobu.

— Niechaj tak będzie, jeśli nie może być inaczej — rzekła krowa.

Chłopiec zrobił, jak powiedział, i gdy napełnił żłób, miał nadzieję, że będzie mógł wreszcie sam spokojnie zasnąć. Ale zaledwie zdążył rozłożyć się na posianiu, kiedy krowa ponownie nawiązała z nim rozmowę.

— Rozgniewasz się z pewnością, gdy cię jeszcze o coś poproszę — rzekła,

— Bynajmniej — odparł chłopiec — jeśli to będzie tylko w mojej mocy.

— Bądź więc tak dobry, pójdz do domu i dowiedz się, co się tam dzieje z gospodynią. Lękam się, że przytrafiło się jej jakieś nieszczęście.

— Nie, tego nie mogę zrobić, gdyż nie mam odwagi pokazać się ludziom.

— Starej, chorej kobiety nie będziesz się chyba obawiał? — mówiła krowa. — Nie potrzebujesz nawet wchodzić do izby. Stań przed drzwiami i zajrzyj przez szparę.

— Jeśli ci na tym tak bardzo zależy, spróbuję — rzekł chłopiec.

Otworzył drzwi obory i wyszedł na podwórze. Noc była bardzo burzliwa. Na ciemnym niebie nie było widać gwiazd ani księżyca, wiatr wył, a deszcz lał strumieniami. Najstraszniejsze zaś było to, że na

dachu siedziało siedem dużych sów. Och, jakże przerażały chłopca krzykiem i zawrotem nad okropną pogodą! Jeszcze gorsza jednak była świadomość, że grozi mu zagłada, jeśli go choć jedna z nich ujrzy.

— Godna litości jest istota tak małego wzrostu jak ja — mówił do siebie chłopiec brodząc po wodzie. I mówił słusznie. Dwa razy wicher go przewrócił, zanim dostał się do domostwa, raz zmiotł go w kałużę, w której się o mato co nie utopił. W końcu dotarł do celu.

Wdrapał się na kilka schodków, przestąpił z trudem próg i znalazł się w sieni. Drzwi były zamknięte, ale w jednym rogu wypiłowany był otwór, aby kot domowy mógł przezeń wygodnie wchodzić i wychodzić. Chłopiec więc miał niezmiernie ułatwione zadanie.

Zaledwie jednak spojrział przez szparę, natychmiast cofnął głowę z przestachem. W głębi pokoju leżała na podłodze stara, siwa kobieta. Nie poruszała się i nie jęczała, a twarz jej była dziwnie biała. Wyglądała tak, jak gdyby niewidzialny księżyc rzucał na nią blady swój odbłask.

Widok ten nasunął chłopcu wspomnienie umarłego dziadka, który także miał twarz tak dziwnie białą. Stara kobieta na pewno zatem zmarła i tam na podłodze leżały jej zwłoki.

Dostała widocznie ataku i śmierć zaskoczyła ją tak szybko, że nie zdążyła nawet położyć się do łóżka. Chłopiec przestraszył się okropnie — w ciemną noc był zupełnie sam z trupem. Cofnął się i popędził ze schodów wprost do obory.

Gdy powiedział krowie o tym, co widział w izbie, krowa przestała jeść.

— Więc to tak — rzekła. — Gospodyni umarła! To i ze mną wkrótce będzie koniec.

— Znajdzie się ktoś, kto się tobą zaopiekuje — pocieszał ją chłopiec.

— Ach — mówiła krowa — ty nie wiesz, że ja jestem dwa razy starsza, niż zwykle bywają krowy! Ale teraz, kiedy już nie ma mojej pocziwej gospodyni, nie mam wcale ochoty żyć dłużej.

Milczała przez jakiś czas, ale chłopiec widział, że ani nie jadła, ani nie spała. Dopiero po chwili odezwała się znowu:

— Czy leży na podłodze?

— Tak, pośrodku pokoju — odpowiedział chłopiec.

— Gdy przychodziła tu do obory, opowiadała zawsze o wszystkim, co ją martwiło — mówiła dalej krowa. — Rozumiałam każde słowo, jakkolwiek nie mogłam jej odpowiedzieć. A właśnie w ostatnich dniach mówiła, że się tak boi umierać samotnie! Kiedy umrze, nikt nie zamknie jej powiek, nikt jej rąk na piersiach nie skrzyżuje! Czy nie chciałbyś pójść i uczynić tego dla niej?

Chłopiec wahał się. Przypomniawszy sobie, że dziadka po śmierci matka układała bardzo starannie i że należy oddawać takie usługi zmarłym, czuł jednak, że nie będzie miał odwagi stanąć przy trupie w taką straszną noc. Nie dawał więc krowie odmownej odpowiedzi, ale nie ruszał się z miejsca.

Stara krowa milczała długo, czekając na odpowiedź, ale gdy chłopiec nie odzywał się, nie powtórzyła swej prośby, natomiast zaczęła opowiadać o życiu nieboszczki.

A ileż tu było do opowiadania! Najpierw o wszystkich tych dzieciach, które staruszka wychowała. Dzieci przychodziły co dzień do obory, a w lecie pasły bydło na bagnach i błoniach. Stara krowa знаła wszystkie dokładnie. Były to zdrowe, wesołe, pracowite dzieci.

— Tak, tak, bydło zna dobrze swoich pasterzy — powiedziała.

A potem opowiadała o zagrodzie. Nie była ona zawsze taka uboga jak dziś. Niegdyś była to rozległa posiadłość, jakkolwiek grunt miała przeważnie bagnisty lub kamienisty, w niektórych tylko miejscach przydatny pod zasiew, doskonały natomiast na pastwiska. Był czas, że w całej tej ogromnej oborze stała przy każdym żłobie krowa, a stajnia zapełniona była pięknymi końmi. Jakiż ruch i radość wypełniały wtedy cały dwór. Gospodyni otwierała oborę ze śpiewem, a wszystkie krowy ryczały z radości słysząc jej kroki.

Ale z czasem gospodarz umarł, a dzieci były zbyt małe, aby móc matce pomagać. Kobieta musiała

objąć gospodarstwo, na niej ciążyła cała robota i wszystkie troski. Była silna jak mężczyzna, orała też i żęła sama. Kiedy wieczorami przychodziła do obory, żeby wydoić krowy, bywała często zmęczona i płakała. Ale gdy tylko wspomniała o dzieciach, rozjaśniała się natychmiast. Ocierała oczy z łez i mówiła: „Nic nie szkodzi. Gdy moje dzieci dorosną, nastaną i dla mnie dobre dni. Tak, tak, oby już wyrosły!”

Lecz skoro dzieci dorosły, ogarnęła je jakaś dziwna tęsknota. Nie chciały zostać w domu i wywędrowały do obcych krajów. Matka nie doczekała się pomocy. Niektóre z nich, zanim wywędrowały, pożeniły się i pozostawiły babce swoje dzieci. I zupełnie tak, jak poprzednio dzieci, teraz wnuki towarzyszyły kobiecie do obory. I one pasły krowy, i one były wszystkie zdrowe, dobre, wesołe. A wieczorem, kiedy kobieta bywała tak zmęczona, że zasypiała niemal przy dojeniu, otrząsała się i nabierała nowej chęci do życia, skoro wspominała o swych wnukach. „I dla mnie nastaną jeszcze dobre dni — mówiła — niech no tylko wnuki dorosną”.

Lecz kiedy wnuki dorosły, wyruszyły i one do rodziców, w obce kraje. Żadne z nich nie powróciło, żadne nie pozostało w domu. I w końcu stara kobieta została zupełnie sama w zagrodzie.

Nie prosiła zresztą nigdy, żeby którekolwiek z dzieci lub wnuków pozostało przy niej. „Myślisz, Krasulo, że miałabym serce wymagać od nich, aby siedziały przy mnie, jeśli może im być lepiej w świecie? — zwykła była mówić dojąc starą krowę. — Wszak tutaj w Smålandii czeka je tylko bieda“.

Gdy ostatni wnuk opuścił staruszkę, opuściły ją też i siły. Pochyliła się, osiwiiała i chodziła z trudem, z ledwością poruszając się z miejsca. Wreszcie przestała pracować. Zobojętniało jej gospodarstwo, pozwoliła się zapaść budynkom, sprzedała woły i krowy. Zostawiła tylko tę jedną starą krowę, Krasulę. Pozostawiła ją dlatego, że z nią chodziły na paszę wszystkie jej dzieci i wnuki.

Mogła sobie była przecież przyjąć parobków i dziewczęta do pomocy, ale odtąd gdy ją opuściły własne dzieci, nie chciała znosić obcych koło siebie. A zresztą może i pragnęła tego, aby zagroda poszła na marne, skoro żadne z dzieci nie chciało jej objąć. Nie obchodziło jej to, że sama zubożeje, gdyż nie troszczyła się wcale o swój majątek. Obawiała się tylko jednego: że dzieci mogą się dowiedzieć, jak jest jej źle. „Oby się tylko dzieci nie dowiedziały!” — wzdychała idąc niepewnymi krokami przez oborę.

Dzieci pisały bezustannie i prosiły, aby przyjechała do nich, ale ona nie chciała. Nie chciała zobaczyć kraju, który jej zabrał dzieci. Zła była na ten kraj. „Może to i głupio z mojej strony, że nienawidzę kraju, w którym im jest dobrze — mówiła — ale nie chcę go zobaczyć”.

Myślała tylko o dzieciach i o tym, że musiały one wywędrować w obce kraje. W lecie wyprowadzała krowę na paszę na wielkie moczary. Siedziała sama z założonymi rękoma całymi długimi dniami na skraju bagna, a gdy odchodziła, mawiała: „Widzisz, Krasulo, gdyby tutaj zamiast tego jałowego bagna była urodzajna, żyzna ziemia, to oni nie byliby zmuszeni emigrować”.

I mogła tak przez długie godziny gniewać się na bagno rozpościerające się szeroko, a nie przynoszące żadnego pożytku. Mówiła także często, że to jej mąż jest winien, iż dzieci ją opuściły.

Ostatniego wieczora była słabsza i drżała silniej niż kiedykolwiek. Nie miała już nawet sił do dojenia. Zgarbiona na stołku, opowiadała o dwóch chłopach, którzy chcieli odkupić od niej bagno. Mieli zamiar wykopać rów i osuszyć grunt, a potem siać na nim zboże i orać. Wiadomość ta ucieszyła, a jednocześnie zmartwiła starą kobietę. „Słuchaj, Krasulo — powiedziała — słuchaj, oni mówili, że na bagnisku może rosnąć żyto. Teraz napiszę do dzieci, żeby wracały. Nie potrzebują dłużej siedzieć na obczyźnie, jeśli mogą mieć w domu chleb powszedni”.

I poszła do izby, żeby napisać list do dzieci...

Chłopiec nie słuchał dalej tego, co stara krowa jeszcze opowiadała. Otworzył drzwi obory i poszedł przez podwórze do izby, gdzie leżała umarła, której się przedtem tak bardzo bał.

W drzwiach zatrzymał się i rozejrzał.

Izba nie wyglądała wcale tak ubogo, jak przypuszczał. Było tam wiele takich rzeczy, jakie zwykli mieć

ludzie mający krewnych w Ameryce. W jednym kącie stał amerykański fotel na biegunach, na stole pod oknem leżał piękny obrus pluszowy, a na łóżku nowa kapa. Na ścianach wisiały w bogato rzeźbionych ramach fotografie nieobecnych dzieci i wnuków, a na komodzie stały wysokie wazony i kilka lichtarzy z grubymi, woskowymi świecami.

Chłopiec poszukał pudełka z zapalkami i zapalił dwie świece — wiedział, że w taki sposób czci się umarłych. Potem przystąpił do nieboszczki, zamknął jej łagodnie oczy, skrzyżował ręce na piersiach i odsunął z twarzy cienkie pasma siwych włosów.

Zapomniał już o swoim strachu i czuł tylko litość i żal głęboki, że staruszka była taka opuszczona i tak boleśnie tęskniła. Niech choć tej ostatniej nocy nie będzie samotna! Będzie czuwał przy martwych zwłokach.

Poszukał książki z psalmami i zaczął czytać półgłosem. W środku pieśni zatrzymał się jednak, gdyż nagle przypomnieli mu się jego rodzice. Że też tęsknota rodziców za dziećmi jest aż tak wielka!

Nie wiedział o tym, że też życie rodziców kończy się wówczas, gdy ich dzieci opuszczają! Jakżeż to? Więc może i jego rodzice tak tęsknią za nim, jak ta staruszka za swoimi dziećmi?

Myśl ta uradowała go, ale nie śmiał jej uwierzyć. Nie był przecież tak dobrym dzieckiem, aby można było odczuwać jego brak. Lecz mógł się jeszcze zmienić i wszystko mogłoby się zmienić!

Wokoło w pokoju rozwieszone były fotografie dzieci gospodyni. Byli wśród nich wielcy, silni mężczyźni i poważne kobiety, panny młode w welonach, panowie w eleganckich ubraniach i dzieci w lokach i białych sukienkach. A wszyscy spoglądali gdzieś w próżnię i nie widzieli tego, co się tutaj stało.

— Biedacy! — szepnął chłopiec. — Wasza matka umarła. Nie możecie już naprawić krzywdy, jakąście jej wyrządzili. Ale moja matka żyje!

Zamilkł i uśmiechnął się bezwiednie.

— Tak, moja matka żyje — powiedział. — Oboje żyją: ojciec i matka.

NA GÓRZE TABERG



Piątek, 15 kwietnia

Chłopiec spędził prawie całą noc bezsennie, nad ranem dopiero przyśnili mu się rodzice. Nie mógł ich poznać, gdyż oboje osiwieli i twarze ich zwiędły i pokryły się zmarszczkami. Pytał ich, dlaczego tak się zestarzelili, a oni odpowiedzieli, że to z tęsknoty za nim. Wzruszyła go, ale zarazem zdziwiła ta odpowiedź, bo myślał zawsze, że rodzice będą zadowoleni, skoro się go pozbędą.

Kiedy się obudził, był już ranek i piękna, jasna pogoda. Najpierw zjadł kawałek chleba, który znalazł w izbie, potem nakarmił krowę i gęsi, wreszcie otworzył drzwi obory i powiedział do krowy, by się udała do pobliskiego dworu. Gdy ją sąsiedzi ujrzą samą, domyślą się, co się stało z gospodynią. Przyjdą, znajdą nieboszczkę i pochowają ją uczciwie.

Po załatwieniu tych wszystkich spraw chłopiec ruszył z gęsiami w drogę. Zaledwie się unieśli w powietrze, ujrzeni wysoką, stromą górę. Musiała to być góra Taberg. Istotnie — na szczycie stały Akka, Yksi i Kaksi, Kolme i Neli, Isi i Kusi oraz sześć młodych gąsek i wszystkie czekały na troje podróżnych. Co to była za radość, gdy się dowiedziały, że gąsiorowi i Miluchnie udało się odnaleźć Paluszkę! Rozległo się takie gęganie i trzepotanie skrzydłami, i dopytywanie się, i dogadywanie, że opisać niesposób!

Góra Taberg pokryta jest do pewnej wysokości lasem, ale na szczycie jest zupełnie naga, toteż widok z wierzchołka jest rozległy i niczym nie zasłonięty. W stronie południowej, wschodniej i zachodniej widać tylko ubogą, górzystą okolicę: ciemny las iglasty, brunatne bagna, zamrożone jeziora i błękitniejące grzbiety górskie. Widok ten potwierdzał podanie o stworzeniu Smålandii. Ten, kto stworzył tę krainę, nie zadał sobie zbyt wiele trudu. Dopiero spojrzawszy w kierunku północnym, chłopiec ujrzał coś zupełnie innego. Ziemia ta stworzona była z największą miłością i troskliwością. Zobaczył więc piękne góry, łagodne, przerżnięte strumieniami doliny, ciągnące się aż do samego jeziora Vättern, wolnego już zupełnie od powłoki lodowej i tak jaśniejącego i lśniącego, jak gdyby napełnione było zamiast wody błękitnym światłem.

To jezioro właśnie dodawało tyle piękna północnemu krajobrazowi. Od jeziora szedł błękitny blask i roztaczał się nad całą okolicą. Zarośla i wzgórza, dachy i wieże miasta Jönköping tonęły całe w tym błękitnym świetle, napawającym wzrok rozkoszą.

„Jeśli istnieją w niebie jakieś krainy — myślał chłopiec — to są z pewnością takie właśnie błękitne”. I zdawało mu się, że teraz dopiero wie, jak to niegdyś było w raju.

Gęsi leciały dalej wprost w stronę błękitnej doliny. Humor w stadzie panował jak najlepszy. Ptaki krzyczały i hałasowały tak głośno, że każdy, kto miał uszy, musiał na nie zwrócić uwagę.

Był to najpiękniejszy dzień wiosenny w całej dotychczasowej podróży. Dotąd przeplatał się bezustannie deszcz z wiatrem, toteż teraz, kiedy zapanowała naraz cudowna pogoda, ogarnęła ludzi prawdziwa tęsknota za ciepłem słonecznym i za zielonymi lasami, tak że wprost zmuszali się do codziennej pracy. Gdy więc ukazały się dzikie gęsi lecące wysoko i swobodnie w powietrzu, ludzie porzucali pracę i odprowadzali je wzrokiem.

Pierwsi spostrzegli dzikie gęsi górnicy zajęci wydobywaniem rudy z góry Taberg. Usłyszawszy gęganie przestali kopać i jeden z nich zawołał do ptaków:

— Dokąd dążycie?! Dokąd śpieszycie?!

Gęsi nie zrozumiały pytania, ale chłopiec zza grzbietu gąsiora odpowiedział:

— Tam, gdzie nie ma ani motyki, ani młota.

Gdy górnicy usłyszeli tę odpowiedź, zdawało im się, że to własna ich tęsknota zmieniła gęganie gęsi na dźwięk słów ludzkich.

— Weźcie nas z sobą! Weźcie nas z sobą! — zawołali.

— Jeszcze nie pora! — krzyknął chłopiec. — Jeszcze nie pora!

Dzikie gęsi poleciały wzdłuż rzeki, wydając bez ustanku hałaśliwe okrzyki. Na wąskim przesmyku między jeziorem Munk a jeziorem Vättern leży fabryczne miasto Jönköping.

Najpierw leciały ponad wielką papiernią nad jeziorem Munk. Odpoczynek poobiedni miał się właśnie ku końcowi i tłum robotników wracał przez bramę do fabryki. Gdy robotnicy usłyszeli dzikie gęsi, stanęli nasłuchując przez chwilę.

— Dokąd dążycie?! Dokąd śpieszycie?! — zawołał jeden z robotników.

Dzikie gęsi nie zrozumiały, ale zamiast nich odpowiedział chłopiec:

— Tam, gdzie nie ma ani maszyn, ani kotłów!

Robotnicy usłyszeli tę odpowiedź i zdawało im się także, że to ich własna tęsknota dźwięczy mową ludzką w gęganiu gęsim.

— Weźcie nas z sobą! Weźcie nas z sobą! — zawołała gromada robotników chórem.

— Jeszcze nie pora! Jeszcze nie pora! — odpowiedział chłopiec.

Potem poleciały gęsi nad wielkie fabryki zapałek. Wznoszą się one na brzegu jeziora, ogromne jak fortece, z wysokimi kominami sięgającymi obłoków. Na podwórku nie było nikogo, tylko w wielkiej sali fabrycznej siedziały młode robotnice i napełniały pudełka zapałkami. Okna były otwarte i nawoływania dzikich gęsi przedostawały się do wnętrza. Dziewczyna, siedząca najbliżej okna, wychyliła się z pudełkiem zapałek w rękę i zawołała:

— Dokąd dążycie?! Dokąd śpieszycie?!

— Do kraju, gdzie nie używają ani świec, ani zapałek! — odpowiedział chłopiec.

Dziewczyna zrozumiała odpowiedź i krzyknęła:

— Weźcie mnie z sobą! Weźcie mnie z sobą!

— Jeszcze nie pora! — odpowiedział chłopiec. — Jeszcze nie pora!

Na wschód od fabryk leży miasto Jönköping w najpiękniejszym miejscu, jakie można sobie wyobrazić. Wąskie jezioro Vättern ma ze strony wschodniej i zachodniej brzegi strome i piaszczyste, z południowej wszakże ławy piasku obsunęły się, tworząc jakby wrota prowadzące do jeziora. I pośrodku tych wrót, otoczone górami na prawo i na lewo z jeziorem Munk za sobą, a jeziorem Vättern przed sobą, leży Jönköping.

Gęsi leciały nad długim, ciasnym miastem i hałasowały po swojemu. Ale w mieście nikt na to nie zważał. Nikt z przechodniów nie stawał i nie zaczepiał stada. Wreszcie zaleciały do parku miejskiego, gdzie stoi pomnik poety Wiktora Kydberga. W parku było cicho i pusto, nikt nie przechadzał się pod wysokimi drzewami. Nagle wzniósł się w górę ku dzikim gęsiom głośny okrzyk:

— Dokąd dążycie?! Dokąd śpieszycie?!

— Do kraju, gdzie nie ma ani ulic, ani placów! — zawołał chłopiec.

— Weźcie mnie z sobą! Weźcie mnie z sobą! — rozległ się silny głos. Brzmiał on tak donośnie, jak gdyby wydobywał się ze spiżowego gardła.

— Jeszcze nie pora! — odpowiedział chłopiec.

Gęsi leciały dalej wzdłuż brzegów jeziora i po pewnym czasie przyleciały nad wielkie sanatorium. Kilku chorych leżało na we randzie wygrzewając się w słońcu wiosennym. Doszło do nich geganie gęsi.

— Dokąd dążycie? Dokąd śpieszycie? — zapytał jeden z chorych słabym, cichym głosem.

— Do kraju, gdzie nie ma ani troski, ani chorób! — odpowiedział chłopiec.

— Weźcie nas z sobą! Weźcie nas z sobą! — zawołali błagalnie chorzy.

— Jeszcze nie pora! Jeszcze nie pora! — brzmiała odpowiedź.

Stado leciało dalej i dotarło do miasta Huskvarna. Leży ono w dolinie. Strome góry o pięknych kształtach stoją wokoło, a potok spada w zakrętach z głośnym szumem. U stóp góry wznoszą się wielkie warsztaty i fabryki, w dolinie stoją domki robotników otoczone małymi ogródkami, a pośrodku wznosi się wielki gmach szkolny. W chwili gdy gęsi przelatywały, rozległ się dźwięk dzwonka i mnóstwo dzieci wysypało się na podwórko.

— Dokąd dążycie?! Dokąd śpieszycie?! — zawołały dzieci.

— Tam, gdzie nie ma ani książek, ani lekcji! — zawołał chłopiec.

— O weźcie nas z sobą! Weźcie nas z sobą — krzyknęły dzieci.

— Jeszcze nie pora! Na przyszły rok! — zawołał chłopiec. — Na przyszły rok!

WIELKIE JEZIORO



JARRO, DZIKA KACZKA

Na wschodnim brzegu jeziora Vättern wznosi się góra Omberg, na wschód od niej leżą moczary Dagsnäs, a za nimi znajduje się jezioro Takern rozciągające się pośród wielkiej, jednostajnej płaszczyny, która nosi nazwę Ostrogocji.

Takern jest to jezioro bardzo wielkie, lecz w dawnych czasach musiało być jeszcze większe. Ludzie bowiem uznali, że zajmuje ono zbyt dużo miejsca na urodzajnej równinie, i próbowali je osuszyć, żeby dno jeziora zamienić w urodzajną ziemię i zasiać na niej zboże. Nie udało im się jednak osuszyć całego jeziora, jak to zapewne zamierzali uczynić, i wciąż jeszcze zajmuje ono wielką przestrzeń. Od czasu jednak, gdy uczyniono pierwszą próbę, woda nie sięga już w żadnym miejscu nad metr głębokości. Brzegi są błotniste i oślizłe, a na jeziorze wystają wszędzie ponad wodę małe, bagniste kępy.

Wokoło tych kęp i wzdłuż całych brzegów jeziora Takern rosną w ogromnej obfitości trzcina wodna i sitowie. Rozrastają się one tam tak gęsto i dochodzą do takiej wysokości, że łódka przedostaje się przez ten gąszcz z największą trudnością. Sitowie tworzy szeroki, zielony pas wokoło całego jeziora, które dzięki temu dostępne jest zaledwie w kilku miejscach oczyszczonych przez ludzi. Ale sitowie to, utrudniając ludziom dostęp do jeziora, służy wielu innym istotom za schronienie i obronę. Wśród sitowia dużo jest zatok i kanalików z zieloną, stojącą wodą, w której rośnie rzęsa i inne wodorosty, a poczwarki komarów, ikra rybia i kijanki gnieźdzą się w niesłychanej ilości. Na brzegach tych zatok i małych kanałów znajduje się też mnóstwo dobrze ukrytych miejsc, w których ptaki nadmorskie mogą wysiadywać jaja i karmić swe młode bez obawy przed wrogami i bez troski o pożywienie.

W sitowiu więc mieszka także olbrzymia ilość ptaków, zwiększająca się z roku na rok, gdyż sława tego zakątka rozchodzi się szeroko. Pierwsze spośród ptaków osiadły tutaj dzikie kaczki i po dziś dzień jeszcze mieszkają w trzcinie tysiącami. Tylko że teraz nie całe jezioro do nich należy i muszą je dzielić z łabędziami, nurkami, nurzykami i wielu innymi ptakami.

Jezioro Takern jest największym i dla ptaków z pewnością najwspanialszym jeziorem w całym kraju. Ale nie wiadomo, czy długo trwać będzie jeszcze ich panowanie w gąszczu trzcinowym, gdyż ludzie pamiętają dobrze o tym, że jezioro zajmuje wielki obszar urodzajnej ziemi, i raz po raz wraca myśl

osuszenia jeziora. A gdy się ta myśl urzeczywistni, tysiące ptaków zmuszone będą do opuszczenia tej okolicy.

W czasie kiedy Nils Holgerson wędrował z dzikimi gęśmi, na jeziorze Takern mieszkał dziki kaczor, imieniem Jarro. Był on jeszcze młody, przeżył zaledwie jedno lato, jedną jesień i jedną zimę. Teraz miał pierwszą wiosnę przed sobą. Wrócił niedawno z północnej Afryki. Właściwie za wcześnie, kiedy bowiem przybył nad jezioro Takern, było ono jeszcze pokryte lodem.

Jednego wieczora Jarro i inne młode ptaki bawiły się latając nad jeziorem. Nagle zagrzmiało kilka strzałów i Jarro padł, trafiony w piersi. Był pewien, że musi umrzeć, nie chcąc jednak, aby go strzelec znalazł i zaniósł do spiżarni, poleciał dalej, o ile mu na to pozwalały siły. Nie zastanawiał się nad tym, dokąd leci, chciał tylko jak najdalej odlecieć. Gdy wreszcie siły go opuściły, znajdował się nad wielką zagrodą chłopską na wybrzeżu i padł śmiertelnie znużony na ziemię tuż przed samymi wrotami zagrody.

Po chwili przeszedł przez podwórkę młody parobek. Zobaczył ptaka i podniósł go. Ale Jarro, który pragnął tylko umrzeć w spokoju, dziobnął go mocno w palec. Nie pomogło mu to co prawda, gdyż parobek przekonawszy się, że Jarro żyje, wziął go, zaniósł ostrożnie do domu i pokazał gospodyni, młodej kobiecie o miłym obliczu. Wzięła ona ptaka z rąk parobka, pogłaskała po grzbiecie i otarła krew broczącą z szyi. Potem obejrzała go bardzo dokładnie i widząc, że jest piękny, że ma ciemnozielony, świecący łebek, białą obrączkę na szyi, brunatnoczerwony grzbiet i granatowe skrzydła, pomyślała sobie, że byłaby wielka szkoda, gdyby taki ptak miał umrzeć. Szybko przyniosła koszyk i ułożyła w nim kaczora.

Przez cały ten czas Jarro trzepotał się i wyrывał, ale, przekonawszy się, że ludzie nie robią mu nic złego, uspokoił się. Teraz dopiero czuł, jak bardzo był wyczerpany bólem i upływem krwi. Gospodyni wzięła koszyk i postawiła go w kącie na kominie, a Jarro natychmiast zamknął oczy i zasnął.

Po pewnym czasie obudziło ptaka lekkie uderzenie. Otworzywszy oczy przestraszył się tak bardzo, że omal nie stracił przytomności. Teraz był zgubiony, gdyż przed nim stał ktoś groźniejszy dla niego od ludzi i ptaków drapieżnych — mianowicie Cezar, wyżeł o długiej sierści, i obwąchiwał go z ciekawością.

Ileż to razy w ciągu zeszłego lata Jarro, małe wówczas, żółtym puchem pokryte piskłę, drżał słysząc okrzyk rozlegający się w trzcinie: „Cezar idzie! Cezar idzie!” Ileż razy widząc brązową sierść i wyszczerzone kły psa, brodzącego między trzciną, myślał, że to śmierć nadchodzi. Zdawało mu się zawsze, że nie przeżyje chwili, w której Cezar stanie przed nim oko w oko.

I oto złożyło się tak nieszczęśliwie, że dostał się do tego właśnie dworu, w którym Cezar przebywał.

— A tyś co za jeden? — warknął pies. — Jakżeś się tu dostał? Tam w trzcinie twoje miejsce.

Jarro szepnął zalekziony:

— Nie gniewaj się, Cezarze! To nie moja wina! Kula mnie drasnęła i ludzie sami przynieśli mnie tutaj i położyli do koszyka.

— Tak, tak, więc to ludzie sami ułożyli cię w koszyku? — powiedział Cezar. — Mają widocznie zamiar wyleczyć cię, choć, moim zdaniem, lepiej by zrobili, gdyby cię od razu zjedli. Ale tutaj w domu jest spokój. Niepotrzebnie drżysz ze strachu, nie jesteśmy na jeziorze.

I Cezar odwrócił się i ułożył do snu przed ogniem płonącym na kominie. Skoro Jarro pojął, że nie grozi mu niebezpieczeństwo, poddał się znów ogarniającemu go znużeniu i zasnął ponownie.

Obudziwszy się ujrzał obok siebie naczynie z kaszą i z wodą. Był jeszcze wprawdzie bardzo osłabiony, ale mimo to dokuczał mu głód, zabrał się więc żarłocznie do jedzenia. Gospodyni widząc, jak mu smakuje, podeszła i pogłaskała go z zadowoleniem. Po czym Jarro znowu zasnął. Przez kilka dni jadł tylko i spał na zmianę.

Lecz pewnego ranka poczuł się zdrowszy, wyszedł z kosza i przebiegł przez izbę. Po kilku krokach jednak przewrócił się i nie miał sił, aby się podnieść. Wtem zjawił się Cezar, otworzył wielką swą paszczę i schwycił ptaka. Jarro był pewny, że pies go chce zagryźć, ale Cezar zaniósł go z powrotem do

kosza, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Jarro więc nabrał tak wielkiego zaufania do Cezara, że przy następnej próbie chodzenia podszedł prosto do psa i położył się obok niego. Odtąd stali się przyjaciółmi i Jarro zasypiał codziennie, opierając się o grzbiet psa.

Jeszcze większe przywiązanie wzbudziła w ptaku gospodyni. Jej nie bał się wcale, ocierał nawet główkę o jej ręce za każdym razem, gdy mu przynosiła strawę. Kiedy wychodziła z pokoju, wzdychał żałośnie, a gdy wracała, witał ją serdecznie we własnym swym języku.

Jarro zapomniał zupełnie o tym, jak obawiał się dawniej ludzi i psów. Wydawali mu się dobrzy i łagodni, kochał ich i pragnął wyzdrowieć, aby opowiedzieć wszystkim dzikim kaczkom na jeziorze, że dawni ich wrogowie nie są wcale niebezpieczni z bliska i że nie potrzeba się ich obawiać.

Jarro przekonał się, że miejscowi ludzie, a nawet i Cezar mają oczy wzbudzające zaufanie i że przyjemnie jest patrzeć w te oczy. Jedyną istotą w domu, z której oczyma niechętnie się spotykał, była Miaulina, kotka domowa. Nie czyniła mu wprawdzie nic złego, ale nie mógł powziąć do niej zaufania. Kłóciła się z nim zresztą zawsze o to, że Jarro tak się przywiązał do ludzi.

— Zdaje ci się, że oni dbają o ciebie z miłości — mówiła Miaulina. — Nabierz tylko ciała, a zobaczysz, jak ci prędko kark skręca. Ja znam ich dobrze, o, dobrze!

Jarro miał, jak wszystkie ptaki, miękkie, łagodne serce, toteż martwił się bardzo, słuchając słów kotki. Jak to? Gospodyni miałyby mu ukręcić kark? Nie, nie mógł jej o to podejrzewać, tak samo jak i jej synka, małego chłopczyka, który, bawiąc się i gawędząc z nim, przesiadywał godzinami przy koszyku. Oboje lubili go z pewnością tak szczerze, jak on ich lubił — w to nie wątpił i nie chciał wątpić.

Pewnego dnia, kiedy Jarro i Cezar leżeli na zwykłym swym miejscu przed kominem, Miaulina siadła na kominie i rozpoczęła rozmowę z kaczorem.

— Chciałabym wiedzieć, co wy, dzikie kaczki, poczniecie w przyszłym roku, gdy już jezioro Takera będzie osuszone i zamienione na ziemię uprawną? — rzekła kotka.

— Co mówisz, Miaulino?! — krzyknął Jarro i podskoczył z przerażenia.

— Ach, prawda, Jarro! Zapominam zawsze, że ty nie rozumiesz tak dobrze mowy ludzkiej, jak my z Cezarem — odpowiedziała kotka. — Inaczej wiedziałbyś, co mówili ludzie, którzy tu wczoraj byli. Opowiadali, że woda z jeziora ma być spuszczone i że w przyszłym roku dno jeziora będzie już niemal tak suche jak ta podłoga. Dlatego chciałabym wiedzieć, gdzie się wy, dzikie kaczki, podziejecie?

Usłyszawszy to Jarro wpadł w straszny gniew. Sycząc jak wąż rzucił się na kotkę.

— Zła jesteś jak żmija! — krzyczał, — Idzie ci tylko o to, aby mnie poszczuć na ludzi. Nie wierzę, aby mieli oni takie zamiary, gdyż jezioro należy do dzikich kaczek i ludzie muszą o tym wiedzieć. Dlaczegożby mieli wyganiać i unieszczęśliwiać tyle ptaków! Pewnieś sobie to wszystko sama ułożyła, żeby mi strachu napędzić. Chciałabym, żeby ci orzeł Gorgo rozszarpał! Chciałabym, żeby ci gospodyni wąsy obciąła!

Ale kotka nie ulękła się tych pogrózek.

— Więc zdaje ci się, że kłamię? — rzekła. — Spytaj tedy Cezara, on był także wczoraj wieczorem w izbie, gdy o tym mówiono. A Cezar nigdy nie kłamię,

— Cezarze — zawołał Jarro — ty rozumiesz mowę ludzką o wiele lepiej od Miauliny! Powiedz jej, że nie zrozumiała, o co idzie! Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby ludzie osuszyli jezioro! Nie byłoby już wodnych roślin dla kaczek i ikry rybniej dla młodych kacząt ani kijanek, ani poczwarek owadów. Nie byłoby już sitowia, w którym się ukrywają małe kaczęta, dopóki nie nauczą się fruwać. Wszystkie kaczki musiałyby się wynieść i szukać innego schronienia, Gdzież jednak znajdą takie jak tutaj na jeziorze? Cezarze, powiedz, że Miaulina nie zrozumiała.

Zachowanie się Cezara podczas tej rozmowy było w najwyższym stopniu dziwne. Gdy Jarro zwrócił się do niego, zaczął ziewać, oparł pysk o przednie łapy i za chwilę leżał już głęboko uśpiony.

Kotka spoglądała na psa szyderczo.

— Zdaje mi się, że Cezar nie ma ochoty do rozmowy z tobą — rzekła do kaczora. — Cezar jest taki sam jak wszystkie psy: nie chce nigdy przyznać, że ludzie mogą niesłusznie postępować. Ale możesz polegać na moich słowach. Powiem ci także, dlaczego ludzie chcą osuszyć jezioro. Gdybyście wy, dzikie kaczki, panowały jeszcze niepodzielnie nad jeziorem, nie osuszyliby go ludzie z pewnością — mają bowiem z was pewien pożytek. Ale od czasu kiedy nurki i inne ptaki wodne, które nie służą im za pożywienie, zajęły prawie całe sitowie, ludziom nie warto zachowywać jeziora.

Jarro nie raczył nawet odpowiedzieć kotce, podniósł tylko głowę i krzyknął Cezarowi do ucha:

— Cezarze, Cezarze! Na jeziorze jest jeszcze tyle kaczek, że mogą całą chmarą unieść się w powietrze. Wiesz przecież o tym dobrze. Powiedz więc, że to nieprawda! Nie, ludzie nie mogą być tak okrutni i uczynić nas bezdomnymi!

Teraz Cezar zerwał się i tak gwałtownie skoczył na Miaulinę, że kotka musiała się ukryć za komin.

— Ja cię nauczę milczeć, kiedy chcę spać — zawarczał, — Rozumie się, że wiem o projekcie osuszenia jeziora latem. Ale tyle razy już mówiono o tym, a nic nie zrobiono! Zresztą ja się na to nie zgadzam. Bo jakże to będzie z polowaniem, kiedy w jeziorze Takern zabraknie wody i nie będzie już ptaków?

WABIK

Niedziela, 17 kwietnia

W kilka dni później Jarro był już prawie zdrow i mógł biegać po całej izbie. Gospodyni go głaskała, a mały chłopczyk zrywał dla niego pierwsze żdźbła trawy. Pieszczoty gospodyni sprawiały mu przyjemność i myślał często, że chociaż może już polecieć na jezioro, nie chciałby rozstać się z ludźmi, a nawet zostaćby z nimi chętnie przez całe życie.

Ale pewnego ranka gospodyni związała kaczorowi pętlą skrzydła i oddała go parobkowi, który niegdyś znalazł Jarra na podwórzu. Parobek wziął ptaka pod pachę i zaniósł nad jezioro.

Podczas choroby kaczora łódz rozstajał na jeziorze całkowicie. Stara, zeschnięta trzcina zeszłoroczna sterczała jeszcze u brzegów i na pagórkach, ale wszystkie rośliny wodne wypuściły nowe pędy i zielone łodyżki sięgały już powierzchni wody. Wróciły też już prawie wszystkie ptaki wędrowne. Zakrzywione dzioby kurek wodnych wyzierały z sitowia, pływaki pyszniły się nowymi piórkami, a bekasy zbierały pilnie słomę na budowę gniazd. Parobek wszedł do łodzi, położył kaczora na dno i ruszył na środek jeziora. Jarro, który przywykł do dobroci ludzkiej, powiedział do towarzyszącego mu Cezara, że bardzo wdzięczny jest parobkowi za tę przejażdżkę. Nie rozumie tylko, po co go skępowano, gdyż nie ma zamiaru uciekać. Cezar nic nie odpowiedział, był zresztą tego ranka niezwykle mrukliwy.

Jedna rzecz tylko niepokoiła kaczora: dubeltówka, którą parobek zabrał z sobą.. Dobrzy ludzie z zagrody nie będą przecież strzelali do ptactwa. A przy tym Cezar powiedział mu, że w tej porze roku nie poluje się.

— Mnie to zresztą nie obowiązuje — dodał pies.

Parobek skierował łódkę ku jednej z kęp zarośniętych trzcina. Tutaj wysiadł, ułożył stos z suchego sitowia i ukrył się za nim. Jarro z pętlą założoną na skrzydła, przywiązany długim sznurem do łodzi, mógł chodzić po wybrzeżu.

Nagle kaczor spostrzegł kilka młodych kaczek, z którymi niegdyś ścigał się nad jeziorem. Były dość daleko, ale Jarro przywołał je głośnymi okrzykami. Odpowiedziały mu natychmiast i wielkie, piękne

stado kaczek zbliżyło się do niego. Jarro zaczął im opowiadać o swoim cudownym ocaleniu i o dobroci ludzi.

Wtem tuż za nim rozległy się dwa strzały. Trzy kaczki padły martwe w sitowie. Cezar rzucił się za nimi i wydobył je z gęstwiny.

Teraz Jarro zrozumiał: ludzie uratowali go tylko po to, aby im służył za wabika. I udało im się, trzy kaczki straciły życie przez niego.

Zdawało mu się, że powinien sam umrzeć ze wstydu. Zdawało mu się, że nawet przyjaciel jego, Cezar, patrzy na niego z pogardą i gdy znów zostali sami w izbie, nie śmiał położyć się obok psa.

Nazajutrz wyprowadzono znowu kaczora na małą kępę. I tym razem ujrzał kilka znajomych kaczek. Lecz teraz, gdy kaczki zwróciły się w jego stronę, zawołał:

— Precz! Precz! Miejcie się na baczności! Lećcie w inną stronę! Za sitowiem leży myśliwy w zasadzce! Użyli mnie jako wabika!

I udało mu się istotnie ostrzec kaczki przed niebezpieczeństwem.

Teraz Jarro nie miał nawet czasu skubnąć trawki — tak był pochłonięty swym zadaniem. Zaledwie tylko ukazał się jakiś ptak, ostrzegał go krzykiem. Ostrzegał nawet nurki i bekasy, chociaż ich nienawidził za to, że wypierały kaczki z najlepszych kryjówek. Ale nie chciał, aby choć jeden ptak z jego winy wpadł w zasadzkę. I dzięki czujności Jarra parobek tego dnia wrócił do zagrody bez zdobyczy.

Mimo to Cezar był dziś jakoś łaskawszy dla Jarra niż poprzedniego dnia, a wieczorem ujął kaczora za kark, zaniósł przed komin i ułożył wygodnie do snu opierając go o swój grzbiet

Ale Jarro nie czuł się już dobrze w izbie. Był bardzo nieszczęśliwy i serce kurczyło mu się boleśnie na myśl, że ludzie nie kochali go nigdy. Gdy gospodyni lub mały chłopczyk głaskali go teraz, chował głowę pod skrzydło i udawał, że śpi.

Przez kilka dni Jarro odbywał tak swą smutną straż i znało go już dobrze całe jezioro. Pewnego ranka, gdy wołał jak zwykle: „Miejcie się na baczności, ptaki! Nie zbliżajcie się! Jestem wabikiem!” — ujrzał naraz gniazdo nurków pływające na powierzchni wody. Nie było to nic osobliwego, ponieważ było to gniazdo zeszłoroczne, a że gniazda nurków są tak zbudowane, iż mogą pływać po wodzie, więc też często wiatr pędzi je po falach. Jarro przyglądał mu się jednak z ciekawością, gdyż płynęło prosto ku kępie, jakby ktoś nim sterował. Gdy się zbliżyło, Jarro zobaczył, że w gnieździe siedzi mały człowieczek, najmniejszy, jakiego kiedykolwiek widział, i wiosłuje dwoma pałeczkami. Człowieczek zawołał na niego:

— Jarro, zbliż się do wody i bądź gotów do latania! Wkrótce będziesz wolny!

W kilka chwil później gniazdo przybiło do brzegu, ale mały wiosłarz go nie opuścił, lecz schował się cichutko wśród traw.. Jarro siedział także nieruchomo. Myśl, że będzie wolny, oszołomiła go zupełnie.

Tymczasem nadleciało stado dzikich gęsi. Teraz Jarro oprzytomniał i ostrzegał je głośnymi okrzykami, ale mimo to gęsi przeleciały kilka razy nad kępą tam i z powrotem. Unosiły się tak wysoko w powietrzu, że strzały dosięgnąć ich nie mogły, a jednak skusiły parobka, który strzelił do nich kilka razy. W tym czasie malec wyskoczył z gniazda na ziemię, wyciągnął mały nożyk i przeciął pętlicę na szyi kaczora.

— Leć teraz, Jarro, zanim parobek znowu nie nabije dubeltówki! — zawołał skacząc z powrotem do gniazda i odbijając od brzegu.

Myśliwy miał oczy zwrócone na gęsi i dlatego nie zauważył, że Jarro został uwolniony. Ale Cezar czuwał lepiej i gdy Jarro wzniosł skrzydła do lotu, rzucił się na niego i porwał za kark.

Jarro krzyknął przeraźliwie, lecz malec, który go uwolnił, powiedział z największym spokojem do psa:

— Jeśli twoja dusza jest równie szlachetna, jak twój wygląd, to nie możesz chcieć, aby ktoś wykonywał tak podłe zajęcia, jakim jest wabienie innych na zgubę.

Gdy Cezar usłyszał te słowa, warknął ze złością, ale puścił kaczo-
ra i rzekł:

— Leć, Jarro! Istotnie szkoda cię na wabika. Nie po to zresztą chciałem cię zatrzymać, tylko dlatego, że w izbie bez ciebie będzie tak pusto.

OSUSZENIE JEZIORA

Środa, 20 kwietnia

Kiedy Jarro zniknął, w izbie stało się rzeczywiście pusto. Pies z kotem nie miały się o kogo sprzeczać, a gospodyni czuła brak wesołego kwakania, którym ją Jarro witał, gdy wchodziła do izby. Najbardziej zaś tęsknił za nim mały chłopczyk Ole. Ole miał dopiero trzy lata i był jedynakiem, Jarro więc stał się jego najmilszym towarzyszem. Gdy powiedziano chłopczykowi, że Jarro wrócił do innych kaczek na jeziorze, nie mógł się uspokoić i myślał ciągle o tym, jakim sposobem sprowadzić z powrotem ukochanego kaczo-
ra.

Ole gawędził często z ptakiem leżącym w koszyku i wierzył święcie, że Jarro rozumiał go zawsze. Prosił więc matkę, aby poszła z nim nad jezioro odszukać kaczo-
ra i namówić go do powrotu. Matka nie chciała, ale malec nie porzucił swego zamiaru.

Następnego dnia po zniknięciu Jarra mały Ole bawił się w ogródku. Jak zwykle bawił się sam, ale Cezar leżał na schodach i matka poleciła mu surowo: „Cezar, uważaj na dziecko!” Cezar spełniał zazwyczaj sumiennie takie polecenia. I dziś z pewnością mały Ole byłby dobrze strzeżony, gdyby nie wyjątkowe okoliczności, które wyprowadziły Cezara z równowagi. Wiedział, że wieśniacy, mieszkający wokoło jeziora Takern, naradzali się nad osuszeniem jeziora i że sprawa była już prawie postanowiona. Kaczki więc będą się musiały wynieść i Cezar już nie będzie mógł nigdy przyzwoicie i uczciwie zapolować. Myśl o tym nieszczęściu tak bardzo go zajmowała, że zapomniał o dziecku.

Mały Ole spostrzegłszy, że jest sam na podwórzu, pomyślał sobie, że nadeszła odpowiednia chwila, żeby wybrać się nad jezioro i odszukać kaczo-
ra. Otworzył furtkę i wyszedł na wąską dróżkę prowadzącą do jeziora. Dopóki można go było dojrzeć z domu, szedł wolno, ale potem zaczął biec z całych sił. Obawiał się bardzo, że matka lub ktokolwiek zatrzyma go, a on przecież nie chciał zrobić nic złego — chciał tylko namówić Jarra, aby wrócił, a czuł, że mu na to nie pozwolą.

Zbliżył się do wybrzeża i zawołał na kaczo-
ra kilka razy po imieniu. Potem czekał długo, ale Jarro się nie pokazywał. Mały Ole widział wprawdzie rozmaite ptaki wyglądające jak dzikie kaczki, ale żaden z nich nie zwracał uwagi na niego, żaden więc nie mógł być jego ukochanym kaczo-
rem.

Jarro nie zjawiał się. Chłopczyk więc pomyślał sobie, że znajdzie go prędzej, gdy uda się na środek jeziora. Na brzegu stało kilka nowych łodzi, ale wszystkie były uwiązane. Jediną nie przymocowaną łodzią było stare czółno, którego już nikt nie używał. Mały Ole wszedł w nie z wielkim trudem, nie zważając na to, że całe dno czółna zalane było wodą. Wiosłami malec nie mógł się naturalnie posługiwać, ale zaczął kołysać łódką i huśtać nią na obie strony. Żadnemu dorosłemu człowiekowi nie udałooby się w ten sposób wyprowadzić czółna na jezioro, ale wysoki poziom wody i nieszczę-
m-
śliwy zbieg okoliczności pomogły dziecku i wkrótce mały Ole płynął już w czółnie po jeziorze i wołał swego ukochanego Jarra.

Tymczasem w starym czółnie szpary poszerzyły się i woda przeciekała coraz obficie do środka. To wszystko nie obchodziło wcale naszego malca.

Siedział na przodzie na małej ławeczce, wołał każdego ptaka i dziwił się, że Jarro się nie pokazuje.

Wreszcie Jarro usłyszał go. Domyślił się od razu, że to mały Ole udał się na jezioro, aby go odszukać,

i ucieszył się tym ogromnie. Więc jednak ktoś z ludzi kochał go szczerze! Szybko jak strzała pomknął do dziecka, usiadł przy nim i pozwolił się pieścić. Obaj byli tacy uszczęśliwieni spotkaniem!

Wkrótce jednak Jarro spostrzegł stan czołna. Było już do połowy napełnione wodą, niebawem będzie musiało zatonać. Jarro próbował wytłumaczyć dziecku, że musi wracać na ląd, ponieważ nie umie ani latać, ani pływać. Ale dziecko nie rozumiało ptaka. Wtedy Jarro nie zwlekając odleciał jak najprędzej szukać pomocy.

Po chwili powrócił niosąc na grzbiecie małego człowieczka, o wiele mniejszego od dziecka. Gdyby to maleństwo nie mówiło i nie ruszało się, Ole myślałby, że to lalka. Malec kazał dziecku schwycić natychmiast długi kij leżący na dnie łódki i odepchnąć ją w stronę jednej z niewielkich błotnistych kęp. Ole usłuchał i obydwaj połączonymi siłami próbowali popychać czołno. W końcu udało im się istotnie dobić do małej, zarośniętej trzcina wysepki, a kiedy się tam dostali, malec kazał chłopczykowi wyjść z łódki. W tej samej chwili napełnione wodą czołno poszło na dno.

Teraz Ole zrozumiał, że ojciec i matka będą się bardzo gniewali na niego, i rozpłakałby się z pewnością, gdyby uwagi jego nie zajęło coś nowego. Oto ukazała się wielka gromada szarych ptaków, które przyfrunęły na wysepkę. Malec zaprowadził chłopca do nich i opowiedział mu, jak one się nazywają i co mówią. A to wszystko było takie zabawne, że mały Ole zapomniał o smutku.

Jarro tymczasem poleciał do zagrody i oznajmił Cezarowi, gdzie się Ole znajduje. Cezar udał się natychmiast nad jezioro, przepłynął przez wodę do wysepki i zobaczył chłopczyka siedzącego na stosie suchego sitowia i śmiejącego się wesoło w otoczeniu dzikich gęsi i kaczek.

Cezar pozostał długo na wysepce nie tylko z powodu dziecka. Po raz pierwszy w życiu zbliżył się przyjaźnie do ptactwa na jeziorze Takern i dziwił się jego mądrości. Pytały go, czy to, co im Jarro opowiadał o osuszeniu jeziora, jest istotnie prawdą.

— Jeszcze tego nie rozstrzygnięto — rzekł Cezar — ale jutro mają się zebrać wszyscy gospodarze, aby powziąć ostateczne postanowienie, i obawiam się, że tym razem zgodzą się na jedno. Bardzo to smutne dla ptaków, ale i dla mnie to nie żarty, tracę przecież najlepszy teren polowania, jakim kiedykolwiek pies rozporządzał.

Ptaki zasmuciły się bardzo usłyszawszy potwierdzenie wiadomości zasłyszanych od Jarra. Żałosna wieść biegła nad całym jeziorem od sitowia do sitowia i wszędzie rozlegały się głośnie okrzyki i skargi. Dumne łabędzie biadały na równi z małymi trzciniami, a kaczki i nurki, które się wzajemnie nienawidzą, zgadzały się na jedno, że będzie to straszne nieszczęście,

Kiedy Cezar zabierał się do odejścia, odezwała się stara Akka, przewodniczka dzikich gęsi:

— Mnie, co prawda, to wszystko nie dotyczy, jestem bowiem ptakiem przelotnym, ale jeśli chcesz naprawdę zachować dzikie ptactwo na jeziorze, to radzę ci, abyś nie zawiadamiał tak prędko rodziców, gdzie przebywa ich dziecko.

Cezar spojrział na dziką gęś zdziwionym wzrokiem.

— Jesteś zdziwaczka staruszką — powiedział.

— Ach, niejednego już doświadczyłam w życiu — mówiła Akka — i wiem, że nam wszystkim miękna serca, gdy grozi utrata własnych dzieci!

— Posłucham twojej rady — odrzekł Cezar — ale musicie mi zaręczyć, że małemu Ole nie stanie się nic złego.

Tymczasem w zagrodzie spostrzeżono, że malec znikł i zaczęto go szukać. Szukano w zabudowaniach gospodarskich, zaglądano do studni i przetrząsano piwnicę. Potem pytano o niego po wszystkich drogach i ścieżkach, dowiadywano się u sąsiadów i w końcu szukano nawet nad jeziorem. Ale dziecka nigdzie nie było.

Cezar wiedział dobrze, kogo to się tak poszukuje, ale nie czynił nic, aby naprowadzić ludzi na ślad.

Leżał spokojnie, jakby go to wcale nie obchodziło.

„Nie zaszkodzi to wam, gdy się przez kilka godzin będziecie niepokoili — myślał sobie. — Dziecku nie stanie się tam nic złego, a wam ten niepokój może na dobre wyjdzie”.

Po południu zauważono ślady nóżek małego Ole na przystani, a potem spostrzeżono brak starego, spróchniałego czółna. I teraz zrozumiano, co się stało.

Gospodarz i parobcy wsiedli natychmiast do łódek i udali się na poszukiwanie dziecka. Do późnego wieczora jeździli po jeziorze, lecz nie znaleźli śladów malca. I byli już pewni, że stare czółno zatoneło, a dziecko leży martwe na dnie jeziora.

Na wybrzeżu błędziła niespokojnie matka małego Ole. Wszyscy inni byli przekonani, że dziecko utoneło, ale ona nie mogła temu uwierzyć i szukała, bezustannie szukała. Krążyła między trzciną i sitowiem, brodziła po błotnistym wybrzeżu nie zważając na to, że nogi jej grzęzły w błocie i mokły w wodzie. Była w rozpacz i serce zamierało jej z bólu. Nie płakała, ale załamywała ręce i wołała swoje dziecko donośnym, żalosnym głosem.

Wokoło siebie słyszała skargi i narzekania łabędzi, kaczek i nurków. Zdawało jej się, że wszystkie te ptaki lecą za nią z jękiem i zawodzeniem.

„Pewnie im coś dolega, kiedy tak rozpaczają — myślała matka. — Ale to przecież tylko ptaki — myślała dalej. — One nie mają żadnej troski!”

A jednak dziwne to było, że teraz, po zachodzie słońca, jeszcze nie umilkły. Słyszała, jak niezliczone gromady ptaków, mieszkających w trzcinie nadbrzeżnej, wydawały okrzyki skargi i rozpacz.

Niektóre latały za nią, inne szumiały nad nią skrzydłami, a wszystkie jęczały i lamentowały.

I strach, który dręczył kobietę, uczynił wrażliwszym jej serce. Czuła, że nie jest już tak obca tym wszystkim żywym istotom, jak to zwykle bywają ludzie. O wiele lepiej niż poprzednio rozumiała uczucia ptaków. I one miały swe troski o dom, o dzieci! Nie ma wcale tak wielkiej różnicy między ptakami a ludźmi, jak dotychczas sądziła.

I nagle przypomniał jej się projekt osuszenia jeziora. Było to już prawie postanowione. A jednak — jakąż to klęską dla tych tysięcy łabędzi, kaczek, nurków, które utracą dom i schronienie!

„Gdzież się podzieją? — pomyślała. — Gdzie chować będą pisklęta?”

Stała i pogrążyła się w myślach. Tak, pewnie że ta zamiana jeziora na pola i łąki przyniesie dużo korzyści, ale można przecież obrać inne jezioro, nie Takern, które służy za schronienie tysiącom ptaków.

„Jutro ma się to rozstrzygnąć ostatecznie” — myślała dalej. I pytała sama siebie, czy to nie dlatego właśnie zginął jej mały Ole? Czy nie stało się to dlatego, aby własne ciężkie zmartwienie wzruszyło jej serce, poruszyło je współczuciem dla tych wszystkich niewinnych istot i zapobiegło nieszczęściu?

Szybko wróciła do zagrody i rozmówiła się z mężem. Opowiadała o jeziorze, o ptakach i o tym, że zniknięcie małego Ole uważa za karę. I przekonała męża.

Byli oni właścicielami wielkiej posiadłości i gdyby osuszenie jeziora doszło do skutku, przypadłaby im w udziale znaczna część ziemi, przez co posiadłość ich wzrosłaby w dwójnasób. Dlatego popierali ten projekt gorliwiej od wszystkich innych gospodarzy.

Tamci lękali się wydatków i wyrażali wątpliwości, czy to osuszenie powiedzie się lepiej niż za pierwszym razem. I ojciec małego Ole musiał użyć całej swej wymowy dla przekonania ich. Czynił to w tym celu, aby móc synowi swemu zostawić dwa razy tyle ziemi, ile sam odziedziczył po ojcu.

A teraz stało się tak, że to samo jezioro, które zamierzał poświęcić dla swej chciwości, zabrało mu syna właśnie w dzień przed podpisaniem umowy.

— Pomówię jutro z gospodarzami i skłonię ich do tego, żebyśmy zestawili wszystko tak, jak było — rzekł po namyśle.

Cezar leżał przed kominem i słuchał tej rozmowy. Gdy usłyszał to, o co mu chodziło, podszedł do

gospodyni, ujął ją za spódnicę i pociągnął do drzwi.

— Cezar, zostaw! — zawołała i chciała go odpędzić. Ale nagle zapytała: — Wiesz, piesku, gdzie jest nasz mały Ole?

A Cezar warknął wesoło i podbiegł w poskokach do drzwi. Gospodyni otworzyła je i pies rzucił się w stronę jeziora. Gospodyni biegła za nim bez opamiętania — tak była pewna, że Cezar wie, gdzie jest dziecko. I zaledwie dobiegła do wybrzeża, usłyszała płacz dziecięcy dochodzący z małej kępy pośrodku jeziora.

Mały Ole spędził z Paluszką i z ptakami najweselszy dzień w swoim życiu, ale teraz płakał, bo był głodny i bał się ciemności. Ach, jakże się ucieszył na widok ojca, matki i Cezara!

I przy jasnym, pięknym blasku księżyca, okrążeni gromadami trzepocącego się wesoło ptactwa, ruszyli wszyscy z powrotem do swojej zagrody.

PRZEPowiednia



Piątek, 22 kwietnia

Pewnej nocy, gdy Paluszek spał na kępie pośród jeziora Takern, zbudził go plusk wiosła. Otworzył oczy, spojrział na wodę, ale natychmiast olśnił go blask światła. Zrazu nie mógł pojąć, co tam na wodzie tak jasno świeci, wkrótce jednak dojrzał w trzinie łódź, na której paliło się wielkie, smolne łuczywo przytwierdzone do żelaznych wideł. Czerwony pochodni odbijał się wyraźnie w czarnej toni jeziora i piękny ten blask przywabiać musiał ryby, gdyż wokoło ognia widać było mnóstwo ciemnych, poruszających się bezustannie kresek.

W łodzi znajdowało się dwóch starych mężczyzn. Jeden wiosłował, a drugi stał na tylnej ławeczce i trzymał w ręku krótki pręt zaopatrzony w haczyk. Wioślarz wyglądał na ubogiego rybaka: był małego wzrostu, żylasty, o spalonej skórze, odziany lekko i nędznie. Widocznie człowiek ten przyzwyczajony był do przebywania na powietrzu bez względu na pogodę i nic sobie z zimna nie robił.

Drugi był dobrej tuszy, dostatnio ubrany i wyglądał na zamożnego wieśniaka.

— Teraz bądź cicho! — rzekł wieśniak, gdy podpłynęli do pagórka, na którym leżał chłopiec. I w tej samej chwili pogrążył pręt w wodzie. Gdy go znowu wyciągnął, wydobył na nim z głębi jeziora długiego, wspaniałego węgorza.

— Widzicie — zawołał wieśniak, zdejmując węgorza z pręta — to mi połów! Dość będzie na dziś, możemy już wracać.

Ale towarzysz jego odwrócił się nie poruszając wiosłami.

— Jakże tu pięknie dziś! — rzekł.

Istotnie było pięknie. Najmniejszy wietrzyk nie poruszał powierzchni wody i z wyjątkiem smugi, którą żłobiła łódź, cała toń leżała nieruchomo jak zwierciadło, lśniąc złociście w odblaskach ognia.

Ciemny szafir nieba iskrzył się gwiazdami. Trzcina na brzegach szumiała głucho. Góra Omberg widniała na horyzoncie wielka ciemna, potężniejsza niż zazwyczaj.

Wieśniak podniósł głowę i rozejrzał się wokoło.

— Tak, pięknie jest tutaj w Ostrogocji — rzekł — ale nie za to należy ją cenić!

— Za cóż więc? — zapytał rybak.

— Za to, że od wieków cieszy się ta kraina największym uznaniem i szacunkiem.

— Tak, istotnie.

— I za to, że tak już będzie zawsze.

— Tego wiedzieć nie można — rzekł rybak.

Wieśniak oparł się na pręcie i zaczął opowiadać:

— W naszej rodzinie przechowała się z ojca na syna opowieść, z której dowiedzieć się można, co się stanie z Ostrogocją.

— Może mi ją opowiecie? — prosił rybak.

— Zazwyczaj nie opowiadamy jej pierwszemu lepszemu, ale staremu przyjacielowi nie mogę tego odmówić. We dworze Ulfasy w Ostrogocji — zaczął wieśniak, a po tonie opowiadania można było poznać, że opowiadał to, co sam słyszał od innych i co umiał już na pamięć — mieszkała przed wielu laty pani, która miała dar odgadywania przyszłości i przepowiadania ludziom tego, co ich spotka.

I przeważnie zgadzało się to zupełnie. Wskutek tego sława jej rozchodziła się daleko i łatwo można sobie wyobrazić, jak się ludzie z daleka i z bliska zbiegali, aby się dowiedzieć, co ich złego lub dobrego czeka w życiu.

Pewnego dnia, kiedy pani z Ulfasy siedziała w swojej komnacie przy kołowrotku, jak to bywało w dawnych czasach, wszedł ubogi wieśniak i usiadł przy drzwiach na ławie.

„Chciałbym wiedzieć, o czym tak myślicie, dobra pani?“ — zapytał po chwili milczenia.

„Myślę o wielkich i świętych rzeczach“ — rzekła pani.

„Czy mógłbym zapytać was o coś, co mi bardzo dolega?“ — spytał wieśniak.

„Co też tobie może dolegać prócz troski, ile ziarna zbierzesz z twojej roli? Ale przywykłam już, żeby być pytaną nawet przez króla o losy jego korony, a także i przez papieża o przyszłość jego kluczy papieskich”.

„Na to nie łatwo znaleźć odpowiedź — rzekł wieśniak — toteż słyszałem, że nikt jeszcze nie odszedł stąd zadowolony z odpowiedzi, którą otrzymał od was“.

Na te słowa wieśniaka zmieszała się pani i przysunęła bliżej do niego.

„Więc to o mnie słyszałeś? — rzekła. — Spróbuj zapytać mnie o to, co byś chciał wiedzieć, a przekonasz się, czy potrafię tak odpowiedzieć, aby cię zadowolić”.

Po takiej zachęcie wieśniak nie wzdragał się już dłużej ze swoim pytaniem. Oznajmił, że przyszedł, aby się dowiedzieć o przyszłość

Ostrogocji, kocha bowiem ten kraj ponad wszystko i wie, że pomyślna odpowiedź na to pytanie da mu szczęście do końca życia.

„Jeśli ci tylko o to idzie — odrzekła pani — to mogę cię łatwo uspokoić: Ostrogocja zawsze będzie się miała czym szczyścić nad inne kraje”.

„Tak, to istotnie dobra odpowiedź — ucieszył się wieśniak — i byłbym zupełnie zadowolony, gdybym tylko wiedział, czemu to kraj mój zawdzięczać będzie swą pomyślność?”

„Dlaczegoby tak nie miało być? — mówiła pani z Ulfasy. — Czyż nie wiesz, że już dziś Ostrogocja słynie szeroko? A może zdaje ci się, że jest w Szwecji inna prowincja, mogąca się poszczycić takimi dwoma klasztorami, jak Alvastra i Vreta i taką piękną katedrą jak kościół w Linköping?”

„Być może — odrzekł wieśniak — ale jestem starym człowiekiem i wiem, że serce ludzkie jest zmienne, obawiam się więc, że nadejść może taki czas, kiedy ludzie nie będą cenili ani klasztorów, ani katedr”.

„Nie jest to wykluczone — powiedziała pani z Ulfasy — ale nie wątp w moją przepowiednię. Zbudują nowy klasztor w Vadstena i ten stanie się na pewno najślawniejszym tutaj na północy. Bogaci i ubodzy będą do niego odbywali pielgrzymki i wszyscy wielbić będą krainę z tak świętym miejscem”.

Wieśniak odrzekł, że cieszy się ogromnie z tej wiadomości, ale wie, jak łatwo ulega wszystko zmianie, chciałby więc usłyszeć, co zapewni krajowi szacunek wtedy, kiedy klasztor w Vadstena utraci swoją sławę.

„Nie łatwo cię zadowolić — rzekła pani z Ulfasy — ale patrzę daleko w przyszłość i dlatego mogę ci powiedzieć, że zanim klasztor w Vadstena straci swoje znaczenie, powstanie obok niego zamek, warownia najpotężniejsza w owe czasy. Zamieszkiwać go będą królowie i książęta i okryje on całą okolicę blaskiem i chwałą”.

„Cieszy mnie to bardzo — odrzekł wieśniak — ale jestem starym człowiekiem i wiem, co się staje ze wspaniałościami tego świata, i dlatego chciałbym się dowiedzieć, czym ta okolica zwróci na siebie oczy ludzkie, kiedy zamek ten stanie się ruiną?”

„Żądasz niemało — powiedziała pani — ale mogę spojrzeć jeszcze dalej w przyszłość. Widzę, jak w lasach wokoło Finspange wre życie i ruch, jak powstają tam huty żelazne i kuźnice i okrywają sławą całą tę krainę”.

Wieśniak nie ukrywał swej radości,

„Ale pytał dalej — jeśli huty żelazne stracą kiedyś swoje znaczenie, cóż wtedy pozostanie Ostrogocji?”

„Jeszcze ci nie dość? — rzekła pani. — Spojrzę więc jeszcze dalej w przyszłość. I powiem ci, że widzę, iż panowie, którzy w obcych krajach wiedli wojny, powrócą i tu właśnie zbudują wielkie pałace i dwory, które uświetnią całą okolicę”.

„A kiedy nadejdzie czas, że nikt już pałaców i zamków cenić nie będzie?”

„Nie obawiaj się tego — odpowiedziała pani. — Na błoniach wokoło Medevi i w pobliżu jeziora Vättern widzę wytryskujące źródła lecznicze, które obdarzą kraj sławą i bogactwem”.

„Tak, to będzie radosne wydarzenie — rzekł wieśniak. — Ale co się stanie, gdy nadejdzie czas, kiedy ludzie leczyć się zaczną u innych źródeł?”

„I tego się nie lękaj — zapewniała pani z Ulfasy. — Widzę, jak ludzie pracują na przestrzeni od miasta Motala do Mem i przez całą kraftię budują kanał, który nada Ostrogocji wielkie znaczenie”.

Ale i ta wiadomość nie zaspokoiła wieśniaka.

„Widzę, jak wodospady w Motala obracają koła — powiedziała pani z Ulfasy i oblała się rumieńcem zniecierpliwienia. — Słyszę, jak w Motala huczą uderzenia młotów, a w Norrköping turkoczą warsztaty tkackie”.

„Tak, miłe to dźwięki — rzekł wieśniak — ale wszystko przemija i obawiam się, że i to może kiedyś pójść w zapomnienie”.

Teraz wyczerpała się cierpliwość pani z Ulfasy.

„Mówisz, że wszystko przemija?! — zawołała. — Więc wskażę ci coś, co wiecznie i zawsze pozostanie jednakowe, mianowicie to, że aż do dnia sądu ostatecznego żyć będą w Ostrogocji tacy zarozumiali, uparci chłopci jak ty!”

Zaledwie pani z Ulfasy to wymówiła, kiedy wieśniak podniósł się z ławy rozradowany i z uśmiechem podziękował jej za dobrą przepowiednię.

„Teraz dopiero jestem zadowolony” — rzeki.

„Teraz zaś ja ciebie nie rozumiem” — zdziwiła się pani z Ulfasy.

„Widzicie, dobra pani — tłumaczył wieśniak — tak myślę: wszystko, co budują królowie i książęta, dziedzice i mieszczanie, nie może trwać wiecznie, ale jeśli mówicie, że w Ostrogocji zawsze istnieć będą wytrwali i dzielni chłopci, to wiem, że oni zawsze przysporzą chwały swej ojczyźnie. Bo tylko ci, których zgina do ziemi jarzmo pracy, mogą zapewnić ojczyźnie swojej dobrobyt i chwałę”.

ZGRZEBNE PŁÓTNO I AKSAMIT



Sobota, 23 kwietnia

Paluszek leciał coraz dalej i dalej. Pod nim leżała wielka ostrogocka równina z licznymi kościołami w otoczeniu zielonych drzew, Naliczył piętnaście kościołów, ale stracił rachubę i dalej nie mógł już liczyć.

Wiele dworów było dwupiętrowych, biało malowanych; wyglądały one tak pokaźnie, że chłopiec zawołał ze zdziwieniem:

— W tej okolicy nie mieszkają widocznie chłopi! To przecież wszystko pańskie dwory!

Ale dzikie gęsi odpowiedziały:

— Tutaj chłopi mieszkają jak panowie!

Na równinie ostrogockiej zniknęły już bez śladu lody i śniegi i wszędzie były porozpoczynane roboty wiosenne.

— Cóż to tam za raki pełzają po roli? — zapytał chłopiec po chwili,

— Pługi i woły! Pługi i woły! — odpowiedziały dzikie gęsi chórem.

Woły posuwały się tak wolno, że trudno było zauważyć, czy się w ogóle poruszają, toteż gęsi zawołały do nich żartobliwie:

— Dowleczenie się na przyszły rok! Dowleczenie się na przyszły; rok!

Ale woły nie pozostawały dłużne, w odpowiedzi. Otworzyły pyski i zaryezały:

— W jedną godzinę przynosimy więcej pożytku niż takie włóczęgi jak wy przez całe życie!

W niektórych miejscach pługi ciągnęły konie, a te posuwały się daleko prędzej od wołów.

— Czyż nie wstyd wam pracować za woły?! — zawołały gęsi do koni. — Czy nie wstyd wam pracować za woły?

— A wam nie wstyd bawić się w próżniaków? — zarżały konie w odpowiedzi,

W jednej z zagród biegał po podwórzu baran. Został właśnie świeżo ostrzyżony i wyprawiał harce: przewracał dzieci, zapędził psa do budy i paradował po podwórzu, jakby był na nim jedynym panem,

— Baranku, coś zrobił z wełną? — zapytały dzikie gęsi przelatując nad dworem.

— Posłałem ją do fabryki w Norrköping — odpowiedział baran becząc przeciągle.

— Baranku, baranku, coś zrobił z rogami? — pytały dalej gęsi.

Ale baran ku wielkiemu swemu zmartwieniu nie miał nigdy rogów i nie można mu było niczym

bardziej dokuczyć niż dopytywaniem się o rogi. Toteż rozgniewany biegał z wściekłością po podwórku, kręcąc głową na wszystkie strony.

Po szosie chłop ze Skanii pędził trzode prosiaków, które liczyły zaledwie kilka tygodni i miały być sprzedane w jednej z dalszych wsi. Prosięta, chociaż takie maleńkie, dreptały prędko i trzymały się w gromadzie, jakby broniąc się wzajemnie.

— Kwik, kwik, kwik! Zabrano nas za wcześnie od ojca i od matki! Co się też z nami, biedakami, teraz stanie? — kwiczały prosięta.

Nawet dzikie gęsi nie miały serca drażnić tych biednych stworzeń.

— Będzie wam lepiej, niż myślicie! — zawołały do nich w przelocie.

Podróż nad równiną usposabiała dzikie gęsi jak najlepiej. Nie śpieszyły się, lecz latały od dworu do dworu, przekomarzając się ze zwierzętami domowymi.

Chłopcu, spoglądającemu z góry na równinę, przypomniało się podanie, które kiedyś bardzo dawno temu słyszał. Nie przypominał go sobie dokładnie, ale pamiętał, że była w nim mowa o ubraniu, którego jedna połowa zrobiona była ze złociście połyskującego aksamitu, druga zaś ze zgrzebnego płótna. Ale posiadacz ubrania usiał płócienną część tyloma perłami i diamentami, że błyszczała piękniej i wspanialej od tamtej ze złotogłowiu.

O tej części ze zgrzebnego płótna musiał chłopiec myśleć teraz, gdy spoglądał na Ostrogocję, tę wielką płaszczyznę, odgranieczoną na północy i na południu dwiema górami pokrytymi lasem. Obydwa szczyty górskie lśniły w blasku porannym, otulone w błękit i mgłę złocistą, a płaszczyzna z ogołoconymi polami nie wyglądała bynajmniej piękniej od szarego płótna.

Lecz ludziom powodziło się dobrze na tej płaszczyźnie, gdyż była żyzna i szczodra, więc postarali się przyozdobić ją jak najpiękniej. Chłopcu przelatującemu wysoko wydawało się, że miasta i dwory, kościoły i fabryki, pałace i dworce kolejowe są to wielkie i małe klejnoty rozrzucone po ziemi. Dachówki błyszczały w słońcu, a szyby świeciły się jak drogie kamienie. Żółte szosy, lśniące szyny kolejowe i błękitne kanały wiły się wśród wiosek i miast niby gałązki haftowane jedwabiem.

Linköping otaczało swoją katedry jak oprawa z pereł drogocenny kamień, a dwory po wsiach wydawały się kosztownymi guzikami i spinkami. Symetrii w tych deseniach nie było wiele, ale wszystko razem tworzyło tak cudny widok, że nie można było oczu oderwać.

Gęsi opuściły okolicę góry Omberg i leciały teraz we wschodnim kierunku nad kanałem ostrogockim. I ten przystrajał się na powitanie lata. Robotnicy naprawiali brzegi i smarowali wielkie otwory śluz smołą.

Wszędzie po wsiach czyniono przygotowania na powitanie wiosny i tak samo pracowano też i po miastach. Malarze i murarze stali tu na rusztowaniach przed domami i odświeżali je pięknie, kobiety wychylały się z otwartych okien myjąc szyby. W dole koło przystani odnawiano żaglowce i parowce.

Nad Norrköping dzikie gęsi opuściły płaszczyznę i poleciały w stronę Kolmården, trzymając się przez jakiś czas starej, górzystej drogi, ciągnącej się wśród przepaści skalnych i dzikich grzbietów górskich. Nagle chłopiec krzyknął. Leżąc wygodnie na grzbiecie gąsiora, kiwał jedną nogą i zgubił drewniany sandałek.

— Gąsiorze, gąsiorze — zawołał — spadł mi sandałek!

Gąsior opuścił się natychmiast na ziemię. Ale chłopiec spostrzegł, że dwoje dzieci idących drogą schwyciło pantofelek.

— Gąsiorze, gąsiorze! — krzyknął. — Wracaj! Już za późno! Sandałek mój stracony!

A na dole na drodze stała gęsiarka Aza i jej brat Mats i oglądali mały, drewniany sandałek, który spadł z nieba.

— O, Matsie, czy przypominasz sobie? Gdyśmy przechodzili obok klasztoru w Öved, opowiadano nam w jednym z dworów chłopskich, że widziano tam krasnoludka ubranego jak miejscowi wieśniacy, w

skórzane spodnie i drewniane sandały. I pamiętasz? Gdyśmy przyszli do Vittskövle, opowiadała nam jedna dziewczyna, że widziała krasnoludka w drewnianych sandałach, który leciał w powietrzu na grzbiecie gąsiora. I pamiętasz, mały Matsie, jak to powróciwszy do chaty zobaczyliśmy maleńkiego człowieka, zupełnie tak samo ubranego, który również wszedł na grzbiet gęsi i poleciał z nią w górę? Może to ten sam krasnoludek przelatywał teraz nad nami i zgubił swój sandałek?

— Tak, pewnie ten sam — rzekł mały Mats.

Odwrócili drewniany pantofelek i oglądali go dokładnie — nie co dzień przecież znajduje się sandałek krasnoludka na drodze.

— Patrz, patrz, mały Matsie! — zawołała Aza. — Tutaj jest coś napisane! Widzę jakiś napis,

— Prawda! Ach, jakież małe, literki!

— Pokaż mnie! Tak, tu napisano... „Nils Holgerson z Vestvemmehög“.

— Nie, doprawdy, jest to najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek w życiu słyszałem! — oświadczył mały Mats.

HISTORIA O PSIE KARO I O ŁOSIU SZARACZKU



KOLMÄRDEN

Na granicy między Ostrogocją a Sörralandią wznosi się góra na kilka mil długa, a na milę przeszło szeroka. Jeśliby góra ta była równie wysoka, jak długa, słynęłaby jako jedna z najpiękniejszych gór w świecie. Niestety, nie jest ona tak wysoka.

Widujemy nieraz gmach, którego budowę rozpoczęto na tak wielką skalę, że budowniczy nie zdołał doprowadzić jej do końca. Podchodząc do takiego gmachu, spostrzegamy potężne fundamenty, głębokie piwnice i podziemia, brak jednak ścian zewnętrznych i dachów, a całość wznosi się tylko na kilka stóp od ziemi.

Widok owej góry przypomina nam właśnie taką zaniechaną budowlę, nie wygląda bowiem ona jak góra, lecz raczej jak podstawa góry. Ściany jej wznoszą się stromo nad powierzchnią ziemi, a ze wszystkich stron piętrzą się wielkie skały, które wydają się być przeznaczone do dźwigania wysokich, potężnych sklepień. Jako skończona całość mogłaby góra ta czynić wrażenie majestatyczne i potężne, w takiej jednak postaci zbywa jej na właściwej wysokości i na właściwym stylu. Budowniczy musiał się zniechęcić do swego dzieła i porzucić je, zanim zdążył utworzyć nagie, ostre szczyty, które wznoszą się zazwyczaj jako kopuły i wieże na prawdziwych górach.

Natomiast, niby wynagrodzenie za brak tych szczytów, pokrywał górę olbrzymi, wspaniały las. Tworzyły go dęby i lipy rosnące u podnóży i w dolinach, brzozy i buki otaczające jeziora, świerki wznoszące się na stromych zboczach i sosny wbijające korzenie w najlichszą grudkę ziemi. Wszystkie te drzewa razem stanowiły słynną niegdyś Puszcze Kolmärdeńską, którą otaczała taka groza, że każdy, kto się w jej głąb zapuszczał, polecał duszę Bogu, myśląc o swej ostatniej godzinie.

Dzieje tej puszczy są już tak stare, że dziś nikt by nie umiał powiedzieć, w jaki sposób stała się taką, jaką jest obecnie. Z początku drzewa musiały zapewne staczać długie walki, zanim zdołały wbić swe korzenie w opokę skalną, i z pewnością dlatego potrafią teraz stawiać czoło wichrom i burzom, że siedzą, twardo wśród nagich żlebów skalnych i ciągną swe soki z jałowych grudek ziemi. Było z nimi podobnie jak z niejednym człowiekiem, co ciężko walczyć musiał w młodości, aby potem urosnąć w siłę i potęgę.

Kiedy się las na stokach góry rozrósł należycie, wystrzeliły w nim drzewa-olbrzymy o pniach potężnych, o gałęziach splątanych w sieć nierozwikłaną i korzeniach pokrywających całą ziemię twardymi, śliskimi splotami, Taki las był znakomitym schronieniem dla dzikich zwierząt i zbójców, którzy potrafili przedzierać się przez gąszcz i torować sobie w nim drogę. Innych przecież istot las ten nie po ciąga! — był zimny i ponury, niedostępny i odpychający, pełen kolczastych zarośli, a stare drzewa, ich brodate konary i mchem porośłe pnie czyniły wrażenie dzikich strasydeł upiornych.

Dawniej, kiedy ludzie zaczęli osiadać w Ostrogocji i Sörmlandii, lasy pokrywały tam całą okolicę, wkrótce jednak na żyznych równinach i w dolinach wyrąbano je i wykarczowano. Tylko las kolmårdeński, który rósł na glebach skalnych, pozostał nietknięty. Stawał się coraz dzikszy i potężniejszy i wreszcie utworzył warownię o murach tak grubiejących z każdym dniem, że kto się przez nie chciał przedostać, musiał sobie drogę torować siekierą. Inne lasy. czują zapewne często lęk przed ludźmi, z lasem kolmårdeńskim zaś było odwrotnie — jego to lękali się ludzie. Taki bowiem był gęsty; i ciemny, że myśliwi i drwale błędzili nieraz w nim bez końca i często nie znajdując wyjścia, padali z głodu i ze znużenia.

Toteż przebycie tego lasu groziło różnymi niebezpieczeństwami ludziom udającym się z Ostrogocji do Sörmlandii, i odwrotnie. Z trudem przedzierać się musieli wąskimi ścieżynami, wydeptanymi przez zwierzyńę, bo ludność okoliczna nie była w stanie utrzymać drogi przez las. Nie było tam mostów nad potokami ani promów na jeziorach, ani kładek na trzęsawiskach. W całym zaś lesie nie było ani jednej chaty zamieszkaney przez uczciwych ludzi, natomiast jaskiń zbójcekich i kryjówek dzikich zwierząt namnożyło się bez liku.

Rzadko też udawało się podróżnym przedostać szczęśliwie przez las, wielu spadało w przepaście, grzęzło w bagnach, na innych napadali zbójcy, pożerały ich dzikie zwierzęta.

Nawet osadnikom, mieszkającym na skraju wielkiego lasu i unikającym zapuszczania się w głąb, przyczyniał las wiele szkód: wilki bowiem i niedźwiedzie porywały im bezustannie bydło. Dopóki zaś dzikie zwierzęta chroniły się w gąszczu Kolmården, niesposób było prowadzić z nimi walki. Toteż zarówno mieszkańcy Ostrogocji, jak i Sörmlandii zgodziliby się chętnie na wyrąbanie złowrogiej puszczy.

Nie było to jednak zadanie łatwe. Z czasem dopiero, stopniowo, udawało się odnieść pewne zwycięstwo nad wrogiem: na skraju puszczy zaczęły powstawać wsie i osady, dostęp do niej stawał się coraz łatwiejszy, a w rejonie Krokek, w głębi najwyższego gąszczu, mnisi zbudowali klasztor, w którym podróżni znajdowali bezpieczną gościnę.

Mimo to puszcza szerzyła wciąż jeszcze lęk i grozę wokoło. Aż dopiero pewnego pięknego dnia wędrowiec, błędzący po lesie, odkrył przypadkiem pokłady rudy żelaznej we wnętrzu góry Kolmården. Kiedy się wieść o tym odkryciu rozniosła, zbiegli się zewsząd do puszczy górnicy i kopacze — po skarby. I odtąd zaczął się upadek puszczy: ludzie kopali tam teraz doły, budowali piece hutnicze, zakładali kopalnie.

Byłby się jednak stary las może i oparł temu najściu, gdyby nie olbrzymie zapotrzebowanie na materiał opałowy przy robotach górniczych. Drwale i węglarze wkroczyli triumfalnie do starej, mrocznej puszczy i dobili ją ostatecznie. Wielkie przestrzenie lasu, otaczające kopalnie, wyrąbano doszczętnie, a wykarczowany grunt zamieniono na rolę. Ściągnęli do lasu przeróżni osadnicy i wkrótce tam, gdzie do niedawna były tylko jaskinie niedźwiedzie, powstało kilka nowych wsi z kościołami i probostwami.

Nawet w tych miejscach, gdzie lasu nie wyrąbano całkowicie, zwalono stare drzewa-olbrzymy i przerzedzono gąszcz. We wszystkich kierunkach wytknięto drogi i wypłoszono zbójców i dzikie zwierzęta. Ludzie stając się panami lasu postąpili z nim okrutnie bezwzględnie; najstarsze drzewa padały pod ciosami ich siekier. Zdawało się, że ludzie nie mogą zapomnieć odwiecznej swej nienawiści do

puszczy i chcą ją teraz zrównać z ziemią.

Na szczęście dla lasu okazało się w końcu, że pokłady rudy w Kolmården nie są obfite. Toteż ruch górniczy wkrótce ustał, przestano wypalać węgiel i puszcza odetchnęła. Ludzie, którzy osiedli na gruntach Kolmården dla zarobku, pozostali teraz bez środków utrzymania.

A las tymczasem odrastał na nowo, odradzał się i rozpostarł w końcu tak, że zagrody i kopalnie utonęły w nim, niby wyspy wśród zielonego morza. Mieszkańcy próbowali teraz uprawiać rolę, cóż kiedy stary grunt leśny płodził chętniej dęby królewskie i sosny-olbrzymy niż marchew i zboże.

W owym czasie zaczęli ludzie znów spoglądać niechętnie i wrogo na puszcę — rosła w siłę i potęgę, a oni sami stawali się wciąż ubożsi i nędzniejsi. Wreszcie przyszło im na myśl, czy by się nie udało zwrócić o pomoc do samej puszczy. A może ona ich poratuje?

I zaczęli rąbać drzewo budulcowe i sprzedawać mieszkańcom nizin, którzy wycięli już własne lasy, I wkrótce przekonali się ludzie, że jeśli postępować będą z lasem rozumnie i przyjaźnie, potrafi on wyżywić ich równie dobrze, jak rola lub kopalnie. Odtąd patrzyli też ludzie na las zupełnie innymi oczyma. Nauczyli się oszczędzać go i kochać jak najlepszego swego przyjaciela.

KARO

Na jakieś dwanaście lat przed wędrówką Nilsa Holgersona z dzikimi gęśmi zdarzyło się, iż jeden z właścicieli kopalni w Kolmården chciał się pozbyć psa myśliwskiego, słynnego rabusia młodych jagniąt i kur. Zawołał więc gajowego, polecił mu wyprowadzić psa i zastrzelić go w ustroniu leśnym.

Gajowy uwiązał psu postronek u szyi i poprowadził go w zakątek lasu, gdzie zazwyczaj zabijano i zakopywano stare psy z okolicznych zagród. Gajowy był dobrym człowiekiem, ale i on cieszył się z tego, że pozbędzie się psa, gdyż znał różne jego sprawki i grzechy nie tylko względem jagniąt i kur, lecz nieraz już przyłapał go także z zającem lub bażantem w pysku.

Pies był mały, czarny, o żółtych piersiach i żółtych łapach. Nazywał się Karo i był taki mądry, że rozumiał wszystko, co ludzie mówili. Toteż, prowadzony przez gajowego, Karo wiedział dobrze, co go czeka. Lecz nie zdradzał się z tym. Nie spuszczał głowy, nie kulił ogona i wyglądał zupełnie tak jak zwykle. Zaraz zobaczymy, dlaczego to pies tak starał się ukryć swój strach.

Wokół kopalni rozciągał się wielki, gęsty las, dobrze znany wszystkim mieszkańcom okolicznym oraz zwierzętom leśnym. Właściciel tego lasu od wielu lat otaczał go największą opieką i poszanowaniem, pozwalał co najwyżej rąbać w nim drzewo na opał, poza tym zaś nie wolno było lasu tknąć. Toteż rósł on swobodnie i dziko, stając się nieprzeniknioną gęstwiną. Taki las musiał niewątpliwie stać się ulubionym schroniskiem dla zwierząt, zamieszkiwały go też one całymi gromadami. Między sobą nazywały zwierzęta ten las „lasem pokoju” i uważały go za najbezpieczniejsze miejsce w całej okolicy.

Pies, prowadzony na postronku, szedł właśnie przez „las pokoju” i nagle przypomniał sobie, jakim to on bywał postrachem dla wszystkiej drobnej zwierzyny w tym lesie.

„Hej, Karo, wyobraź sobie tylko, co by to była za uciecha w całym lesie, gdyby się dowiedziano, jaki koniec cię czeka” — pomyślał. I kręcił ogonem, i szczekał wesoło, aby nie dać poznać po sobie strachu i przygnębienia.

— Jaką miałbym korzyść z życia, gdybym nie mógł kiedy niekiedy pozwolić sobie na polowanie — powiedział do siebie. — Niechaj żałuje, kto ma na to ochotę, ja tam ani myślę!

W tej samej chwili, kiedy pies wymówił te słowa, zaszła w nim dziwna zmiana. Wciągnął szyję i głowę, jakby ehcąc zawyc głośno, nie biegł też już obok gajowego, lecz krył się za nim. Widocznie biedakowi przypomniało się coś przykrego.

Lato się już rozpoczęło i łosice niedawno wydały na świat swe młode. Właśnie poprzedniego wieczoru Karo zagnał na trzęsawisko młodziutkie, pięć dni zaledwie liczące, łosiątko. Tam uganiał się za nim pomiędzy kępami, bawiąc się ze swawoli przestrachem zwierzątka. Łosica-matka wiedziała, że trzęsawiska w tej porze roku, natychmiast po roztajaniu powłoki lodowej, są tak grzaskie, że nie mogą utrzymać ciężaru ciała zwierzęcego. Stała więc na brzegu. Widząc jednak, że Karo gna łosiątko coraz dalej, matka zdobyła się na odwagę i wstąpiła na trzęsawisko. Odpędziła psa, przygarnęła łosiątko i zabrała się do odwrotu. Łosie posiadają zdolność utrzymywania się na niepewnym, grzaskim gruncie, zdawało się więc, że łosica dobrnie szczęśliwie do brzegu. Tymczasem, zbliżając się już do suchego lądu, stąpnęła na kępę, która obsunęła się nagle i zanurzyła w głąb trzęsawiska, pociągając zwierzę za sobą. Łosica usiło wała wydostać się na powierzchnię, nie mogła jednak dać sobie rady i zanurzała się coraz głębiej.

Karo, przerażony, stał na brzegu i nie śmiał oddychać, a gdy spostrzegł, że łosica nie może się wydobyć o własnych siłach, rzucił się czym prędzej do ucieczki. Uprzytomnił bowiem sobie natychmiast wszystkie razy, które go czekają, gdy się wykryje, że on wywabił łosicę na moczary, toteż chciał się uwolnić od przykrego widoku.

To zdarzenie przypominał sobie Karo teraz, a dręczyło go ono więcej niż wszystkie inne sprawy leżące mu na sumieniu. Może dlatego, że nie chciał właściwie zrobić krzywdy łosicy i łosiątku zupełnie niechcący stał się przyczyną ich śmierci.

„A może pozostały przy życiu? — pocieszał się pies. — Kiedy uciekałem, żyły przecież jeszcze. Może udało się im wydostać szczęśliwie?”

I nagle ogarnęła psa nieprzewyciężona chęć sprawdzenia tej dręczącej wątpliwości. Spostrzegł, że gajowy trzyma postronek dość luźno, skoczył więc szybko w bok, szarpnął się gwałtownie popędził jak szalony w głąb lasu, w kierunku trzęsawisk. Gajowy nie zdążył nawet zmierzyć z dubeltówki, kiedy już pies znikł mu z oczu. Pobiegł więc za nim i ujrzał psa stojącego na kępie u skraju trzęsawiska i wyjącego przeraźliwie. Gajowego zaciekało to bardzo, położył więc dubeltówkę obok siebie i poczołgał się na czworakach w stronę moczarów. Wkrótce ujrzał leżącą wśród bagien łosicę z łosiątkiem. Łosica była martwa, ale łosiątko żyło jeszcze, leżało jednak nieruchome i bezsilne. Karo stał tuż obok, schylał się raz po raz nad zwierzęciem i lizał je albo też wył głośno, jakoby wzywając pomocy.

Gajowy chwycił łosiątko i wyciągnął je na brzeg. Pies na widok uratowanego zwierzęcia wprost szalał z radości. Skakał naokoło gajowego, lizał go po rękach i szczekał wesoło.

Gajowy zaniósł łosiątko do domu iłożył je w stajni. Potem zawołał parobków, aby pomogli mu wyciągnąć martwą łosicę z bagna. I wreszcie przypominał sobie, że miał przecież zastrzelić psa. Przywabił go więc i wrócił do lasu. Gajowy szedł prosto w stronę psiego dołu, ale nagle zastanowił się, zawrócił i poszedł w kierunku domu.

Karo biegł za nim. Kiedy jednak gajowy zawrócił w stronę jego dawnego domu, pies zaniepokoił się: gajowy domyślił się z pewnością, że to on, Karo, winien jest śmierci łosicy, i prowadzi go teraz do dworu po należne mu przed śmiercią razy.

Ach, razy! To przecież była największa przykrość, jaka mogła Kara spotkać! Wobec tego niebezpieczeństwa nawet jego męstwo zachwiało się. Spuścił głowę i szedł tak, nie podnosząc jej i wówczas, kiedy stanął przed domem, udając że nikogo nie poznaje.

Pan stał na ganku.

— Cóż to za psa tam prowadzicie, gajowy? — zapytał. — To chyba nie nasz Karo, musieliście go już dawno zastrzelić.

Wtedy gajowy opowiedział historię o łosicy i łosiątku. Karo zaś skulił się i wcisnął gajowemu między nogi, aby ująć przed spojrzeniem obecnych. Gajowy jednak nie opowiedział tej historii tak, jak Karo

przypuszczał. Wychwalał psa ogromnie za to, że wiedząc widocznie o groźnym położeniu łosiów, chciał im sprowadzić ratunek.

Teraz może pan zrobić z psem, co się panu podoba, ja go tam już nie zastrzelę — powiedział gajowy w końcu.

Pies podniósł głowę i słuchał. Nie chciał wierzyć własnym uszom jakkolwiek starał się nie okazywać wzruszenia, nie mógł jednak powstrzymać się od cichego warczenia. Czyż to możliwe, aby miał zostać przy życiu tylko dlatego, że się szczerze niepokoił o łosie?

Pan także uznał, że Karo postąpił dobrze, tylko nie wiedział, co zrobić, bo mimo to nie chciał za żadną cenę mieć psa u siebie we dworze.

— Jeżeli chcecie wziąć go pod swoją opiekę i pilnować, aby mi więcej szkód nie robił, to niechże pozostanie sobie przy życiu — powiedział wreszcie do gajowego.

Gajowy zgodził się zabrać psa z sobą i oto Karo stał się psem gajowego.

UCIECZKA SZARACZKA

Odkąd Karo zamieszkał u gajowego, zaniechał zupełnie polowania, tak surowo wzbronionego, A czynił to nie tylko dlatego, że się bał kary, ale i z przywiązania do swego pana, któremu nie chciał sprawiać przykrości. Od chwili bowiem kiedy gajowy uratował mu życie, pokochał go Karo serdecznie. Nie odstępował swego pana na krok i pilnował go troskliwie. Biegł przodem, żeby zbadać drogę, którą pan miał przechodzić, a w domu leżał przed wrotami, obwąchując czujnie każdego przechodnia.

Odpoczywał tylko wówczas, kiedy w domku panowała cisza i wokoło nie rozlegał się odgłos niczych kroków, a pan pracował w ogrodzie, zajęty pielęgnacją drzewek owocowych. W takich chwilach Karo bawił się z łośiątkiem.

Zrazu pies nie zbliżał się do łośiątka. Pewnego dnia jednak, chodząc za swym panem krok w krok, zobaczył w stajni, jak gajowy poił łośiątko mlekiem. Gajowy nazywał zwierzę Szaraczkiem — dla szarej jego sierści, nie wydawało mu się bowiem godnym piękniejszej nazwy. I Karo był tego samego zdania, gdyż uważał łośiątko za najbrzydsze i najniezgrabniejsze stworzenie na świecie. Miało ono długie, cienkie nogi, wiszące u tułowia niby niezgrabne szczudła. Duża głowa o starczym wyrazie chwiała się na cienkiej szyi, a skóra na ciele marszczyła się, jak gdyby zwierzę miało na sobie futro zrobione na wyrost. Przy tym łośiątko wydawało się stale przygnębione i niezadowolone. Tylko dziwnym trafem, zawsze wtedy, kiedy Karo wpadał do stajni, Szaraczek zrywał się na nogi i prostował, jak gdyby uradowany widokiem psa.

Pomimo troskliwej opieki gajowego Sza raczkowi nie przybywało ani wzrostu, ani sił, przeciwnie, z dniem każdym nędzniał i w końcu nie podnosił się już nawet na powitanie Kara. Aż pewnego razu pies wskoczył do przegródki Szaraczka. I wówczas zajaśniały oczy łośiątka taką radością, jaką wywołuje tylko spełnienie najgorętszego życzenia.

Od tej pory Karo odwiedzał codziennie Szaraczka, spędzał z łośiątkiem długie godziny, lizał je, bawił się z nim, swawolił i opo wiadał mu o różnych rzeczach, które mogą interesować zwierzęta leśne.

I stała się rzecz dziwna — odkąd Karo zaczął odwiedzać Szaraczka, łośiątko rośło i rozwijało się ze zdumiewającą szybkością. Przez kilka tygodni nabrało tyle sił i tak urosło, że nie mogło się już pomieścić w małej przegródce. Umieszczono je więc na dziedzińcu w odpowiednim ogrodzeniu. Po kilku miesiącach okazało się jednak, że Szaraczek ma już tak długie nogi, że mógłby z łatwością przesadzić ogrodzenie.

Wówczas po radzie z panem gajowy zrobił zagrodę z wysokiego i mocnego płotu i osadził w niej

Szaraczka, który po kilku latach stał się wielkim, potężnym łosiem. Karo przebywał z nim często już nie z litości, jak niegdyś, lecz ze szczerzej przyjaźni. Łoś nie otrząsnął się jednak dotychczas ze swego przygnębienia, ociężałości i braku energii, jeden Karo tylko potrafił ożywić i rozweselić swego przyjaciela.

Szaraczek przebył już pięć lat w domostwie gajowego, kiedy razu pewnego jeden z zagranicznych ogrodów zoologicznych zwrócił się do dziedzica z propozycją nabycia łosia. Dziedzic zgodził się bez namysłu. Gajowemu żal było rozstać się ze zwierzęciem, ale nikt na to nie zważał i postanowiono, że łoś zostanie sprzedany.

Karo doniósł natychmiast tę wiadomość Szaraczkowi. Pies zrozpaczony był na myśl, że utraci przyjaciela, łoś jednak przyjął tę wieść spokojnie i zdawało się, że go to ani martwi, ani cieszy.

— Czy masz zamiar dać się wysłać bez żadnego oporu? — zapytał Karo.

— A cóż by to pomogło, gdybym się opierał? — odpowiedział Szaraczek. — Zostałbym wprawdzie najchętniej tutaj, gdzie od tak dawna mieszkam, ale skoro mnie sprzedano, muszę iść tam, dokąd mi każą.

Karo stanął przed Szaraczkiem i przyglądał mu się uważnie. Widać było od razu, że łoś jeszcze nie dorósł: nie miał bowiem ani dostatecznie rozgałęzionych rogów, ani dość wysokiego garbu. Miał jednak dość sił, aby walczyć o swoją wolność.

„Znać po tobie, że spędziłeś całe życie w niewoli” — pomyślał sobie Karo, ale nic nie powiedział.

Dopiero po północy powrócił pies do łosia, wiedział bowiem, że o tej porze łoś wyspał się już i zabierze się, jak zwykle, do pierwszego śniadania.

— Bardzo to, co prawda, rozsądnie z twojej strony, że się tak godzisz z losem — powiedział pies, który, jak się zdawało, był już zupełnie spokojny i zadowolony. — Zamkną cię w wielkim ogrodzie i będziesz tam żył bez trosk. Tylko wiesz, szkoda, byś odszedł stąd nie znając lasu. Słyszałeś może, że członkowie twego rodu zwykli mawiać: „Łoś i las — to jedno”?.. A tyś nawet nie widział lasu.

Szaraczek podniósł głowę sponad koniczyzny, którą zajadał spokojnie, i powiedział ze zwykłą swą ociężałością:

— Bardzo chętnie obejrzałbym las, ale jakżeż się wydostany z zagrody?

— Tak, to istotnie niemożliwa rzecz dla takiego, co ma tak krótkie nogi — odparł pies złośliwie.

Łoś spojrzał z ukosa na psa, który mimo swego małego wzrostu przeskakiwał kilka razy dziennie przez ogrodzenie. Potem podszedł do płotu, skoczył i znalazł się na wolności, prawie nie wiedząc, jak to się stało.

I oto Karo z Szaraczkiem powędrowali w las. Noc była jasna, księżycowa, ale w głębi lasu, w gąszczu drzew panowały takie ciemności, że łoś posuwał się ostrożnie i powoli.

— Może by zawrócić? — odezwał się Karo. — Nie jesteś przyzwyczajony do chodzenia po dzikim lesie i możesz łatwo złamać nogę.

Szaraczek nie odpowiadając przyśpieszył kroku i szedł coraz odważniej i śmieiej.

Karo powiódł łosia do lasu iglastego. Stały tam potężne sosny tak gęsto przy sobie, że ani jeden powiew wiatru nie przedostawał się poprzez ich gąszcz.

— Tutaj członkowie twego rodu zwykli szukać ochrony przed wiatrem i chłodem — mówił Karo. — A całą zimę spędzają pod otwartym niebem. Tobie, co prawda, będzie o wiele lepiej tam, gdzie cię zawiozą. Będziesz miał dach nad głową i stać będziesz w oborze jak krowa.

Szaraczek nie odpowiadał. Stanął i wciągnął w płuca ożywczą woń żywicy.

— Czy masz mi jeszcze coś do pokazania, czy też widziałem już cały las? — zapytał.

Karo zaprowadził go nad wielkie moczary i pokazał mu kępy trzęsawiska.

— Poprzez te moczary uciekają łosie przed groźącym im niebezpieczeństwem — objaśniał Karo. — Nie wiem, jak się to dzieje, ale pomimo że łosie są tak wielkie i ciężkie, utrzymują się jednak na

powierzchni i nie grzęzną. Ty byś sobie z pewnością nie dał rady na tak niepewnym gruncie, ale tobie to zresztą niepotrzebne, bo ciebie nigdy myśliwi gonić nie będą.

Szaraczek, nie mówiąc nic, jednym skokiem dostał się na trzęsawiska. Z radością poczuł pod sobą miękki grunt, pobiegł naprzód na znaczną odległość i wrócił do psa, nie ugrzęznawszy ani razu.

— Czy teraz widzieliśmy już cały las? — zapytał.

— Nie, jeszcze nie cały — odpowiedział pies. I zaprowadził łosia na skraj lasu, gdzie rosły wysokie drzewa liściaste: dęby, osiny, lipy.

— Tutaj członkowie twego rodu karmią się liśćmi i korą — mówił Karo. — Uważają to za najsmaczniejsze pożywienie, ale ty tam za granicą dostawać będziesz lepsze przysmaki.

Szaraczek przyglądał się ze zdziwieniem wspaniałym drzewom, które wznosiły się nad nim niby zielona kopuła. Pokosztował trochę liści i kory.

— Smakuje — powiedział. — Gorzkie i dobre, smaczniejsze od koniczyny.

— Ciesz się więc, żeś choć raz tego przysmaku zakosztował — odezwał się Karo, Po czym powiódł łosia nad małe jezioro leśne.

Woda w jeziorze była cicha i lśniąca, a brzegi, otulone w lekkie welony mgieł, odbijały się w zwierciadlanej toni. Szaraczek stanął zdumiony.

— Co to jest, Karo? — zapytał, gdyż łódz pierwszy raz widział jezioro.

— To jest wielka woda, jezioro — tłumaczył Karo. — Ród twój zwykł przepływać je z jednego brzegu na drugi. Od ciebie trudno tego wymagać, ale mógłbyś zanurzyć się choć raz w wodzie i wykapać.

To mówiąc Karo wskoczył sam do jeziora i popłynął.

Szaraczek stał długo nad brzegiem, w końcu jednak skoczył do wody. Kiedy objęła go miękka i chłodna fala, wstrzymał oddech z rozkoszy. Chciał zanurzyć i grzbiet i puścił się dalej na fale. Naraz poczuł, że woda go unosi, i zaczął płynąć. Wkrótce pływał już z radością obok psa i czuł się w wodzie jak w domu. Kiedy obaj dopłynęli już z powrotem do brzegu, pies zapytał, czy mają wracać do domu.

— Ach, jeszcze daleko do rana, pochodzimy jeszcze po lesie — powiedział łódz.

I poszli z powrotem w głąb iglastego lasu, aż zaszli na polanę jaśniejącą w blasku księżycowym. Na trawach i kwiatach połyskiwały krople rosy. W środku polany pasła się gromada wielkich zwierząt — ogromny łódz, kilka łosic i sporo łosiątek. Na ten widok Szaraczek stanął jak wryty. Łosica i łosiątka nie obchodziły go wcale, oczy jego zwrócone były z najwyższym podziwem na starego łosia. Łódz miał szeroko rozgałęzione rogi, ogromny garb na grzbiecie, a u szyi wielki, zwieszający się worek.

— A to kto? — zapytał Szaraczek drżącym ze wzruszenia głosem.

— Nazywa się Rogacz — powiedział Karo — a jest twoim rodakiem. I ty kiedyś mieć będziesz takie rogi i taką grzywę, a gdybyś pozostał w lesie, stałbyś się i ty z czasem przodownikiem stada.

— Skoro Rogacz jest moim rodakiem, mogę chyba podejść do niego i przyjrzeć mu się z bliska? — I Szaraczek podszedł do stada, lecz niebawem wrócił do psa czekającego na skraju polany.

— Cóż, nie przyjęto cię przyjaźnie? — zapytał Karo.

— Powiedziałem Rogaczowi, że spotykam po raz pierwszy członków mego rodu, i prosiłem go o pozwolenie przebywania razem z nimi na pastwisku. Ale on odepchnął mnie i zagroził rogami.

— Dobrześ zrobił ustępując mu z drogi — pochwalił go Karo. — Młody łódz bez rogów na łbie musi się strzec walki ze starymi łosiami. Kto inny, co prawda, naraziłby się na złą opinię w lesie, gdyby tak ustąpił w walce bez oporu, ale ciebie to nie dotyczy — ty udajesz się przecież za granicę.

Zaledwie pies skończył, Szaraczek zawrócił w stronę polany. Stary łódz ruszył mu naprzeciw i wkrótce rzucili się na siebie gwałtownie. Uderzali rogami i po chwili Szaraczek został odepchnięty na skraj polany. Zrazu zdawał się on nie pojmować, jak ma użyć swej siły. Kiedy jednak znalazł się na brzegu lasu, zarył nogi mocniej w ziemię i zaczął teraz gwałtownie nacierać rogami, pchając Rogacza z całych

sił. Szaraczek walczył w milczeniu, Rogacz zaś dyszał sapał głośno. Naraz rozległ się głośny trzask. To odłamał się koniec potężnych rogów starego łośia. Rogacz zerwał się i popędził w głąb lasu.

Kiedy Szaraczek wrócił z polany, Karo wciąż jeszcze stał na skraju lasu.

— Teraz widziałeś już wszystko, co jest w lesie — powiedział,

— Czy mamy wracać do domu?

— Tak, już pora — odrzekł Szaraczek.

W powrotnej drodze milczeli obaj. Karo wzdychał zawiedziony. Szaraczek jednak kroczył z wysoko podniesioną głową, widocznie uradowany swymi przygodami. Szedł bez najmniejszego wahania, ale gdy doszedł z psem do swojej zagrody — stanął. Patrzył na ciasną przestrzeń, w której dotychczas spędzał swe życie, na wydeptaną ziemię, zeszkłe siano, małe koryto, z którego zaspokajał pragnienie, i ciemną klatkę, w której sypiał.

— Łoś i las — to jedno! — wykrzyknął. Podniósł głowę tak wysoko, że kark zawisł mu nad grzbietem, i pędem rzucił się z powrotem w las.

NIEZARADA

W głębi starego lasu ukazywały się co rok w sierpniu białawe motyle nocne, zwane mniszkami. Były małe i pojawiały się w tak niewielkiej ilości, że nikt nie zwracał na nie uwagi. Mniszki latały po lesie przez kilka nocy, potem składały kilka tysięcy jajeczek w pniach drzewnych i padały martwe na ziemię.

Z nadejściem wiosny z jajeczek wykluwały się małe cętkowane gąsienice, żywiące się sosnowymi igłami. Pomimo dobrego apetytu nie wyrządzały one drzewom poważniejszej szkody, gdyż ptaki zawzięły się na nie okrutnie i nie zostawiały przy życiu więcej niż kilkaset gąsienic rocznie. Kiedy ocalałe gąsienice osiągały właściwy wzrost, sadowiły się na gałęziach, osnuwały białą przędzą i pozostawiały tak, nieruchome, przez kilka tygodni na jednym miejscu. Ptaki pożerały wówczas więcej niż połowę z nich. Nazywało się, że mniszki mają rok pomyślny, jeśli około setki całych i zdrowych krążyło w sierpniu po lesie.

Przez wiele lat mniszki wiodły w lesie taki skromny i niepewny żywot. W całej okolicy nie było ani jednego owada, który by się rozmnażał w równie małej ilości. I pozostałyby mniszki zapewne dalej tak spokojne i nieszkodliwe, gdyby niespodzianie nie przybyła im pomoc. A pomoc ta była w ścisłym związku z ucieczką łośia z domku gajowego.

Szaraczek porzuciwszy swą zagrodę błędził przez cały dzień po lesie nie mogąc się nim nacieszyć. Z nadejściem wieczoru przedarł się przez gąszcz zarośli i wydostał na otwartą polanę, gdzie grunt był bagnisty i szlamowaty. W pośrodku polany świeciła kałuża ciemnej wody, a wokoło stały wysokie sosny, które ze starości i z braku soków odżywczych utraciły prawie wszystkie swe igły, Szaraczkowi nie podobało się to miejsce i byłby je zapewne natychmiast opuścił, gdyby nie spostrzegł rosnących nad wodą kilku jasnozielonych liści czerwca łąkowego. Pochylając się nad liśćmi, ujrzał leżącego pod nimi dużego, czarnego węża. Karo opowiadał mu nieraz o jadowitych żmijach znajdujących się w lesie. Kiedy więc gad podniósł łeb, wyciągnął rozdwojony język i zasyczał, Szaracz kowi wydało się, że spotkał się z ogromnie niebezpiecznym zwierzęciem. Przestraszył się bardzo, podniósł nogę i rozdeptał węża kopytem. Po czym uciekł z pośpiechem.

Tymczasem z kałuży wynurzył się inny wąż, równie długi i czarny. Podpełzł do zabitego towarzysza i zaczął lizać językiem jego roztrzaskaną głowę.

— Czy to możliwe, że już nie żyjesz, moja pocziwa, stara Niezawado? — zasyczał. — Tyle lat żyliśmy razem w szczęściu i w spokoju! Było nam tak dobrze z sobą i tak wygodnie w tej kałuży, że

przeżyliśmy w lesie wszystkie węże naszego rodu. I oto utraciłem cię, wierna towarzyszko!

Wąż był szczerze zasmucony, długie ciało jego wiło się z bólu, jak gdyby zranione. Nawet żaby, żyjące w ustawicznym strachu przed wężem, wzruszyły się jego rozpaczą.

— Cóż to musi być za złe stworzenie, że odważyło się zabić nieszkodliwego węża — syczał. — Taki czyn zasługuje na srogą karę. — I wąż wił się i skręcał z bólu, aż wreszcie podniósł głowę i zawołał:

— Tak jak się zwę Niezaradą i jestem najstarszym wężem w tym lesie, poprzysięgam zemstę za tę zbrodnię. Nie spocznę, póki okrutny łoś nie legnie martwy na ziemi jak ta oto wierna moja towarzyszka!

Po złożeniu takiej uroczystej przysięgi wąż zwinął się w kłębek i oddał się rozmyślaniom. Ale nie tak to łatwo było nędznemu wężowi obmyślić zemstę nad wielkim, potężnym łośiem, toteż stary Niezarada myślał całe dwa dni i dwie noce i nic nie wymyślił.

Jednej nocy przecież, kiedy wąż leżał bezsenny, pogrążony nadal w myślach o zemście, usłyszał cichy szelest nad głową. Spojrzał do góry i ujrzał mniszki krążące cicho wśród drzew. Przyglądał im się długo, potem zasyczał głośno i w końcu zasnął, widocznie zadowolony z tego, co wymyślił.

Następnego dnia Niezarada udał się do jadowitej żmii Gadziny mieszkającej w kamienistej, wysoko położonej części lasu. Zawiadomił ją o śmierci, starej Niezawady i wyraził gorącą prośbę, aby Gadzina zechciała za pomocą swego jadu wyrzucić zemstę na mordercy. Ale Gadzina nie okazywała chęci do rozpoczęcia walki z łośiem.

— Gdybym napadła na łośia — tłumaczyła — zabiłby mnie na miejscu. Stara Niezawada nie żyje i nie zdołamy jej już żadnymi staraniami przywrócić do życia. Dlaczegożbym więc miała narażać się z jej powodu?

Kiedy wąż to usłyszał, podniósł się na całą stopę nad ziemię i zasyczał ze złością:

— Sss, sss! Sss, sss! Co za szkoda, że tchórzom dana jest najskuteczniejsza broń!

Teraz żmija zawrzała gniewem i syknęła:

— Precz z moich oczu, stary! Jad spływa mi już po zębach, a chciałabym cię oszczędzić, boś pono moim krewniakiem.

Lecz wąż się nie ruszał. Przez długą chwilę leżały oba gady tuż obok siebie, sycząc i rzucając sobie wzajemnie w oczy obelgi i wymysły. Kiedy jednak Gadzinę opanowała taka wściekłość, że nie mogła już syczeć, tylko język jej drgał bezsilnie, wąż zmienił ton zaczął nagle z innej beczki:

— Chciałem się właściwie zwrócić do ciebie jeszcze w jednej sprawie — odezwał się zniżając głos do łagodnego szeptu. — Ale tak cię zapewne rozgniewałem, że nie zechcesz mi już chyba poradzić.

— Jeżeli nie zażadasz niczego niemożliwego, to ci się chętnie przysłużę.

— Słuchaj więc: w sosnach nad moją kałużą — mówił wąż — zamieszkuje ród motyli fruujących w noce letnie po lesie.

— Wiem już, kogo masz na myśli — przerwała Gadzina. — Cóż więc?

— Motyle te zaliczają się do najmniejszych i najnieszkodliwszych owadów, gdyż gąsienice ich żywią się tylko igłami sosen — mówił Niezarada.

— Wiem o tym — odezwała się Gadzina.

— Otóż obawiam się, że ten ród motyli zaginie wkrótce zupełnie — ciągnął dalej wąż. — Na wiosnę czyha na gąsienice tylu wrogów.

Teraz żmija zrozumiała zamiary węża. Szło mu o to, aby się gąsienice rozmnożyły!

— Czy mam rozkazać sowom, aby przestały się karmić gąsienicami? — zapytała uprzejmie.

— Tak, gdybyś mogła osiągnąć to swoim wpływem w lesie, wyświadczyłabyś mi wielką przysługę — odpowiedział Niezarada.

— Spróbuję także wyprosić u drozdów życie tych małych pożeraczy igieł sosnowych — mówiła żmija. — Dopomogę ci chętnie, nie żadasz bowiem rzeczy niemożliwych.

— Dałaś mi niezmiernie cenną obietnicę — oświadczył Niezarada — i nie żałuję bynajmniej, że udałem się do ciebie o pomoc.

MNISZKI

Działo się to w kilka lat po tym zdarzeniu. Karo spał nad ranem na progu domku gajowego. Jak zazwyczaj wczesnym latem, noc była krótka i przy tym jasna jak dzień. Nagle pies zbudził się zawołany przez kogoś głośno po imieniu,

— Czy to ty, Szaraczku? — zapytał, gdyż łoś odwiedzał go prawie co noc.

Nikt nie odpowiadał, ale wołanie rozległo się ponownie. Tym razem zdawało mu się, że słyszy wyraźnie głos Szaraczka, pobiegł więc za dźwiękiem głosu. Słyszał, że łoś biegnie przed nim, nie mógł go jednak dogonić, przy tym Szaraczek pędził przez największy gąszcz i Karo z trudem przedzierał się jego śladami.

— Karo, Karo! — rozległo się ponownie w ciszy nocnej.

Był to niewątpliwie głos Szaraczka, tylko że brzmiał on inaczej niż zwykle.

— Idę! Idę! Gdzie jesteś? — wołał pies.

— Karo! Karo! Czy widzisz, jak tu z drzew pada i pada? — krzyknął łoś.

Karo rozejrzał się wokoło i spostrzegł, że istotnie z sosen spadały na ziemię igły niby strumienie ulewnego deszczu.

— Widzę, widzę — odpowiedział zapuszczając się za łośiem coraz dalej w las.

Szaraczek nie zwalniał biegu i Karo znowu nieomal nie zgubił jego śladu.

— Karo! Karo! — zaryczał nagle łoś. — Czy nie czujesz, jak tutaj dziwnie pachnie?

Karo stanął i węszył. Nie zwrócił na to poprzednio uwagi, ale teraz spostrzegł, że sosny wydzielały istotnie znacznie silniejszy zapach niż zazwyczaj

— Tak, czuję, czuję! — odpowiedział. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym, gdyż łoś pędził dalej i pies musiał biec z całych sił, żeby za nim nadążyć.

— Karo! Karo! — rozległo się znów wołanie łośia. — Czy nie słyszysz, jak drzewa trzeszczą? — A głos Szaraczka brzmiał takim smutkiem, że mógł poruszyć kamienie.

Karo stanął i nasłuchiwał. Istotnie — w drzewach rozlegał się słaby, ale wyraźny trzask, przypominający tykotanie zegara,

— Tak, słyszę, słyszę! — zawołał i zatrzymał się. Zrozumiał bowiem, że łoś nie chce, aby biegł za nim. Chciał tylko widocznie zwrócić jego uwagę na to, co dzieje się w lesie.

Karo stał pod wielką sosną o rozłożystych, zwisających gałęziach, pokrytych grubymi, ciemnozielonymi igłami. Przyglądał się drzewu uważnie i spostrzegł, że igły poruszają się dziwnie. Kiedy podszedł bliżej, rozpoznał mnóstwo szarawych gąsienic, rojących się na gałęziach i pożerających igły. Pokrywały one szczelnie każdą gałązkę małe ich szczęki, poruszając się niezmordowanie bezustannym żuciem, powodowały osobliwe trzeszczenie w drzewach. Odgryzione igły padały z szelestem na ziemię, a z biednej sosny wydzielał się taki odurzający zapach, że pies tracił niemal przytomność.

„Z tej sosny nie będzie już wielkiej pociechy” — pomyślał Karo zwrócił oczy na następne drzewo.

Była to także wspaniała sosna, ale i ją spotkał ten sam los, co poprzednią.

— Co to się dzieje? — mówił Karo do siebie, — Jakże szkoda tych pięknych drzew! Niezadługo nie pozostanie śladu z ich piękności!

I szedł od drzewa do drzewa, starając się zbadać to szczególne zjawisko.

— Oto sosna królewska — mówił. — Tej gąsienice tknąć chyba nie śmiały.

Ale i sosnę królewską obsiadły żarłoczne stworzenia.

„A oto brzoza. I ona także, i ona!... Jakżeż się gajowy zasmuci!” — myślał Karo.

Pobiegł dalej w głąb lasu, aby zobaczyć, jak daleko sięga spustoszenie. I wszędzie gdzie szedł, rozlegało się to samo tykotanie, rozchodził się ten sam zapach, padał taki sam deszcz igieł sosnowych. Karo nie miał nawet po co zatrzymywać się i badać, gdyż po tych oznakach rozpoznał dokładnie stan rzeczy. Gąsienice rozpełzły się wszędzie. Całemu lasowi groziło niebezpieczeństwo — łatwo bowiem mógł paść ofiarą ich żarłoczności.

Wreszcie pies znalazł zakątek lasu, gdzie panowała zupełna cisza i nie czuć było osobliwego zapachu.

„Tutaj kończy się ich panowanie” — pomyślał Karo rozglądając się wokół.

Omylił się niestety. Tutaj bowiem było jeszcze gorzej. Gąsienice ukończyły już swą pracę i drzewa stały nagie, огоłocone z igieł. Wyglądały jak obumarłe, pokrywała je bowiem jedynie gęstwina poplątanych nici, które gąsienice wyprzędły, aby im służyły za pomosty i drogi.

Tutaj pod obumierającymi drzewami Karo odnalazł Szaraczka. Nie był jednak sam, obok niego stały cztery stare łosie, najpoważniejsze w całym lesie. Karo znał je dobrze. Był wśród nich Garbus, łось mały, lecz obdarzony ogromnym garbem, dalej Rogacz, najokazalszy łось z całego rodu, Grzywacz o gęstej sierści, wreszcie stary łось o wysokich nogach, zwany Siłaczem, słynący z zapalczywości i zaczepności, dopóki nie dostał kulą w udo na ostatnim polowaniu jesiennym.

— Powiedzcie mi, co, na miłość Boską, dzieje się w lesie? — zapytał Karo.

Łosie stały zamyślane i smutne, ze spuszczoneymi łbami i wysuniętymi szczękami.

— Nikt tego nie wie — odrzekł Szaraczek. — Owady te uważane były dotychczas za najmniej szkodliwe w całym lesie i naprawdę nie wyrządzały żadnej szkody, ale w ostatnich czasach rozmnożyły się z przerażającą szybkością i grożą teraz całemu lasowi zniszczeniem.

— Tak, położenie jest rzeczywiście groźne — odezwał się Karo. — Widzę jednak, że zebraliście się tutaj na radę i pewien jestem, że wy, najmądrzejsze z całego lasu zwierzęta, obmyśliłyście już jakiś ratunek.

Na te słowa Garbus poważnie podniósł ciężką głowę, poruszył długimi uszami i rzekł:

— Przywołaliśmy ciebie, Karo, abyś nam powiedział, czy do ludzi doszła już wieść o tym spustoszeniu w lesie.

— Nie — odrzekł Karo. — Nie wiedzą nic. W porze, kiedy nie ma polowań, człowiek nie zagląda przecież nigdy w głąb lasu.

— Nam, starym — odezwał się Rogacz — zdaje się, że zwierzęta same nie pokonają tego wroga lasu.

— Lecz udanie się o pomoc do ludzi uważamy za równie wielkie rzeszczenie, jak to, które nas spotkało — wtrącił Grzywacz, — Teraz bowiem skończy się nasz spokój w lesie.

— A jednak nie możemy pozwolić, żeby cały las zginął bez ratunku — rzekł Siłacz. — Nie mamy więc wyboru.

Karo czuł, jak trudno było łosiom zdobyć się na postanowienie, i chcąc im pomóc zapytał:

— Może chcecie, żebym ja zawiadomił ludzi o tym, co dzieje się w lesie?

Stare łosie skinęły głowami,

— Wielki to cios dla nas, że musimy sami żądać od ludzi pomocy, ale nie ma innego wyjścia — powiedziały.

Karo nie tracąc czasu udał się w drogę i biegł z wielkim pośpiechem, szczerze zmartwiony. Wtem zatrzymał go wielki, czarny wąż, leżący w trawie.

— Witam uniżenie! — zasyczał.

— Witam! — warknął pies biegnąc dalej.

Ale wąż poczołgał się za nim, jak gdyby chciał go dogonić.

„Może i on chce się naradzić nad ratunkiem lasu” — pomyślał Karo i zatrzymał się.

Wąż istotnie zaczął mówić o wielkim spustoszeniu w lesie.

— Jeżeli jednak udamy się o pomoc do ludzi, to spokój nasz i zgoda przepadną na zawsze — dodał.

— I ja się tego obawiam — odrzekł Karo — ale najstarsi w lesie biedzą chyba, co czynią.

— A przecież ja mógłbym dać lepszą radę. Musiałbym tylko dostać za to taką nagrodę, jakiej zażądam

— zasyczał wąż.

— Czy nie jesteś węzem, którego nazywają w lesie Niezaradą? — zapytał pies złośliwie.

— Tak jest — odpowiedział wąż — ale wychowałem się w tym lesie i wiem dobrze, jak wytepić takich szkodników.

— Doskonale! Gdybyś się tego podjął, to sądzę, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu — rzekł pies.

Wówczas wąż wsunął się pod korzenie i ukryty w bezpiecznej kryjówce ciągnął dalej:

— Pokłoń się tedy Szaraczkowi ode mnie i powiedz mu, że kiedy on opuści „las pokoju” i powędruje daleko na północ, gdzie żaden dąb nie rośnie, a przyrzeknie nie wrócić tu nigdy, dopóki ja, wąż Niezarada, żyć będę, wtedy stary Niezarada ześle chorobę i śmierć na gąsienice pożerające igły drzew.

— Co ty mówisz?! — krzyknął Karo, a sierść stanęła mu dębem z przerażenia. — Cóż ci Szaraczkę zawinił?

— Zabił najdroższego i najbliższego mi przyjaciela i zaprzysięgłem mu zemstę — odpowiedział wąż.

Wąż nie zdążył skończyć, kiedy już Karo rzucił się na niego z gniewem, ale korzenie drzewa ochraniały przezornego węża.

— Leż więc sobie, dopóki zechcesz — warknął pies. — Damy sobie radę bez ciebie.

Następnego dnia szedł pan z gajowym po lesie. Karo biegł zrazu obok nich, ale niebawem znikł i za chwilę rozległo się gwałtowne szczekanie dochodzące z głębi lasu.

— Widzicie, nasz Karo poluje na nowo — powiedział pan.

Lecz gajowy zaprzeczył temu.

— Karo nie poluje bez pozwolenia już od wielu lat — odrzekł. Po czym pobiegł szybko w głąb lasu, aby zobaczyć, czyj to pies szczeka. Pan zaś szedł za nim.

Szli tak za odgłosem szczekania coraz dalej w głąb najdzikszego lasu. Naraz pies umilkł, ludzie stanęli, nasłuchując i oto — w głębokiej ciszy usłyszeli wyraźny chrzęst wydawany przez szczęki gąsienic objadających drzewa, zobaczyli igły spadające z sosen, poczuli silną woń rozchodzącą się po lesie. I wówczas dopiero zauważyli, że wszystkie drzewa wokoło były pokryte gąsienicami mniszek, tymi małymi szkodnikami leśnymi, które potrafią zniszczyć najrozleglejsze lasy.

WIELKA WOJNA Z MNISZKAMI

Pewnego ranka następnej wiosny Karo udał się na przechadzkę do lasu.

— Karo, Karo! — zawołał ktoś na niego.

Odwrócił się i ujrzał starego lisa stojącego przed norą.

— Powiedz mi, Karo, czy ludzie zabrali się do ratowania lasu? — zapytał lis.

— Tak, możesz im zaufać — odpowiedział Karo — pracują, ile sił starczy.

— Wytracili mi już całe potomstwo, a i mnie pewnie czeka śmierć z ich ręki — mówił lis. — Ale daruję im wszystko, oby tylko las uratowali!

W tym roku, zaledwie Karo pokazał się w lesie, zasypywano go zewsząd pytaniami, czy też ludzie

mogą uratować las. Psu trudno było odpowiedzieć na to pytanie, gdyż ludzie sami nie wiedzieli, czy uda im się wytepić mniszki.

Kiedy sobie przypomnimy, jaki to lęk i nienawiść otaczały niegdyś Puszcę Kolmårdeńską, dziwnym musiał się wydawać widok setek ludzi udających się codziennie do lasu i pracujących gorliwie, aby uratować go od zagłady.

W rejonach najbardziej zagrożonych wycinano zarośla i odrąbywano wszystkie niżej rosnące gałęzie drzew, aby utrudnić gąsienicom przenoszenie się z drzewa na drzewo. Wokoło spustoszonego lasu wycięto szerokie drogi i ogrodzono je żerdziami nasmarowanymi lepem, licząc, że gąsienice w nim uwięzną. Następnie nałożono na pnie drzew obręcze z lepu spodziewając się, że zatrzymają one złażące z obgryzionych drzew gąsienice, które, uwięzione w ten sposób, zginą z głodu.

Aż do późnej wiosny pracowali tak ludzie w lesie. Mieli jak najlepsze nadzieje i czekali z niecierpliwością na wylęgnięcie się gąsienic, byli bowiem pewni, że większość ich wyginie.

Z nadejściem lata gąsienice wylęgły się w znacznie większej ilości niż roku poprzedniego. Ale ludzie pocieszali się, że to nic nie szkodzi, skoro owady są uwięzione i nie znajdują pożywienia.

Tymczasem stało się inaczej. Dużo wprawdzie gąsienic przyłgnęło do żerdzi z lepem, mnóstwo z nich zatrzymały obręczki, uniemożliwiając przedostanie się na inne drzewa. A jednak trudno było powiedzieć, że gąsienice zostały uwięzione. Były bowiem wszędzie: wewnątrz i zewnątrz ogrodzenia, czołgały się po drogach i ścieżkach, po murach i ścianach domów. Przedostały się wreszcie z „lasu pokoju” i do innych części puszczy.

— Nie dadzą nam spokoju, dopóki nie spustoszą całego lasu — mówili ludzie, przerażeni swą bezsilnością i głęboko zasmuceni strasznymi skutkami tego spustoszenia.

Karo czuł takie obrzydzenie do gąsienic rozłazących się wszędzie, że zaledwie wychodził za próg domu. Pewnego jednak dnia postanowił zobaczyć się z Szaraczkiem. Pobiegł więc drogą prowadzącą do tej części lasu, którą zamieszkiwały łosie, a biegł z nosem przy ziemi. Kiedy mijał rozgałęzione korzenie wielkiego drzewa, ujrzał węża leżącego w swej kryjówce. Był to stary wąż Niezarada, którego spotkał w tym samym miejscu roku poprzedniego.

— Czy powtórzyłeś Szaraczkowi to, o czym ostatnim razem mówiłem z tobą? — zapytał wąż.

Ale Karo warknął gniewnie z zamiarem rzucenia się na węża. Ten jednak, bezpieczny w swej kryjówce, zasyczał:

— Zrób tak, jak ci mówiłem. Widzisz przecież, że ludzie nie mogą sobie tutaj poradzić.

— Tak, ale i ty na to nic nie poradzisz! — zawołał pies biegnąc dalej.

Karo odszukał Szaraczka. Łoś był bardzo przygnębiony. Przywitał się z psem pośpiesznie i zaczął natychmiast rozmawiać o lesie,

— Nie wiem, co dałbym za to, żeby odwrócić tę klęskę — rzeki,

— W takim razie muszę ci wreszcie powiedzieć, że podobno ty właśnie mógłbyś uratować las — odezwał się Karo, I powtórzył łosiowi polecenie węża,

— Gdyby mi to powiedział kto inny, nie stary Niezarada — to udałbym się natychmiast na wygnanie — rzekł Szaraczek, — Skądże jednak wzięłaby się taka moc w pospolitym, biednym wężu?

— Rozumie się, że są to tylko przechwałki — odpowiedział Karo. — Węże zawsze udają, że wiedzą więcej od innych zwierząt.

Karo wracał do domu, a Szaraczek towarzyszył mu spory kawał drogi. Nagle usłyszał drozda siedzącego wysoko na wierzchołku sosny i wołającego:

— Oto Szaraczek, co sprowadził klęskę na las! Oto Szaraczek, co sprowadził klęskę na las!

Karo nie chciał wierzyć własnym uszom. Lecz po chwili przebiegi drogę zając — zobaczywszy łosia stanął, począł strzyc uszami i zawołał:

— Oto Szaraczek, co sprowadził klęskę na las! — po czym skoczył w bok z całych sił.

— Co oni sobie myślą? — zapytał Karo.

— Nie wiem dobrze — odrzekł Szaraczek — lecz zdaje mi się, że drobna zwierzyna leśna niezadowolona jest ze mnie, iż doradziłem udanie się o pomoc do ludzi. Kiedy bowiem wycięto zarośla, utraciły one wszystkie swe kryjówki i schronienia.

Dwaj przyjaciele szli dalej w milczeniu, kiedy nagle rozległy się zewsząd głosy;

— Oto Szaraczek, co sprowadzi! klęskę na las!

Szaraczek udawał, że nie słyszy, ale Karo zrozumiał teraz przygnębienie przyjaciela,

— Słuchaj, Szaraczku — rzekł po chwili — jak ci się zdaje, co znaczą słowa węża Niezarady, jakobyś ty mu zabił najbliższego towarzysza?

— Skądże mogę wiedzieć? — odrzekł Szaraczek. — Wiesz przecież sam najlepiej, że nie skrzywdziłem nigdy żadnego zwierzęcia.

Niebawem spotkali się przyjaciele z czterema starymi łosiami: Garbusem, Rogaczem, Grzywaczem i Siłaczem. Łosie kroczyły jeden za drugim w milczeniu i zamyśleniu.

— Witam! — zawołał Szaraczek.

— Witamy! — odpowiedziały łosie. — Chciałyśmy właśnie odszukać cię, Szaraczku, żeby się z tobą naradzić w sprawie lasu.

— Rzeczą przedstawia się następująco — rozpoczął Garbus. — Doszło do naszych uszu, że tutaj w lesie popełniono zbrodnię, a że nie została ona pomszczona, cały las wydany został na zgubę.

— Cóż to była za zbrodnia? — zapytał Szaraczek.

— Jeden z mieszkańców miał zabić nieszkodliwe zwierzę, które mu nawet za pożywienie służyć nie mogło. Taki czyn uważany jest w „lesie pokoju” za zbrodnię,

— Któż to popełnił taką zbrodnię? — zapytał Szaraczek.

— Podobno łoś. Chcieliśmy cię właśnie zapytać, czy nie podejrzewasz, kto to mógłby być?

— Nie — odrzekł Szaraczek — nie słyszałem nigdy, aby jakikolwiek łoś zabił nieszkodliwe zwierzę.

I Szaraczek pożegnał się z łosiami, udając się z psem w dalszą drogę. Był jeszcze bardziej milczący niż przedtem i kroczył ze spuszczoną głową. Kiedy mijali żmiję Gadzinę, leżącą na kamieniu, ta zasyczała:

— Oto Szaraczek, co sprowadził klęskę na las!

Teraz wyczerpała się cierpliwość łosia. Stał przed żmiją i podniósł przednią nogę do uderzenia.

— Czy masz zamiar zabić mnie tak, jak zabiłeś węża, towarzyszkę starego Niezarady?! — zawołała żmija.

— Co? Ja zabiłem węża?! — krzyknął przerażony Szaraczek.

— Tak ty. Pierwszego dnia, kiedyś wędrował po lesie, zabiłeś starą Niezaradę.

Szaraczek odwrócił się pośpiesznie i szedł dalej obok psa. Nagle zatrzymał się mówiąc:

— Karo, popełniłem zbrodnię. To ja zabiłem nieszkodliwe zwierzę. Ja jestem sprawcą spustoszenia lasu.

— Co ty mówisz? — przerwał Karo.

— Idź, powiedz wężowi Niezaradzie, że jeszcze dzisiejszej nocy; Szaraczek uda się na wygnanie.

— Nigdy nie powiem nic podobnego! — zawołał Karo. — Daleka Północ jest krainą szkodliwą dla łosów!

— Czy myślisz, że mógłbym zostać tutaj, gdzie stałem się przyczyną takiego nieszczęścia? — mówił Szaraczek.

— Zastanów się, poczekaj do jutra, zanim coś postanowisz! — prosił pies.

— Tyś sam mnie nauczył, że łoś i las — to jedno! — zawołał Szaraczek i z tymi słowami rozstał się z

psem.

Karo wrócił do domu. Ale zaniepokojony tym zajściem zaraz następnego dnia zapuścił się znowu w las, żeby odwiedzić łosia. Nigdzie go jednak nie mógł znaleźć, odgadł więc, że Szaraczek dotrzymał słowa i udał się na wygnanie.

Pies wracał pogrążony w myślach. Naraz ujrzał gajowego, który; towarzyszącemu mu człowiekowi pokazywał coś na drzewie.

— Cóż to jest? — pytał tamten.

— Patrz, gąsienice nawiedziła zaraza — tłumaczył gajowy.

Karo zdziwił się niezmiernie, jednocześnie przecież oburzył go ten dowód potęgi węża. Teraz Szaraczek będzie musiał żyć wiecznie na wygnaniu, bo ten wąż nie umrze chyba nigdy.

Jedna tylko myśl pocieszała go trochę w tym smutku.

„Wąż może wcale nie będzie tak długo żył, nie zawsze przecież chronić go będą tak bezpiecznie korzenie drzewa. Niech no tylko zrobi swoje i wytępi wszystkie gąsienice, a znam kogoś, co mu bez trudu gardziel przegryzie!”

Istotnie — na gąsienice padła zaraza. Pierwszego lata nie rozszerzyła się jeszcze dostatecznie. Zaledwie bowiem wybuchła, kiedy przyszła pora przemiany gąsienic w poczwarki, a z poczwarek tych wykłuły się miliony motyli. Fruwały one co noc, niby płatki śniegu, między drzewami i znosiły niezliczoną ilość jajeczek. Następnego więc roku należało się spodziewać jeszcze większej klęski.

I klęska przyszła, tylko że tym razem nawiedziła one same gąsienice. Zaraza przechodziła z jednej części lasu do drugiej. Chore gąsienice przestawały jeść, wpęłzały na wierzchołki drzew i umierały.

Ludzie cieszyli się z tego ogromnie, ale jeszcze większa radość ogarnęła zwierzęta. Karo błędził co dzień po lesie, czekając w radości swojej na chwilę, w której będzie mógł rzucić się na węża Niezaradę. Gąsienice rozmnożyły się jednak w całej okolicy w takim promieniu, że zaraza nie mogła i tego lata dosięgnąć wszystkich. Toteż wiele gąsienic pozostało jeszcze przy życiu, zamieniło się w poczwarki i przekształciło w motyle.

Ptaki przelotne oddawały psu często pozdrowienia od Szaraczka, który kazał donosić przyjacielowi, że żyje i że mu się dobrze powodzi. Ale ptaki zdradziły się, że kłusownicy prześladują łosia zawzięcie i że już kilka razy z trudem uszedł z życiem.

Karo nie mógł sobie znaleźć miejsca z troski i z tęsknoty za Szaraczkiem. Musiał jednak czekać jeszcze ze dwa lata. Dopiero wtedy gąsienice mogły być wytępione doszczętnie.

Po upływie tego czasu, kiedy Karo dowiedział się od gajowego, że niebezpieczeństwo wiszące nad lasem minęło, udał się natychmiast na poszukiwanie starego węża. Stanąwszy jednak w lesie, odkrył w sobie straszną prawdę: oto poczuł, że nie może już polować, nie może biegać, nie może tropić nieprzyjaciela, nie widzi dobrze. W ciągu tych długich lat czekania przyszła niepostrzeżenie starość. I oto jest już stary! Nie może zagryźć węża, nie jest nawet zdolny do uwolnienia swego przyjaciela od wroga!

ZEMSTA

Pewnego popołudnia Akka z Kebnekajse osiadła ze swym stadem nad brzegiem jeziora leśnego. Było to jeszcze w Kolmården, ale już poza granicami Ostrogocji, w okręgu Jönak w Sörmlandii.

Jak to bywa w okolicach górskich, wiosna przyszła tam bardzo późno i całe jezioro pokryte było jeszcze lodem, z wyjątkiem wąskiego pasa przybrzeżnego.

Gęsi rzuciły się natychmiast do wody, aby się wykapać i poszukać żeru, a Nils Holgerson, który, jak wiadomo, zgubił przed południem swój trzewik, wszedł między brzozy i olchy, rosnące na brzegu, aby

poszukać czegoś odpowiedniego do owinięcia nogi.

Chłopiec musiał się daleko zapuścić i rozglądał się teraz niespokojnie, nie czuł się bowiem bezpieczny w lesie.

„Wolę już wodę albo równinę — myślał sobie — przynajmniej człowiek widzi, co ma przed sobą. Uszłoby jeszcze, gdyby to był chociaż las bukowy, bo w takich nie bywa zarośli, lecz w lasach iglastych i brzozowych — cóż to za gąszcz nieprzenikniony! Gdyby ten las należał do mnie, kazałbym wyciąć całe to jego bogate podszycie!”

W końcu chłopiec znalazł kawałek kory brzozowej i dopasowywał ją właśnie do nogi, kiedy usłyszał za sobą szelest. Odwrócił się i ujrzał węża pełznącego wśród zarośli ku niemu. Wąż był niezwykle długi i gruby, ale chłopiec zauważył natychmiast, że miał on po obu stronach głowy białą plamę, toteż stał spokojnie na miejscu.

— To tylko wąż wodny — powiedział do siebie — a taki jest przecież zupełnie nieszkodliwy.

W tejże chwili został tak gwałtownie potrącony przez węża, że upadł jak długi. Zerwał się wprawdzie w okamgnieniu i zaczął uciekać, ale wąż czołgał się za nim. Ziemia była kamienista i zarosła chwastami, chłopiec więc nie mógł przyspieszyć kroku i czuł węża tuż za sobą.

Nagle spostrzegł wielki, stromo wznoszący się w górę złom skalny i wdrapał się nań szybko.

„Tutaj mnie wąż nie dosięgnie” — pomyślał sobie. Ale kiedy dostał się szczęśliwie na szczyt skalny i rozejrzał się wokoło, zobaczył, że wąż pełźnie za nim tą samą drogą.

Na skale, tuż obok chłopca leżał okrągły kamień wielkości głowy ludzkiej. Leżał oddzielnie na tak wąskiej krawędzi, że trudno było pojąć, jak mógł się na tym miejscu utrzymać. Chłopiec stanął za kamieniem i popchnął go z całej siły, mierząc w węża wdrapującego się na skałę. Kamień staczając się strącił węża za sobą i przygniół mu swym ciężarem głowę.

„Kamień wywiązał się dobrze ze swego zadania?” — pomyślał chłopiec i westchnął z ulgą. Widział, jak wąż drgnął silnie jeszcze kilka razy, po czym legł martwy i nieruchomy.

— Zdaje mi się, że w ciągu całej mojej podróży nie groziło mi większe niebezpieczeństwo! — zawołał wstrząsając się na samo wspomnienie.

Zaledwie ochłonął trochę z przestachu, kiedy usłyszał szum w powietrzu i po chwili zobaczył ptaka siadającego na ziemi, tuż obok węża. Ptak był mniej więcej wielkości wrony, miał jednak piękne, czarne upierzenie z metalicznym połyskiem. Chłopiec cofnął się przezornie w szczelinę skały. Wspomnienie przygody z wronami tkwiło jeszcze zbyt silnie w jego pamięci, toteż nie chciał się pokazywać ptakowi, skoro nie było koniecznej potrzeby.

Czarny ptak obchodził węża ze wszystkich stron, trącał go dziobem, w końcu zaś uderzył skrzydłami i zakrakał ochrypłym, przeraźliwym głosem:

— Ten oto martwy wąż jest z pewnością starym Niezaradą. — Jeszcze raz obszedł węża wokoło, potem stanął w głębokim zamyśleniu i poskrobał się po grzbiecie: — Niesposób przecież, aby się tutaj w lesie znalazł drugi taki wielki wąż wodny. Tak, to z pewnością on! — I ptak zamierzał już szarpnąć dziobem martwego węża, kiedy nagle opamiętał się i powiedział: — Nie bądź głupi, Bataki! Przecież nie pożresz węża, zanim nie przywołasz Kara. On by ci nigdy nie uwierzył, że stary Niezarada nie żyje, gdyby tego na własne oczy nie zobaczył.

Chłopiec starał się zachować zupełny spokój, ale na widok ptaka, przechadzającego się tam i z powrotem ze śmiesznie uroczystą powagą i mówiącego do siebie, nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Ptak usłyszał śmiech i jednym uderzeniem skrzydeł znalazł się na skale. Chłopiec podniósł się szybko i zbliżył do ptaka.

— Czyś to ty kruk Bataki, dobry przyjaciel Akki z Kebnekajse? — zapytał.

Ptak przyjrzał się dobrze chłopcu i skinął trzykrotnie głową.

— A ty jesteś może owym chłopcem, który wędruje z dzikimi gęśmi i nazywa się Paluszek? — zapytał,

— Tak, to ja — odrzekł chłopiec.

— Doskonale tedy, że cię spotykam — zawołał kruk — będziesz mi może mógł powiedzieć, kto zabił tego węża?!

— Ten oto kamień. Straciłem go na węża i jemu to zawdzięczamy śmierć tego gada. — I chłopiec opowiedział krukowi całe zajście.

— Jak na takiego malca, trzeba ci przyznać, żeś się porządnie napracował — rzekł kruk. — Mam tu w pobliżu przyjaciela, który się ogromnie ucieszy wiadomością o śmierci tego węża, i chciałbym ci w zamian za to wyświadczyć jakąś przysługę.

— Powiedz mi więc, dlaczego cię tak cieszy śmierć tego węża — rzekł chłopiec.

— O, to długa historia! — westchnął kruk. — Straciłbyś na pewno cierpliwość, gdybyś miał jej całość wysłuchać.

Ale chłopiec zapewniał, że słuchać będzie z zajęciem, więc kruk opowiedział mu historię Kara, Szaraczka i Niezarady. Kiedy ją skończył, chłopiec milczał jeszcze przez chwilę i patrzył przed siebie.

— Bardzo ci dziękuję — powiedział wreszcie. — Teraz, kiedyś mi to opowiedział, wszystko tu w lesie wydaje mi się bardziej znajome. Powiedz mi tylko jeszcze, czy coś ocalało z wielkiego „lasu pokoju”?

— Większa część została zniszczona — odrzekł Bataki. — Drzewa wyglądają tak, jak gdyby je pożar nawiedził, trzeba je będzie wyciąć i wiele lat minie, zanim las stanie się znowu taki, jakim był niegdyś.

— Wąż ten zasłużył istotnie na śmierć — odezwał się chłopiec.

— Chciałbym jednak wiedzieć, czy on naprawdę wierzył, iż może sprowadzić zarazę na mniszki?

— Być może, w każdym razie trzeba przyznać, że wąż Niezarada był niezwykle mądrym stworzeniem.

Chłopiec zamilkł, kruk zresztą nie zwracał teraz na niego uwagi, gdyż nadśluchiwał z odwróconą głową odgłosów dochodzących z lasu.

— Słyszysz? — powiedział. — Karo jest w pobliżu. Jakże się ucieszy na wieść, że stary Niezarada nie żyje!

Chłopiec zwrócił się w stronę, z której dochodziły głosy.

— Rozmawia z dzikimi gęśmi — powiedział.

— Tak, zawlókł się z pewnością na wybrzeże, żeby zasięgnąć wieści o Szaraczku,

Kruk i chłopiec opuścili teraz czym prędzej skałę i pobiegli razem na wybrzeże. Wszystkie gęsi wyszły z wody i otoczyły starego psa, sparaliżowane, słabe stworzenie, które tak wyglądało, jak gdyby miało każdej chwili paść martwe.

— Widzisz, to jest Karo — powiedział Bataki do chłopca. — Dajmy rnu najpierw wysłuchać opowiadania dzikich gęsi, a później oznajmimy mu, że wąż nie żyje.

I słuchali wszyscy, jak oto Akka opowiadała.

— Było to zeszłego roku podczas naszej wiosennej podróży — zaczęła. — Pewnego ranka wyleciałyśmy z miejscowości Siljan w prowincji Dalarna. Było nas trzy — Yksi, Kaksi i ja, a droga nasza wiodła przez wielkie lasy pograniczne między Dalarną a Hälsinglandią. Nie widziałyśmy też pod sobą nic prócz czarnozielonych lasów iglastych. Między drzewami leżał jeszcze głęboki śnieg, rzeki były jeszcze zamrożone, tylko tu i ówdzie przeświecała przerębla, ale na brzegach śnieg odtajał już zupełnie. Nie widziałyśmy nigdzie wsi ani dworów, jedynie szare szałas pasterskie, teraz zimą opuszczone i puste. Kiedy niekiedy napotykałyśmy także krętą ścieżkę leśną, którą ludzie wozili zimą ścięte drzewo, nad rzeką zaś leżały stosy drzewa budulcowego.

Po drodze spotkałyśmy trzech myśliwych dążących przez las.

Biegli na nartach, prowadząc psy na smyczy. Broni nie mieli, oprócz noży za pasem. Śnieg pokryty był

twardą skorupą lodową, ale myśliwi nie trzymali się krętych ścieżek leśnych — biegli prosto przed siebie. Wyglądało to tak, jak gdyby wiedzieli dobrze, dokąd mają dążyć, aby znaleźć to, czego szukali.

My, dzikie gęsi, leciałyśmy wysoko górą, a cały las leżał pod nami widoczny i wyraźny. Ogarnęła nas ciekawość, jakiej to zwierzyny myśliwi szukają po lesie. Krążyłyśmy więc tam i z powrotem zapuszczając wzrok między drzewa. Naraz ujrzałyśmy w gąszczu zarośli coś poruszającego się, wyglądającego jak wielkie, mchem porośnięte kamienie. Nie mogły to jednak być kamienie, bo śnieg na nich nie leżał.

Poleciałyśmy z pośpiechem w zarośla i przekonałyśmy się, że były to trzy łosie, śpiące w mroku leśnym: wielki samiec i dwie samice. Kiedyśmy stanęły na ziemi, łось podniósł się i podszedł do nas. Był to największy, najpiękniejszy łось, jakiego kiedykolwiek widziałyśmy. Ale kiedy się przekonał, że zbudziło go tylko kilka nędznych dzikich gęsi, położył się z powrotem.

„Nie, ojczulku, nie kładź się spać — powiedziałaś wówczas do niego. — Uciekajcie jak najprędzej, myśliwi są w lesie i kierują się wprost ku waszej kryjówce”.

„Dziękujemy ci serdecznie za ostrzeżenie, matko — powiedział łось nie mogąc się otrząsnąć ze snu. — Wicie jednak przecież, że nam, łosiom, od wielu lat dozwolone jest przebywanie w puszczy. Myśliwi ci wyruszyli pewnie tylko na lisy”.

„Było mnóstwo śladów lisich na śniegu, ale kłusownicy nie zważali na nie zupełnie. Wierzcie mi, łosie, oni wiedzą, że wy się tu kryjecie. Idą, aby was zabić. Wyruszyli bez strzelb, uzbrojeni tylko w noże i sztylety, bo nie śmiały strzelać w lesie w tej porze”.

Łось leżał dalej w niezmaconym spokoju ale łosice zaniepokoiły się.

„Może naprawdę jest tak, jak mówią dzikie gęsi!” — zawołały i podniosły się.

„Leżcie spokojnie — rozkazał łось. — Żadni myśliwi tu nie przyjdą, możecie na mnie polegać”.

Nie mogłyśmy nic poradzić, wzbiłyśmy się więc z powrotem w górę — ciągnęła dalej Akka. — Ale unosiliśmy się ciągle jeszcze nad tym samym miejscem, tam i z powrotem, chciałyśmy bowiem Wiedzieć, co się stanie z łosiami. Zaledwie zdążyłyśmy unieść się do wysokości, na której zwykle latamy, kiedy ujrzałyśmy łosia wychodzącego z gąszczu. Węszył wokoło, a potem poszedł wprost w stronę zbliżających się myśliwych. Idąc deptał po gałęziach, które łamały się z głośnym trzaskiem. Podszedł do rozległego, martwego trzęsawiska i stanął pośrodku na otwartym miejscu, gdzie go nic uchronić nie mogło.

Łось stał, dopóki myśliwi nie ukazali się na skraju lasu. Kiedy to nastąpiło, zerwał się i uciekł biegnąc w przeciwnym kierunku. Myśliwi spuścili psy ze smyczy, a sami posuwali się jak najszybciej na nartach. Łось pędził w szalonym pośpiechu z głową odrzuconą do tyłu. Śnieg wzbijał się spod jego kopyt i unosił się niby gęsta chmura. Psy i myśliwi pozostali za nim daleko. Naraz łось stanął, jak gdyby czekając na pogoń, i dopiero, kiedy myśliwi ukazali się znowu jego oczom, popędził dalej. Odgadłyśmy, że łось miał zamiar odciągnąć w ten sposób myśliwych od siedliska łosic, i chwaliłyśmy jego męstwo — narażał się sam na niebezpieczeństwo, chcąc ocalić swych najbliższych.

Żadna z nas nie chciała opuścić tego miejsca wyczekując końca. Polowanie ciągnęło się w ten sposób przez kilka godzin i dziwiłyśmy się, że myśliwi zadają sobie tyle trudu w pogoni za łosiem, skoro nie mają broni przy sobie. Nie łudzili się chyba, że będą mogli prześcignąć takiego szybkobiegacza, jakim był łось.

Stopniowo jednak szybkość biegu łosia zaczynała się zmniejszać. Stawiał nogi coraz ostrożniej, a gdy je wyciągał, zdawało nam się, że rozpoznajemy na śniegu ślady krwi.

Teraz zrozumiłyśmy, dlaczego myśliwi nie ustawiali w swej pogoni. Liczyli na pomoc śniegu. Łось był ciężki i przy każdym kroku zapadał się w głąb zasp śnieżnych, a twarda skorupa lodowa ocierała mu nogi do krwi, zdzierała sierść i odrywała skórę, sprawiając ból przy każdym stąpięciu. Natomiast myśliwi i psy, wążąc o wiele mniej, mogli się z łatwością posuwać po powłoce lodowej i gonić za łosiem z nie

zmniejszającą się szybkością. Łoś biegi i biegł bez wytchnienia, ale kroki jego stawały się coraz bardziej chwiejne i niepewne, dyszał przy tym gwałtownie, a oprócz dotkliwego bólu, brodzenie w głębokim śniegu nużyło go także niepomiarownie.

W końcu stracił cierpliwość i stanął czekając na myśliwych, aby wystąpić do walki z nimi. Stojąc tak rzucił spojrzenie przelotne w górę i ujrawszy nas, dzikie gęsi, unoszące się nad nim, zawołał:

„Zostańcie tutaj, dzikie gęsi, dopóki to wszystko się nie skończy! A kiedy będziecie znów przelatywały nad Puszcza Kolmårdeńską, odszukajcie psa Kara i powiedzcie mu, że jego przyjaciel Szaraczek zginął piękną śmiercią”.

Kiedy Akka doszła do tego miejsca w swym opowiadaniu, stary pies podniósł się, podszedł do niej i powiedział:

— Szaraczek żył uczciwie. On mnie znał. Wiedział, że jestem dzielny psem i że będę się cieszył, kiedy usłyszę, że przyjaciel mój zginął piękną śmiercią. Opowiedz mi teraz...

Mówiąc to Karo machnął ogonem i podniósł głowę, jak gdyby chcąc przybrać dumną, mężną postawę, ale spuścił ją po chwili.

— Karo, Karo! — zabrzmiał głos ludzki z lasu.

Stary pies podniósł się natychmiast.

— Mój pan mnie woła — rzekł — a ja nie będę się ociągał i pójdę z nim. Widziałem poprzednio, jak nabijał dubeltówkę, i wiem, że idę z nim po raz ostatni do lasu. Dziękuję ci, kochana Akko. Wiem teraz wszystko, co mi trzeba było wiedzieć, aby umrzeć spokojnie.

PIĘKNY OGRÓD



Niedziela, 24 kwietnia

Następnego dnia leciały dzikie gęsi dalej na północ, nad Sörmlandią. Chłopiec spoglądał w dół na krajobraz i myślał sobie, że nie przypomina on żadnej z tych okolic, które widział dotychczas. Nie było tu tak wielkich równin, jak w Skanii i Ostrogocji, ani tak wielkich przestrzeni leśnych, jak w Smälandii — w krainie tej było raczej wszystkiego po trosze.

„Zgromadzili sobie wielkie jezioro i szeroką rzekę, i ogromny las, i wysokie góry, pocięli to wszystko na części, zmieszali te części razem i rozrzucili je po ziemi na chybił trafił” — rozmyśla! chłopiec.

Ukazywały się bowiem jego oczom same małe dolinki, małe jeziora, małe pagórki i małe laski. Nic z tego wszystkiego nie zajmowało większej przestrzeni. Gdy równina chciała się porządnie rozciągnąć, natychmiast wzgórze stawало jej na drodze, kiedy zaś wzgórze chciało stać się porządną górą, równina kładła mu przeszkody. Ledwie jezioro zaczynało przybierać poważniejsze rozmiary, a już zwężało się w koryto rzeki, rzeka zaś, miast płynąć daleko, rozlewała się w jezioro.

Ponieważ dzikie gęsi trzymały się w pobliżu brzegów morskich, chłopiec obejmował wzrokiem również i morze. Widział więc, że i ono nie mogło tutaj roztaczać swych niezmierzonych toni bez przeszkód — zewsząd wyzierały małe wysepki, którym znów zalewające je fale morskie nie dawały zajmować więcej miejsca. Wszędzie panowała różnorodność: po lasach iglastych następowały liściaste, po polach — trzęsawiska, po wielkich posiadłościach pańskich — zagrody chłopskie.

Na polach nie było nigdzie widać rolników przy pracy, natomiast wszystkie ulice i drogi ożywione były i zaludnione. Z dworów, stojących na skraju Kolmården, wychodzili ludzie w czarnych strojach, z książkami do nabożeństwa i z chusteczkami w ręku.

„Niedziela” — myślał chłopiec i spoglądał przychylnie na pobożnych wieśniaków,

W jednej miejscowości widział orszak weselny jadący do kościoła, w innej kondukt pogrzebowy ciągnący zwolna drogą. Przesuwały się także pojazdy pańskie i wózki chłopskie, i wielkie łodzie na morzu — wszystko zaś dążyło do kościoła.

Gęsi przelatywały teraz nad kościołem w Björkvik, następnie nad miejscowościami Bettna, Blaksta i Vadsbro, wreszcie nad Sköldinge i Floda. Wszędzie brzmiały dzwony kościelne, a brzmiały tak pięknie i

donośnie, że muzyka ich zdawała się napełniać dźwiękami i tonami czyste i ciche powietrze.

„Dokądkolwiek się zwrócę, zewsząd dochodzi mnie dźwięk tych dzwonów.” — myślał chłopiec.

I wraz z tymi myślami ogarnęło go uczucie bezpieczeństwa. Pomimo że znajdował się teraz w zupełnie innym świecie, czuł się tak, jak gdyby nie mogło go spotkać nic złego, dopóki te głosy potężne miały jeszcze moc przywołania go na ziemię.

Dzikie gęsi leciały już dłuższy czas nad Sörmlandią, kiedy nagle chłopiec odkrył czarny punkt poruszający się po ziemi. Zrazu myślał, że to pies, i byłby pewnie nie zwracał na niego uwagi, gdyby nie spostrzegł, że zwierzę stara się biegiem swym zrównać z dzikimi gęsiami. Pędziło przez pola i zarośla, przeskakiwało mury i rowy, nie licząc się z żadnymi przeszkodami.

— Wygląda mi to tak, jak gdyby lis Mykita puścił się w drogę — powiedział chłopiec. — I tak jednak prześcigniemy go wkrótce.

Istotnie gęsi przyspieszyły lotu i nie zwolniły, dopóki lis nie pozostał w tyle. Dopiero kiedy Mykita znikł im zupełnie z oczu, zawróciły, zataczając wielkie półkole w kierunku południowo-wschodnim, jak gdyby chciały powrócić do Ostrogocji.

„Musiał to być naprawdę Mykita — myślał chłopiec — skoro matka Akka zawraca z drogi i obiera inny kierunek”.

Z nastaniem wieczora doleciały dzikie gęsi do starożytnej posiadłości pańskiej w Djulö w Sörmlandii. Wielki biały dwór krył się w zieleni wspaniałego parku, a przed nim roztaczało się wielkie jezioro, zwane także Djulö, z wystającymi cyplami i wysokimi brzegami. Dwór wyglądał poważnie i zacisznie i chłopiec nie mógł powstrzymać na jego widok lekkiego westchnienia. Wyobraził bowiem sobie, jakby to przyjemnie było po całym dniu uciążliwej podróży schronić się w takim wygodnym domu, a nie jak zwykle szukać noclegu na mokrych trzęsawiskach lub na mroźnej skorupie lodowej.

Tymczasem w rzeczywistości mowy być o tym nie mogło. Dzikie gęsi siadły na łące leśnej położonej na północ od dworu, a tak zalanej wodą, że gdzieś tam tylko sterczały z rzadka darniste pagórki. Był to najgorszy nocleg, jaki chłopiec miał spędzić w ciągu całej dotychczasowej podróży. Ociągając się siedział jeszcze czas jakiś na grzbiecie białego gąsiora. Naraz zerwał się i, przeskakując jeden pagórek za drugim, pobiegł z pośpiechem w kierunku dworu.

Przypadkiem wieczoru owego w chacie komornika, należącej do dóbr Djulö, siedziało wokoło palącego się ogniska kilku ludzi zajętych rozmową. Rozmawiali o porannym kazaniu, o robotach wiosennych i o przepowiedniach dotyczących pogody, ale kiedy rozmowa przestała się kleić, poprosili starą komornicę, matkę, aby im opowiadała o duchach.

Wiadomo, że w całym kraju nie ma drugiej okolicy, gdzie byłoby tyle dworów i gdzie opowiadano by tyle bajek o strachach i duchach, co w Sörmlandii. Stara kobieta służyła w młodości po dworach i widziała tyle dziwnych rzeczy, że mogłaby do rana opowiadać. Umiała przy tym opowiadać tak dobrze i wzbudzała taką wiarę, że każdy, kto słuchał jej opowiadań, gotów był uważać je za świętą prawdę. I ludzie przysuwali się ze strachu jeden do drugiego, ile razy staruszka przerywała opowiadanie pytając:

— Czy nie słyszycie, jak się tam coś w kącie rusza? Jakże to dziwne, że wy tego nie słyszycie. Z pewnością coś się tu skrada.

Ale nikt prócz niej nic nie słyszał.

Kiedy już kobieta naopowiadała mnóstwo różnych historii o miejscowościach okolicznych — Eriksberg, Vibyholm, Julita, Lagmansö i innych, zapytał ktoś, czy w tutejszym dworze nie zdarzyło się nigdy nic osobliwego.

— O, rozumie się — odpowiedziała staruszka — opowiadają sobie o nim niejedno.

Wtedy wszyscy chcieli się koniecznie dowiedzieć, jakie to nadzwyczajności zdarzały się we własnym ich dworze.

Stara kobieta zaczęła opowiadać:

— Na wzgórzu położonym na północ od dóbr Djulö, tam gdzie teraz ciągną się lasy, stał niegdyś pałac otoczony wspaniałym ogrodem. Pewnego razu odwiedził go ówczesny pan Sörmlandii, imieniem Karol. Pan Karol, najadłszy się i napiwszy do syta, wyszedł do ogrodu. Tutaj długo przyglądał się jezioru Djulö i jego pięknym brzegom, mówiąc sobie w duchu z zachwytem, że piękniejszej krainy nad jego Sörmlandię nie ma chyba na całym świecie.

Nagle usłyszał za sobą głębokie westchnienie, odwrócił się szybko i zobaczył starego kopacza zgiętego nad motyką.

„Czy to ty tak wzdychasz głęboko? — zapytał pan Karol. — Czegóż tak wzdychasz?”

„Ach, wolno mi chyba westchnąć przy tak ciężkiej pracy, którą tutaj codziennie muszę odrabiać” — odpowiedział kopacz.

Ale pan Karol był gwałtownego usposobienia i nie znosił narzekań ludzkich.

„Czy nie masz innego powodu do skargi?! — zawołał, — A ja ci powiadam, że byłbym szczęśliwy, gdybym mógł przez całe życie kopać ziemię Sörmlandii!”

„Niechże się więc jasnie panu stanie tak, jak sobie pan tego życzy” — odrzekł kopacz.

I mówią ludzie, że za sprawą tego zaklęcia pan Karol nie zaznał po śmierci spokoju w grobie i musi co noc wędrować do pałacu w dobrach Djulö i kopać tam ziemię w ogrodzie.

Tak, tak, teraz nie ma tu już ani owego pałacu, ani ogrodu — kończyła stara z naciskiem. — Dziś na tym miejscu wznosi się zwykłe wzgórze leśne. Niejeden podróżny przecież, idący ciemną nocą przez las, widzi przed sobą ów ogród. — Tutaj stara umilkła i zerknęła w ciemny kąt izby.

— Czy tam się nic nie rusza? — zapytała.

— Nic, matko, uspokójcie się i opowiadajcie dalej — rzekła synowa. — Znalazłam wczoraj w tamtym kącie dużą norę mysia, lecz miałam tyle roboty, że zapomniałam ją zatkać. Ale powiadajcie dalej, czy też komuś z waszych znajomych ukazał się kiedy ten ogród?

— Rozumie się — mówiła dalej staruszka — i to własnemu memu ojcu. Szedł pewnej pięknej nocy letniej przez las. Nagle ujrzał przed sobą wysoki mur ogrodowy, a za nim najpiękniejsze drzewa owocowe, obciążone kwieciami i owocem i zwieszające swe gałęzie daleko poza mur. Mój ojciec szedł dalej, dziwiąc się w duchu, skąd się ten ogród tutaj wziął. Wtem brama ogrodu otwarła się z trzaskiem i ukazał się ogrodnik. Ogrodnik spytał ojca, czy nie chciałby obejrzeć jego ogrodu. Człowiek ten miał motykę w ręku i odziany był w duży fartuch, jaki noszą ogrodnicy. Ojciec już miał iść za nim, kiedy przypadkiem spojrzał na jego twarz. W tejże chwili poznał pukiel włosów, spadający na czoło, i spiczastą brodę. Był to pan Karol we własnej osobie, taki, jakim go mój ojciec widywał na wizerunkach we dworach okolicznych, gdzie...

W tym miejscu stara znów przerwała. Tym razem przeszkodziło jej polano drzewa, które buchnęło tak silnym płomieniem, że iskry i węgle sypnęły się na podłogę. Wszystkie kąty w izbie zostały nagle jaskrawo oświetlone i staruszcze wydało się, że widzi cień krasnoludka, który siedział obok nory mysiej i słuchał opowiadania, a teraz zmykał pośpiesznie.

Synowa przyniosła łopatkę i szczotkę, zmiotła węgle i zasiadła z powrotem.

— Teraz możecie opowiadać dalej, matko — prosiła,

Ale staruszka nic już nie chciała mówić.

— Dość na dzisiaj — broniła się dziwnie wzruszonym głosem.

Słuchacze nalegali koniecznie, aby staruszka opowiadała dalej, ale synowa zwróciła uwagę na jej pobladłą twarz i drżące ręce i powiedziała:

— Nie, matka się zmęczyła, musi pójść do łóżka.

Chłopiec powrócił do dzikich gęsi. Gryzł marchew, którą znalazł przed piwnicą w chacie

komorników — a była to dla niego uczta nie lada — i cieszył się, że udało mu się przesiedzieć kilka godzin w ciepłej izbie.

— Gdybym tylko jeszcze mógł teraz znaleźć przyzwoity nocleg — mówił do siebie.

Wtem przyszło mu na myśl, że najlepiej byłoby umieścić się na wielkiej sośnie rosnącej tuż przy drodze. Wdrapał się na nią, splótł kilka gałązek i urządził sobie wygodne poślanie.

Przez chwilę myślał jeszcze o tym wszystkim, co słyszał w chacie, najbardziej jednak utkwiło mu w pamięci opowiadanie o panu Karolu, który straszy w lesie należącym do dóbr Djulö. Wkrótce jednak zasnął i byłby zapewne dospał do rana, gdyby go nie zbudził zgrzyt żelaznej furtki otwieranej tuż pod drzewem. Zerwał się natychmiast, otrząsnął ze snu i rozejrzał dookoła. Tuż obok drzewa zobaczył wysoki mur i wychylające się zza muru drzewa owocowe zgięte pod ciężarem owoców.

„Jakie to dziwne! Kiedym zasypiał, nie było tu przecież żadnego ogrodu” — pomyślał przede wszystkim.

Po kilku chwilach jednak przypomniał sobie opowiadanie staruszki i zaraz zrozumiał, co to był za ogród.

Najdziwniejsze jednakże było to, że chłopiec nie odczuwał żadnego strachu. Przeciwnie, nabrał nawet ogromnej ochoty, żeby dostać się do ogrodu. Na gałęziach sosny było zimno i ciemno, a tam w ogrodzie wabił go złoty blask słońca, nęciły róże i owoce. Co by to była za rozkosz, gdyby teraz po takiej długiej wędrówce na deszczu i chłodzie mógł użyć ciepła słonecznego. Wydawało się to łatwe: tuż obok drzewa widać było w wysokim murze furtkę. A oto stary ogrodnik otwiera ją właśnie na rozcież i stoi we wrotach, i patrzy w las, jak gdyby oczekując czyjegoś przybycia.

Chłopiec bez namysłu zeskakuje jednym susem z drzewa. Trzymając czapkę w ręku, przystępuje do ogrodnika i kłaniając się pyta, czy wolno obejrzeć ogród.

— Owszem — odpowiada ogrodnik ostrym tonem. — Wejdz!

Po czym zatrząskuje furtkę, zamykając ją ciężkim kluczem, który wsadza za pas. Chłopiec tymczasem przygląda mu się uważnie. Ogródnik ma ponure oblicze, wielkie wąsy, spiczastą brodę i orli nos. Gdyby nie był opasany niebieskim fartuchem i nie trzymał motyki w ręku, chłopiec wziąłby go z pewnością za starego żołnierza.

Ogródnik idzie z takim pośpiechem w głąb ogrodu, że chłopiec musi bieć, żeby za nim nadążyć. Ścieżka jest bardzo wąska i chłopiec wchodzi nieostrożnie na trawnik. Ogródnik nakazuje mu surowo, by nie stapał po trawie, i chłopiec pilnuje odtąd bacznie swych kroków. Czuje, że godność ogrodnika nie pozwala mu pokazywać ogrodu takiemu malcowi, toteż nie pyta o nic, tylko biegnie za nim, słuchając rzucanych kiedy niekiedy uwag przewodnika. Tuż za murem ciągną się zarośla, które ogrodnik nazywa kolmårdeńskimi.

— Takie są wielkie, że zasługują na tę nazwę — odzywa się chłopiec.

Lecz ogrodnik nie zwraca uwagi na te słowa. Kiedy mijają zarośla, chłopiec wtedy dopiero objąć może wzrokiem całość ogrodu.

Spostrzega też od razu, że powierzchnia jego wynosi zaledwie kilka morgów. Od południa i od zachodu osłania go mur, a od północy i od wschodu otacza go woda i tutaj ogród nie potrzebuje żadnej ochrony. Kiedy ogrodnik przystaje na chwilę, żeby przywiązać opadające pnącza, chłopiec korzysta z czasu, żeby się rozejrzeć wokoło. Nie widywał wprawdzie w swym życiu wielu ogrodów, ale czuje, że ten ogród różni się zupełnie od innych. Nie wątpi ani na chwilę, że jest urządzony według mody staroświeckiej, gdyż dziś nigdzie już nie spotyka się takiego nagromadzenia pagórków i klombików, żywopłotków, trawników i altanek. Dziwaczna wydaje mu się także gmatwanina małych sadzawek i wijących się kanałów przeprowadzonych wzdłuż i wszerz po całym ogrodzie.

Wszędzie rosną wspaniałe drzewa i cudne kwiaty, a ciemnozielona woda w małych kanałach,

przezroczysta i jasna, odbija wszystko wokoło. Chłopcu zdaje się, że jest w raju. Klaszcze z zachwytu w ręce i woła:

— Nigdy nie widziałem nic podobnie pięknego! Jakże się ten cudny ogród nazywa?

Zaledwie chłopiec zdążył to wypowiedzieć, ogrodnik odwraca się szybko i mówi surowym głosem:

— Ogród ten to Sörmlandia. Kimże ty jesteś, że tego nie wiesz? Zawsze przecież słynał on jako jeden z najpiękniejszych ogrodów w całym kraju!

Odpowiedź ta niepokoi trochę chłopca, ale różnorodność widoków zajmuje go tak bardzo, że odrywa od rozmyślań. Podziwia wspaniałe kwiaty i sztuczne kanały przerzynające murawę, najbardziej jednak bawią go małe altanki i domki wyglądające spośród drzew. Rozrzucone są po całym ogrodzie, ale większość z nich stoi na brzegach sadzawek i kanałów. Nie są to co prawda domy dla ludzi, a raczej dla karzełków, takich jak Paluszek, lecz wszystkie są nadzwyczaj ozdobiście zbudowane i urządzone. Przedstawiają zresztą wszystkie typy budowli: jedne wyglądają jak pałace z wieżyczkami i skrzydłami, inne jak kościoły, inne znów jak młyny i chaty wiejskie.

Chłopiec zatrzymałby się chętnie przed każdym budynkiem, nie śmie jednak zbaczać z drogi i podąża wciąż za ogrodnikiem. Wkrótce zbliżają się do gmachu większego i okazalszego od wszystkich innych. Jest to trzypiętrowy pałac o szerokich bocznych skrzydłach, stojący na wzgórzu wśród klombów kwiatowych, a droga do niego wiedzie poprzez ozdobne mostki przerzucone z jednego brzegu kanału na drugi.

Chłopiec idzie za ogrodnikiem krok w krok, nie odważając się na żaden samodzielny ruch. Tylko kiedy mija wszystkie te cuda, wyrывa mu się głębokie westchnienie. Nie uchodzi ono uwagi surowego pana, który staje i mówi:

— Gmach ten nazywa się Eriksberg. Jeśli chcesz go obejrzeć, nie mam nic przeciwko temu, lecz strzeż się Pintorpy, pani tego zamku.

Chłopiec korzysta natychmiast z pozwolenia. Cały pałac wydaje się przystosowany do jego wzrostu. Małe jego nóżki wygodnie stąpają po schodach, każda klamka u drzwi otwiera się łatwo pod naciskiem małych jego rąk. A przy tym nie wyobrażał sobie nigdy, że kiedykolwiek zobaczy coś równie pięknego. Dębowe posadzki lśnią i błyszczą, sufity zdobią bogato sztukaterie i malowidła. Na ścianach wisi obraz przy obrazie, meble i kanapy ze złożonymi poręczami pokryte są jedwabiem. W jednym pokoju piętrzą się aż pod sufit półki z książkami, w innym szuflady i szafy pełne są wspaniałych klejnotów.

Chłopiec śpieszy się bardzo z oglądaniem, zdążył jednak obejrzeć zaledwie połowę pałacu, kiedy go ogrodnik odwołuje.

Starzec stoi przed wejściem gryząc wąsy z niecierpliwości.

— No i cóż? Jakże ci się udało? — pyta. — Czy widziałeś Pintorpę?

Ale chłopiec zapewnia go, że nie widział żywego ducha. A wówczas na twarzy starego ogrodnika maluje się wyraz wielkiego bólu.

— Więc Pintorpa, pani tego zamku, znalazła wreszcie odpoczynek, a ja go znaleźć nie mogę! — mówi do siebie.

Chłopiec jest zdumiony, że głos ludzki może wyrażać taką rozpacz.

Ogrodnik rusza dalej wielkimi krokami, chłopiec biegnie za nim, starając się objąć wzrokiem jak najwięcej osobliwości, które mija po drodze. Przechodzą właśnie obok sadzawki większej od innych. Otaczają ją długie, białe pawilony, przeświecające poprzez krzewy i klomby kwiatów. Ogrodnik nie zatrzymuje się nigdzie, ale idąc dalej odzywa się kiedy niekiedy kilkoma słowami do chłopca: „To miejsce nazywa się Yngar. To jest Danbyholm, Tutaj Hagbyberga, tutaj Hövsta, a tutaj Akero”.

Następnie przechodzą obok malej sadzawki, którą ogrodnik nazywa Baren. Na okrzyk zachwyty chłopca starzec odpowiada mu wskazując mały mostek prowadzący do pałacyku zbudowanego pośrodku

sadzawki:

— Jeśli masz ochotę, możesz obejrzeć pałac Vibyholm. Ale strzeż się Białej Pani!

Chłopiec, nie tracąc czasu, biegnie czym prędzej przez mostek. Wszystkie pokoje w pałacu zawieszono są obrazami i chłopcu wydaje się, że ogląda jedną wielką książkę obrazkową. Bawi go to tak bardzo, że spędziłby tu chętnie całą noc. Cóż, kiedy ogrodnik woła:

— Chodź, chodź! Czekam na ciebie jeszcze inna robota, nie mogę stracić tyle czasu dla takiego malca.

A kiedy chłopiec staje przed nim, pyta gorączkowo:

— I cóż? Widziałeś Białą Panią?

Chłopiec znów zapewnia, że nie widział nikogo, a na to ogrodnik uderza motyką o kamień z taką siłą, że kamień się rozpryskuje, i woła głosem wyrażającym najgłębszą rozpacz:

— Więc i Biała Pani znalazła odpoczynek, a ja go znaleźć nie mogę!

Dotychczas zwiedzali południową część ogrodu, teraz zwraca się ogrodnik do części wschodniej. Przedstawia ona zupełnie inny widok: wielka, równo przyciężona murawa przeplata się tutaj z grządkami truskawek, pola kapusty — z krzakami agrestu i porzeczek. I tutaj wznoszą się domki, ale pomalowane przeważnie na czerwono wyglądają jak chaty chłopskie, a otaczają je chmielniki i drzewa wiśniowe.

Ogrodnik nie zatrzymując się nigdzie, mówi do chłopca:

— Okolica ta nazywa się Vingåker.

Po chwili wskazuje na budynek wyglądający o wiele prościej od innych i przypominający kuźnię.

— To są wielkie warsztaty — tłumaczy. — Nazywają się Eskilstuna. Jeśli chcesz, możesz wejść i obejrzeć je dokładnie.

Chłopiec wchodzi, widzi jednak zrazu tylko mnóstwo warczących kół, wałących miotów i zgrzytających wind. Tyle tu jest do oglądania, że i tutaj Nils zostałby chętnie przez całą noc, gdyby go ogrodnik już po chwili nie odwołał.

Wędrują więc dalej, w kierunku północnym, wzdłuż brzegów morskich. Wybrzeże rozszerza się, to znów czołża, przylądki i zatoki, zatoki i przylądki zmieniają się wciąż i przeplatają. Na wodzie rozrzucone są małe wysepki, oddzielone od lądu tylko wąskimi kanałami. Wysepki te należą także do ogrodu i uprawiane są z równą starannością.

Chłopiec mijając jeden piękny budynek za drugim, ale ogrodnik nie zatrzymuje się nigdzie. Teraz przechodzą obok wspaniałego czerwonego kościoła, położonego na jednym z przylądków wśród drzew owocowych. Kiedy ogrodnik chce go ominąć, chłopiec zdobywa się na pytanie, czy nie mógłby obejrzeć wnętrza.

— Dobrze, dobrze, możesz wejść — odpowiada ogrodnik — ale strzeż się biskupa Rogge. Bardzo możliwe, że przebywa on tu jeszcze po dziś dzień.

Chłopiec wpada pośpiesznie do kościoła i ogląda piękne pomniki i obrazy. Najbardziej jednak zachwyca się rycerzem w złoczonej zbroi, ozdabiającym jedną z kaplic. I tutaj chciałby chłopiec spędzić całą noc, żeby wszystko obejrzeć, musi się jednak śpieszyć, bo nie chce rozgniewać ogrodnika.

Wychodząc z kościoła chłopiec widzi go przyglądającego się sobie goniącej pliszkę. Ognik przywołuje ptaka gwizdnięciem, przytula go do piersi i odpędza motyką nadlatującą sowę.

„Jednak nie taki on zły, jak wygląda” — myśli sobie chłopiec widząc, jaką troskliwą opieką staruszek otacza ptaszki.

Zaledwie jednak ogrodnik ujrzał chłopca, pyta go natychmiast, czy widział biskupa Rogge. A gdy chłopiec zaprzecza, starzec woła z gorącością:

— Więc i biskup Rogge znalazł odpoczynek, a ja go znaleźć nie mogę!

Wkrótce droga ich wiedzie obok najokazalszego z tych licznych domków dla lalek. Jest to zamek

zbudowany z cegieł, o trzech masywnych okrągłych wieżach, powiązanych bocznymi skrzydłami.

— Wejdz i obejrzyj sobie wszystko. Zamek ten nazywa się Gripsholm. Strzeż się tylko, abys nie spotkał króla Eryka.

Chłopiec wchodzi przez szerokie wrota na duży, trójkątny dziedziniec, otoczony niskimi domami. Domy te z wyglądu nie zachęcają chłopca niczym, toteż przeskakuje przez dwie armaty stojące na dziedzińcu i idzie dalej. Znow brama i znow dziedziniec otoczony domami, tym razem wspaniałymi. Chłopiec wchodzi, mija dwie starożytne komnaty, zawieszane wielkimi, ciemnymi obrazami, przedstawiającymi poważnych panów i panie w dziwnych, sztywnych szatach. Następnie po schodach wchodzi do komnat, gdzie ściany zawieszane są portretami królów i królowych. Jeszcze o piętro wyżej znajdują się najrozmaitsze pokoje: to zbytkowne, zastawione pięknymi, białymi meblami, jeden nawet urządzony jak mały teatr, to znow wyglądające jak prawdziwe więzienie, ciemne, o gołych murach, zakratowanych oknach i posadzce z płyt kamiennych, wyłobionych przez ciężkie kroki więźniów.

Chłopiec pozostałby tu chętnie przez kilka dni, tyle tu widzi pięknych i ciekawych rzeczy, ale ogrodnik woła go niecierpliwie, a malec nie śmie sprzeciwić mu się w czymkolwiek.

— Widziałeś króla Eryka? — pyta.

Chłopiec nie widział nikogo i starzec znow wpada w najgłębszą rozpacz wołając:

— A więc i król Eryk znalazł odpoczynek, a ja go znaleźć nie mogę!

Dalsza droga prowadzi w kierunku zachodnim. Mijają miejscowość, którą ogrodnik nazywa Söderteje, oraz stary zamek, któremu daje nazwę Hömingsholm. Niewiele tu do oglądania. Wszędzie sterczą skały i wzgórza, a im dalej położone, tym samotniejsze i bardziej nagie.

Teraz zwracają się na południe. Chłopiec rozpoznaje gaj, który ogrodnik nazwał kolmårdeńskim, domyśla się więc, że wyjście jest blisko. Taki jest uradowany i przejęty doznanymi wrażeniami, że kiedy zbliżają się do bramy, stara się wyrazić swą wdzięczność ogrodnikowi, ale starzec nie słucha go i zmierza wprost ku furtce. A kiedy staje przed nią, podaje chłopcu motykę i mówi:

— Potrzymaj, zanim otworzę furtkę.

Nilswi jednak przykro trudzić szorstkiego starca, chcąc mu więc zaoszczędzić zbytecznej fatygi mówi:

— Nie otwierajcie dla mnie tej ciężkiej furtki. — I przesuwą się zręcznie między żelaznymi sztachetami, co dla takiego maleństwa nie przedstawia żadnej trudności.

Chłopiec czyni to z najlepszą myślą, toteż ogarnia go przerażenie, kiedy słyszy, jak ogrodnik wybucha gwałtownym gniewem, tupie o ziemię i potrząsa sztachetami.

— Co się stało? Co się stało? — pyta chłopiec z osłupieniem. — Chciałem wam zaoszczędzić trudu. Dlaczego się tak gniewacie?

— Mam się nie gniewać? — odpowiada starzec. — Gdybyś był odebrał ode mnie motykę, już byś musiał pozostać tutaj i uprawiać ogród, ja zaś zostałbym wyzwolony. Teraz sam nie wiem, jak długo jeszcze będę musiał tutaj pozostać.

I starzec w bezsilnym gniewie i wściekłości potrząsa gwałtownie sztachetami, A chłopcu tak go serdecznie żal, że próbuje go pocieszyć.

— Nie martwcie się tak bardzo, panie Sörmlandzki — mówi — gdyż nie znajdzie się na pewno nikt, kto by tak pięknie potrafił pielęgnować ogród, jak wy to czynicie,

I na te słowa starzec się uspokaja, a chłopcu wydaje się, że widzi jasny odbłask rozświetlający jego rysy. Po chwili jednak błędnie cała postać i znika jak mgła. I nie tylko postać — znika także i rozwiewa się cały ogród, kwiaty i owoce, i promienie słońca. Tam zaś, gdzie się ogród roztaczał, ciągnie się teraz tylko ogromny, dziki las.

LATAWICA



Okręg Närke posiadał w dawnych czasach pewną osobliwość, nie znaną w innych okolicach kraju — przebywała w nim mianowicie wiedźma, zwana Latawicą z Ysätter,

Latawicą przezwano ją dlatego, że biegła zawsze w zawody z wichrami i burzą. Pochodziła zaś jakoby z moczarów Ysätter w parafii Asker.

Pozory przemawiały za tym, iż istotnie ojczyzną jej było Asker, lecz widywano ją często i w innych miejscowościach. W całym okręgu Närke ludzie musieli być zawsze przygotowani na to, że mogą ją nagle ujrzeć przed sobą. Nie była to jednak wiedźma gniewna lub ponura, przeciwnie, Latawica była zawsze wesoła i rozbawiona, a czuła się najlepiej wśród wichrów i burzy. Wtedy; to Latawica gotowa była nawet do puszczania się w płasy na równinie okręgu Närke.

Närke jest to właściwie płaszczyna, ze wszystkich stron otoczona lesistymi wzgórzami. Tylko w północno-wschodnim kącie krajobraz ten urozmaica jezioro Hjälmar.

Gdy wiatr, wiejący rankiem znad morza, przenosi się na ląd z nowymi zapasami sił, przemyka się zrazu bez przeszkód między wzgórzami Sörmlandii i przedostaje się bez najmniejszej trudności przez Hjälmar do Närke. Tutaj pędzi po równinie, dopóki nie zostanie odtrącony przez mur skalisty Kilsberg. Wije się wówczas i kurczy niby wąż i śpieszy na południe. Tam jednak uderza się o górę Tived i zostaje odrzucony w kierunku wschodnim. Tymczasem na wschodzie ciągnie się las Tylö, który odpiera wiatr na północ ku górze Kägla. Ta zaś śle go z powrotem znów do gór Kilsberg, do Tived i w las Tylö,

I tak ciągle w kółko: wiatr wiruje i wiruje zataczając coraz mniejsze kręgi, dopóki w końcu nie zacznie się kręcić jak fryga wokoło siebie, W takie dni jednak, kiedy wiatr wirował po równinie, radowała się Latawica z Ysätter najwięcej. Rzucała się wtedy w ten wir i kręciła wraz z nim w kółko. Długie jej włosy unosiły się w górę, szaty ciągnęły się po ziemi niby tuman kurzu, a cała równina pod jej stopami służyła za miejsce do tańca.

Rankiem siadywała Latawica najczęściej na wysokiej sośnie, rosnącej na zboczu górskim, i patrzyła na równinę.

Zimą, kiedy spadł śnieg, przejeżdżało tamtędy dużo sanek. Latawica nie przepuściła ani jednych, dopóki nie wywołała takiej śnieżycy, nie sypnęła takimi kłębami śniegu, że wszelka droga utonęła w nich bez śladu. I ludzie długo brodzili, długo i z mazołem wydobywali się z tych zasp śnieżnych, zanim udało im się wrócić do domu.

W piękne zaś dni letnie, w porze sianokosów, siadywała Latawica na wierzchołku drzewa i siedziała

tam spokojnie, dopóki pierwsze wozy, wysoko naładowane sianem, nie stanęły gotowe do odjazdu.

Wtedy to plusk! — i Latawica spadała nagle ulewnym deszczem, przerywając na długo robotę.

Wiadomo było, że Latawica myśli tylko o tym, żeby ludziom płać psoty. Węglarze w górach Kilsberg w nocy nie mieli odwagi zmrużyć oka. Skoro bowiem Latawica spostrzegała mielerzysko⁴, natychmiast podkradała się cichaczem i rozdmuchiwała je, dopóki nie buchnęło jasnym płomieniem. A kiedy raz woźnice z Laksa i Svarta wracali późnym wieczorem z ładunkiem rudy, Latawica otuliła drogę i całą okolicę tak gęstą mgłą, że podróżni zabłądzili i wreszcie ugrzęźli z ciężkim swym ładunkiem w trzęsawiskach.

Kiedy pastorowa z Glanshammar nakryła pięknie stół do podwieczorku w ogrodzie, a wiatr zerwał nagle obrus, zrzucił talerze i filiżanki, wiedziano od razu, komu przypisać tę niespodziankę. Kiedy wiatr porwał nagle burmistrzowi z Örebro kapelusz z głowy, tak że burmistrz musiał go gonić po całym placu targowym; kiedy łodzie, w których mieszkańcy z Vinö przewozili jarzyny, szły na dno jeziora Hjälmars; kiedy bielizna rozwieszona do suszenia spadała w błoto; kiedy wieczorami dym błdził w izbach, nie mogąc znaleźć wyjścia przez komin — nie wątpił nikt, czyje to były sprawki.

A jednak mimo tej swawolności i przekory Latawica z Ysätter nie była w głębi swej duszy złośliwa, tym bardziej zaś zła. Łatwo można było zauważyć, że szkodziła tylko chciwcom, skąpcom i samolubom. Natomiast opiekowała się często ludźmi pocziwymi i biednymi dziećmi. A starzy ludzie opowiadają po dziś dzień, że podczas pożaru kościoła w Asker Latawica rzuciła się w płomienie i ugasiła ogień.

Swoją drogą Latawica sprzykrzyła się już porządnie ludziom w Närke, jej samej jednak nie przykrzyły się nigdy własne psoty i figle. Kiedy siedziała na skraju chmury i spoglądała z wyżyny na okręg Närke, podziwiając jego dobrobyt i zacisność, zamożne zagrody chłopskie w dolinie, bogate kopalnie rudy w górach, rzekę Svarta, toczącą powoli swe fale, zarybione jeziora, zaludnione miasto Örebro ciągnące się wokoło poważnego zamku z wysokimi wieżami — wtedy myślała sobie z pewnością:

„Tutaj, gdyby nie ja, ludziom byłoby za dobrze. Muszą mieć kogoś takiego jak ja, żeby nimi wstrząsał i wprawiał ich w ruch”.

Po czym wybuchała dzikim, przeraźliwym chichotem, który brzmiał jak krzyk sroki, i pędziła dalej, tańcząc i wirując, z jednego końca równiny w drugi. A mieszkańcy Närke, patrząc na włóczący się za nią ogon kurzu, nie mogli powstrzymać uśmiechu. Była niewątpliwie nieznośna i przekorna, ale trudno było odmówić jej wesołości i wdzięku pustoty. Jak wiatr wnosił ruch i tycie szalejąc i hucząc po równinie, tak ludzi miejscowych do życia i ruchu pobudzała obecność Latawicy.

Dzisiaj mówi się, że Latawica z Ysätter od dawna już umarła i została pochowana, jak cały zresztą ród wiedźm i czarowników. Trudno jednak uwierzyć temu. Jest to tak mało prawdopodobne, jak gdyby ktoś twierdził, że powietrze nad równiną będzie odtąd ciche i niezamącone, a burze szalejące wichrami i ulewą przestaną ją nawiedzać.

Ci, co utrzymują, że Latawica z Ysätter umarła i została pochowana, niech posłuchają o tym, co się działo w Närke w roku, w którym Nils Holgerson wędrował ponad tą okolicą. Potem zaś niech powiedzą, co o tym myślą.

WIECZÓR PRZED JARMARKIEM

Środa, 27 kwietnia

Było to w dzień przed wielkim targiem na bydło w Örebro. Deszcz, padający od rana strumieniami,

przeszedł w ulewę, a wreszcie w prawdziwy potop. Zdawało się, że niebo otworzyło swe upusty i niejednen myślał sobie w duchu: „Zupełnie tak samo bywało za czasów Latawicy z Ysätter. Właśnie podczas jarmarków pozwalała sobie na najswawolniejsze wybryki. Taka ulewa w przeddzień jarmarku to zupełnie w jej guście”.

Im bardziej pod wieczór, tym ulewa stawała się gwałtowniejsza. A z nadejściem ciemności nastąpiło prawdziwe oberwanie się chmury. Drogi były zupełnie zalane i ludzie, prowadzący bydło na targ, znaleźli się w rozpaczliwym położeniu. Krowy i woły były tak zmęczone, że nie chciały ruszyć z miejsca, niektóre z nich pokładły się nawet na ziemi na dowód, że dalej iść już nie mogą. Wszyscy ludzie, mieszkający w pobliżu szosy, zmuszeni byli otworzyć drzwi i bramy na przyjęcie nieszczęsnych podróżnych i dać im nocleg. Nie tylko domy, ale i stajnie, i stodoły przepełniły się gośćmi.

Kto tylko mógł, starał się dotrzeć do oberży, ale ci, którym się to udało, żalowali nieomal, że nie zostali w jednym z domów spotykanych po drodze, wszystkie bowiem zagrody w oborach, wszystkie żłoby w stajniach były od dawna zajęte. Biedni ludzie nie mieli wyboru, musieli pozostawić swoje konie i krowy pod gołym niebem, sami zaś z trudem i móżolem znajdowali dla siebie kącik pod dachem.

Na głównym placu, tonącym w kałużach wody i w błocie, panował taki tłok, że trudno opisać. Niektórym włościanom udało się wprowadzić zdobyć trochę słomy na podściółkę, tak iż biedne zwierzęta mogły się przynajmniej położyć, wiele zwierząt jednak stało w wodzie i dla tych nocleg nawet na gołej ziemi był rzeczą niemożliwą. A właściciele ich siedzieli w karczmie, pili i śpiewali, zapomniawszy zupełnie o koniach i krowach pozostawionych na łasce bożej.

Nils Holgerson wraz z dzikimi gęśmi zatrzymał się tego wieczoru na nocleg na jednej z kęp jeziora Hjälmar. Małą tę wysepkę oddzielała od lądu wąska, płytką cieśnina, przez którą przy niskim stanie wody można się było przedostać na wyspę suchą nogą. Na wysepce lał taki sam deszcz jak wszędzie. Chłopiec, smagany jego strumieniami, nie mógł zasnąć. W końcu wstał i zaczął chodzić po wyspie. Zdawało mu się, że kiedy chodzi, mniej odczuwa deszcz.

Zaledwie obszedł wysepkę wokoło, kiedy w wodzie, oddzielającej kępę od lądu, usłyszał chlupotanie i po chwili ujrzał samotnego konia wynurzającego się z zarośli nad wodą. Była to stara szkapą, zwierzę tak nędzne i bezsilne, jakiego Nilsowi nigdy jeszcze do tychczas nie zdarzyło się widzieć. Miała sparaliżowane lędźwie, sztywne nogi i była tak straszliwie chuda, że bez trudu dałyby się policzyć żebra pod skórą. Nie widać było na niej ani siodła, ani wędzidła, tylko starą uzdę, od której zwieszał się na pół zgniły powróż. Zerwanie tego powrozu najwidoczniej nie wymagało wysiłku.

Koń szedł wprost w stronę dzikich gęsi i chłopiec zląkł się, że może je podeptać,
— Dokąd idziesz? Uważaj! — zawołał na konia,
— Ach, więc jesteś nareszcie! — przemówił koń zwracając się do chłopca. — Uszedłem już całą milę szukając ciebie.

— Znasz mnie? — zapytał chłopiec ze zdziwieniem.
— Mam jeszcze uszy do słuchania, chociażem taki stary. A o tobie dużo się teraz mówi.

I koń opuścił głowę, aby mu się lepiej przyjrzeć, a wtedy Nils Holgerson zauważył, że koń miał małą głowę z pięknymi oczyma i delikatny, miękko zarysowany pysk.

„Musiał to być niegdyś piękny koń, widocznie na stare lata tak zmarniał” — pomyślał sobie chłopiec.
— Mam do ciebie prośbę — przemówił koń — zechciej pójść ze mną i dopomóc mi w pewnej sprawie.

Chłopcu zdawało się, że byłoby niebezpiecznie oddalać się z tak nędznym stworzeniem, i wymówił się złą pogodą. Ale koń nie ustępował.

— Na moim grzbiecie nie będzie ci gorzej niż tutaj. Tylko że może nie masz odwagi udać się w drogę z taką starą szkapą jak ja.

— O, nie, odwagi mi nie brak! — powiedział chłopiec.

— Zbudź więc gęsi, abym mógł się z nimi porozumieć, dokąd po ciebie jutro mają przylecieć.

Wkrótce Nils Holgerson siedział na grzbiecie konia, który kłusował o wiele lepiej, niż chłopiec przypuszczał. Swoją drogą jazda wśród nocy i deszczu trwała długo, aż nareszcie skończyła się przed wielką oberżą. Wyglądało tu wszystko okropnie. Koleiny od wozów były tak głębokie, że chłopiec utonąłby na pewno, gdyby w nie wpadł. Do płotu, otaczającego dziedziniec, uwiązano trzydzieści do czterdziestu koni i krów. Stały tam bez żadnej osłony przed deszczem, W głębi dziedzińca Nils ujrzał wozy, a na nich skrzynie, w których znajdowały się barany, świny i kury.

Koń stanął u płotu. Chłopiec siedział jeszcze na jego grzbiecie I dobrym swym wzrokiem, który mu od czasu zaczarowania doskonale służył wśród ciemności, rozpoznawał wyraźnie, jak źle działo się tutaj biednym zwierzętom.

— Dlaczegoż to stoicie tutaj na deszczu? — zapytał.

— Deszcz zaskoczył nas po drodze na jarmark w Örebro i musiałyśmy się tutaj zatrzymać. Jest tu wprawdzie oberża, ale zeszło się do niej tylu podróżnych, że dla nas nie było już miejsca pod dachem.

Chłopiec nic na to nie odpowiedział, rozglądając się w milczeniu wokoło. Niektóre tylko zwierzęta spały, zewsząd zaś rozlegały się skargi i głośnie narzekania. Wszystkie te biedne stworzenia miały słuszny powód do narzekań, gdyż pogoda była teraz jeszcze okropniejsza niż w dzień. Zerwał się lodowato zimny wiatr, a ostry, siekący deszcz padał wraz ze śniegiem. Nie trudno więc było odgadnąć, jakiej pomocy żądał koń od chłopca.

— Czy widzisz tę wielką zagrodę naprzeciwko nas? — zapytał koń.

— Widzę — odrzekł chłopiec — i nie rozumiem, dlaczegoście tam nie szukały schronienia. Czyżby i tam już brakło miejsca?

— Nie, tam nie ma obcych zwierząt — odparł koń. — Ale właściciele zagrody tak są skąpi i niegościnni, że na nic by się nie przydało prosić ich o przytułek.

— Ach, więc to dlatego — rzekł Nils, — W takim razie musicie zostać na swoim miejscu.

— Tak, tylko widzisz, ja się w tamtej zagrodzie urodziłem i wychowałem — tłumaczył koń — i wiem, że jest tam wielka stajnia i obora z mnóstwem żłobów, więc chciałem ciebie zapytać, czybyś nie mógł wystarać się tam o nocleg dla nas?

— Ach nie, na to się nie odważę — odrzekł chłopiec. Było mu jednak bardzo żal biednych zwierząt i dlatego zgodził się w końcu uczynić próbę.

Pobiegł do obcej zagrody i zauważył od razu, że wszystkie budynki gospodarskie były zamknięte, a klucze wyjęte z zamków. Stał więc bezradnie, kiedy nagle zjawiała mu się zupełnie nieoczekiwana pomoc. Szalony wiatr, pędząc z hukiem i świstem, otworzył wielkie wrota stodoły, przed którą się chłopiec zatrzymał.

Nils więc wrócił w największym pośpiechu do konia i powiedział:

— Nie mogę cię wprawdzie wprowadzić do stajni, ale zapomniano zamknąć wielką, pustą stodołę i tam możecie się schronić.

— Należą ci się za to serdeczne dzięki — powiedział koń. — Więc jeszcze raz będę się mógł przespać w mojej rodzinnej zagrodzie! Jedyna to przyjemność, której jeszcze mogę doznać w życiu.

A w zamożnej zagrodzie, leżącej naprzeciw oberży, mieszkańcy czuwali tego wieczora dłużej niż zwykle.

Gospodarz był to chłop liczący lat około trzydziestu pięciu, wysoki i smukły, o twarzy pięknej, lecz ponurej. Za dnia spotkał go w drodze deszcz i przemoczył tak samo jak i wszystkich innych. Dlatego też chcąc wysuszyć odzienie, poprosił przy kolacji starą matkę, która rządziła jeszcze we dworze, aby rozpałała ogień w kominie. Matka rozpałała skąpy płomyk, w domu tym bowiem oszczędzano paliwa, a

chłop rozwiesił swą kurtkę na krześle tuż przy ogniu. Po czym oparł nogę o komin, łokcie o kolano i wpatrywał się w zamyśleniu w płomienie. Stał tak już od kilku godzin bez ruchu, odrywając się od swych myśli jedynie wtedy, gdy trzeba było dorzucić nowe drewno do ognia.

Matka sprzątnęła ze stołu i posłała synowi łóżko, po czym wyszła do alkierza i szykowała się do spoczynku. Kiedy niekiedy jednak stawiała na progu i patrzyła pytająco na syna, który wciąż jeszcze stał przy ogniu i ani myślał o spaniu,

— Nic mi nie jest, matko — odezwał się w pewnej chwili syn.

— Przypomniało mi się tylko coś z dawnych czasów.

Gospodarz miał tego dnia następującą przygodę. Gdy przechodził obok oberży, handlarz zapytał go, czyby nie chciał kupić konia. I pokazał mu starą szkapę, tak wynędzniałą, że gospodarz nie mógł się powstrzymać od zwymyślenia kupca, który oszalał chyba ofiarowując mu taki towar,

— O, nie gniewajcie się! — odrzekł handlarz. — Dowiedziałem się, że ten koń należał niegdyś do was, i pomyślałem sobie, że mielibyście może ochotę wziąć go na łaskawy chleb, a przydałoby mu się to bardzo.

Wtedy gospodarz przyjrzał się szkapie dokładniej i poznał ją od razu. Tak — wychował ją przecież niegdyś sam i ujeździł. Mimo to nie śniło mu się teraz kupować takiego starego, bezużytecznego zwierzęcia. Nie — o tym nie mogło być mowy. Nie należał do ludzi wyrzucających pieniądze za okno,

A jednak widok konia obudził w nim dużo wspomnień i w tych to wspomnieniach zatopiony był teraz tak głęboko. I dlatego nie myślał o udaniu się na spoczynek.

Ach tak, koń ten był dobrym, dzielnym stworzeniem! Ojciec oddał mu go na własność od pierwszej chwili. On go ujeźdżał i przywiązał się do niego bardziej niż do jakiegokolwiek stworzenia. Ojciec skarżył się nieraz, że syn zbyt obficie swego ulubieńca karmi i stale wykrada dla niego owies ze spichrza.

Dopóki miał tego konia, nigdy nie chodził pieszo do kościoła, a zaprzęgał go do bryczki tylko dlatego, żeby się nim popisać. On sam nosił samodziałową, w domu uszytą odzież, bryczka była nędzna i nie pomalowana, ale koń był za to najpiękniejszym z koni, jakimi ludzie zajeżdżali przed kościół.

Razu pewnego zdobył się na odwagę i zapytał ojca, czy nie mógłby kupić sobie ubrania sukiennego i pomalować bryczki farbą olejną,

Ale ojciec zdrętwiał i spojrzał na niego przerażonym wzrokiem. Syn próbował się usprawiedliwić dowodząc, że właściciel tak pięknego konia powinien sam wyglądać trochę przyzwoiciej.

Ojciec nic nie odrzekł, lecz w kilka dni później udał się z koniem do Örebro i sprzedał go na targu.

Było to okrucieństwo ze strony ojca, ale ojciec sądził widocznie, że koń — to dla syna pokusa do próżności i do rozrzutności. I teraz, kiedy już minęło tyle czasu od owej chwili, musiał syn przyznać, że ojciec miał wówczas słuszość. Taki koń mógł łatwo skusić do złego. Zrazu jednak strata ulubieńca dotknęła go boleśnie. Nieraz jeździł do Örebro tylko po to, aby, stojąc na rogu ulicy, ujrzeć przejeżdżającego, dawnego swego ulubieńca albo zakraść się do jego stajni z kawałkiem cukru.

— Kiedy ojciec umrze i dwór należeć będzie do mnie, odkupię sobie mego konia. Od tego zacznę — powiedział wówczas,

Teraz ojciec nie żył i on sam był już od kilku lat gospodarzem, ale nie próbował ani razu odkupić konia. Tak, po raz pierwszy od dłuższego czasu wspomniął o nim dopiero owego wieczora.

Jakież to dziwne, że mógł o nim tak zupełnie zapomnieć! Ale ojciec był twardym i surowym człowiekiem. Kiedy syn dorósł i razem gospodarowali, miał nad nim zawsze ogromną przewagę. W końcu doszło do tego, że syn myślał, iż wszystko, co ojciec robi, jest dobre i słuszne. A gdy potem sam został panem w zagrodzie, starał się zawsze postępować we wszystkim zupełnie tak, jak postępował ojciec.

Wiedział dobrze, że ludzie mówią, iż ojciec był skąpcem, ale myślał, że należy mocno ścisnąć

sakiewkę i nie wyrzucać pieniędzy przez okno. Nie wolno marnować dobra, które przypadło nam w udziale. Lepiej uchodzić za skąpca i siedzieć na niezadłużonej ziemi niż tak, jak inni gospodarze, kłopotać się o długi hipoteczne,

I gospodarz pogrążył się w myślach. Nagle drgnął gwałtownie, gdyż do uszu jego doleciało coś niezwykłego. Jak gdyby czyjś głos donośny, szyderczy głos, powtórzył to, co on sam myślał przed chwilą. „Trzeba mocno ścisnąć sakiewkę, Lepiej jest uchodzić za sknerę, a siedzieć na niezadłużonej zagrodzie niż, jak inni gospodarze, kłopotać się o hipoteki obciążone długami”.

Brzmiało to tak, jak gdyby ktoś kpił z jego mądrości. I gospodarz uniósłby się na pewno gniewem, gdyby nie był spostrzegł, że wszystko to było tylko złudzeniem. Na dworze zerwał się silny wiatr, a on stał tak długo na jednym miejscu, że ogarnęła go senność i dlatego to wycie wiatru w kominie wydało mu się dźwiękiem głosu ludzkiego.

Odwrócił się i spojrzał na wielki zegar ścienny — bił właśnie godzinę jedenastą.

„Najwyższy czas udać się do łóżka” — pomyślał sobie. Lecz wtem przypomniało mu się, że nie obszedł jeszcze, jak to czynił codziennie, gospodarstwa, żeby się przekonać, czy wszystkie drzwi i okiennice są zamknięte i wszystkie światła pogaszone. Narzucił więc pośpiesznie kurtkę i wyszedł na deszcz.

Znalazł wszystko w porządku, tylko wiatr otworzył drzwi pustej stodoły. Wyjął więc klucz, zamknął stodołę i wsadził z powrotem klucz do kieszeni. Po czym wrócił do izby, zdjął kurtkę i rozwiesił ją znów przy ogniu, I teraz przecież nie szedł jeszcze do łóżka, lecz chodził po izbie tam i z powrotem. Co za okropna pogoda! Jakiż zimny, przejmujący wiatr! I jaki lodowaty deszcz ze śniegiem! A jego stary koń stoi tam pod gołym niebem, bez kawałka dery, żeby się ochronić przed deszczem! Powinien by jednakże wyjść i zaofiarować nocleg swemu staremu przyjacielowi, skoro zdarzyło się, że ten znalazł się w pobliżu jego nagrody.

Tymczasem Nils usłyszał w pewnej chwili donośny dźwięk starego zegara wybijającego naprzeciwno w oberży godzinę jedenastą. Zabierał się właśnie do odwiązywania bydła, chcąc zaprowadzić je do zagrody. Dość długo trwało, zanim je zbudził i ustawił, wreszcie jednak pochód uporządkowany w długi szereg, z chłopcem na czele ruszył w stronę zagrody skąpego gospodarza.

W tym czasie właśnie gospodarz skończył przegląd gospodarstwa i zamknął wrota stodoły. Kiedy więc pochód bydła stanął przed stodołą, zastał wejście do niej zamknięte. Chłopiec zmieszał się ogromnie. Niesposób było jednak zostawić biedne zwierzęta bez dachu. Musi teraz koniecznie udać się do chaty i wydostać klucz,

— Uważaj, aby tu było cicho, dopóki nie wrócę z kluczem — powiedział do starej szkapy. I z tymi słowami pobiegł szybko do chaty.

Stał na środku dziedzińca i zastanawiał się, jak tu przedostać się do izby. Kiedy tak stał pograżony w myślach, spostrzegł nagle dwie małe dziewczynki, które zjawiły się przed oberżą.

Pobiegł czym prędzej ku nim, myślał bowiem, że może one potrafią mu pomóc.

— Chodź, Marysiu — powiedziała starsza dziewczynka — teraz nie wolno ci już płakać. Tutaj jest zajazd. Tutaj znajdziemy z pewnością nocleg.

— Nie, nie pytajcie nawet o nocleg w zajeździe, tu nie znajdzie się już miejsca dla nikogo. Ale tam w zagrodzie naprzeciwno oberży nie ma gości. Idźcie tam!

Obydwie dziewczynki słyszały te słowa wyraźnie, choć nie widziały tego, kto z nimi rozmawiał. Nie dziwiło ich to jednak, gdyż wokoło było zupełnie ciemno.

Starsza dziewczynka odpowiedziała też natychmiast:

— Nie, nie pójdziemy do tej zagrody, bo ludzie, którzy w niej mieszkają, są skąpi i nieużyteczni. Ich to wina, że musimy żebrnąć po drogach.

— Być może — rzekł chłopiec. — Ale mimo to idźcie tam, a zobaczycie, że wszystko dobrze się skończy.

— Możemy popробować, ale z pewnością nie wpuszczą nas nawet za próg — odrzekły dzieci. Po czym podeszły do chaty i zastukały do drzwi.

Gospodarz wciąż jeszcze stał przy ogniu i myślał o swoim starym koniu, kiedy usłyszał stukanie. Podeszedł do drzwi, aby zobaczyć, kto zapukał, ale w duchu postanowił sobie zawczasu, że nie da się nakłonić do wpuszczenia kogokolwiek. W tejże samej chwili przecież, kiedy uchwycił klamkę, zerwał się czatujący widocznie wiatr, szarpnął drzwiami i wyrwał je chłopu z rąk, rzucając nim samym o ścianę. Teraz musiał gospodarz wyjść aż na schody, żeby zamknąć drzwi z powrotem, a gdy wrócił do izby, zastał w niej już obie dziewczynki. Biedne, brudne, w łachmany odziane, wygłodniałe, dwie małe dziewczynki, uginające się pod ciężarem worków żebraczych, tak wielkich jak one same.

— A cóż to za hołota, co się po nocy włóczy? — zapytał niechętnie.

Dzieci nic zrazu nie odpowiedziały, zdejmując wprzód worki z pleców. Następnie podeszły do gospodarza z wyciągniętymi rękami.

— To my, Anusia i Marysia z Engård — powiedziała starsza. — Chciałyśmy prosić o nocleg.

Gospodarz nie wziął podawanych sobie rączek, chciał nawet od razu wyprowadzić dzieci za drzwi, kiedy nagle odżyło w nim nowe wspomnienie.

Engård była to mała zagroda, w której mieszkała uboga wdowa z pięciorgiem dzieci. Wdowa dłużna była staremu gospodarzowi kilkaset koron i dla pokrycia tego długu wierzyciel kazał zagrodę sprzedać. Wdowa musiała wywędrować z trojgiem starszych dzieci do Nordlandii na zarobek, a dwoje najmłodszych pozostało na utrzymaniu gminy.

Wspomnienie tego zdarzenia rozgniewało gospodarza. Wiedział, jak bardzo cała parafia potępiała ojca za to, że żądał tych pieniędzy, które przecież należały mu się prawnie.

— A cóż wy robicie? — zapytał surowym głosem dzieci. — Czyż opiekun ubogich nie zajmuje się wami? Dlaczego włóczycie się po drogach i żebracie?

— To nie nasza wina — odezwała się starsza dziewczynka. — Ludzie, u których mieszkamy, wysłali nas na żebranie.

— No i nie możecie się skarżyć, bo wasze worki są pełne — rzekł gospodarz. — Najlepiej zrobicie, gdy się posilicie tym, co macie w workach, bo tutaj nie ma nic do jedzenia. Wszystkie kobiety śpią. A potem możecie się położyć w kącie koło komina, tam nie zmarzniecie.

I gospodarz zrobił odpychający ruch ręką, jak gdyby chciał dzieci odstraszyć, a oczy jego przybrały surowy wyraz — myślał, że powinien być zadowolony, iż miał ojca, który tak dbał o swój majątek, inaczej on, syn, musiałby może także, jako mały chłopiec, włóczyć się z workiem żebraczym jak te oto dzieci.

Zaledwie podobne myśli powstały w głowie gospodarza, kiedy ten sam donośny, szyderczy głos, który już raz odezwał się tego wieczoru, powtórzył to samo słowo w słowo. Gospodarz słuchał, poznał jednak natychmiast, że nie był to głos ludzki, lecz wiatr huczący w kominie. Dziwne było tylko to, że własne myśli, powtórzone przez wiatr, wydały się nagle chłopu głupie, złe i opaczne.

Tymczasem dzieci wyciągnęły się obok siebie na twardej podłodze, nie zasnęły jednak od razu, lecz szeptały dość głośno.

— Będziecie wy cicho! — zawołał gospodarz. Był teraz tak rozdrażniony, że mógłby dzieci zbić.

Ale szept nie ustawał, mimo że chłop jeszcze raz surowo nakazał dzieciom milczenie.

— Kiedy matka odchodziła od nas, musiałam jej przyrzec, że nigdy nie zapomnę zmówić modlitwy wieczornej. Musimy, Marysiu, dotrzymać tej obietnicy. Powiemy jeszcze tylko: „I proszę także, niech mnie od złego na każdym kroku aniołki strzegą”, a potem zaraz zaśniemy.

Gospodarz słuchał w milczeniu tej modlitwy dzieci. Potem wstał i zaczął chodzić po izbie wielkimi krokami, kiedy niekiedy zaciskając ręce, jakby nim targała jakaś zgryzota wewnętrzna. Koń wyniszczony! Dzieci — żebraczki! A jedno i drugie jest dziełem jego ojca! Ach, nie wszystko więc, co czynił jego ojciec, było słuszne i dobre.

Rzucił się na krzesło i ukrył głowę w dłoniach. Nagle po twarzy jego przebiegło drżenie, oczy napełniły się łzami, które, mimo że je ocierał, napływały bezustannie.

Wtem matka otworzyła drzwi od alkierza. Gospodarz przestawił krzesło, odwracając się do niej plecami. Musiała jednak zauważyć coś niezwykłego, gdyż stała przez długą chwilę za nim, jak gdyby czekała, że się sam odezwie. Potem pomyślała, z jaką to zwykle trudnością mówią mężczyźni o tym, co ich najgłębiej porusza, i postanowiła dopomóc synowi.

Widziała z alkierza wszystko, co zaszło w izbie, nie miała więc potrzeby pytać. Podeszła cicho do śpiących dzieci, wzięła je na ręce i zaniósłszy do alkierza, ułożyła na własnym łóżku. Następnie wróciła do syna.

— Słuchaj, Lars — rzekła udając, że nie widzi jego łez. — Pozwól mi zatrzymać dzieci u siebie.

— Co mówisz, matko? — zapytał powstrzymując łzy.

— Już wtedy, kiedy twój ojciec sprzedawał zagrodę ich matki, było mi ich serdecznie żal, I ty także litowałeś się nad nimi...

— Tak, ale...

— Chciałabym bardzo zatrzymać je teraz u nas i wychować na porządnym ludzi. Szkoda, żeby miały zostać żebraczkami.

Gospodarz nie odpowiedział ani słówka, gdyż łzy płynęły mu z oczu strumieniami, ujął tylko pomarszczoną rękę matki i gładził ją nieśmiało. Nagle zerwał się, jak gdyby zdjęty nagłym strachem.

— Co by na to ojciec powiedział? — zawołał.

— Ojciec rządził tutaj w swoim czasie, teraz przyszła kolej na ciebie. Dopóki ojciec żył, musieliśmy go słuchać. Teraz ty powinienes pokazać, kim jesteś.

Syn był tak zdumiony słowami matki, że łzy przestały mu płynąć.

— Przecież ja pokazuję, kim jestem! — powiedział.

— Nie — odrzekła matka. — Właśnie że tego nie robisz. Dokładasz wszelkich starań, aby być podobnym do ojca. Ale ojciec przeżywał tutaj ciężkie czasy i dlatego lękał się tak bardzo nędzy. Sądził, że obowiązkiem jego jest dbać przede wszystkim tylko o siebie. Ty jednak nie znałeś nigdy takich ciężkich czasów i serce twoje nie powinno było stać się nieczułym, Masz więcej, niż ci potrzeba, i dlatego nie wolno ci myśleć tylko o sobie.

Tymczasem Nils Holgerson, który wśliznął się za dziewczynkami do izby, ukrył się w ciemnym kącie. Spozregł od razu klucz od stodoły wyglądający gospodarzowi z kieszeni.

„Jeśli wypędzi dzieci, wyjmę klucz i ucieknę” — myślał.

Ale gospodarz dzieci nie wypędził i chłopiec musiał zostać w kryjówce, nie wiedząc, co począć. Matka rozmawiała jeszcze długo z synem, a podczas tej rozmowy gospodarz uspokoił się zupełnie. W końcu twarz jego przybrała tak piękny wyraz, iż zdawało się, że stał się od razu zupełnie innym człowiekiem. Przy tym wciąż jeszcze głaskał pomarszczoną rękę swej matki.

— A teraz trzeba nam jednak pójść do łóżka — rzekła matka widząc, że syn wrócił już do równowagi.

— Nie — odrzekł gospodarz i podniósł się z pośpiechem — nie mogę pójść spać. Na dworze stoi jeszcze jeden gość, któremu muszę dać nocleg.

I nie mówiąc już nic więcej, narzucił szybko kurtkę, zapalił latarkę i wyszedł. Na dworze było jeszcze tak — jak poprzednio — zimno i dżdżysto, a jednak gospodarz, schodząc ze schodów, nucił jakąś melodię. Myślał o tym, czy go też koń pozna i czy bardzo będzie się cieszył, kiedy się znowu dostanie do

dawnej swej stajni.

Przechodząc przez dziedziniec usłyszał, że wiatr trzasnął jakimiś drzwiami.

„Zapewne wiatr znowu odemknął wrota od stodoły” — pomyślał i poszedł, aby je jeszcze raz zamknąć.

Po chwili stał już przed stodołą i chciał ją właśnie zamknąć, kiedy nagle wydało mu się, że wewnątrz coś się porusza,

I rzeczywiście tak było.

Chłopiec korzystając ze sposobności, wymknął się z izby jednocześnie z gospodarzem. Szybko pobiegł ku stodołę, przed którą pozostawił zwierzęta. Te jednak już nie mokły na deszczu. Gwałtowny wichur szarpnął ponownie wrotami i otworzywszy je na oścież, pozwolił biednym stworzeniom ukryć się przed ulewą.

Szmer, który dobiegł do uszu gospodarza, wywołany był przez chłopca, który wbiegł do stodoły.

Chłop zaświeceił latarką i ujrzał, iż stodoła pełna była śpiącego bydła. Człowieka nie było ani śladu. Zwierzęta same układały się na słomie, jak umiały.

Gospodarza rozgniewali ci nieproszeni goście. Zaczął krzyczeć i kłać, chcąc rozbudzić i wygnać zwierzęta. Lecz te nie przerywały sobie snu i nie ruszały się z miejsca. Podniosło się tylko jedno, jedyne zwierzę, stary koń, który ze spokojem podszedł do gospodarza.

I nagle ten zamilkł. Już po chodzie poznał dawnego przyjaciela. Podniósł latarkę. Koń zbliżył się i położył mu łeb na ramieniu.

Gospodarz pogłaskał go pieszczotliwie po pysku.

— Moje stare, pocziwe konisko! Mój stary, pocziwy towarzy szu! — powiedział. — Co też oni zrobili z ciebie? Tak, tak, stary przyjacielu, teraz odkupią cię już na pewno. Nigdy już nie opuścisz tej zagrody, zobaczysz, jak ci tu będzie dobrze, mój stary. Tamci, których tu przyprowadziłeś z sobą, mogą tu przenocować, ale ty pójdiesz ze mną do stajni. Teraz wolno mi dać ci tyle owsa, ile będziesz chciał, nie będę go już musiał wykradać dla ciebie. I pokaże się, że nie jesteś jeszcze wcale taki do niczego. Zobaczysz, znów będziesz najpiękniejszym koniem na placyku przed kościołem. Tak jak niegdyś! Tak, tak, moje pocziwe, kochane konisko, tak, tak!

RUSZENIE LODÓW

Czwartek, 28 kwietnia

Następnego dnia pogoda była cudowna. Wprawdzie dał jeszcze silny wiatr wschodni, ale przychodził w porę, gdyż osuszał drogi rozmiękłe od wczorajszego deszczu. Wczesnym rankiem szosą, prowadzącą z Sörmlandii do Närke, dążyło dwoje dzieci ze Smälandii — gęsiarka Aza i jej braciszek Mats. Droga ciągnęła się południowym brzegiem Hjälmardu i dzieci przyglądały się z zajęciem powierzchni lodowej pokrywającej znaczną część jeziora. Słońce poranne oświeślało jasno tafłę lodu, nie wyglądała więc ona tak ponuro i groźnie, jak to zazwyczaj bywa wiosną, lecz przeciwnie, wabiła dzieci jasnym swym lśnieniem. Jak daleko sięgało oko, wszędzie lód był mocny i pewny. Wszystka woda deszczowa przesiąkła przez dziury i szpary albo też pochłonięta została przez lód i przed oczyma dzieci roztaczała się tylko jedna wspinała powłoka lodowa.

Gęsiarka Aza i Mats udawali się do północnej Szwecji i widok lodu nasunął im myśl, żeby dla zaoszczędzenia sobie drogi przejść w poprzek wielkiego jeziora, zamiast okrążyć je wokoło. Wiedzieli wprawdzie, że lód bywa na wiosnę zdradliwy, ten przecież robił wrażenie zupełnie mocnego, a nawet

widać było wyraźnie, że przy brzegach miał kilka cali grubości. Spostrzegli także wydeptaną ścieżkę, po której mogliby iść, a przy tym przeciwległy brzeg wydawał im się tak bliski, że pewni byli, że dotrą do niego za godzinę.

— Chodź, spróbujemy — odezwał się Mats. — Zobaczysz, będziemy uważali, żeby nie wpaść w przerębłę, i pójdzie bardzo dobrze.

Aza zgodziła się i dzieci zeszyły na lód. Lód nie był wcale gładki i można było iść po nim z łatwością. Stało na nim jednak więcej wody, niż to się zdawało z brzegu, a tu i ówdzie widać było małe dziury, z których wy tryski wała woda. Takich miejsc należało się wystrzegać, ale wśród dnia, przy jasnym blasku słońca, nie przedstawiało to żadnych trudności.

Dzieci szybko i z łatwością posuwały się naprzód i powtarzały; sobie bezustannie, jaki to był dobry pomysł, że obrały drogę po lodzie, zamiast dreptać po rozmięklej szosie.

Kiedy już uszły sporą przestrzeń i miały wyspę Vinö, ujrzała ja z okna jakaś stara kobieta. Wybiegła z pośpiechem z domu i zaczęła dawać dzieciom znaki, których one nie mogły zrozumieć. Domyśliły się jednak, że kobieta ostrzega je, aby nie szły dalej. Ale dzieciom zdawało się, że na lodzie nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Byłyby głupie, żeby teraz schodzić z lodu, kiedy wszystko tak pomyślnie się układało!

Minęły więc Vinö i miały teraz przed sobą milową przestrzeń lodu. Odtąd spotykały raz po raz wielkie kałuże wody, które musiały okrążyć nakładając drogi. Ale sprawiało im to tylko uciechę. Biegły na wyścigi, aby trafiać na najpewniejsze miejsca, i nie czuły ani głodu, ani zmęczenia. Miały však cały dzień przed sobą i bawiła je każda napotykana przeszkoda.

Kiedy niekiedy zwracały spojrzenie na przeciwległy brzeg. Wydawał się wciąż jeszcze tak samo oddalony, jakkolwiek dzieci szły już dobrą godzinę. To je trochę zaniepokoiło, nie myślały bowiem, aby jezioro było takie szerokie.

— Zdaje się, jakby tamten brzeg uciekał przed nami — odezwał się Mats.

Na otwartej przestrzeni lodu dzieci wystawione były na podmuchy wschodniego wiatru, który wzmagał się teraz z godziny na godzinę i tak szarpał ich ubraniami, że nie mogły się ruszyć z miejsca. Ten zimny wiatr był pierwszą prawdziwą przykrością, która ich spotkała po drodze. zn.

Było jeszcze coś, co wprawiło je w zdziwienie: oto wiatr nadciągał z takim dziwnym hukiem, jak gdyby nioś z sobą klekotanie wielkiego młyna albo turkot warsztatów. A przecież na polach lodowych nic podobnego istnieć nie mogło.

Dzieci, skręciwszy w kierunku zachodnim, obeszy już całą wyspę Vinö i zdawało im się, że teraz północny brzeg przybliży się coraz bardziej. Jednocześnie przecież wiatr stawał się nie do zniesienia, głośny huk rozlegał się coraz donośniej i dzieci zaczynał ogarniać niepokój.

Nagle przyszło im na myśl, że huk, który słyszały, mógł przecież pochodzić od fal rozbijających się gwałtownie o brzegi. Ale to było chyba niemożliwe — jezioro było przecież całe pokryte lodem.

Mimo to dzieci stanęły i rozejrzały się wokoło. Daleko na zachodzie, tam nad Björnö i Göksholmem wznosił się biały wał, przecinający w poprzek lód. Dzieci myślały zrazu, że to zwały śniegu ciągnące się wzdłuż drogi, wkrótce jednak poznały, że była to piana bałwanów bijących o lód. Na ten widok chwyciły się za ręce i poczęły uciekać nie mówiąc do siebie ani słowa. Daleko na zachodzie jezioro rzuciło swą powłokę lodową i dzieciom zdawało się, że widzą, jak spienione fale jeziora ciągną na wschód. Nie wiedziały co prawda, czy lód ruszy wszędzie jednocześnie ani też, co i jak się stanie, ale czuły wyraźnie, że grozi im niebezpieczeństwo.

Naraz wydało im się, że lód podnosi się właśnie w tym miejscu, po którym one biegły. Istotnie podnosił się i opadał, zupełnie jakby od spodu ktoś weń uderzał. Po chwili rozległ się suchy trzask, po czym na lodzie ukazały się biegnące we wszystkich kierunkach rysy i dzieci widziały, jak rys tych stale

przybywało.

Teraz na chwilę nastąpiła cisza na całej powierzchni lodu. Ale wnet dzieci uczuły znowu, że lód pod ich stopami wznosi się i opada, a rysy na nim stały się szczelinami, przez które wytrysnęła woda. Wkrótce szczeliny zamieniły się w otwarte przeręble, które podzieliły lód na wielkie bryły.

— Azo! — zawołał Mats. — To lody ruszają.

— Tak jest, ruszają, Matsie — odpowiedziała Aza. — Ale możemy się jeszcze przedostać na ląd, biegnijmy tylko prędko.

Istotnie, fale i wiatr miały jeszcze dużo pracy przed sobą z uprzątnięciem całego lodu z jeziora. Najcięższą odrobiły już co prawda, kiedy powłoka lodowa pękła, ale wszystkie te wielkie bryły trzeba było jeszcze rozbić, rzucając jedną o drugą, zdruzgotać, zmiażdżyć, skruszyć. Pozostały jeszcze zresztą nie naruszone wielkie przestrzenie twardego, mocnego lodu.

Największe niebezpieczeństwo polegało na tym, że dzieci nie obejmowały wzrokiem całego lodu. Dlatego nie mogły zobaczyć szerokości szczelin, nie wiedziały, czy uda im się przeskoczyć przez nie, nie wiedziały także, które bryły lodu są dość wielkie na to, aby utrzymać ich ciężar. Błądziły więc bezradnie to tu, to tam i oddalały się coraz bardziej od lądu. W końcu nie mogły sobie już wcale dać rady na pękającym lodzie i stanęły w panicznym strachu, wybuchając płaczem.

Nagle przeleciało nad nimi z szumem stado dzikich gęsi. Gęsi gęgały wrzaskliwie i dzieci ku najwyższemu swemu zdumieniu zrozumiały w tym gęganiu zwrócone wyraźnie do siebie słowa:

— Idźcie na prawo, na prawo!

Dzieci poszły natychmiast za tą radą, ale wkrótce stanęły znów. bezradnie nad szeroką, rozwartą szczeliną.

I znów usłyszały wrzask gęsi nad sobą, i znów zrozumiały w nim słowa:

— Zostańcie tam, gdzie stoicie! Zostańcie tam, gdzie stoicie!

Dzieci, nie rozmawiając z sobą o tym, co słyszały, posłuchały rady; i stanęły na miejscu. Po chwili bryły lodu zsunęły się tak, że dzieci łatwo mogły przeskoczyć przez szczelinę.

Teraz ujęły się znowu za ręce i biegły dalej. Bały się już nie tylko niebezpieczeństwa, ale i pomocy, której doznawały.

Po chwili musiały się znowu zatrzymać w niepewności, ale natychmiast rozległ się głos:

— Prosto przed siebie! Prosto przed siebie! Prosto przed siebie!

Trwało to przez dobre pół godziny. Wreszcie dotarły dzieci do cypla Lungeru i mogły już po nim przedostać się na ląd. Widać było po nich, jaki strach przeżyły. Stanąwszy na brzegu nie zatrzymały się nawet i nie rzuciły ani jednego spojrzenia na jezioro szalejąca w walce z krą, lecz biegły pośpiesznie coraz dalej. Gdy odbiegły już dość daleko, Aza zatrzymała się nagle.

— Poczekaj tutaj chwilkę, Matsie — powiedziała — zapomniałam o czymś.

I wróciła na brzeg jeziora. Tam poszperała w worku, wyciągnęła z niego mały, drewniany sandałek i postawiła go na kamieniu, aby go było łatwo dostrzec. Potem wróciła do brata, nie oglądając się ani razu za siebie.

Zaledwie jednak odeszła, ukazał się w powietrzu duży, biały gąsior, spadł szybko jak błyskawica na ziemię, schwycił sandałek w dziób i równie szybko pofrunął w górę.

PODZIAŁ

Czwartek, 28 kwietnia

Dzikie gęsi, po udzieleniu pomocy Azie i Matsowi, skierowały się na północ, do Vastmanlandii. Tutaj opuściły się na wielkie pola zbożowe w parafii Fellingsbro, aby sobie podjeść i odpocząć.

Chłopiec był także głodny, na próżno jednak szukał czegoś, czym by mógł się posilić. Rozglądając się na wszystkie strony, ujrzał na pobliskim polu dwóch ludzi idących za pługiem. W tejże chwili właśnie oracze porzucili pługi i usiedli zabierając się do spożycia przyniesionego posiłku. Chłopiec podbiegł szybko i przysunął się jak najbliżej.

„Kiedy się posilą — pomyślał sobie — _ pozostanie może dla takiego malca jak ja kilka okruszków albo skórka od chleba”.

Przez pole prowadziła dróżka, którą przechodził właśnie staruszek. Spostrzegłszy oraczy zatrzymał się, przeszedł przez murek kamienny i zbliżył się do nich,

— I dla mnie już czas na śniadanie — powiedział. Zdjął torbę wyjął z niej chleb. — Cieszę się, że nie będę musiał sam jeść śniadania — dodał.

Wkrótce między trzema mężczyznami zawiązała się rozmowa obaj oracze dowiedzieli się, że podróżny jest górnikiem z okręgu Korberg. Przestał już pracować, ponieważ był za stary, aby móc schodzić i wychodzić po drabinach kopalnianych, ale mieszka jeszcze w małym domku w pobliżu kopalni. Córka jego wyszła za mąż do Fellingsbro i był właśnie u niej w odwiedzinach. Córka chce, aby się na stałe przeniósł do niej, ale on nie może się na to zdecydować.

— To znaczy, że Norberg podoba wam się lepiej niż nasza okolica? — zapytał jeden z chłopów z uśmiechem. Wiedział bowiem dobrze, że Fellingsbro uważane jest za jedną z największych i najbogatszych parafii w całej okolicy.

— Myślicie, że mógłbym wyżyć w tak płaskim kraju? — odrzekł starzec czyniąc przeczący ruch ręką, jak gdyby coś podobnego nie dało się pomyśleć.

I wszyscy trzej na raz zaczęli się sprzeczać bez gniewu, która okolica Vastmanlandii jest najpiękniejsza. Jeden z rolników urodził się w Fellingsbro i chwalił bardzo równinę, drugi zaś pochodził z okręgu Västaser i uważał brzegi jeziora Mälars, jego lesiste wzgórza i urocze przylądki za najpiękniejszą część kraju. Ale stary górnik nie dał się przekonać i aby dowieść tamtym, że ma słuszość, zapytał, czy pozwolą mu opowiedzieć pewną historię, którą słyszał za czasów młodości od bardzo starych ludzi.

— Tutaj w Vastmanlandii — zaczął — mieszkała w dawnych czasach stara kobieta z rodu olbrzymów. Była ona bardzo bogata, gdyż cały kraj należał do niej. Miała, rozumie się, wszystko, czego tylko życzyć sobie mogła, a jednak gnębiła ją ciężka troska, nie wiedziała bowiem, jak ma podzielić swoje posiadłości między trzech synów.

A wynikało to stąd, że dwóch starszych swych synów nie kochała tak bardzo jak najmłodszego, który był jej oczkiem w głowie. Temu najmłodszemu chciała przeznaczyć lwią część dziedzictwa, jednocześnie przecież lękała się, że między braćmi wynikną kłótnie i zatargi, jeśli podział nie będzie sprawiedliwy.

Pewnego dnia kobieta poczuła, że śmierć się zbliża, nie było więc już czasu do namysłu. Przywołała do łóża wszystkich trzech synów i rzekła do nich:

„Podzieliłam swoje posiadłości na trzy części, spomiędzy których musicie wybierać. Do pierwszej należą wzgórza porośnięte dębami, lesiste pagórki i kwieciste łąki ciągnące się wokoło jeziora Mälars. Ten z was, który wybierze tę część, mieć będzie dobre pastwiska dla owiec i krów, a wzgórza dostarczać mu będą liści na paszę zimową — o ile nie zechce uprawiać ogrodnictwa. Brzegi jeziora porznięte są mnóstwem zatok i przylądków, które ogromnie sprzyjają rozsyłaniu produktów krajowych i stanowią wyśmienite drogi komunikacyjne. Tam gdzie rzeki wpadają do morza, dadzą się zbudować doskonałe porty i sądzę, że wkrótce powstaną tam wsie i miasta. Nie zbraknie mu także dobrej ziemi pod uprawę, mimo że położenie kraju jest takie różnorodne. Ta różnorodność zresztą stanowi także jedną z dobrych stron kraju, bo jeśli mieszkańcy przywykną do przenoszenia się z jednej wyspy na drugą, staną się

dobrymi żeglarzami, nauczą się podróżować po obcych krajach i przywozić stamtąd wielkie bogactwa. Tak oto przedstawia się część pierwsza dziedzictwa. Cóż o niej powiecie?”

Wszyscy synowie przyznali jednogłośnie, że jest to doskonała część i że ten, komu przypadnie, może uważać się za szczęśliwego.

„Tak, nic jej nie można zarzucić — rzekła stara olbrzymka — ale i druga część nie jest gorsza. Złożyło się na nią wszystko, co w moim kraju stanowi równinę i otwarte pole. Ciągną się więc w niej nieprzerwanie pola uprawne od jeziora Mälär aż do Dalarna. Ten, kto wybierze tę część, nie będzie żałował. Będzie mógł uprawiać tyle zboża, ile zechce, i zakładać folwarki. Przy tym ani on, ani jego potomkowie nie będą doznawali żadnych trosk pieniężnych. Żeby równina nie cierpiała od zbytnej wilgoci, przerznięłam ją wielkimi kanałami, które w wielu miejscach tworzą wodospady — na nich można pobudować młyny i kuźnie. Wzdłuż rowów usypałam wysokie wały ziemi — na nich łatwo będzie hodować lasy, które dostarczą drzewa na paliwo. Taka jest moja druga część i sędzę, że ten, komu ona przypadnie, będzie miał wszelkie powody do zadowolenia”.

I na to zgodzili się wszyscy trzej synowie i bardzo dziękowali matce, że tak dobrze wszystko dla nich urządziła.

„Tak, starałam się bardzo uczynić jak najlepiej — ciągnęła matka dalej. — A teraz opowiem wam o ostatniej części, nad którą najwięcej nałamałam sobie głowy. Bo widzicie, kiedy już połączyłam wszystkie moje gaje i pastwiska, i wzgórza w jedną część, całą zaś rolę i urodzajne grunty w drugą, spostrzegłam, że z moich posiadłości nie pozostało mi nic więcej, oprócz górzystych lasów sosnowych i jodłowych, szczytów górskich, przepaści, nagich urwisk, nędznych krzaków jałowcowych, ubogich gaików brzozowych i niewielkich jeziorek.

Tego żaden z was zapewne wybrać nie zechce. A jednak połączyłam to w jedną całość i umieściłam na północy i na zachodzie nad równiną. Lękam się tylko, że tego, kto część tę wybierze, czeka ubóstwo. Będzie mógł hodować tylko owce i kozy i, aby zarobić na utrzymanie, będzie musiał zajmować się rybołówstwem na jeziorach i polewaniem w lasach. Wodospadów i wartkich potoków mieć wprawdzie będzie pod dostatkiem, tak że będzie mógł stawiać tyle młynów, ile zechce, ale, niestety, mleć w nich będzie mógł co najwyżej korę drzewną. A poza tym będą mu dokuczały niewątpliwie niedźwiedzie i wilki, gdyż w takim pustkowiu najłatwiej im znaleźć schronienie.

Tak wygląda moja część trzecia. Wiem wprawdzie dobrze, że nie daje się ona porównać z tamtymi, i gdybym nie była tak bardzo chora, zrobiłabym nowy podział. Teraz jednak nie mogę już myśleć o tym. I oto ostatnie godziny moje zatrute są niepewnością, któremu z was dać tę część najgorszą. Byliście dla mnie wszyscy trzej dobrymi synami i nęka mnie to, iż względem jednego z was okaza się niesprawiedliwa”.

Po przedstawieniu całej sprawy matka spojrzała na synów ze smutkiem. Teraz już żaden z nich nie odezwał się, że podział jest jak najlepszy i że matka dbała troskliwie o ich dobro. Stali w milczeniu i łatwo można było zauważyć, że ten, komu się dostanie część trzecia, będzie niezadowolony.

Leżała więc stara matka w niepokoju i trosce i synowie widzieli, że znosi zawczasu męki śmiertelne, ponieważ musi rozdać puściznę, a nie może się zdecydować, którego z synów uczynić nieszczęśliwym przez oddanie mu najgorszej części.

Najmłodszy jednak z trzech synów kochał matkę najbardziej i nie mógł znieść widoku jej cierpień. Toteż odezwał się:

„Nie masz powodu martwić się, matko, bądź spokojna i pożegnaj się ze światem w ciszy i ukojeniu. Daj najgorszą część mnie, poradzę sobie i cokolwiek się stanie, nie będę się martwił, jeśli tamtym wieść się będzie lepiej niż mnie“.

Te słowa syna uspokoiły matkę, dziękowała mu serdecznie i błogosławiła. Rozdanie dwóch

pozostałych części poszło prędko, były przecież obie prawie jednakowej wartości.

Kiedy już wszystko zostało ułożone, matka podziękowała synowi jeszcze raz i wyznała, że oczekiwała tego, iż właśnie on dopomoże jej w tym ciężkim zadaniu. W końcu dodała, że pragnie bardzo, aby syn, kiedy już osiadzie w swym pustkowiu, pamiętał, jak bardzo go matka kochała.

I z tymi słowy zamknęła oczy. Po pogrzebie udali się bracia do swych posiadłości. Istotnie, dwaj starsi mieli wszelkie powody do zadowolenia.

Trzeci jednak wywędrował w pustkowie i przekonał się, że matka mówiła prawdę: część jego stanowiły przeważnie urwiska górskie i niewielkie jeziora. Mimo to poznał, z jaką miłością matka urządzała dla niego to dziedzictwo, małe bowiem resztki ułożone zostały w ten sposób, że utworzyły najpiękniejszą krainę. W wielu miejscach była ona dzika i niedostępna, a mimo to wszędzie piękna.

Widok ten nie był wcale pocieszający, sprawił jednak synowi radość.

Z czasem dopiero uczynił pewne odkrycie: zauważył, że skalisty grunt wygląda tu i ówdzie osobliwie. A kiedy się dokładniej przyjrzał, rozpoznał, że przeświecają w nim żyły rudy. Okazało się, że ziemia ta kryje w sobie żelazo, prócz tego dużo srebra i miedzi. Teraz syn domyślił się, że przypadło mu w udziale większe bogactwo niż dwom jego braciom, i przekonał się, jakie zamiary kierowały jego matką przy podziale dziedzictwa.

W OKRĘGU GÓRNICZYM

Czwartek, 23 kwietnia

Dalszą podróż dzikie gęsi odbywały z trudem. Natychmiast po śniadaniu zamierzały przelecieć w prostej linii nad Västmanlandią, ale wiatr zachodni wzmógł się i popędził je aż do granicy Upplandii. Unosiły się wysoko, a wiatr gnał je z ogromną szybkością. Chłopiec spoglądał w dół, aby zobaczyć, jak wygląda Västmanlandia, niewiele jednak mógł rozróżnić. Wschodnia część tej okolicy była płaska i równa. Widział to dokładnie, nie mógł tylko pojąć, co oznaczają wszystkie te bruzdy i linie ciągnące się w poprzek całej niziny; z północy na południe. Wyglądały one bardzo dziwnie, gdyż wszystkie ciągnęły się prościutęko w zupełnie równych odstępach,

— Kraina ta ma takie same pasy jak fartuch mojej matki — powiedział chłopiec. — Chciałbym tylko wiedzieć, czym są te pasy, które ją całą tak przerzynają?

— Rzeki i grzbiety górskie, drogi i linie kolejowe! — zawołały; dzikie gęsi w odpowiedzi. — Rzeki i grzbiety górskie, drogi i linie kolejowe!

I tak było naprawdę. Kiedy bowiem gęsi zapędziły się na wschód, natrafiły przede wszystkim na potok Hed, który płynie między dwoma grzbietami górkimi tuż obok linii kolei żelaznej. Następnie leciały nad rzeką Kolbäk, której po jednej stronie strzeże linia kolejowa, po drugiej grzbiet górski przerźnięty szosą. Następnie ujrzały rzekę Svarta, przecinającą również góry i doliny, dalej rzekę Lilia z górą Badelund i wreszcie rzekę Saga z szosą i linią kolejową po prawej stronie.

„Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tylu dróg idących w jednym kierunku — myślał chłopiec. — Jakież mnóstwo towarów: muszą tedy sprowadzać z północy”.

Przy tym wszystko to wydawało mu się bardzo dziwne, bo chłopiec wyobrażał sobie, że za Västmanlandią kończy się Szwecja. To, co po tym następuje, mogą być co najwyżej lasy i pustkowia.

Kiedy już wiatr zapędził dzikie gęsi aż nad rzekę Saga, musiała się Akka spostrzec, że zaleciała tam, dokąd nie zamierzała, gdyż zawróciła, i całe stado, lecąc z gwałtownym wysiłkiem przeciw wiałtrowi, udało się i powrotem na zachód. Leciały więc powtórnie nad pasiąstą równiną, a potem nad zachodnią

częścią kraju, składającą się z lesistych wzgórz.

Dopóki droga wiodła ponad równiną, chłopiec przechylał się przez szyję gąsiora i patrzył w dół, kiedy jednak zostawili już równinę poza sobą, wyprostował się, aby dać oczom wypoczynek, tam bowiem, gdzie ziemię pokrywa las, rzadko zdarza się coś osobliwego do zobaczenia.

Kiedy jednak gęsi przeleciały już sporą przestrzeń nad wzgórzami leśnymi, chłopcu wydało się nagle, że słyszy w dole na ziemi jakieś zgrzyty i jęki. Przechylił się czym prędzej, patrząc z zaciekawieniem w dół. Dzikie gęsi, lecąc pod wiatr, musiały zwolnić lotu, chłopiec więc mógł dojrzeć dokładnie to, co się działo pod nim na ziemi. Pierwsza rzecz, którą ujrzał, był to czarny otwór prowadzący w głąb ziemi. Nad otworem urządzona była z dużych belek winda do wyciągania ciężarów, która właśnie podnosiła do góry ze zgrzytem i jękiem beczkę naładowaną odłamkami skał. Wokoło leżały wielkie stosy kamieni, w szopie syczała maszyna parowa. Kobiety i dzieci siedziały półkolem na ziemi i sortowały kamienie. Po wąskich szynach kolejowych toczyło się kilka wagoników naładowanych kamieniami, a na skraju lasu widniały małe domki robotnicze.

Chłopiec nie miał pojęcia, co by to być mogło, i zawołał w dół:

— Co to za miejscowość, gdzie ludzie tyle kamieni wydobywają z ziemi?!

— Patrzcie głuptasa! Patrzcie głuptasa! — zaczęły wróble, które czuły się tutaj jak w domu i znały się na wszystkim. — Nie umie odróżnić rudy żelaznej od kamieni polnych! Nie umie odróżnić rudy żelaznej od piaskowców!.

Wówczas chłopiec zrozumiał, że to, co widział na ziemi, to była kopalnia. Był nieco rozczarowany, gdyż wyobrażał sobie, że kopalnia musi prowadzić w głąb wysokiej góry, ta zaś znajdowała się na równym gruncie między dwoma wzgórzami.

Wkrótce gęsi pozostawiły kopalnię poza sobą. Chłopiec podniósł się i patrzył przed siebie, albowiem wzgórze lesiste i gaje brzoza we, ciągnące się teraz pod nim, widywał już dość często. Nagle powiało z ziemi ku górze ogromne gorąco i chłopiec znów nachylił się pośpiesznie, aby ujrzeć, skąd to pochodzi.

Pod nim leżały wielkie stosy węgla i rudy, a wśród nich wznosił się wysoki, ośmiokątny, na czerwono pomalowany budynek, wysyłający ku niebu całe snopy płomieni.

Zrazu chłopiec sądził, że to pożar. Kiedy jednak ujrzał, że ludzie stoją spokojnie i nie myślą gasić tego ognia, nie wiedział, co o tym sądzić.

— Cóż to za miejscowość, gdzie się nikt nie troszczy o płonący budynek?! — zawołał głośno.

— Tralala! — zaświgały zięby, które gnieździły się na skraju lasu i dobrze wiedziały, co się dzieje w ich sąsiedztwie. — Boi się ognia! Nie wie nawet, jak z rudy wytapiają żelazo! Nie umie odróżnić ognia z pieca hutniczego od pożaru!

Wkrótce gęsi minęły piec hutniczy i chłopiec znów odpoczywał, nie spodziewając się zobaczyć nic osobliwego w lesistej okolicy. Lecz gęsi nie zdążyły jeszcze daleko odlecieć, kiedy z głębi ziemi doszedł uszu chłopca straszliwy hałas i wrzask. Chłopiec nachylił się i ujrzał przede wszystkim wodospad spadający z hukiem ze skały. Obok wodospadu stał wielki budynek z czarnym dachem i wysokim kominem, wyrzucającym gęsty dym i snopy iskieł. Przed budynkiem leżał żużel, sztaby żelaza i całe góry węgla. Ziemia wokoło była zupełnie czarna i we wszystkich kierunkach rozchodziły się czarne ścieżki. Z budynku dobywał się nieopisany hałas, łoskot i huk bezustanny. Brzmiało to tak, jak gdyby ktoś bronił się rozpaczliwie przed napaścią dzikiego zwierza. Najdziwniejsze było jednak, że to, co się tutaj działo, zdawało się nikogo nie obchodzić. W pobliżu, wśród zielonych drzew stały domki robotnicze, a nieco dalej wznosił się duży, biały dwór pański. Na schodkach przed domkami robotniczymi bawiły się wesoło dzieci, a po alei wiodącej do dworu ludzie przechadzali się spokojnie.

— Co to za miejscowość, gdzie nikogo nie obchodzi, że się ludzie wzajemnie mordują?! — zawołał chłopiec w dół.

— Hak-ak-ak-ak! A to mądrała! Hak-ak-ak-ak-ak! — śmiała się sroka. — Nie mordują tam nikogo! To żelazo tak syczy i zgrzyta, kiedy się pod miot dostaje.

Wkrótce i walcownia znikła sprzed oczu dzikich gęsi i chłopiec siedział znów wyprostowany, nie spodziewając się już zobaczyć w lesie nic szczególnego.

Po pewnym czasie usłyszał dźwięk dzwonu i przechylił się, żeby zobaczyć, skąd ten dźwięk pochodzi, I ujrzał przed sobą zagrodę chłopską, taką, jakiej dotychczas nigdy nie zdarzyło mu się widzieć. Budynek mieszkalny był długi, jednopiętrowy, pomalowany na czerwono. Zadziwił on chłopca nie tyle swoją wielkością, ile otoczeniem. Chłopiec wiedział mniej więcej, ile w zagrodzie powinno być zabudowań, ale tutaj było wszystko w podwójnej albo i potrójnej ilości. Nie wyobrażał sobie nigdy takiego nagromadzenia zabudowań gospodarskich. I nie mógł sobie także wyobrazić, co się w nich mieści i przechowuje, gdyż w pobliżu zagrody nie było prawie wcale uprawnych pól. W głębi lasu widział wprawdzie kilka zagonów, były one jednak z jednej strony tak małe, że nie wymagały tylu spichrzów i stodół, a z drugiej strony tuż przy każdym z nich stała stodoła przeznaczona na zbiory.

Na stajni wisiał dzwonek w wieżyczce i właśnie dźwięk tego dzwonka doleciał uszu chłopca. W tejże chwili szedł gospodarz z parobkami do kuchni i chłopiec zdziwił się okazałą liczbą czeladzi.

— Cóż to za ludzie, którzy w głębi lasu, gdzie nie ma pól, budują takie wielkie zagrody?! — zawołał chłopiec na głos.

Na śmietniku stał kogut. Nie ociągając się długo z odpowiedzią zapiał:

— Kukuryku! To stara kopalnia! Stara kopalnia! Rola leży pod ziemią! Rola leży pod ziemią!

Teraz chłopiec zrozumiał. Nie była to zwykła lesista okolica, ponad jaką dotychczas przelatywał. Wokoło ciągnęły się uprawne lasy i góry, ale kryły one w swym wnętrzu mnóstwo tajemnic.

Widział pola, na których leżały porzucone dźwigi, gdyż otwory kopalniane podziurawiły tam już całą ziemię, i widział znów inne pola, na których wrzała praca. Stąd w górę do dzikich gęsi dochodziły głuche odgłosy wybuchów, a wokoło ciągnęły się mieszkania górników, tworząc całe wsie na skraju lasu. Widział także stare, opuszczone kuźnie, w których poprzez zapadnięty dach widać było olbrzymie, żelazem okute rękojeści miotów i niezdarnie murowane kominy. Potem następowały znów wielkie huty, gdzie pracowano tak gorliwie i tak walono miotami, że ziemia drżała. W głębi pustkowia leśnego leżały zacisznie ukryte małe sioła, które, zdawałoby się, nic nie wiedzą o wrzawie rozlegającej się wokoło.

Dalej widział koleje powietrzne, przewożące bez dźwięków na stalowych linach kosze naładowane rudą. Nad wszystkimi wodospadami obracały się warczące koła, druty elektryczne przebiegały cichy las, a po szynach toczyły się olbrzymie pociągi, złożone z sześćdziesięciu do siedemdziesięciu wagonów naładowanych rudą i węglem, sztabami żelaza i drutem stalowym.

Kiedy się już chłopiec napatrzył do syta temu wszystkiemu, nie mógł się powstrzymać, żeby nie zawołać na głos, chociaż wiedział, że go znów ptaki wyśmieją:

— Jakżeż się nazywa ten kraj, gdzie nic prócz żelaza nie rośnie?! Na to zbudził się ze snu stary puchacz, który odbywał właśnie swą drzemkę w jednej z opuszczonych hut, wysunął okrągłą głowę I zawołał nieprzyjemnie huczącym głosem:

— Uhu, uhu, uhu! Ten kraj nazywa się okręgiem górniczym! Gdyby tu nie rośło żelazo, nie mieszkałby tu po dziś dzień nikt, prócz sów i niedźwiedzi!

KUŹNICA

Czwartek, 28 kwietnia

Podczas kiedy dzikie gęsi przelatywały nad okręgiem górniczym, prawie przez cały dzień dął gwałtowny wiatr i zawracał je bezustannie z północy na wschód. Akce jednak zdawało się, że lis Mykita ścigając je obrał sobie za siedzibę właśnie wschodnią okolicę kraju, opierała się więc wiatrowi, kierując się z wysiłkiem na północ. Wskutek tego dzikie gęsi posuwały się naprzód nadzwyczaj powoli i po południu tego dnia znajdowały się wciąż jeszcze w okręgu górniczym Västmanlandii.

Tymczasem ku wieczorowi wiatr przycichł i znużone podróżniczki spodziewały się jeszcze teraz, przed zachodem słońca, odbyć bez trudu sporą część drogi. Nagle jednak zerwała się gwałtowna wichura i popędziła dzikie gęsi, jak piłki, przed sobą. Chłopiec, który siedział bezpiecznie na grzbiecie gąsiora i nie przeczuwał nic złego, porwany został przez wiatr i rzucony w szeroki przestwór powietrza.

Nils był jednak tak mały i lekki, że dzięki tej silnej wichurze nie spadł od razu na ziemię, lecz unosił się z wiatrem dość długo i dopiero po pewnym czasie osiadł na niej powoli, trzepocząc się jak liść lecący z drzewa.

„O, to nic groźnego! — myślał sobie chłopiec. — Spadam tak wolno na ziemię, jak gdybym był ćwiartką papieru. Gąsior Marcinek pośpieszy z pewnością, żeby mnie podnieść”.

Kiedy już leżał na ziemi, zerwał czym prędzej czapkę z głowy i zaczął nią powiewać, aby gąsior mógł go łatwiej dojrzeć.

— Gdzie jesteś? Tu jestem. Gdzie jesteś? Tu jestem — wołał i dziwił się po trosze, że Marcin tak zwleka.

Nigdzie jednak nie było widać białego gąsiora ani też stada dzikich gęsi. Znikły bez śladu.

Wydawało się to chłopcu nieco dziwne, ale bynajmniej go nie zaniepokoiło. Nie przyszło mu nawet do głowy, aby go matka Akka i gąsior Marcin mogły opuścić. Sądził, że silny wiatr odpędził je daleko, przybędą jednak, aby go zabrać z sobą, skoro tylko będą mogli zawrócić.

Lecz cóż to było? Gdzie się właściwie znajdował? Z początku spoglądał ciągle tylko na niebo, aby dostrzec dzikie gęsi, teraz jednak rozejrzał się wokoło siebie. Nie spadł wcale na równą ziemię, tylko w głęboką, zawrotną przepaść górską lub coś w tym rodzaju.

Była to przestrzeń tak wielka jak kościół, okolona prawie prostopadłymi ścianami skalnymi, bez śladu dachu. Na ziemi leżały porozrzucane duże odłamy skał, a między nimi rósł mech, wrzos i niskie brzoźki. Gdzieś tam skały wystawały, a z nich zwieszały się strzaskane drabiny. Z jednej strony rozwierał się głęboki, sklepiony otwór wyglądający tak, jak gdyby prowadzi! gdzieś daleko, daleko w głąb góry.

Chłopiec nie na darmo przelatywał przez cały dzień nad tyłu kopalniami. Odgadł od razu, że ten wielki wąwóz jest dziełem rąk ludzi, którzy tutaj w dawnych czasach wydobywali z gór rudę.

„Muszę zaraz spróbować, czy nie uda mi się wspiąć na górę — pomyślał. — Inaczej moi towarzysze w końcu wcale mnie nie znajdą”.

Chciał się właśnie zbliżyć do ściany skalnej, kiedy poczuł, że ktoś chwyta go z tyłu, i usłyszał chrapliwe mruczenie:

— A tyś co za stworzenie?

Chłopiec odwrócił się szybko i, zaskoczony, sądził zrazu, że stoi przed wielkim złomem skalnym, pokrytym gęstym, brunatnym mchem, ale wkrótce przekonał się, że ta skala ma grube nogi, głowę, oczy i wielką paszczę, wydającą mrukliwe dźwięki.

Malec nie mógł wydobyć z siebie głosu, lecz wielki zwierz, jak się zdawało, wcale też nie oczekiwał odpowiedzi.

Przewrócił malca, zaczął podrzucać go na wielkiej swej łapie i obwąchiwać ze wszystkich stron. Robił wrażenie, jak gdyby miał ochotę połknąć go od razu, lecz wtem opamiętał się i zawołał:

— Mruk i Burk, pójdźcie tutaj do mnie! Jest tu dla was dobry kąsek!

Natychmiast podbiegły dwa młode niedźwiadki, jeszcze niepewnie stojące na nogach, o skórze

fałdującej się miętko jak u młodych psiaków.

— Cóżże to znalazła, matko niedźwiedzico? Czy wolno nam zobaczyć?! — wołały młode.

— Aha, to tak? Dostałem się między niedźwiedzie — szepnął chłopiec do siebie. — Teraz może sobie Mykita zaoszczędzić trudu dalszego uganiania się za mną!

Niedźwiedzica podsunęła chłopca ku młodym i jeden z nich schwycił go natychmiast w pysk i uciekł czym prędzej. Nie zatopił w nim jednak od razu zębów, bo był swawolny i przed zjedzeniem Paluszka chciał się nim jeszcze pobawić. Drugi niedźwiadek pobiegł za pierwszym, aby mu odebrać zabawkę, tak jednak niezgrabnie utykał i podskakiwał, że w końcu upadł na brata, który niósł chłopca w pysku. I obaj zaczęli się przewracać po ziemi, gryźć, mocować i przy tym głośno mrużyć.

Wśród tej zabawy młodych niedźwiadek chłopcu udało się wymknąć. Pobiegł czym prędzej ku ścianie skalnej i zaczął się na nią wspinać.

Ale niedźwiadki skoczyły za nim, wdrapały się szybko i zręcznie na ścianę, dogoniły chłopca i rzuciły go, jak piłkę, na mech.

„Teraz wiem przynajmniej, co czuje biedna myszka, kiedy się dostanie w kocie pazury” — myślał chłopiec.

Próbował jeszcze kilka razy uciekać — pobiegł daleko w głąb jaskini, schował się za skałami, wdrapał się na brzozę. Gdziekolwiek jednak usiłował się ukryć, niedźwiadki odnajdywały go wszędzie. A kiedy go schwyciły, puszczały natychmiast, żeby znowu móc go chwycić.

W końcu chłopiec tak się zmęczył i tak mu się to wszystko sprzykrzyło, iż rzucił się jak długi na ziemię.

— Uciekaj, uciekaj! — mruzczały niedźwiadki. — Bo inaczej zjemy cię zaraz!

— Dobrze, zjadajcie sobie — odrzekł chłopiec — nie mam już siły uciekać.

Niedźwiadki pobiegły czym prędzej do niedźwiedzicy.

— Matko niedźwiedzico, matko niedźwiedzico! — skarżyły się.

— On się już nie chce bawić!

— Więc weźcie go i podzielcie między siebie — rzekła niedźwiedzica.

Ale chłopiec tak się przestraszył, że natychmiast ponownie rozpoczął gonitwę.

Kiedy nadeszła pora spoczynku i niedźwiedzica przywołała młode, aby się ułożyły obok niej do snu, niedźwiadki były tak rozbawione, że przyrzekły sobie następnego dnia wznowić tę samą zabawę. Wzięły chłopca między siebie i nakryły go łapami — nie mógł się więc ruszyć, bo zbudziłby je z pewnością. Zasnęły natychmiast i chłopiec postanowił, że po pewnym czasie spróbuje, czy nie uda mu się wymknąć. Ale biedak nigdy w życiu jeszcze nie był tak przerzucany i przewracany, nigdy nie gnano go tak bezlitośnie i nie krącono jak frygą, toteż śmiertelnie zmęczony usnął bardzo szybko.

Po pewnym czasie powrócił do domu ojciec niedźwiedź. Spuścił się na dół po ścianie. Łoskot kamieni, staczających się spod jego stóp, zbudził chłopca. Malec ujrzał przed sobą olbrzymie cielsko zwierza, jego potężną paszczę, olśniewająco białe kły i małe, złośliwe oczy. Wstrząsnął nim mimowolnie zimny dreszcz na widok tego starego króla lasu.

— Czuć tutaj człowiekiem! — odezwał się ojciec niedźwiedź, umieściwszy się obok niedźwiedzicy, przy czym zamruczał huczącym głosem.

— Jakże możesz wyobrażać sobie podobne głupstwa — odrzekła niedźwiedzica leżąc spokojnie na swym miejscu. — Zostało wprawdzie postanowione, że nie będziemy wyrządzali ludziom żadnej krzywdy, ale gdyby jakiś człowiek dostał się tutaj, gdzie mieszkam z młodymi, z pewnością nie pozostałoby z niego nawet tyle, abyś go mógł wywęszyć,

Ojca niedźwiedzia nie uspokoiła jednak widocznie otrzymana odpowiedź, gdyż węszył i wietrzył dalej.

— Daj pokój temu węszeniu! — zawołała niedźwiedzica. — Mógłbyś mnie już dostatecznie znać i wiedzieć, że nie pozwoliłabym zbliżyć się do dzieci nikomu, kto mógłby wyrządzić im krzywdę. Opowiedz mi lepiej, coś porabiał, bo cię przecież już od tygodnia nie widziałam.

— Szukałem dla nas innego mieszkania. Nasamprzód udałem się do Värmlandii, żeby się dowiedzieć od krewnych w Nyskoge, jak im się powodzi. Ale mogłem sobie zaoszczędzić tego trudu, bo ich tam już wcale nie zastałem. W całej puszczy nie ma już ani jednej jaskini niedźwiedziej.

— Zdaje mi się, że ludzie chcą całą puszcę zagarnąć dla siebie — odezwała się niedźwiedzica. — Gdybyśmy nawet zostawili ich w spokoju razem z ich bydłem i zaczęli się żywić tylko borówkami, mrówkami i ziołami, nie daliby nam mieszkać bezpiecznie w lesie. Chciałabym wiedzieć, gdzie się właściwie mamy obrócić, aby znaleźć spokojną kryjówkę.

— W tej jaskini, co prawda, działało się nam przed laty doskonale — mówił niedźwiedź. — Ale od czasu kiedy powstała obok nas ta wielka, hałaśliwa kopalnia, nie mogę już tutaj wytrzymać. Rozejrzałem się więc po wschodniej stronie rzeki Dalälff, w pobliżu Grapenbergu. Widziałem tam dużo jaskiń i dobrych kryjówek i zdawało mi się, że będziemy tam dostatecznie zabezpieczeni przed ludźmi...

Mówiąc to niedźwiedź znów się podniósł i zaczął węszyć.

— To dziwne, gdy tylko zacznę mówić o ludziach, zaraz mnie ten zapach prześladowe — powiedział.

— Idź więc i zajrzyj wszędzie, jeśli mi nie wierzysz — ofuknęła go niedźwiedzica. — Chciałabym wiedzieć, gdzie tutaj mógłby się ukrywać człowiek?

Niedźwiedź obszedł całą jaskinię, węszył podejrzliwie, w końcu jednak wrócił do niedźwiedzicy i położył się obok.

— Czyż nie miałam racji? — zapytała. — Ale tobie się zawsze zdaje, że prócz ciebie nikt nie ma oczu ani uszu.

— Przy takim sąsiedztwie jak nasze nigdy nie można być dość ostrożnym — tłumaczył się niedźwiedź. Ale nagle zerwał się z głośnym rykiem: nieszczęśliwym trafem jeden z młodych niedźwiadek położył swą łapę na twarzy Nilsa i tak mu zatamował oddech, że malec musiał kichnąć.

Teraz niedźwiedzica nie mogła już dalej zwodzić starego niedźwiedzia. Jeden niedźwiadek skoczył na prawo, drugi na lewo, a wtedy niedźwiedź ujrzał Nilsa Holgersona, zanim ten zdążył się podnieść.

I byłby go zapewne od razu połknął, gdyby się w to nie wdała niedźwiedzica,

— Nie ruszaj go! To zabawka naszych dzieci. Cały wieczór bawiły się nim tak doskonale, że go nawet zjeść nie chciały i zachowały go sobie na jutro.

Ale niedźwiedź odepchnął niedźwiedzicę.

— Nie wtrącaj się do tego, czego nie rozumiesz — zamruczał. — Czy nie czujesz, jak tu już z daleka rozchodzi się zapach ludzi? Natychmiast go zjem, bo inaczej spleta on nam z pewnością jakiegoś złośliwego figla.

I znów rozwarł paszczę. Tymczasem chłopiec zdążył się namyślić, co robić, i wyciągnął z pośpiechem ze swego węzła zapalki, jedyny środek obrony, który miał przy sobie. Potarł jedną o swoje skórzane spodnie i przytknął niedźwiedziowi palącą się zapalkę do nosa.

Niedźwiedź parsknął, bo zapach siarki zakręcił mu w nosie i zgasił płomyk. Chłopiec jednak trzymał już w pogotowiu drugą zapalkę. Ku wielkiemu jego zdziwieniu jednak niedźwiedź ani myślał go ruszać. Zapytał tylko:

— Czy potrafisz zapalić dużo takich błękitnych kwiatków?

— Tyle, że cały las mógłbym zamienić na popiół — odrzekł chłopiec, sądził bowiem, że zastraszy tym niedźwiedzia.

— Mógłbyś może podpalić dom albo całą zagrodę? — zapytał niedźwiedź.

— O, to by z pewnością nie było dla mnie nic trudnego — chwalił się chłopiec w nadziei, że

niedźwiedź nabierze dla niego szacunku.

— To dobrze — odezwał się niedźwiedź. — Będiesz mi musiał wyświadczyć przysługę. Teraz się cieszę, że cię nie zjadłem.

I niedźwiedź wziął chłopca bardzo ostrożnie i delikatnie w zęby i zaczął się wraz z nim wdrapywać po ścianie skalnej. Piał się nadzwyczaj łatwo i szybko pomimo swojej wielkości i ciężaru, a kiedy się znalazł na górze, pobiegł pośpiesznie w głąb lasu.

I tutaj posuwał się szybko naprzód. Widać było, że niedźwiedź naprawdę bez trudu potrafi torować sobie drogę przez gęsty las. Jego niezgrabna, bryłowata postać przedzierała się przez gąszcz, niby czółno mknące po fali poprzez sitowie.

— Przyjrzyj się tam tej wielkiej, hałaśliwej budzie — rzeki niedźwiedź do chłopca.

Wielka kuźnia z licznymi masywnymi zabudowaniami znajdowała się tuż przy wodospadzie. Olbrzymie kominy posyłały w górę czarne kłęby dymu, ogień pieców hutniczych buchał jasnym płomieniem, wszystkie okna i otwory były oświetlone. We wnętrzu młoty i walce były w pełnym ruchu, praca wrzała wszędzie tak, że od turkotu i warkotu aż uszy bolały. Wokoło warsztatów ciągnęły się olbrzymie składy węgla, wielkie kupy żużlu, pakownie, składy desek i szopy z narzędziami.

W niewielkiej odległości znajdowały się długie szeregi mieszkań robotniczych, piękne wille, budynki szkolne, domy stowarzyszeń, sklepy. Wszystko to jednak było ciche i jakby uśpione.

Chłopiec też nie patrzył w tamtą stronę, całą bowiem jego uwagę pochłaniały kuźnie. Ziemia wokoło była czarna jak węgiel, niebo jaśniało cudownym błękitem nad płomieniami buchającymi z pieców hutniczych, wodospad spadał z szumem, rozpryskując białą pianę, ogromne budynki wyrzucały światło i dym, ogień i iskry. Był to najwspanialszy widok, jaki chłopiec dotychczas oglądał.

— I cóż, czy dalej będziesz twierdził, że potrafisz podpalić tak wielkie zabudowania? — zapytał niedźwiedź.

Chłopiec ściskany w łapach niedźwiedzia, wiedział, że jeśli chce ocalić życie, musi rozbudzić w niedźwiedziu szacunek dla siebie.

— Wielkie czy małe — dla mnie to wszystko jedno — rzekł. — Mogę wszystkie podpalić.

— A więc powiem ci coś — ciągnął niedźwiedź. — Przodkowie moi zamieszkiwali tę okolicę od czasów, kiedy tutaj zaczynała rozrastać się puszcza. Po nich odziedziczyłem prawo do polowania i do pastwisk w tej okolicy puszczy, do zamieszkiwania jej jaskiń i kryjówek, toteż pędziłem tutaj życie w spokoju i w ciszy. Z początku ludzie nie przeszkadzali mi bardzo. Przychodzili, ostukiwali góry, zabierali z sobą nieco rudy i wreszcie zbudowali przy wodospadzie kuźnicę i piec hutniczy. Młoty waliły jednak tylko kilka razy na dzień, w piecu hutniczym nie paliło się nigdy dłużej nad kilka miesięcy, mogłem się więc z tym pogodzić. Ale odkąd ludzie przed kilku laty wybudowali tę oto budę, która dzień i noc bez przerwy huczy turkocze, nie mogę tu dłużej wytrzymać. Dawniej mieszkał tu tylko jeden dyrektor fabryki i kilku kowali, teraz roi się tutaj od tylu ludzi, że nie czuję się nigdy bezpiecznym. Myślałem już, że będę się musiał wynosić, ale teraz wymyśliłem coś lepszego.

Chłopiec był ciekawy, jaki to sposób mógł niedźwiedź wynaleźć, ale nie miał już czasu na pytanie, gdyż niedźwiedź wziął go znów w zęby i pokłusował z nim w stronę wzgórza. Chłopiec nie widział nic, ale po wzrastającym hałasie poznał, że zbliżają się do kuźnicy.

Niedźwiedź znalazł kuźnicę dokładnie. Często podczas ciemnych nocy błądził wokoło i przyglądał się temu, co się tutaj działo, pytając sam siebie, czy ta praca nigdy nie ustanie. Nieraz próbował wstrząsać mury łapami i pragnął być tak silnym, aby zdruzgotać cały budynek jednym uderzeniem. Jego tułów prawie nie odcinał się od czarnej ziemi, a że przy tym krył się w cieniu murów, więc nie groziło mu niebezpieczeństwo, że go ludzie spostrzegą.

Teraz przeciskał się bez obawy między warsztatami. Wdrapał się na stos żużlu, stanął na tylnych

nogach, wziął chłopca między przednie łapy i podniósł go w górę.

— Spróbuj zajrzeć do wnętrza budynku — rzekł.

W kuźnicy wytapiano właśnie stal. Duża kula, czarna, okrągła, wypełniona roztopionym żelazem zwieszała się z pułapu. Do tej kuli wpędzano silny prąd powietrza. Kiedy powietrze wciskało się ze straszliwym hukiem w masę żelazną, tryskał z niej deszcz iskier. Sypały się promieniami, snopami, długimi wężami. Mieniły się najrozmaitszymi barwami, były małe i wielkie, rozpryskiwały się na ścianach lub wirowały po całej kuli. Niedźwiedź pozwalał chłopcu napawać się tym wspaniałym widokiem, póki ludzie nie porzucili miechów i czerwona, płynna, pięknie połyskująca stal nie zaczęła wyciekać z okrągłej kuli do licznych podstawionych naczyń.

Chłopcu to wszystko, co widział, wydawało się cudowne. Był zachwycony i zapomniał nieledwie, że siedzi w łapach niedźwiedzi.

Teraz niedźwiedź pokazał chłopcu walcownię. Jeden z robotników wyjął z pieca krótką, grubą sztabę żelaza i wsunął ją między walce. Kiedy sztaba przeszła między walcami, przybrała kształt spłaszczony i wydłużony. Inny robotnik schwycił ją szybko i podsunął między twardsze walce, które ją jeszcze bardziej wydłużyły i uczyniły cieńszą. Tak przechodziła sztaba przez szereg walców, wyciągała się i wreszcie rozkręciła się na podłodze jako czerwony, rozżarzony drut długości kilku metrów.

Kiedy jedna sztaba zamieniła się w drut, robotnicy wyjmowali z pieca następną, wkładali ją między walce, potem robili to samo z trzecią. Bezustannie, niby syczące węże, wity się na ziemi coraz nowe, żarzące się czerwonym blaskiem druty.

Chłopcu podobało się to wszystko ogromnie, ale jeszcze bardziej podobali mu się robotnicy, którzy lekko i zgrabnie chwyтали szczypcami rozżarzone pręty i podsuwali je pod walce. Obracali rozpalonym żelazem jak zabawką.

— Trzeba przyznać, że to prawdziwie męska praca — szepnął chłopiec do siebie.

Teraz niedźwiedź pokazał chłopcu odlewnię i kuźnię. Tutaj Nils otworzył szeroko ze zdziwienia oczy i usta.

„Ci ludzie nie boją się ani żaru, ani płomieni” — pomyślał.

Byli też czarni i zasmoleni i wydawali mu się władcami ognia, w których mocy było zginanie i kształtowanie żelaza. Nie mógł sobie wcale wyobrazić, żeby zwyczajni ludzie mogli posiadać taką moc.

“ Tak się tam dzieje dzień w dzień, noc w noc — narzekał niedźwiedź kładąc się na ziemi, — Nie, niesposób wytrzymać tu dłużej, sam to rozumiesz. Toteż ogromnie się cieszę, że mogę temu nareszcie położyć koniec.

— Naprawdę potrafisz to uczynić? — zapytał chłopiec. — Jakżeż się do tego zabierzesz?

— Widzisz, postanowiłem, że ty podpalisz te budynki — rzekł niedźwiedź. — Wtedy odzyskam nareszcie spokój i będę mógł pozostać w swojej ojczyźnie.

Chłopiec zdrętwiał z przerażenia. Po to więc niedźwiedź sprowadził go tutaj!

— Jeśli podpalisz tę budę, daruję ci życie, jeśli zaś nie uczynisz tego, czego żądam od ciebie, wnet pożegnasz się z życiem.

Wielkie warsztaty mieściły się w budynku o grubych murach i chłopiec pomyślał sobie, że posłuszeństwo w tym wypadku okaże się niemożliwe. Po chwili przecież przekonał się, że zamiar taki dałby się wykonać. Tuż obok leżała wiązka słomy i wiórów, które dałby się łatwo podpalić. Obok wiórów sterczał stos desek, a deski sięgały aż do wielkiej szopy z węglami. Szopa dotykała warsztatów i gdyby płomień ogarnął warsztaty, ogień przedostałby się szybko na dach huty. Wszystko, co by się mogło zapalić, spłonęłoby wówczas z pewnością, żar rozsądziłby mury, a maszyny zniszczyłyby się doszczętnie.

— No i cóż, chcesz, czy nie chcesz? — zapytał niedźwiedź.

Chłopiec wiedział, iż powinien od razu oświadczyć, że nie chce.

Wiedział jednak również, że wówczas łapy niedźwiedzia zacisną się i zgniotą go w mgnieniu oka. I dlatego rzekł:

— Muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

— Dobrze więc, zastanów się — zamruczał niedźwiedź. — Ale powiem ci jeszcze coś. Wiedz, że to żelazo dało ludziom taką przewagę nad niedźwiedziami i między innymi dlatego chcę tej robocie położyć koniec.

Chłopiec chciał skorzystać z czasu do namysłu, aby wynaleźć sposób wymknięcia się, ale był tak przestraszony, że przestał być panem swych myśli i rozpamiętywał tylko bezustannie, jaką to istotnie żelazo jest pomocą dla człowieka. Potrzebne przecież jest do wszystkiego. Z żelaza zrobione są pługi, którymi się orze pola, z żelaza — kielnia do murowania domów, z żelaza — nóż, bez którego obejść się nie można. Z żelaza zrobione jest wędzidło kielznające konia, zamek zamykający drzwi, gwoździe spajające sprzęty, blacha pokrywająca dach. Broń, która wytepiła dzikie zwierzęta, także zrobiona była z żelaza, jak również motyka, którą wydobywano rudę z ziemi. Żelazo pokrywało okręty wojenne, które chłopiec podziwiał! w Karlskronie, po żelaznych szynach toczą się koleje na całym świecie. Z żelaza zrobiono igłę, którą szyje się odzież, nożyce do strzyżenia owiec, garnek, w którym gotuje się stawę. Rzeczy duże i małe, wszystko, co jest pożyteczne i niezbędne, zrobione jest z żelaza.

— No cóż, chcesz, czy nie chcesz? — zapytał niedźwiedź po raz drugi.

Chłopiec opamiętał się. Oto myślał o zupełnie niepotrzebnych rzeczach, a nie wymyślił nic, co by go mogło ocalić.

— Nie bądź taki niecierpliwy — przemówił. — Jest to dla mnie bardzo ważne postanowienie i muszę mieć sporo czasu do namysłu.

— No, więc namyślaj się jeszcze przez chwilę — zgodził się niedźwiedź, — Ale chcę ci jeszcze coś powiedzieć: żelazo sprawiło, że ludzie stali się o tyle mądrzejsi od nas, niedźwiedzi, i dlatego też chciałbym tej robocie położyć koniec.

Chłopiec, uzyskawszy na nowo czas do namysłu, chciał go użyć dla obmyślenia ratunku. Ale nie mógł jakoś tej nocy w żaden sposób opanować myśli, które krążyły wciąż wokoło żelaza. I stopniowo uświadomił sobie, jak to ludzie musieli wysilać swe umysły, aby nauczyć się wytapiania żelaza z rudy. I ujrzał nagle przed sobą wyraźnie starych, szerniałych kowali, zgiętych w kuźnicy i zatopionych w rozmyślaniach nad tym, jak zabrać się do rzeczy. I pomyślał, iż może dlatego, że ludzie musieli długo zastanawiać się nad tym, umysł ich tak się rozwinął, że potrafili zbudować wielkie fabryki. Tak, tak, co do tego nie było żadnej wątpliwości — ludzie zawdzięczali żelazu więcej, niż sami przypuszczali.

— No i cóż? — zapytał znów niedźwiedź. — Chcesz, czy nie chcesz?

Chłopiec ocknął się z zamyślenia. W dalszym ciągu zajmowały go niepotrzebne myśli, chociaż nie wiedział jeszcze, co począć, jak umknąć łap niedźwiedzia,

— Wybór nie jest wcale taki łatwy, jak ci się zdaje — rzekł.

— Daj mi jeszcze trochę czasu do namysłu.

— Zaczekam jeszcze chwilę — zgodził się niedźwiedź. — Ale zapowiadam ci, że potem nie będziesz już miał innego wyjścia. Powtarzam ci jeszcze raz, że jedynie żelazu zawdzięczają ludzie to, iż nie mogą mieszkać tutaj, w państwie niedźwiedzim, i dlatego właśnie chcę zburzyć tę ich fabrykę.

„Ten ostatni czas do namysłu muszę jednak zużytkować dla siebie” — pomyślał chłopiec.

Taki był jednak zalękniony i zmieszany, że znów w żaden sposób nie mógł opanować myśli. Krążyły one wokół tego wszystkiego, co chłopiec widział w ciągu swej podróży napowietrznej nad okrugiem górniczym. Tak, tak, to było istotnie godne podziwu — jakież to życie, ruch i jaka pożyteczna praca zawrzała na tym odludziu! Jakże ubogo i pusto byłoby tutaj bez żelaza! Chłopiec rozmyślał o hucie, która dawała tylu ludziom chleb powszedni, skupiała wokoło siebie tyle zamieszkanym domów, ciągnęła za

sobą koleje żelazne i druty telegraficzne i która daleko w świat.,

— No i jakże? — zapytał niedźwiedź. — Chcesz, czy nie chcesz? Chłopiec przetarł czoło dłonią. Nie obmyślił żadnego ratunku, ale wiedział jedno — że nie wystąpi przeciwko żelazu, przeciwko temu żelazu, któremu ludzie tyle zawdzięczają, które całej okolicy dostarcza chleba. I odrzekł stanowczo:

— Nie chcę,

Nic nie mówiąc, niedźwiedź ścisnął go mocniej w łapach.

— Nigdy mnie nie skłonisz do zniszczenia huty — mówił dalej chłopiec. — Żelazo jest wielkim błogosławieństwem i czynić zamach na nie byłoby niegodziwością z mojej strony.

— Tedy nie liczysz chyba na to, że ci daruję życie? — zapytał niedźwiedź,

— Nie, wcale na to nie liczę — odrzekł chłopiec i spojrzał odważnie w oczy niedźwiedzia.

Niedźwiedź zaciskał łapy coraz mocniej. Bolało to chłopca bardzo, łzy mu napływały do oczu, milczał jednak, bez słowa protestu.

— Dobrze więc! Raz, dwa, trz....! — zawołał niedźwiedź i podniósł jedną łapę, liczył bowiem do ostatniej chwili, że chłopiec wreszcie ulegnie.

Nagle chłopiec usłyszał jakiś trask w pobliżu i ujrzał o kilka kroków błyszczącą lufę strzelby. Obaj z niedźwiedziem tak byli zajęci sobą, że nie zauważyli wcale, iż bliźutko ku nim podkraść się człowiek.

— : Ojczy niedźwiedziu! — krzyknął chłopiec. — Czy nie słyszysz? Ktoś odwiódł kurek! Uciekaj, uciekaj, bo cię zastrzelą!

Niedźwiedź zerwał się z błyskawiczną szybkością, ale nie zapomniał zabrać z sobą chłopca. Rozległo się za nim kilka strzałów, kule świsnęły mu nad uszami, nie trafiły go jednak.

Chłopiec siedząc w paszczy niedźwiedziej rozmyślał nad tym, jak głupio spisał się tej nocy. Gdyby milczał, niedźwiedź zostałby zabity, a on mógłby umknąć. Tak jednak przywykł do pomagania zwierzętom, że czynił to już całkiem bezwiednie.

Niedźwiedź, zapuściwszy się w głąb lasu, stanął i postawił chłopca na ziemi.

— Dziękuję ci, mały — rzeki — gdyby nie ty, kule trafiłyby z pewnością lepiej. A teraz wyświadczę ci wzajemną przysługę. Jeżeli kiedykolwiek spotkasz się z niedźwiedziem, to powiedz mu tylko to, co ci teraz szepnę do ucha, a nie tknie cię z pewnością.

I niedźwiedź szepnął chłopcu cicho do ucha kilka słów, po czym oddalił się pośpiesznie, zdawało mu się bowiem, że słyszy głosy myśliwych i psów gończych w pobliżu.

Chłopiec zaś stał wśród lasu wolny i nietknięty i sam sobie nie dowierzał, że to rzeczywistość.

Dzikie gęsi bezustannie przez cały wieczór przelatywały tam i z powrotem, wypatrując wszędzie chłopca i wołając na niego. Nigdzie go jednak znaleźć nie mogły. Szukały go jeszcze i po zachodzie, a kiedy nadeszły ciemności, a z nimi pora udania się na spoczynek, wszystkie ogarnęło wielkie przygnębienie. Były pewne, że chłopiec spadł nieszczęśliwie i leży teraz martwy w zaroślach leśnych, gdzie one nie mogą go dojrzeć.

Następnego poranka jednak, kiedy słońce ukazało swą tarczę nad górami i zbudziło gęsi — o dziwo! Chłopiec, jak zwykle, leżał uśpiony wśród nich, a gdy się zbudził i usłyszał, jak wrzeszczały i gęgały ze zdziwienia, roześmiał się wesoło.

Gęsi były do najwyższego stopnia zaciekawione, co się stało, i nie chciały nawet wyruszyć na żer, dopóki nie dowiedziały się całej historii. Chłopiec więc opowiedział im pośpiesznie i z przyjemnością swoją przygodę z niedźwiedziem, ale pod koniec przerwał i nie chciał dalej opowiadać.

— No, a jak się tutaj do was z powrotem dostałem, to przecież wiecie — zakończył.

— Nie, nie, nie wiemy nic. Byłyśmy pewne, żeś stracił życie.

— To jednak dziwne — rzekł chłopiec — gdyż zaledwie mnie niedźwiedź puścił, wdrapałem się na

drzewo i zasnąłem. Ale przy pierwszym brzasku zbudził mnie szum skrzydeł orła, który siadł obok na drzewie, schwycił mnie w szpony i porwał z sobą. Byłem pewny, że teraz już zginę. Ale orzeł nie zrobił mi nic złego, pofrunął ze mną wprost tutaj i złożył mnie wśród was.

— Czy nie powiedział, kim jest? — zapytał biały gąsior.

— Zanim się opamiętałem, znikł bez śladu. Byłem pewny, że go matka Akka po mnie wysłała.

— To dziwne — rzekł gąsior. — Czy aby tylko jesteś pewny, że to był orzeł?

— Nie widziałem jeszcze wprawdzie nigdy orła — odpowiedział chłopiec — ale ptak ten był tak wielki, że mógł być tylko orłem.

Gąsior Marcin zwrócił się do gęsi i zapytał, co o tym sądzą. Te jednak patrzyły przed siebie, jak gdyby myślały o czym innym,

— Nie należy jednak zapominać dzisiaj o śniadaniu — odezwała się matka Akka, rozpostarła skrzydła i odfrunęła z pośpiechem.

RZEKA DALÄLF

Piątek, 29 kwietnia

Tego dnia Nils Holgerson zapoznał się z południową częścią prowincji Dalarna.

Dzikie gęsi przeleciały nad olbrzymimi kopalniami w Grängenbergu, nad hutami w Ulvhütte i nad starą fabryką w Gränghammer, aż znalazły się nad równiną Wielka Tuna i nad rzeką Dalälff. Chłopiec, widząc wznoszące się na wszystkich wzgórzach kominy fabryczne, sądził zrazu, że wszystko jest tutaj takie samo jak w Västmanlandzie. Kiedy jednak zobaczył wielką rzekę, oczom jego przedstawił się zupełnie inny widok. Była to pierwsza prawdziwa rzeka, jaką oglądał w życiu, i widok tej wielkiej, szerokiej wody, płynącej przez okolicę, wywarł na nim silne wrażenie.

Dzikie gęsi, dotarwszy do mostu łyżwowego w Torsang, zmieniły kierunek i poleciały na północny zachód, wzdłuż rzeki, biorąc ją jak gdyby za drogowskaz. Widział wielkie wodospady Domnarvet i Kvarnsveden oraz wielkie fabryki, wprawiane przez nie w ruch. Widział mosty łyżwowe, łodzie dźwigające te mosty, tratwy sunące po rzece, koleje pędzące wzdłuż wybrzeży lub w poprzek rzeki i stopniowo pojmował, jaka to była wielka i niezwykła woda.

Ku północy rzeka czyniła wielki zakręt, okalający ziemię pustą i bezludną. Tutaj dzikie gęsi siadły na żer. Chłopiec pobiegł natychmiast na brzeg rzeki. Chciał przyjrzeć się tej wodzie płynącej w głębokim łożysku u jego stóp. Szosa prowadziła w dół rzeki, a podróżni przedostawali się na drugi brzeg za pomocą promu. Dla chłopca było to nowe widowisko i przez jakiś czas bardzo go bawiło. Nagle jednak ogarnęło go ogromne znużenie.

„Będę się chyba musiał przespać, zeszłej nocy nie zmrzyłem przecież oka“ — pomyślał sobie. Wtulił się w miękką murawę, ułożył się jak najwygodniej w trawach i ziołach i zasnął.

Zbudził go gwar głosów. Tuż obok niego siedzieli ludzie i rozmawiali. Przywędrowali oni szosą, nie mogli jednak natychmiast przedostać się przez rzekę, gdyż po wodzie płynęła gęsta kra i zatrzymywała prom. Aby sobie skrócić czas oczekiwania, ludzie usadowili się na wale i zabawiali się rozmową o kłopotach, jakich przysparza rzeka.

— Czy też i w tym roku mieć będziemy tak wielką powódź jak w/ zeszłym? — rzekł jeden z wieśniaków. — U nas woda sięgała aż do drutów telegraficznych, a most łyżwo wy zerwała zupełnie.

— W zeszłym roku powódź nie wyrządziła w naszej okolicy wielkich szkód — odezwał się inny wieśniak. — Ale w zaprzyszłym zabrała mi cały kopiec siana.

— Nigdy nie zapomnę tej nocy, której powódź zniosła wielki most na rzece Domnarvet — wtrącił robotnik kolejowy. — Owej nocy nikt w całej fabryce nie zmrużył oka.

— Tak, rzeka istotnie wyrządziła wiele szkód — potwierdził wysoki, okazały mężczyzna. — Ale kiedy tak słucham waszych narzekań, mimo woli przychodzi mi na myśl nasz proboszcz. Na probostwie święcono raz jakąś uroczystość i ludzie uskarżali się na rzekę zupełnie tak, jak wy to teraz czynicie. Rozgniewało to proboszcza i dało mu powód do opowiedzenia nam pewnej historii. A gdyśmy jej wysłuchali, nikt z całego towarzystwa nie śmiał już wyrzec złego słówka o rzece. Ciekawy jestem, czy i z wami nie stałoby się to samo, gdybyście wysłuchali tego opowiadania.

I ulegając prośbom całego towarzystwa chłop opowiedział ową historię, jak ją jeszcze pamiętał:

— Wysoko, w głębi gór, na granicy norweskiej utworzyło się ciche jezioro. Z jeziora wypłynął potok, z szumem pędzący z góry. Był to mały potok, a jednak nazwano go od razu „główną” lub’ „wielką wodą”, gdyż zapowiadał się na potężną rzekę.

Natychmiast po opuszczeniu jeziora potok rozejrzał się ciekawie na wszystkie strony, szukając dla siebie najdogodniejszego kierunku. Wszystko jednak, co widział, nie wydawało mu się zachęcające. Na prawo, na lewo i wprost przed nim roztaczały się lesiste wzgórza, które stopniowo zmieniały się w nagie grzbiety skaliste, nagie urwiska oraz wysokie szczyty górskie.

Potok skierował swą uwagę na zachód. Tam miał przed sobą pasma górskie Långfjäll, Djupgravstöten, Barfröhagna i Storhätteshagna. Zwrócił się więc na północ. Tu znów sterczała góra Näsfjäll, na wschód wznosiły się wzgórza Nipfjäll, a na zachód góra Städjan. Rzeka zaczęła zastanawiać się nad tym, czy nie lepiej będzie skierować się z powrotem do jeziora.

Przyszło jej jednak na myśl, że powinna przynajmniej uczynić próbę dotarcia do morza, udała się więc w drogę.

Łatwo sobie wyobrazić, jaka to była ciężka praca dla rzeki takie przedzieranie się przez dziki gąszcz. Kiedy już udało jej się zwalczyć lub ominąć inne przeszkody, zawsze jeszcze na drodze stał las. Aby utorować sobie drogę, musiała wyrwać z korzeniami jedną sosnę po drugiej.

Na wiosnę, kiedy przychodził pierwszy przybór wody, łóżyisko rzeki napełniało się wodą z topniejących śniegów, które zaścielały lasy. A kiedy następnie zaczynał topnieć śnieg na szczytach i woda spływała z gór, wtedy rzeka nabierała największej siły i potęgi — pędziła z szumem gwałtownym, nosiła pnie i ziemię, żłobiąc sobie drogę przez wzgórza piaszczyste. Lecz i późną jesienią, gdy woda wzbierała po deszczach jesiennych, rzeka miała ciężkie zadanie. Pewnego dnia, kiedy jak zwykle rzeka Stora żłobiła sobie drogę, usłyszała na prawo od siebie w głębi lasu jakiś szum i plusk. Słuchała tych dźwięków tak uważnie, że stanęła niemal nieruchomo. „Co też to może być?” — zapytała.

Las roztaczający się wokoło, nie mógł się oprzeć pokusie zażartowania z rzeki.

„Myślisz zapewne, że jesteś sama jedna na świecie — odezwał się do niej, — Dowiedz się zatem, że to, co słyszysz, jest to szum rzeki Grövel, wypływającej z jeziora Grövel. Oto właśnie udało jej się przepłynąć przez piękną dolinę, a teraz uda jej się zapewne wpaść do morza równie prędko, jak tobie”,

Ale rzeka Stora była bardzo pewna siebie, toteż nie ociągając się odparła natychmiast:

„Grövel jest z pewnością małą rzeczką, która sama z miejsca ruszyć nie może. Powiedz jej więc, że rzeka Stora znajduje się w drodze z jeziora Van do morza i jeśli Grövel chce się z nią połączyć, to znajdzie opiekę i pomoc w dalszej drodze”,

„Prawdziwa samochwała z ciebie — odrzekł las. — Dobrze, powtórzę jej twoje polecenie, ale sędzę, że nie sprawi ono przyjemności rzece Grövel”.

Nazajutrz rano stanął las przed Storą i oświadczył, że ma dla niej pozdrowienie od rzeki Grövel. Rzeka Grövel donosi, że musiała z takim mozołem torować sobie drogę, iż rada przyjąć każdą pomoc i chętnie połączy się jak najprędzej z rzeką Storą.

Połączywszy się z rzeką Grövel, Stora oczywiście potoczyła się jeszcze prędzej naprzód i wkrótce ujrzała piękne, wąskie jezioro. W jego przezroczystej wodzie odbijała się góra Idreberg i skały Städjan.

„Cóż to znowu?! — zawołała rzeka, stając nieomal ze zdziwienia, — Czyżbym oszalała i powróciła do Van?”

Lecz las, który w owym czasie stawał jej wszędzie na drodze, odparł natychmiast:

„O nie, nie wróciłaś do jeziora Van, to jest Idre, jezioro napełnione wodami potoku Sörälf. Dzielnym to potok! Napełnił jezioro po brzegi, a teraz szuka sobie wyjścia”.

Kiedy to rzeka Stora usłyszała, odrzekła z pośpiechem:

„Ty, co docierasz wszędzie, mógłbyś pozdrowić ode mnie potok Sörälf i powiedzieć mu, że rzeka Stora z Van znajduje się tutaj i jeśli potok Sörälf pozwoli jej przepłynąć przez jezioro Idre, ona zabierze go za to z sobą do morza. Nie będzie już musiał odtąd śpieszyć się, gdyż będzie to moim zadaniem”.

„Hm, mogę mu powtórzyć twoją propozycję — odrzekł las. Lecz wątpię, żeby Sörälf zgodził się na nią, gdyż jest to potok równie potężny, jak ty”.

Następnego dnia jednak las oznajmił, że Sörälf czuje się znużony tym torowaniem sobie drogi i przyłączy się chętnie do Story.

Rzeka więc przepłynęła przez jezioro, przedzierając się coraz dalej przez lasy i wzgórza.

Przez jakiś czas toczyła się bez przeszkód, aż natrafiła na wąwóz skalny ze wszystkich stron zamknięty. I poczuła, że nie ma dla niej wyjścia. Z gniewu burzyła się i pieniała tak gwałtownie, że las usłyszawszy ten ryk oświadczył:

„Teraz już koniec z tobą!”

„Co, koniec?! — krzyknęła rzeka. — O, mylisz się, przeciwnie, zabieram się właśnie do najcięższej pracy. Przekonam się, czy nie potrafię równie dobrze, jak Sörälf, utworzyć jeziora”.

I rzeka zabrała się do tworzenia jeziora Sarna, na co zużyła całe lato. Im wyżej wzbierała woda w jeziorze, tym wyżej także wspinała się Stora i w końcu znalazła na południowym brzegu miejsce, przez które mogła przepłynąć.

Kiedy rzeka wydostała się szczęśliwie z tej matni, usłyszała pewnego dnia po lewej stronie tak niezwykle głośny szum, że zapytała śpiesznie ze zdziwieniem:

„Co to ma znaczyć?”

A las miał, rozumie się, natychmiast gotową odpowiedź:

„To potok Fjätälf. Słyszysz, jak szumi i huczy? I on jest w drodze do morza”.

„Jeżeli cię potok może usłyszeć — rzekła rzeka Stora — pokłoń mu się ode mnie i powiedz temu biedakowi, że Stora z Van ofiarowuje mu swoją pomoc i chce go zabrać z sobą do morza, pod tym warunkiem jednak, że przybierze jej nazwę i posłusznie razem z nią popłynie”.

„O, Fjätälf nie wyrzeknie się swej samodzielności, nigdy temu nie uwierzę!” — zapewnił las.

Ale nazajutrz musiał wyznać Storze, że Fjätälf zmęczony był torowaniem sobie własnej drogi i chętnie się do niej przyłączy.

Stora płynęła dalej. Nie była jeszcze wcale tak wielką rzeką, jakby to sądzić było można z ilości jej dopływów. Natomiast stała się bardzo dumna. W biegu swym tworzyła teraz ciągle wodospady, a głośnym szumem przywabiała do siebie wszystko, co się w lesie toczyło i sączyło, nawet najmniejsze strumyczki wiosenne.

Pewnego dnia, gdzieś daleko, daleko na zachodzie, usłyszała szum jakiejś rzeki, a kiedy zapytała las, co to może być, las odpowiedział, że to rzeka Fuluälf, zasilana wodami spływającymi ze skał Fulu, która zdołała już sobie wyłobić długie i szerokie łóżysko.

Rzeka Stora ponowiła natychmiast swoje zwykłe polecenie, a las przyrzekł, że je doniesie rzece Fuluälf. I następnego dnia mógł już istotnie powtórzyć odpowiedź.

„Powiedz Storze — oznajmiła mu rzeka Fuluälf — że nie potrzebuję niczyjej pomocy. Taką propozycję mogłabym raczej ja jej uczynić, gdyż z nas dwóch ja jestem potężniejsza i na pewno wpadnę wcześniej do morza”.

Stora, wysłuchawszy poselstwa, nie pozostała dłużna w odpowiedzi:

„Powiedz natychmiast Fuluälfowi — zawołała — że go wzywam do zapasów! Jeśli twierdzi, że jest silniejszy, niech tego dowiedzie i biegnie ze mną w zawody. Kto pierwszy wpadnie do morza, ten zwycięży”.

Fuluälf odparł tymi słowami:

„Nie mam nic przeciwko Storze i wolałbym płynąć dalej swoją drogą w spokoju i ciszy. Lecz wiem, że moje skały nie poskapią mi pomocy, byłoby więc tchórzostwem z mojej strony, gdybym nie przyjął tego wezwania”.

I obie rzeki rozpoczęły wyścig. Pędziły teraz z jeszcze większą szybkością i nie ustawały w swym bystrym biegu ni latem, ni zimą.

Zdawało się, że Stora wkrótce żałować będzie swego zuchwałego wezwania, natknęła się bowiem na przeszkodę prawie nie do przezwyciężenia. Tę przeszkodę stanowiła góra, którą przerzynała tylko jedna bardzo wąska szczelina. Stora zwęziła się, o ile tylko mogła, i, pieniać się burzliwie, wpadła w szczelinę. Musiała jednak przez długie lata obmywać skałę i żłobić ją, zanim się jej udało doprowadzić szczelinę do szerokości wygodnego łóżyska.

W tym czasie Stora zapytywała las co najmniej raz na sześć miesięcy, jak się tam wiedzie Fuluälfowi.

„Radzi sobie doskonale — odpowiadał las — połączył się z potokiem Görälf, do którego spływają wody z gór norweskich”.

Innym razem las odpowiedział:

Nie frasuj się o Fuluälfa, dopiero co wziął z sobą całe jezioro Horrmund”.

Na wieść tę Stora, która miała sama zamiar połączyć się z jeziorem Horrmund, wpadła w taką wściekłość, że jak szalona rzuciła się naprzód i nareszcie przedarła się z wysiłkiem przez góry, tworząc w nich wąłom.

Teraz bieg jej stał się tak bystry, że unosiła z sobą więcej ziemi i lasu, niż należało. Było to na wiosnę, rzeka zalała całą okolicę między górami Hyckjeberg i Väsaberg, a zanim zdążyła się uspokoić, wyźłobiła dolinę, zwaną Älfdal.

„Chciałabym teraz wiedzieć, co powie na to Fuluälf?!“ — zawołała do lasu.

Tymczasem Fuluälfowi udało się wyźłobić doliny Transtrand i Lima, obecnie jednak stał już od dłuższego czasu przed górą Limed i szukał przejścia, nie miał bowiem odwagi rzucić się ze stromego urwiska. Kiedy jednak usłyszał, że Stora przedarła się przez swoją zaporę i wyźłobiła dolinę Älfdal, rzekł do siebie;

„Niech się dzieje, co chce, dłużej wytrzymać nie mogę“ — i rzucił się w dół ze skał Limed.

Był to skok gwałtowny, ale powiódł się szczęśliwie i teraz rzeka pobiegła szybko naprzód. Utworzyła doliny Malung i Järna i udało się jej namówić rzekę Vanan do połączenia się z sobą, chociaż Vasu nan miała już dziesięć mil długości i zdołała na własną rękę napełnić wodą tak wielkie jezioro jak Vänjan.

Kiedy niekiedy zdawało się Fuluälfowi, że słyszy niezwykle silny szum.

„Zdaje mi się, że słyszę, jak Stora wpada do morza” — niepokoił się wówczas.

„Nie — odpowiadał las. — Słyszysz istotnie szum Story, ale nie dotarła ona jeszcze do morza.

Wprawdzie udało się jej zagarnąć jezioro Orsa i Skuttungen i przechwala się, że napełni swymi wodami dolinę Siljan“.

Była to dobra wiadomość dla Fuluälfa. Gdyby Stora istotnie zboczyła w dolinę Siljan, zostałaby w niej zamknięta jak w więzieniu i on pierwszy wpadłby do morza.

I Fuluälf popłynął! dalej, pełen najlepszych myśli. Na wiosnę wykonał najcięższą część swej pracy. Wspiął się wysoko ponad lasy i wzgórze, wszędzie, gdzie przepływał, pozostawiał za sobą rozległe doliny. Wił się tak od doliny Järna do Näs, a od Näs do Floda. Z doliny Floda skręcił w dolinę Gagnef, Tutaj natrafił na płaską równinę — góry cofnęły się daleko i Fuluälf mógł bez żadnych trudności płynąć dalej. Zapomniał teraz zupełnie o dawniejszym pośpiechu i wił się w najrozmaitsze skręty niemal tak jak młodziutki, wesoły strumyczek.

Chociaż Fuluälf zapomniał o Storze, Stora jednak nie zapomniała o Fuluälfie. Co dnia stawiała gorliwie do pracy nad wypełnieniem wodą całej doliny Siljan, żeby w ten sposób znaleźć z niej wyjście. Lecz dolina wciąż leżała niby olbrzymia cysterna i zdawało się, że nigdy nie zdoła się napełnić. Stora bywała nieraz bliska rozpaczy. Myślała już, że w końcu będzie musiała zalać całą górę Gesundaberg, żeby się wydostać ze swego więzienia. Próbowwała się przedrzeć przy Rättvik, lecz tutaj góra Lerdalberg stanęła jej na drodze. Nareszcie pod Leksand udało jej się przełamać przez góry i wypłynąć.

„Nie mów Fuluälfowi nic o tym, że się przedostałam!” — prosiła las.

I las przyrzekł milczeć.

W dalszej drodze Stora zabrała z sobą jezioro Insjön i płynęła teraz jako potężna i wspaniała rzeka przez dolinę Gagnef.

Kiedy znajdowała się w pobliżu Mjäten, ujrzała inną równie wspaniałą, szeroką rzekę, toczącą tędy swe czyste, lśniące wody i jakby dla igraszki usuwającą na bok lasy i wzgórki piaszczyste.

„Cóż to za przepiękna rzeka?” — zapytała Stora.

Lecz o to samo pytała w tej samej chwili druga rzeka, którą nie był nikt inny, tylko Fuluälf.

„Cóż to za rzeka, co z taką dumą i potęgą nadciąga z północy? Nie wyobrażałem sobie nigdy, żeby rzeka mogła pędzić przez dolinę z takim rozmachem” — mówił.

„Skoro obydwie — i Stora, i Fuluälf — wyrażacie się tak pochlebnie o sobie, uważam, że powinniście niezwłocznie połączyć się z sobą i torować sobie wspólnie drogę do morza” — oświadczył las.

Myśl ta podobała się obu rzekom. Wynikła jednak przeszkoda. Ani jedna, ani druga nie chciały się zrzec swojej nazwy i przybrać cudzego nazwiska.

Z tej przyczyny połączenie może nie doszłoby do skutku, las zaproponował jednak, żeby zgodziły się na nową nazwę, której dotychczas żadna z nich nie nosiła. Na to obie rzeki przystały chętnie i las, któremu poruczono wybór nazwy, postanowił, iż Stora ma zrzec się swojej nazwy i zwać się odtąd Wschodnim Dalälfe, Fuluälf ma się wyrzec również swej nazwy i przybrać nazwę Zachodniego Dalälfu. A kiedy następnie połączą się, mają obie nazywać się po prostu Dalälfe.

I teraz kiedy obie rzeki się połączyły, runęły naprzód z taką siłą, że nic już nie mogło stawić im oporu. Ziemię w okolicy Tuna zrównały jak dziedziniec, ze skał Kvarnsveden i Domnarvet rzuciły się bez wahania. Spotkawszy po drodze jezioro Runn wchłonęły w siebie jego wody i zmusiły wszystkie rzeki w całej okolicy do połączenia się z sobą. Potem popłynęły już bez większych przeszkód na wschód, coraz bardziej zbliżając się do morza i rozszerzając się w niektórych miejscach tak, że wydawały się nieledwie wielkimi jeziorami. Nareszcie dopłynęły do morza. I w chwili kiedy już miały zatopić swe nurty w jego falach, przypomniały sobie długie lata ewego, współzawodnictwa, wszystkie utrudnienia i przeszkody, jakie stąd wynikały.

Teraz czuły się już takie stare, znużone, że dziwiły się same sobie, iż w młodości tak łatwo się sprzeczały i wzywały do zapasów. Pytały też, jaka stąd właściwie korzyść wynikała.

Ale nikt im na to pytanie nie odpowiedział, gdyż las zatrzymał się w głębi kraju. One zaś same nie mogły się obrócić w swym łóżysku. Nie mogły też zobaczyć, jak daleko za nimi zapuścili się ludzie, ile dróg pobudowali, jak nad jeziorami Wschodniego i w dolinach Zachodniego Dalälfu wyrastała jedna

osada obok drugiej i jak w całej okolicy ciągnęły się wciąż jeszcze dzikie lasy i nagie pasma górskie, z wyjątkiem tych miejsc, przez które przepłynęły pnie rzeki w czasach swego zawziętego współzawodnictwa.

[4](#) Mielerzysko — kotlina zasypana resztkami węgla i popiołu pozostałymi po wypaleniu stosu drzewa na węgle.

CZĘŚĆ SYNOWSKA



STARE MIASTO GORNICZE

Piątek, 29 kwietnia

Kruk Bataki nie znał miejsca w całej okolicy, które by mu się tak podobało jak Falun. Skoro tylko z wiosną ziemia zaczynała wyzierać spod śniegu, udawał się tam i przebywał przez kilka tygodni w pobliżu tego starego miasta górniczego.

Falun leży w zagłębieniu doliny, przez którą przepływa rzeczka. Na północnym krańcu doliny znajduje się piękne jezioro z zielonymi i bardzo urozmaiconymi brzegami, zwane Varpan. Na północy rozciąga się wielka, szeroka zatoka, utworzona przez jezioro Runn i sama wyglądająca prawie jak jezioro. Zwie się ona Tiskan. Wody ma płytkie, mętne, a brzegi bagniste, szpetne, zaśmiecone różnymi odpadkami. Na wschód od doliny ciągnie się prześliczny łańcuch wzgórz. Na ich wierzchołkach rosną wspaniałe lasy iglaste i urocze gaje brzozowe, stoki zaś pokrywają cieniste sady owocowe. Na zachód od miasta wznosi się inny grzbiet górski. Stoki tych gór sterczą nagie, nieporośnięte zielenią, zaledwie na szczytach widać nędzne sosny, poza tym nie ma na górach tych nic, prócz wielkich, okrągłych bloków kamiennych porozrzucanych wszędzie niby w prawdziwej pustyni.

Miasto Falun, położone w zagłębieniu doliny, po obu brzegach rzeki, wygląda tak, jak gdyby zostało zbudowane z myślą o warunkach gatunku, na których stoi. Z tej więc strony, gdzie dolinę pokrywa zielenią, wznoszą się wszystkie budynki odznaczające się okazałym lub pięknym wyglądem. Stoją tam oba kościoły, ratusz, mieszkanie prezydenta okręgu, kancelarie kopalń, bank, hotele, liczne szkoły, szpital oraz wszystkie piękne wille i bogate domy. Natomiast po stronie pozbawionej roślinności ciągną się ulice za ulicami, zabudowane samymi jednopiętrowymi, na czerwono pomalowanymi domami, długie, smutne, drewniane szopy i wielkie, ciężkie gmachy fabryczne. Za tymi ulicami mieszczą się kopalnie Falun, szachty, windy i pompy oraz staroświeckie zabudowania stojące pochyło na podkopanym gruncie, otoczone wysokimi górami żużlu i długimi rzędami pieców prażelnych⁵.

Co do kruka Bataki, to ten ani patrzył na wschodnią część miasta, tym mniej na piękne jezioro Varpan.

Natomiast zachwycił się zachodnią jego częścią i małym jeziorem Tiskan.

Kruk Bataki lubił wszystko, co było tajemnicze, wszystko, co mu dawało sposobność do dociekań, co go pobudzało do rozmyślań, a tego czarna strona dostarczała mu obficie. Więc przede wszystkim lubił bardzo zgłębiać, dlaczego stare, czerwone miasto drewniane nie spaliło się tak jak wszystkie czerwone miasta drewniane w tej okolicy. Zadawał sobie również pytanie, jak długo jeszcze postoją pochyłe domy na brzegu kopalni? Rozmyśla! poważnie nad wielką szachtą, tym potężnym otworem w ziemi pośrodku pola kopalnianego, i sfrunął nawet raz na samo dno, aby zbadać, jak powstała ta ogromna, pusta przestrzeń. Głębokie zdumienie ogarniało go na widok olbrzymich stosów żużlu, otaczających niby mury szachtą i budynki. Próbował także wyjaśnić sobie, co ma oznaczać mały dzwonek sygnałowy, który wydaje przez cały rok w oznaczonych odstępach czasu krótki, nieprzyjemnie brzmiący dźwięk, a przede wszystkim chciał bardzo dowiedzieć się, jak wygląda tam, w głębi ziemi, skąd wykopują rudę miedzianą od setek lat i gdzie cała ziemia jest tak poorana i przekopana jak mrowisko,

Kiedy w końcu krukowi rozjaśniało się nieco w głowie, odlatywał na ponurą pustynię kamienistą, aby tam w dalszym ciągu zastanawiać się nad tym, dlaczego między piaskowcami nie rośnie trawa.

Niekiedy też udawał się w głąb doliny nad jezioro Tiskan. Jezioro to wydawało mu się najpiękniejszą wodą ze wszystkich, jakie dotychczas widywał. Tylko jakże się to dzieje, że nie ma w niej ryb i czemu ta woda, kiedy ją wiatr wzburzy, staje się niekiedy czerwona? Było to tym dziwniejsze, że potok wpadający do jeziora miał wodę lśniąca, jasnożółtą. Bataki łamał sobie głowę nad ruinami zniszczonych budowli, położonych nad brzegiem jeziora, rozmyśla! o tartaku w Tiske, który wznosił się między dziwnym jeziorem a pustkowiem skalistym i który otaczały zielone ogrody i ocieniały wysokie drzewa.

W tym roku, kiedy Nils Holgerson wędrował z dzikimi gęśmi, na brzegu jeziora Tiskan w pewnej odległości od miasta stał stary dom, zwany „kuchnią siarczaną”, ponieważ co parę lat gotowano w nim przez kilka miesięcy siarkę. Dom ten był to stary barak, niegdyś pomalowany na czerwono, z czasem jednak przybrał on barwę szarobrunatną. Zamiast okien miał szereg otworów, które zresztą były prawie zawsze zabite. Ani razu nie udało się krukowi rzucić choćby jednego spojrzenia do tego domu i dlatego wydawał mu się on o wiele bardziej interesujący niż każdy inny. Skakał po dachu, aby odnaleźć w nim jakąkolwiek dziurę, siadał często na wysokim kominie i zaglądał przez ciasny otwór do wnętrza.

Ale jednego dnia kruka spotkało nieszczęście. Tego dnia wiatr dął z całej siły i otworzył w kuchni siarczanej okiennicę. Bataki, naturalnie, skorzystał ze sposobności i wfrunął przez otwór do wnętrza. Zaledwie się jednak tam dostał, okiennica zatrzasnęła się za nim i Bataki znalazł się w więzieniu. Spodziewał się, że wiatr znowu otworzy okiennicę, ale nie — wiatr nie okazywał do tego najmniejszej ochoty. Przez szpary w murach wpadało dość światła do wnętrza, Bataki więc mógł przynajmniej rozejrzeć się w tym baraku. Nie było tam jednak nic prócz wielkiego komina i wmurowanego kotła, czemu się kruk wkrótce zdążył napatrzeć do syta. Chciał przeto już opuścić barak, ale było to wciąż niemożliwe, wiatr bowiem nadal nie miał zamiaru otwierać okiennicy. Ani jedno okno, ani jedne drzwi nie stały otworem. Kruk był sam jeden w swoim więzieniu.

Bataki zaczął wołać o pomoc, lecz pomoc się nie zjawiała. Wołał więc i krzyczał przez cały dzień bez przerwy. Nie ma chyba na świecie stworzenia, które by potrafiło tak hałasować i wrzeszczeć jak kruk, toteż wieść o tym, że Bataki dostał się do więzienia, rozeszła się lotem strzały. Pierwszym, do którego dotarła wiadomość o tym nieszczęściu, był szaro prądkowany kot z tartaku w Tiske. Przekazał on ją kurom, a kury wygdakały ją przelatującym ptakom. Wkrótce i wszystkie sroki, i gołębie, i wrony, i wróble w całym Falun wiedziały, co się stało, i natychmiast poleciały do starej kuchni siarczanej, aby przyjrzeć się temu z bliska. Ptaki bardzo się litowały nad krukami, ale żadnemu nie przychodziło na myśl, jak go z tej pułapki wydobyć.

Nagle Bataki krzyknął ostrym, kraczącym głosem:

— Cicho, wy tam! I słuchać mnie! Skoro mówicie) że chcecie mi pomóc, to dowiedzcie się, gdzie przebywa obecnie ze swym stadem stara, dzika gęś Akka z Kebnekajse. O ile wiem, o tej porze roku znajduje się ona w Dalarna. Powiedzcie Akce, co się ze mną stało. Zdaje mi się, że jedyna istota, która potrafi mi pomóc, znajduje się w jej stadzie.

Gołąb Agar, najbardziej chyży poseł w całej okolicy, spotkał stado dzikich gęsi na brzegu Dalälfru i z nadejściem zmroku powrócił wraz z Akką przed siarczaną kuchnią. Na grzbiecie Akki siedział Paluszek. Pozostałe gęsi zatrzymały się na malej wysepce na jeziorze Runn, gdyż Akka obawiała się, że takie gwarne przybycie do Falun może raczej zaszkodzić niż pomóc.

Po naradzie z Krukiem Bataki Akka wzięła znowu Paluszka na grzbiet i pofrunęła z nim do zagrody znajdującej się w pobliżu siarczanej kuchni. Unosiła się powoli nad ogrodem i gajem brzoźowym, otaczającym zagrodę, przy czym oboje z chłopcem uparcie patrzyli na ziemię. W jednym miejscu widocznie bawiły się dzieci, co łatwo można było odgadnąć po rozmaitych zabawkach porozrzucanych wokoło. Tutaj też Akka i Paluszek znaleźli to, czego szukali. W strumyku, wesoło płuszczącym po kamieniach, turkotał rząd małych młynów, a w pobliżu leżało małe dłuto. Na kilku drewnianych koziołkach stało na wpół wykończone czółno, a obok niego chłopiec znalazł maleńki kłębek sznurka. Zabrali to wszystko i z tą zdobyczą pofrunęli oboje z powrotem do siarczanej kuchni.

Chłopiec przywiązał jeden koniec sznurka do komina, drugi spuścił w otwór i zsunął się do środka. Po powitaniu z krukiem Bataki, który mu dziękował za pomoc, chłopiec zabrał się do wybijania dłutkiem dziury w ścianie.

Siarczana kuchnia nie miała grubych murów, ale chłopcu za każdym uderzeniem udawało się odłupać zaledwie drobny okruch. Myszka przednimi ząbkami, mogłaby dokonać takiego samego dzieła.

— Trzeba będzie pracować przez całą noc, żeby wywiercić otwór dostatecznie duży dla kruka — powiedział sobie chłopiec i zabrał się do roboty.

Bataki tęsknił ogromnie za wolnością i ze wzruszenia nie mógł zasnąć. Z początku chłopiec okazywał wielką pracowitość, ale po pewnym czasie kruk usłyszał, że uderzenia dłutka rozlegają się coraz rzadziej, aż w końcu ustały zupełnie.

— Jesteś zapewne zmęczony — rzekł Bataki — i nie możesz dłużej pracować.

— Nie jestem zmęczony — odparł chłopiec i chwycił znów za dłutko. — Tylko od dłuższego czasu nie przespałem porządnie ani jednej nocy i nie mogę się utrzymać na nogach.

Znowu przez jakiś czas robota posuwała się szybko naprzód, ale stopniowo odgłosy zaczęły się znów rozlegać w coraz dłuższych odstępach. I na nowo kruk budził chłopca. Zdawał on sobie sprawę, że jeśli nie wymyśli czegoś, co będzie w stanie chłopca otrzeźwić, spędzi nie tylko tę noc, ale i następny dzień w więzieniu.

— Czy myślisz, że robota poszłaby ci łatwiej, gdybym ci opowiadał jakąś historię? — zapytał Bataki.

— Tak... być może — odrzekł chłopiec, ale jednocześnie ziewnął głośno. Biedny malec był tak strasznie śpiący, że nie mógł utrzymać narzędzia w ręku.

HISTORIA KOPALNI W FALUN

— Widzisz, kochany Paluszkule — zaczął kruk — długo żyję na świecie. Doznawałem dobrych i złych losów i kilkakrotnie bywałem chwytywany przez ludzi. Dzięki temu nie tylko nauczyłem się ich mowy, ale i przyswoiłem sobie wiele z ich uczoności. I teraz mogę twierdzić, że w całym kraju nie ma ptaka, który by tak znał twoich braci, jak ja ich znam.

Niegdyś przez wiele lat siedziałem bez przerwy w klatce u sztygara, tutaj w Falun, i w jego domu

usłyszałem to, o czym ci teraz chcę opowiedzieć,

W dawnych czasach mieszkał w Dalarna olbrzym z dwiema córkami. Kiedy się olbrzym zestarzał i poczuł, że musi umierać, zawołał obie córki, aby podzielić między nie swój majątek.

Majątek ten stanowiło głównie kilka gór obfitujących w miedź i tymi górami chciał olbrzym obdarować córki.

„Zanim jednak oddam wam dziedzictwo — powiedział — musicie mi przyrzec, że zabijecie każdego obcego, który odkryje wasze góry miedziane, i to przedtem, nim zdąży donieść komukolwiek o swoim odkryciu”.

Starsza córka olbrzyma była dzika i okrutna, przyrzekła więc bez wahania wypełnić rozkaz ojca. Młodsza jednak miała serce czulsze i ojciec widział, że wahała się długo, zanim złożyła przyrzeczenie. Dlatego też przyznał jej tylko trzecią część spadku. Starsza zatem dostała dwa razy tyle, co młodsza.

„Na tobie mogę polegać tak jak na mężczyźnie, wiem o tym — rzekł olbrzym — i dlatego otrzymujesz część synowską”.

Wkrótce potem olbrzym zmarł, a obie córki przez dłuższy czas dotrzymywały wiernie swego przyrzeczenia. Niejeden biedny drwal lub myśliwy odkrywał rudę miedzianą leżącą w wielu miejscach we wnętrzu gór, lecz zaledwie wrócił do domu i opowiedział domowym, co widział, natychmiast spotykało go jakieś nieszczęście: przygniotło go walące się drzewo albo zasypała zapadająca się góra. Nigdy nie starczyło mu czasu, aby mógł innym ludziom wskazać skarb kryjący się w pustkowiu.

W owych czasach w całej okolicy powszechnie panował zwyczaj, że w lecie wieśniacy wypędzali bydło na pastwiska daleko w głąb lasów. Za bydłem szły pasterki, pilnowały go, doily i wyrabiały masło i sery. Żeby bydło miało schronisko w pustkowiu, chłopcy wykarczowywali część lasu i ustawiali kilka budynków, zwanych szałasami.

Razu pewnego chłop, mieszkający nad rzeką Dalälſ w parafii Tersang, pobudował szałas nad jeziorem Runn, gdzie ziemia tak była kamienista, iż dotychczas nikt nie próbował jej uprawiać. Którejś jesieni chłop udał się na pastwiska z parą koni, aby dopomóc pasterkom w przygotowaniach do powrotu: przy spędzaniu bydła, przewożeniu beczulek z masłem i kręgów sera. Licząc bydło, zauważył, że jeden z kozłów ma czerwone rogi.

„Dlaczego kozioł Kare ma tak dziwnie czerwone rogi?” — zapytał chłop pastuszki.

„Nie wiem, jak to się dzieje — odparła dziewczyna — ale przez całe lato wracał co wieczór z takimi czerwonymi rogami. Pewnie mu się zdaje, że to pięknie wygląda”.

„Naprawdę?” — dziwił się chłop.

„Ach, Kare to ogromnie uparte stworzenie, mogę mu jak najsta ranniej wytrzeć rogi, a już za chwilę wraca umazany na czerwono”.

„Zetrzyj no jeszcze raz tę farbę — rzeki chłop. — Chcę się przekonać, skąd ona pochodzi”.

Zaledwie dziewczyna wytarła rogi, kiedy już kozioł skoczył na nowo w głąb lasu. Chłop pobiegł za nim i właśnie gdy dopędzał kozła, ten ocierał rogi o jakieś czerwone kamienie. Chłop podniósł kilka kamieni, polizał, potem powąchał i przekonał się, że znalazł rudę.

Kiedy stał, rozmyślając nad tym zdarzeniem, z góry sterczącej obok niego stoczył się wielki złom skalny.

Chłop odskoczył na bok i uratował życie, kozioł Kare został jednak zabity na miejscu. Chłop spojrzał w górę ku urwisku i ujrzał wielką, silną olbrzymkę, zabierającą się do stoczenia w dół drugiego złomu skalnego.

„Co robisz?! — zawołał chłop. — Nie uczyniłem przecież ani tobie, ani nikomu z twoich nic złego”.

„O tym wiem — odrzekła olbrzymka. — Muszę cię jednak zgładzić ze świata, gdyż odkryłeś moją górę miedzianą”.

Powiedziała to takim smutnym głosem, jak gdyby musiała zabić chłopą wbrew woli, chłop więc nabrał do niej zaufania i nawiązał z nią rozmowę. Wtedy olbrzymka opowiedziała mu o starym olbrzymie, swym ojcu, o przyrzeczeniu, które mu dać musiała, i o siostrze, której dostało się dziedzictwo dwa razy większe.

„Ach, wzdrygam się w duszy, kiedy muszę uśmiercać tych wszystkich biednych, niewinnych ludzi, którzy odkrywają moje skarby miedziane, i wolałabym wcale nie posiadać tego dziedzictwa — mówiła olbrzymka. — Lecz muszę dotrzymać tego, co przyrzekłam”.

I pochwyliła na nowo wielki kamień.

„Nie śpiesz się tak bardzo! — zawołał chłop. — Mnie przecież twoje przyrzeczenie wcale nie dotyczy, gdyż to nie ja odkryłem twoją miedź, tylko kozioł, a jego przecież już zabiłaś”.

„Myślisz, że mogę na tym poprzestać?” — zapytała olbrzymka wahającym się głosem.

„Rozumie się — zapewniał chłop. — Dotrzymałaś wiernie swego przyrzeczenia, nikt więcej od ciebie wymagać nie może”, I tak ją przekonywał gorliwie, aż mu rzeczywiście darowała życie.

Przed wszystkim chłop powrócił z bydłem do domu. Potem udał się do okręgu górniczego i najął tam kilku górników. Ci pomogli mu wydobyć rudę w tym miejscu, gdzie zginął kozioł. Z początku chłop lękał się jeszcze ciągle śmierci, ale olbrzymce sprzykrzyło się wieczne pilnowanie skarbów i zaniechała zemsty. Żyłą rudy, którą chłop odkrył, przebiegała tuż pod powierzchnią ziemi. Wyłamywanie więc nie przedstawiało wielkich trudności. Chłop z parobkami ściągali drzewo z lasu, układali wielkie stosy na górze i zapalali je. Żar rozsadzał kamienie i dostęp do rudy był uławniony. Potem topili rudę tak długo, dopóki nie oczyścili jej z wszelkiego żużlu.

W dawnych czasach ludzie zużywali daleko więcej miedzi do codziennego użytku niż dzisiaj. Dlatego też miedź była bardzo poszukiwanym i pożytecznym towarem i chłop, do którego kopalnia należała, stał się wkrótce bogaczem. Zbudował wielką, wspaniałą zagrodę, a kopalnię na pamiątkę kozła nazwał Karerbe.

Kiedy zajeżdżał przed kościół w Torsang, koń jego miał srebrną uprząż, a na wesele córki kazał nawarzyć piwa z dwudziestu beczek słodu i upiec na rożnach dziesięć wielkich wołów.

W owych czasach ludzie przeważnie siedzieli spokojnie we włanych okręgach i nowiny nie rozchodziły się tak szybko jak dziś. Lecz wieść o kopalni miedzi doszła jednak z czasem do wielu ludzi, a kto nie miał nic lepszego do roboty, udawał się w drogę do prowincji Dalarna.

W Karerbe przyjmowano gościnnie wszystkich podróżnych — chłop godził chętnych do służby, dawał sutą zapłatę i kazał wykopywać rudę. Było tam dość, aż za dużo rudy i im więcej ludzi chłop zatrudniał, tym bardziej się wzbogacał.

Pewnego wieczoru, mówi podanie, przyszło do Karerbe czterech silnych mężczyzn z oskardami na plecach. Zostali przyjęci gościnnie jak inni, kiedy jednak chłop zapytał, czy chcą dla niego pracować, powiedzieli otwarcie:

„Chcemy wykopywać rudę na własny rachunek”.

„Wiecie przecież, że góra miedziana należy do mnie” — rzeki chłop.

„Nie weźmiemy też nic z twojej kopalni — odparli przybysze. — Góra jest wielka i do tego, co leży w pustkowiach wolne i bez ochrony, mamy takie same prawa jak ty”.

Nie mówiono już więcej o tej sprawie i chłop okazywał przybyszom dalej taką samą gościnność.

Rankiem dnia następnego przybysze wyruszyli na robotę. Opodał znaleźli istotnie rudę miedzianą i zaczęli ją wykopywać. Po kilku dniach odwiedził ich chłop.

„Góra jest bardzo bogata w miedź” — powiedział.

„Tak, wielu ludzi musi popracować pilnie, zanim wydobędą cały skarb” — odrzekli przybysze.

„Wiem o tym — mówił chłop — ale zdaje mi się, że powinniście mi oddawać pewną część miedzi,

którą tutaj wykopujecie, ponieważ mnie zawdzięczacie, że w ogóle możecie tutaj pracować”.

„Nie rozumiemy, co chcesz przez to powiedzieć” — odparli przybysze.

„Jak to? Przecież to ja swoim sprytem zawładnąłem tą górą” — rzekł chłop. I opowiedział im o dwóch córach olbrzyma i o ich przysiędze.

Przybysze słuchali uważnie, ale najbardziej zajęło ich zupełnie coś innego, niż chłop przypuszczał.

„Czy to pewne, że druga olbrzymka jest okrutniejsza od tej, którą spotkałeś?” — zapytali,

„Rozumie się, ona by was z pewnością nie oszczędziła” — brzmiała odpowiedź chłopca.

Po tych słowach opuścił przybyszów, przyglądał im się jednak z daleka. Za chwilę ujrzał, że porzucili robotę i udali się w głąb lasu.

Tegoż wieczoru, kiedy chłop siedział z domownikami przy wieczerzy, rozległo się w lesie głośnie wycie wilków, przeplatane ludzkimi głosami, wzywającymi pomocy. Chłop zerwał się szybko, ale parobcy nie mieli ochoty iść za nim.

„A niech ich tam, złodziei, wilki rozszarpia” — rzekli.

„Trzeba każdemu dopomóc w nieszczęściu” — powiedział gospodarz i udał się natychmiast do lasu, zabierając z sobą wszystkich pięćdziesięciu parobków.

Tam ujrzeli od razu wielkie stado wilków skaczących i wydzierających sobie zdobycz. Chłopi rozegnali wilki i zobaczyli na ziemi cztery ciała ludzkie tak straszliwie poszarpane, że byłoby je niesposób rozpoznać, gdyby nie leżące obok cztery oskardy.

Po tym zdarzeniu miedziana góra pozostała własnością chłopca aż do jego śmierci. Po nim objęli ją jego synowie. Ci pracowali wspólnie, wszystką miedź, jaką w ciągu roku wydobywali z kopalni, dzielili między siebie i wytapiali każdy we własnej hucie. Wszyscy oni stali się zamożnymi ludźmi, zbudowali sobie okazałe, wielkie domostwa, Spadkobiercy ich przebili nowe szyby i powiększyli jeszcze wydajność kopalni. Z każdym rokiem wzrastały rozmiary kopalni i coraz więcej właścicieli brało udział w tych zdobyczach. Jedni z nich mieszkali w pobliżu, inni mieli swe domy i piece hutnicze rozrzucone po całym okręgu. Powstała stopniowo wielka ilość wsi, a wszystko razem zostało nazwane wielkim miedzianym okręgiem górniczym.

Nie należy jednak zapominać o tym, że o ile początkowo miedź leżała pod powierzchnią góry i można ją było wyłamywać jak kamienie z kamieniołomu, to z czasem jednak pokłady te zostały wyczerpane i górnicy zmuszeni byli poszukiwać miedzi głęboko pod ziemią. Za pomocą głębokich szybów i długich, krętych przejść podziemnych musieli się przedostawać w ciemne wnętrza góry, zakładać tam miny i rozsadzać rudę. Wysadzanie samo przez się jest bardzo ciężką i mozolną pracą, ale jeszcze uciążliwszą czyni je dym, który nie ma ujścia. A do tego dodać trzeba windowanie miedzi po stromych drabinach.

Im głębiej zapuszczano się we wnętrzu góry, tym robota stawała się niebezpieczniejszą. To rozszalałe podziemne wody wdzierały się do kopalni, to znów przygniatało górników sklepienie. W końcu praca w kopalni zaczęła uchodzić za tak niebezpieczną, że nikt już nie chciał jej się dobrowolnie podejmować. Tedy obiecano przestępcom, skazanym na śmierć, oraz banitom, którzy zagrażali bezpieczeństwu w lesie, że winy będą im darowane, jeśli zostaną górnikami w Falun.

Od wielu, wielu lat nikomu nie przychodziło na myśl udać się na poszukiwanie „części synowskiej” pozostawionej przez zmarłego olbrzyma starszej córce.

Lecz wśród banitów, przybywających na wielką miedzianą górę, znajdowali się i tacy, którzy więcej dbali o prawdziwą przygodę niż o własne życie, i ci włóczyli się często po lesie w nadziei znalezienia drugiej góry miedzianej, owej części synowskiej.

Jak się tym licznym poszukiwaczom powiodło, nie wie nikt, zachowała się do dziś tylko jedna historia o dwóch górnikach. Górnicy ci przyszli pewnego razu późnym wieczorem do swego pana i oznajmili mu, że znaleźli w lesie bogatą żyłę rudy. Porobili sobie znaki na drodze i obiecali panu, że nazajutrz

zaprowadzą go w to miejsce.

Lecz nazajutrz przypadała niedziela i pan nie chciał tego dnia iść do lasu szukać rudy — uważał, że powinien pójść ze swymi ludźmi do kościoła. Było to zimą i cała grupa górników powędrowała drogą wiodącą przez jezioro Varpa. Wszystko na razie szło dobrze, lecz w drodze powrotnej owi dwaj górnicy wpadli w przerębłe i utonęli. Wtedy ludzie przypomnieli sobie stare podanie o części synowskiej i zaczęli szeptać, że owi górnicy z pewnością padli ofiarą olbrzymki.

Aby zmniejszyć trudności przy pracy w kopalniach, właściciele kopalń zaczęli sprowadzać doświadczonych górników z zagranicy. Ci nauczili mieszkańców Falun budować w kopalniach windy, wypompowywać wodę i w o wiele łatwiejszy sposób wydobywać rudę na powierzchnię ziemi. Cudzoziemcy nie wierzyli podaniu o olbrzymkach, ale pewni byli, że gdzieś w pobliżu znajdują się jeszcze potężne pokłady rudy, i poszukiwali ich usilnie. Pewnego wieczoru do gospody przy kopalni wszedł niemiecki sztygar i oznajmił, że znalazł część synowską. Ale myśl o bogactwie, które miał teraz zdobyć, oszołomiła go zupełnie i uczyniła niepo czytelnym. Tego samego wieczoru urządził wielką hulankę w gospodzie, pił, tańczył i grał, aż wreszcie wszczął kłótnię. Doszło do bójki i został zaszytletowany przez towarzysza pijatyki.

A tymczasem z miedzianej góry wydobywano wciąż jeszcze tyle rudy, że kopalnia ta uchodziła za najbogatszą w całym kraju. Podatki, które z niej ściągano, bywały w ciężkich czasach wielką pomocą dla państwa szwedzkiego.

Wokoło kopalni powstało stopniowo miasto Falun, a sama kopalnia zasłynęła jako osobliwość najgodniejsza uwagi i przynosiła tyle korzyści, że nawet królowie odwiedzali Falun i nazywali je szczęściem i skarbem Szwecji.

Jednym z ostatnich, który natrafił na część synowską, był młody górnik z zamożnej, szanowanej rodziny, osiadłej w Falun, właściciel domu i pieca hutniczego w mieście. Pragnął on ożenić się z piękną córką gospodarską z Leksand i pewnego dnia wybrał się do niej z oświadczeniami. Dziewczyna oznajmiła mu jednak, że wyjdzie za niego tylko pod tym warunkiem» jeśli zgodzi się na porzucenie Falun, W Falun dym z pieców hutniczych kładzie się czarna, przytłaczająca warstwą na miasto i już na samą myśl o tym, ciężko się jej robi na sercu.

Górnik kochał szczerze dziewczynę i wracał bardzo zasmucony jej odmową. Mieszkał od urodzenia w Falun i nigdy nie przyszło mu na myśl, żeby mogło się tutaj komukolwiek nie podobać. Kiedy jednak zbliżał się do miasta, ogarnęło go niezmierne zdziwienie. Z wielkiego otworu kopalnianego, z setek pieców hutniczych buchał wokoło czarny, gryzący dym siarczany i zasłaniał całe miasto gęstą mgłą. Dym ten hamował naturalny rozwój roślin, toteż pola wokoło ciągnęły się nagie i puste. Górnik spostrzegął wszędzie piece hutnicze, otoczone czarnymi stosami węgla, z pieców hutniczych buchały płomienie, a było tak nie tylko w mieście, ale i w całej okolicy — w Grycksbo, w Bengtsarvet, w Bergsgarden, w Stennäset, w Korsnäs, w Vika, nawet aż w Aspeboda. Tak, teraz zaczynał pojmować: ktoś, kto przywykł mieszkać w jasnym blasku słonecznym, na zielonych brzegach przezroczystego jeziora Siljan, nie mógł się tutaj dobrze czuć.

Widok miasta usposobił go jeszcze smutniej. Nie miał ochoty udać się wprost do domu, zboczył więc z drogi i wszedł w las. Tutaj błądził przez cały dzień, nie myśląc o tym, dokąd idzie.

Ku wieczorowi stanął nagle przed górą, która wznosiła się przed nim niby ściana połyskująca złotem, a zbliżywszy się ujrzał, że blask ten wydają pokłady miedzi. Zrazu ucieszył się z tego odkrycia, ale niebawem przypomniało mu się podanie o części synowskiej, która przyprawiła o zgubę tyle ludzi, i przerażenie wstrząsnęło nim do głębi duszy.

„Dzisiaj prześladuje mnie prawdziwe nieszczęście — pomyślał. — Pewnie będę się musiał wkrótce pożegnać z życiem dlatego, że odkryłem ten skarb”.

Zawrócił pośpiesznie i udał się z powrotem do domu. Po chwili spotkał wielką silną kobietę, wyglądem swoim wzbudzającą szacunek. Mogła być matką górnika, ale nie przypominał sobie, aby ją kiedykolwiek widział.

„Chciałabym wiedzieć, czegoś szukał w lesie, widziałam cię bowiem, jak włączyłeś się po nim cały dzień?” — zapytała kobieta.

„Poszukiwałem miejsca pod budowę domu, gdyż dziewczyna, którą kocham, nie chce mieszkać w Falun“.

„Czy nie zamierzasz wydobywać miedzi z góry, którą przed chwilą odkryłeś?” — pytała kobieta dalej,

„Nie, muszę porzucić górnictwo, gdyż inaczej dziewczyna nie będzie moją”,

„Tedy dotrzymaj słowa, a nie stanie ci się nic złego” — rzekła kobieta i z tymi słowami oddaliła się.

A górnik pośpieszył wykonać to, co mu się w niebezpieczeństwie nasunęło jako wymówka. Porzucił górnictwo i wybudował sobie dom daleko od Falun. Ta więc, którą kochał, nie miała już powodu ociągać się dłużej, została jego żoną i zamieszkała z nim razem.

Na tym urwało się opowiadanie kruka. Chłopiec nie spał istotnie przez cały czas, mimo to jednak niezbyt pilnie używał dłutka.

— A cóż się stało dalej? — zapytał, kiedy kruk przestał mówić.

— Ach, od owego czasu wydajność kopalni poczęła się zmniejszać. Miasto stoi jeszcze na tym samym miejscu, ale starych pieców hutniczych już nie ma. Cała okolica zabudowana jest starymi chatami górniczymi, lecz ich mieszkańcy muszą zajmować się rolnictwem i leśnictwem. Kopalnia w Falun jest już wyżyłowana i teraz bardziej może niż kiedykolwiek przydałoby się odszukanie owej części synowskiej.

— Czy ten górnik, o którym poprzednio opowiadałeś, był ostatnim jej odkrywcą? — zapytał chłopiec.

— Jeśli wywiercisz otwór w ścianie i uwolnisz mnie stąd, to ci powiem, kto był ostatnim — odrzekł kruk.

Chłopiec porwał się i zaczął rażniej wywijać dłutkiem, Zdawało mu się, że Bataki powiedział ostatnie słowa dziwnie znaczącym tonem, nieomal, jak gdyby chciał chłopcu dać do zrozumienia, że on sam, kruk Bataki, widział wielką górę miedzianą. Może też miał jakieś określone zamiary, opowiadając mu tę historię?

— Krążyłeś zapewne często nad tą okolicą? — pytał chłopiec, chcąc się dowiedzieć bliższych szczegółów, — A unosząc się nad górami i lasami, robiłeś chyba różne ciekawe odkrycia?

— Oczywiście, mógłbym też ci pokazać dużo osobliwości, gdybyś się tylko pośpieszył ze swoją robotą.

Chłopiec wiercił! teraz dłutkiem tak gorliwie, że ze ściany leciały całe odłamki. Z pewnością kruk znalazł skarb!

— Szkoda tylko, że, jako kruk, nie możesz korzystać z tego bogactwa! — odezwał się.

— Nic ci o tym nie powiem, dopóki nie wywiercisz takiego otworu, abym się mógł wydostać — odrzekł Bataki.

Chłopiec pracował i pracował, aż w końcu żelazo rozpało mu się w rękę. Zdawało mu się, że teraz przejrzał zamiary kruka. Ptak nie mógł przecież sam wydobywać rudy, postanowił więc odkrycie swoje przekazać jemu, Nilsowi Holgersonowi. Była to rzecz jak najbardziej prawdopodobna i naturalna. A on, Nils, skoro pozna tę tajemnicę, będzie wiedział, co czynić! Niech tylko odzyska swą postać ludzką, powróci tutaj po te skarby. A kiedy zdobędzie już dość pieniędzy, kupi całą parafię Vestvemmenhög i wybuduje sobie w niej pałac tak duży jak zamek w Vittskövle. I pewnego pięknego dnia zaprosi do owego pałacu chałupnika Holgera Nilsona i jego żonę, A kiedy przybędą — on, Nils Holgerson, stać będzie na ganku i powie: „Proszę, wejdźcie i rozgoście się, jak gdybyście byli u siebie w domu!” Oni go naturalnie nie poznają i jedno drugiego pytać będzie, kim jest ten wielki pan, który ich zaprosił. A wielki

pan spyta; „Czy nie chcielibyście zamieszkać w takim pałacu jak ten?” „Oczywiście, to się rozumie samo przez się, ale to nie dla nas” — odpowiedzą. „Owszem, owszem, dostaniecie ten pałac jako zapłatę za wielkiego, białego gąsiora, który uciekł wam zeszłego roku” — odpowie na to. wielki pan...

Chłopiec poruszał dłutem coraz szybciej. Druga rzecz, na którą użyje swych pieniędzy, to będzie nowy domek dla gęsiarki Azy i Matsa. Naturalnie daleko piękniejszy i większy niż ich dawny na piaszczystym stepie w Sunnerbo. A następnie zakupi całe jezioro Takern, a następnie...

— Teraz, istotnie? trzeba cię pochwalić za pilność — odezwał się kruk. — Zdaje mi się, że dziura jest już dość wielka.

I rzeczywiście krukowi udało się przecisnąć przez otwór. Chłopiec podążył za nim i ujrzał go siedzącego nie opodal na kamieniu.

— Teraz dotrzymam przyrzeczenia, Paluszk — zaczął Bataki głosem bardzo uroczystym — i powiem ci, że to ja sam widziałem część synowską. Lecz nie radziłbym ci szukać jej, gdyż trzymałem się długie lata, zanim ją znalazłem.

— Sądziłem, że jako nagrodę za moją pracę wskażesz mi sam, gdzie się ona znajduje — rzekł chłopiec.

— Ach, Paluszk, musiałeś być bardzo śpiący, kiedy ci opowiadałem o części synowskiej — rzekł Bataki. — Inaczej nie spodziewałbyś się czegoś podobnego. Czy nie słyszałeś, że wszyscy, którzy chcieli zdradzić miejsce, gdzie się część synowska znajduje, przypłacili to życiem? Nie, przyjacielu, kruk Bataki nauczył się milczeć wtedy, gdy trzeba.

Bataki rozpiąwszy skrzydła odleciał.

Tuż obok kuchni siarczanej spała mato Akka, ale upłynęło sporo czasu, zanim chłopiec podszedł do niej i zbudził ją ze snu. Był zły zasmucony, ponieważ ominęły go wielkie skarby i, teraz doznawał uczucia, jak gdyby nie istniało już nic, co by go mogło ucieszyć.

— Zresztą nie wierzę w prawdziwość historii o olbrzymkach ani historii o wilkach czy o zdradzieckim lodzie — mówił do siebie. — Po prostu ubodzy robotnicy, znalazłszy nagle wśród głębokiego lasu bogate pokłady rudy, potracili z radości głowy i później nie mogli znaleźć drogi do swych skarbów. A potem rozczarowanie tak gwałtownie podziało na nich, że wprost żyć już nie mogli. Przecież i ja teraz odczuwam zupełnie to samo.

5 Piec prażelny — piec hutniczy

KONIEC TOMU PIERWSZEGO